

POWIEŚĆ  
HISTORYCZNO-  
-OBYCZAJOWA

BARBARA  
ISKRA KOZIŃSKA

A photograph of two women walking in a field. The woman on the left wears a checkered dress and a hat with a red band. The woman on the right wears a dark coat and a headscarf. The background shows a green field and a blue sky.

Maria

Prawdziwe losy  
przesiedlonych kresowiaków

**BELLONA**

POWIEŚĆ  
HISTORYCZNO-  
-OBYCZAJOWA

BARBARA  
ISKRA KOZIŃSKA

*Maria*

Prawdziwe losy  
przesiedlonych kresowiaków

**BELLONA**

# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autorki

I. Osadnicy

II. Wileńskie kresy

III. Jeszcze trwa wojna

IV. Maria

V. Podróż

VI. Powroty

VII. Na swoim

VIII. Miłość i śmierć

IX. Deresz z Unry

X. Pierwsze Boże Narodzenie w nowym domu

XI. Piotrek

XII. Niemieckie powroty

XIII. Powódź

XIV. Babcia Malwina na zebraniu partyjnym

XV. Nowi sąsiedzi

XVI. Wyprawa grzybowa

XVII. Boże Narodzenie

XVIII. Sylwester

XIX. Tam, gdzie kwitną łąki zielone

XX. Wielkanoc  
XXI. Srebrne obrączki  
XXII. Niezapomniane święta  
XXIII. I znów wiosna  
XIV. Kosarzyńskie śluby i wesela  
XV. Przedszkole w Kosarzynie  
XVI. Januszek  
XVII. Dziadek Wincenty i „Wieczórki”  
XVIII. Burzliwy rok  
XIX. Pożegnanie z matką  
XXX. Bernasiowe wesele  
XXXI. Kosarzyńskie lato  
XXXII. Tajemnica jeziora Borek  
XXXIII. Antoś  
XXXIV. Michasiowe wesele  
XXXV. Goście z Warszawy  
XXXVI. Pierwszy dzwonek w szkole  
XXXVII. Dzieci z Kosarzyna  
XXXVIII. Brunon Mertyn  
XXXIX. Śmierć nad Odrą  
XL. Miłość i łzy  
XLI. Kułak  
XLII. Wiosna przychodzi co roku  
Posłowie  
Okładka

BARBARA  
ISKRA KOZIŃSKA

*Maria*

**BELLONA**  
Warszawa

Projekt okładki i stron tytułowych  
Anna Damasiewicz

Redaktor merytoryczny  
Kazimierz Cap

Redaktor prowadzący  
Zofia Gawryś

Opracowanie techniczne i łamanie  
Bartłomiej Nowicki

Korekta  
Teresa Kępa

© Copyright by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2013  
© Copyright by Barbara Iskra Kozińska, Warszawa 2013

Zapraszamy na strony:  
[www.bellona.pl](http://www.bellona.pl), [www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)

Dołącz do nas na Facebooku  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona](http://www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona)

Nasz adres: Bellona SA  
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa  
Dział Wysyłki: tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78  
fax 22 652 27 01  
[biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)

ISBN 9788311130869

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

## Od autorki

Opowieść ta to dalsze dzieje sagi rodzinnej, której początek zapisany jest na stronach powieści „Czerwone niebo nad Wołyniem”. Jest to opowieść o młodości moich rodziców w ciężkich czasach II wojny światowej – ich wyjazd z Kresów i przyjazd na Ziemię Odzyskane do Polski; początki pierwszego osadnictwa na terenach opuszczonych przez Niemców; lata pracy i zmagania z codziennym bytem w powojennej rzeczywistości polskiej wsi. Jest to opowieść o przyjaźni, miłości, wzajemnym wsparciu i sąsiedzkiej pomocy; o nas, o Polakach, osadnikach polskich, przybyłych zza Bugu, którym przyszło żyć we wsi Kosarzyn, na skraju Polski zachodniej, tuż przy granicy polsko-niemieckiej. Opowieść o mojej mamie, bohaterskiej dziewczynie i niezwykłej kobiecie. O Marii.

# I Osadnicy

Ciała rodzina Kozińskich wraz z dobytkiem zmieściła się w jednym wojskowym, ciężarowym aucie. Na dwóch ławkach, pomiędzy którymi leżały toboły z pierzyną i mniejsze tobołki z odzieżą, siedzieli oboje Kozińscy – Wincenty i Michalina – z Heleną, Rysiem i Zdzisiem. Dwa ogromne, drewniane kufry stały pod ścianą szoferki, obok których leżał ich pies Nerek. Za samochodem, przywiązane linkami do burty, szły, a raczej podbiegały co krok dwie krowy, za nimi zaś na koniu jechał wierzchem młody żołnierz.

– Szkoda mi krów – odezwała się cicho Michalina.

– Zaraz jak dojedziemy, trzeba je będzie wydoić – zauważył Wincenty.

Wszyscy patrzyli z troską, jak obydwie krowy męczą się, wysuwając głowy podciągane do przodu przez konopne linki, przytwierdzone do burty wojskowego auta.

Po godzinie takiej jazdy wjechali do wsi, gdzie przy wjeździe na wysokiej tablicy widniał napis „Wierzbica”. Zatrzymali się pośrodku wsi, której ulice były wybrukowane kamienną kostką, czyli „kocimi łbami”, jeszcze przez byłych mieszkańców tej wioski, czyli zamieszkałych tu przed wojną Niemców. Po bokach długiej ulicy rosły rzędem duże lipy, których konary pomalowane były na białe. Dawało to obraz czystości i poczucia estetyki byłych gospodarzy. Za lipami po obydwu stronach drogi widać było także ustawione w rzędzie murowane i dość okazałe domy mieszkalne.



Gdzieniegdzie, przy niektórych domach, stały podobne ciężarowe auta z nowo przybyłymi osadnikami. Byli to ludzie z tego samego transportu wagonowego co Kozińscy.

– No, jesteśmy na miejscu – zawołał po chwili kierowca, wyłączając silnik auta i podchodząc do burty samochodu.

– Już koniec? – zapytał z niedowierzaniem Zdziś.

– No, koniec, chłopie!... – zawołał wesoło żołnierz. – A co?... mało ci jeszcze podróźnej tułaczki?

Zdziś już nic nie odpowiedział, tylko zeskoczył z burty wprost na ulicę i nie pytając nikogo o pozwolenie, pobiegł szybko za duże drzewo za swoją potrzebą.

Pomału i oboje Kozińscy zaczęli wydobywać się z samochodu. Wincenty najpierw sam zszedł, a potem pomógł zejść żonie i Helence. Rysio też zeskoczył i pobiegł za Zdzisiem.

– To gdzie my będziemy teraz mieszkali? – zapytała Michalina, rozglądając się po domach.

– Widzi pani, ile tutaj domów stoi jeszcze pustych? – żołnierz pokazał ręką rząd stojących jeden za drugim nieopodal nich domów.

Michasia spojrzała na męża.

– Co my teraz zrobimy, Wicuś? Jakże tak wejść do cudzego domu?

Wincenty nic nie odpowiedział, tylko zawołał Zdzisia i poszli razem do pierwszego domu, przy którym zatrzymało się wojskowe auto.

– Póki co, wyładujemy was – powiedział ten sam żołnierz-kierowca, który ich przywiózł do Wierzbicy. – Nie ma na co czekać – powiedział patrząc na Michalinę, jakby się upewniając i czekając na jej przyzwolenie. Drugi z żołnierzy przywiązał konia do płotu domu, do którego poszedł Wincenty ze Zdzisiem, i zaraz wskoczył za burtę samochodu, zabierając się za wyładowywanie dobytku.

Kiedy taszczyli z pomocą Rysia ogromny, drewniany kufer, z ogłędzin domu powrócili obydwaj Kozińscy, Wincenty ze Zdzisiem.

– No mamusiu, ciesz się! – zawołał z uśmiechem Zdzisio.

– No... mówże, z czegoż mam się tak cieszyć? – pytała zaciekawiona.

– A z tego, że masz w tym domu taki sam piec do pieczenia chleba, jaki mieliśmy w Okopach!

Michalina uśmiechnęła się i mimowolnie naraz oczy jej napełniły się łzami.

– Nie płacz, nie płacz – uspokajał ją Koziński. – To tylko cud, że Pan Bóg dał nam drugie życie – powiedział jakby sam do siebie.

– Nie płaczę, tylko tak jakoś samo... powiedziała cicho, zabierając spod płotu pierwsze wyładowane tobołki z rzeczami.

– Chodź mamuś, pójdziemy razem do tego domu – powiedziała Helena, dźwigając sporą walizkę wyładowaną sprzętami kuchennymi.

Niosąc swoje pakunki, obie kobiety weszły ostrożnie przez furtkę na podwórze. Za nimi przybiegł Rysio i wyprzedzając je, poszedł przodem, po czym otworzył drzwi do domu. Helena przepuściła matkę przodem i zaraz wsunęła się ostrożnie za nią, oglądając wszystko po drodze, jak to robiła Michalina.

Będąc już w obszernej kuchni, Kozińska przeżegnała się i uklękła. Potem nachyliła się tak, że głową dosięgła podłogi, dotykając ustami desek. Helena nic nie powiedziała, ale nie poszła za przykładem matki, tylko przeżegnała się, wycierając łzy końcem chustki. Pomogła matce podnieść się z klęczek i podała jej krzesło, żeby usiadła. Michalina była jej za to wdzięczna i z ulgą usiadła na podanym jej krześle, po czym wzrokiem ogarnęła pomieszczenie kuchenne, w którym się znajdowały. Z zaciekawieniem spoglądała na piec kaflowy z dużą żeliwną płytą, na której poukładane były fajerki, czyli miejsce na garnki, gdzie gotowały się potrawy. Pod ścianą obok stał duży, jasny kredens kuchenny. Helena otworzyła górne, szklane drzwiczki, za którymi na półkach stały niebieskie, duże filiżanki. Wzięła jedną do ręki i pokazała matce.

– Boże, Boże... – westchnęła tylko Michalina. – Nie tak dawno służyły one swoim gospodarzom. Boję się, Helciu, co to będzie, jak oni wrócą. To przecież ich dom – mówiła cichym głosem.

– Nie wrócą, nie wrócą! Poszli do Niemiec, tam, gdzie ich miejsce! Mamuś, oni tak samo jak i my mają teraz nowy dom – pocieszała matkę Helenka. – I to przez nich całe to piekło! Przez nich! Nie ma co żałować! Oni nikogo nie żalowali, jak mordowali!

– Cicho, cicho, bo jeszcze kto usłyszy – mówiła trwożliwie Michalina, spoglądając na okna.

– Nie wiadomo jeszcze, co nas tu czeka i kogo będziemy mieli za sąsiadów. Jeszcze w pociągu słyszałam, jak dwie kobiety mówiły, że na Śląsku nie wszyscy Niemcy wyjeżdżają. A toż to Śląsk!

– E tam, Śląsk! Śląsk to w Katowicach, a tutaj jesteśmy blisko Opola

i Wrocławia – nie dawała za wygraną w dyskusji Helena. – Mamuś, ty sobie siedź, a ja rozpalę w piecu. Trzeba jeść, żeby żyć! – zawołała, biorąc się do pracy w kuchni.

– Dobrze już, dobrze! – Rozpal, Helciu, i nastaw wodę na kaszę, a ja pochodzę jeszcze po tym naszym nowym domu – i nie patrząc już, co robi córka, Michalina Kozińska wyjęła spod tobołków małą buteleczkę ze święconą wodą i weszła do pierwszego pokoju.

Ogarnęła wzrokiem sprzęty. Meble, łóżka i dywaniki przy łóżkach znajdowały się w nienaruszonym stanie – takim, jakby ich właściciele gdzieś tylko na chwilę wyszli z domu. Ogromne, rzeźbione lustro stało na mahoniowej komodzie w rogu pokoju, tak przytwierdzone do ściany, że odbijało się w nim całe wnętrze pokoju.

Michalina przyjrzała się sobie. Miała zmęczoną twarz i włosy schowane pod szarą, wypłowiałą chustką. Mimo to uśmiechnęła się, poprawiając chustkę na głowie. Potem wyjęła korek z buteleczki i nalewając kilka kropli na dłoń, pokropiła tą wodą wszystkie cztery ściany pokoju. Następnie jeszcze przeszła do następnych pokoi i zrobiła tak samo, nie przypatrując się nawet dokładnie pozostawionym przez byłych gospodarzy i właścicieli opuszczonego domu sprzętom. Z pokojów na parterze poszła schodami na piętro domu. Tutaj na stryszku był jeden pokój z kuchnią. Uśmiechnęła się i pomyślała: zupełnie jak u nas w Okopach... Przypatrzyła się firankom i zasłonkom; były w jasnych kolorach. Jacyś młodzi ludzie tutaj mieszkali – pomyślała. Nie zaglądała do szaf i komód – bała się dotknąć czegokolwiek. Czuła, że to wszystko nie jest jej. Ktoś na to pracował i żył w tym domu. Czuła się tak, jakby przyjechała z wizytą do dalekich krewnych i przyszło jej na nich poczekać, aż wrócą do domu i przywitają ją.

Kiedy już schodziła na dół po schodach, usłyszała na dole w kuchni głosy swoich bliskich. Przez otwarte drzwi widziała, jak siedzą wszyscy przy długim stole i coś sobie smacznie zajadają. Na samym początku długiego stołu siedział Wincenty i jedząc kaszę ze skwarkami, podniesionym głosem informował, co myśli o tej rodzinnej tułaczce. Widząc wchodzącą swoją Michasię, zawołał: „No chodź, chodź mamusiu i siadaj tutaj przy mnie!”. Michalina podeszła i stanęła obok niego, całując go we włosy. On, nie będąc jej dłużny, uchwycił jej rękę i także pocałował. Siedzące przy stole dzieci na ten gest uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo, a Helenka westchnęła, patrząc na wszystkich: „No i jesteśmy w domu...”. – Tylko żeby jeszcze

Adam wrócił cały i zdrowy, i Dominik z Antosią – dodała zamyślona.

– Wróć, i to szybciej, niż myślimy – powiedział Zdziś. – Daję głowę, że już jadą i szukają nas – dodał, rozglądając się po domu. – A jak tam jest na górze? – zapytał, zwracając się do matki.

– Ładnie, bardzo ładnie – odpowiedziała Michalina, a po chwili dodała: „Zupełnie jak u nas w Okopach”.

– No widzisz, taki nasz los. Pan Bóg zachował nas przy życiu i dał drugi dom. Czegóż chcesz więcej? – mówił Wincenty, wyraźnie zadowolony, że po raz pierwszy od tak długiego czasu zjedli z rodziną wspólny obiad, przy wspólnym stole. Leżący obok nich na podłodze Nerek, najedzony i szczęśliwy jak wszyscy domownicy, nadawał wyraz swojskości i ciepła nowemu domowi i nowemu życiu. W piecu kuchennym palił się ogień, a przyjemne ciepło ogarniało cały dom.

– Zaglądałaś do szaf i kufrów, Michasiu? – zapytał Wincenty, patrząc na żonę.

– Nie, nie mogę, to nie moje – odpowiedziała Michalina, z roztargnieniem grzebiąc w talerzu.

– Ja zobaczę – odezwała się Helenka. – Ja tam nikogo nie szkoduję, bo i nad nami nie było litości! Wywieźli nas jak bydło!

– Ale, ale, córciu, z domu to nie! Z domu to uciekliśmy przed śmiercią. Wywieźli nas z naszej ziemi, bo taka sytuacja powstała na świecie. Polityka! – zachnął się Koziński, a po chwili zadumy już cicho dopowiedział: „To cud, że żyjemy, to wielka łaska od Boga...Nie ma co się roztkliwiać. Żyjemy, to już nie płaczmy! Dosyć się tam napłakaliśmy i nacierpieliśmy!”.

– Tato, pójdziemy zobaczyć pola i łąki? – zapytał Zdziś, spoglądając na ojca.

– No pewnie – zgodził się Wincenty.

– I ja też, i ja też chcę – zawołał Rysio.

– Tylko uważajcie, bo w ziemi jeszcze mogą być miny! – przestrzegała z obawą Helenka, patrząc na swojego jedynaka.

Będąc już na łąkach obok domu, Wincenty spoglądał z zaciekawieniem na trawę.

– Zobacz, Zdziś, trawa ledwie zaczęła się zielenić, a już mlecze mają pączki. Tak daleko przejechaliśmy i mamy tutaj takie same łąki z kwiatami jak na Wołyniu.

– A pamiętasz, tato, co mi mówiłeś, kiedy jechaliśmy na wozie przez

okopowski las?

– Noo?...

– Że pojedziemy daleko i znajdziemy takie łąki jak na Wołyniu...

– Wiecie co, chłopaki? Nakosimy trochę tej świeżej trawy łąkowej dla gniadego i krów. Ale się babcia ucieszy... – zwrócił się do Rysia Wincenty.

– A Mućka, Krasula i Kuba to niby nie? – zapytał wesoło Zdziś.

– Przyniosę dziadkowi kosę – zaproponował Rysio.

– Dobrze, tylko uważaj, jak będziesz niósł. Nie zrób sobie czegoś, bo dopiero miałbym biedę z twoją mamą – zawołał za nim Wincenty, kiedy Rysio już biegł po kosę.

– To ja przyniosę wojskową pałatkę, żeby tę skoszoną trawę w coś zabrać – powiedział Zdziś.

Czekając na chłopców, Wincenty przysiadł sobie na pieńku drzewa i zapalił swoją fajkę. Nie wstał nawet, gdy chłopcy już przyszli – siedział, pykając fajkę i nic nie mówiąc patrzył w dal, jakby nieobecny wzrokiem. Kiedy skończył palić, zabrał się do pracy. – Nieduża ta trawa, pierwsza, kwietniowa, ale dobra, dobra... – gderał po swojemu i kosił. Chłopcy trochę zagarniali rękami, trochę grabiami i w niedługim czasie zapełnili trawą rozłożoną na ziemi pałatkę. Zanieśli ten zwinięty pakunek z trawą do obory, gdzie Helenka już doła krowy. Rysio, chcąc pokazać swojej mamie, jaki to z niego zaradny gospodarz, nakładał z ochotą trawę do żłobów, wypełniając je po brzegi. Potem zanieśli też trochę trawy do stajni dla Kuby.

Wieczorem przy kolacji, kiedy jedli ugotowane przez Michalinę zacierki na mleku, a na stole paliła się naftowa lampka, usłyszeli nagle głośne pukanie najpierw do drzwi, potem do szyby okiennej. Natychmiast zgasili lampkę i odeszli od stołu. Zaległa zupełna cisza. Byli przerażeni.

– Niemcy? – zapytała trwożliwie Michasia, przytulając się do Wincentego. Koziński nic nie odpowiedział, tylko przystawiając palec do ust, nakazał milczeć. Wyraźnie słyszeli wokół domu odgłosy kroków kilku mężczyzn. Po chwili usłyszeli głosy.

– Pewnie już śpią, po takiej długiej podróży. – E, nie – odezwał się drugi głos. – Wyraźnie zgasili światło, widziałem przecież!

– Polacy – szepnęła Michalina.

– Tato! – krzyknął nagle Rysio.

– Co?! – zawołał za nim Wincenty.

– Dawajcie zapałki!

Podane przez żonę zapalki nie chciały się za nic zapalić, jak na złość. Ręce się tylko trzęsły, nie mogąc nic zrobić.

– Daj, tato! – zawołał Zdzis i biorąc do ręki zapalki z rąk ojca, zapalił lampkę. Z palącą się lampką podszedł do drzwi, wołając: „Kto tam?!”.

– To ja, Adam Romaniewicz!

– Boże! – krzyknęła Helenka i podbiegła szybko odsuwać skobel od drzwi. Kiedy otworzyła, oczom wszystkich ukazała się ogromna, dwumetrowa postać z plecakiem na plecach. Nie czekając aż wejdzie, rzuciła się owej postaci w ramiona i ... zniknęła w nich, ukryta w ogromnym wojskowym szynelu.

– Tatuś! – zawołał rozradowany Rysio i także przylgnął do ojca. Michasia z radości nic nie mówiła, tylko łzy cichutko jej spływały po twarzy. Po chwili Adam ścisnął się już z teściami i Zdzisiem.

– Szukałem was dość długo, ale przypadkiem trafiłem na ciężarówkę wojskową, która was tutaj przywiozła – mówił, rozbierając się z płaszcz wojskowy i ściągając z pleców plecak, po czym to wszystko kładąc na przykuchennej kozetce. – Chodziłem i chodziłem po dworcu we Wrocławiu, aż przemknęło mi przez myśl, że poszukam wśród kierowców, którzy rozwozili osadników. No i takim to sposobem natrafiłem na waszego kierowcę - żołnierza. A że jechali do sąsiedniej wsi, to zabrałem się z nimi, a potem parę kilometrów przeszedłem pieszo. Jak widać, kto się bardzo stara, to i się znajdzie – uśmiechał się, przypatrując się każdemu z domowników. – Jak dawno was nie widziałem!

Spoglądał od czasu do czasu na żonę, która siedziała zapłakana obok niego, przytulona i cicha. Głaskał ją po włosach z jednej strony, a z drugiej tulił syna.

– Michasiu kochana – zawołał Wincenty – pewnie Adam jest głodny!

Ale zanim Michasia zdążyła się poderwać, Adam wstał z krzesła, delikatnie odsuwając Helenkę i Rysia. Wziął z kozetki wojskowy duży plecak i zaczął wyjmować z niego prezenty. Najpierw postawił na stole kilka wojskowych konserw, potem puszkę amerykańskiej prawdziwej kawy i herbaty, cukier, sól i cały karton wojskowych sucharów z kminkiem, kilka kostek mydła i parę butelek coca-coli – amerykańskiego napoju, zupełnie nieznanego w Polsce. Na koniec wyjął karton czekolad i małą paczuszkę. Wszystko to wręczył Helence.

– To dla mnie? – zapytała niepewnie, patrząc się na męża.

– Uhu – potwierdził i poprosił: „Rozwiń, proszę”.

Helenka rozwiązała niebieską wstążeczkę i wyjęła z paczuszki przepiękną beżową, jedwabną chustkę w niebieskie kwiaty.

– Piękna – szepnęła i czule pocałowała męża.

– Mam jeszcze dla mamy – powiedział i wyjął z bocznej kieszonki drugą chustkę, ale już nie jedwabną, tylko z grubszego materiału i cieplejszą.

– Dziękuję, Adasiu – powiedziała wzruszona Michasia.

– To wszystko od Amerykanów, którzy wyzwolali nasz stalag – mówił, szczerze zadowolony, że mu się udało uszczęśliwić swoją rodzinę, tak dawno niewidzianą. – Słyszałem od ludzi, że tylko nieliczni przeżyli pacyfikację naszych wsi. Opowiedzcie mi, prawda? – pytał zatroskany.

– Teraz to ty nam opowiedz, jacy są ci Amerykanie? Lepsi od Ruskich? – dopytywał się Wincenty.

– Amerykanie nas wyzwolali – tak to można nazwać, chociaż walki żadnej nie było. Rano, kiedy obudziliśmy się i jak zwykle poszliśmy na apel, nikt z niemieckich służb pilnujących obozu się nie stawił. Z początku myśleliśmy, że tak nas nabierają i każą dla kaprysu stać kilka godzin. I nie wiem, ile jeszcze byśmy tak stali, gdyby w pewnym momencie nie otworzyły się ogromne drzwi obozu i z wielkim hukiem na teren nie wjechała cała długa kolumna amerykańskich samochodów wojskowych. Oniemieliśmy ze zdumienia. Co to jest?!... Skąd tutaj Amerykanie? We wszystkich samochodach zatknięte mieli dla rozpoznania malutkie chorągiewki, imitujące amerykańską flagę. Kolumna zatrzymała się naprzeciwko nas i z jeepa wysiadło paru oficerów. Podeszli do nas bliżej. Jeden mówił po angielsku, a drugi tłumaczył nam, że oto przyszło wyzwolenie i dla nas koniec wojny.

– Jesteście wolni, Polacy! – krzyknął w naszą stronę najwyższy rangą oficer amerykański. A po jego słowach rozległ się okrzyk byłych więźniów – tak silny, że na pewno słyhać go było bardzo, bardzo daleko...

Wojsko amerykańskie to inni ludzie niż my tutaj wszyscy, razem z Ruskimi. Siedzą na przykład przy stole, a nogi w butach trzymają na stole.

Nie od razu wszyscy wyszliśmy z obozu. Świątowaliśmy razem z nimi. To od nich te suchary i konserwy. I Murzynów mają w armii – ale to tacy normalni ludzie... Jeden z nich wieczorem śpiewał i grał na gitarze, specjalnie dla nas, więźniów stalagu. Rozdawali wszystko, co mieli, papierosów i czekolad całe kartony. No, tak było, jakby człowiek dostał nagle prezent od

nieba. Ludzie dorwali się do czekolady, aż się pochorowali. Orzechy, czekolada, coca-cola, w żołądku rewolucja. Co drugi latał na stronę i jęczał. W końcu lekarz amerykański kazał całe to dobro pochować do plecaków i wiecie, co zarządził? Nie zgadniecie! Kucharz przekazał nam dwa worki kartofli, a my je upiekliśmy w ognisku. Dali nam do tego masło i sól i jedzenie było palce lizać... – spojrzał na Helenkę i uśmiechnął się serdecznie.

Kiedy Adam opowiadał, skupiona wokół niego rodzina jakby zastygła w bezruchu słuchania. Nawet Rysio i Zdziś przestali chrupać na chwilę suchary. Opowiadał o innym świecie, tak różnym od tego, co oni sami przeżyli i w jakim się teraz znajdują. Po chwili wyjął z kieszonki munduru papierosy i zapytał, patrząc na Michalinę, czy może zapalić.

– Pal sobie, Adaś, to mi nie przeszkadza; z radością poczuję dym z prawdziwego papierosa, a nie z machorki – powiedziała Michalina, patrząc przekornie na męża. Wincenty nie odpowiedział na prowokację, tylko posłał jej uśmiech.

Adam spojrzał na Helenkę.

– Nie będzie ci przeszkadzał dym?

– Nie, nie... zrobię ci herbaty – odpowiedziała cicho.

– Dobrze, Helciu, i wszystkim zrób, tej amerykańskiej. A ja otworzę konserwę i zjemy sobie wszyscy tutaj razem.

Mimo że dawno już minęła północ, u Kozińskich w domu jeszcze długo w nocy paliła się lampka naftowa, a zebrana przy stole rodzina świętowała powrót do domu z wojny Adama Romaniewicza. Poszli spać dopiero nad ranem, ale nie pospali długo, bo niedojone krowy szybko dały znać o sobie głośnym muczeniem.



## II

# Wileńskie kresy

**D**om w Jurkowie na Wileńszczyźnie mieścił się w środkowej części wsi. Był cały zbudowany z masywnych, dużych bel drewnianych. Był duży, ponieważ mieściło się w nim kilka izb, łącznie z kuchnią i sienią. W sieni była tak zwana spiżarka, zwana szafarką. Tam przechowywano produkty na zimę – przetwory, miód, soki, mięsa solone, gotowane w słoikach, różne zioła i nalewki. W kuchni znajdował się piec z okapem, w którym paliło się pod blachą i gotowało się na nim potrawy. Piec miał dobudówkę, na której suszyło się odzież lub nawet spało w zimie. Za kuchnią znajdował się duży pokój stołowy z przepięknym, okutym mosiądzem kredensem z kryształowymi szybkami, w którym poustawiana była porcelana, przeznaczona na świąteczny stół. Pod ścianą stały kuferki pomalowane w kwiaty, w których pani domu, Malwina, przechowywała obrusy i pościel oraz co lepsze ubrania. Na ścianach w tym pokoju wisały obrazy olejne i ikony. Pochodziły one od ludzi, którzy w ten sposób płacili za pracę przy budowie domów mężowi Malwiny, Janowi, gdy nie mieli pieniędzy.

W domu państwa Zawadzkich, bo tak nazywali się jego właściciele, było czysto i schludnie. Malwina pochodziła z polskiej szlachty ziemiańskiej i czuła się od urodzenia może nie tyle damą, chociaż nosiła takie same ubrania, jak kobiety lepiej od niej sytuowane, co osobą bardziej wykształconą, więcej umiejacą i wiedzącą od innych kobiet ze wsi, którym służyła radą i pomocą. Urodziła się w domu ziemiańskim rodziny Kozłowskich, zamieszkałych od wieków na Wileńszczyźnie, z tradycjami

konserwatywnymi. Ponieważ wyszła za mąż za rzemieślnika, i to dobrze zarabiającego, w domu nie czuło się biedy i niedostatku. Jan Zawadzki wybudował im dom – wprawdzie drewniany, ale duży i przestronny. Za nim znajdowała się studnia z żurawiem, duża sadzawka i łaźnia. W tym miejscu zawsze zatrzymywały się wszystkie wojska idące na front czy zeń wracające – niemieckie, polskie czy rosyjskie – żeby się umyć i ugotować jedzenie.

Na początku roku 1939, pół roku po urodzeniu trzeciego syna, zachorowała ciężko i zmarła na zapalenie płuc starsza zameężna córka Zawadzkich, Ewelina, osierocając trzech synów, którzy zostali przy ojcu; jednakże najmłodszy z nich, Antoś, jeszcze całkiem malutki, wychowywał się u dziadków w Jurkowie. Czasami tylko jego ojciec ze starszymi braćmi Michasiem i Bernasiem odwiedzali Antosia i dziadków Zawadzkich. Wychowanie Antosia i opiekę nad nim powierzono cioci Marysi, która zabierała go ze sobą wszędzie, gdzie tylko szła. Chodziła z nim po łąkach i sadach, do koleżanek i do kościoła. Nosiła go przeważnie na rękach.

17 września w południe do drzwi domu Zawadzkich zaczął się dobijać pies – skomleć, piszczeć i drapać. Zaciekawiona Malwina otworzyła drzwi z kuchni do sieni, a potem drzwi główne, frontowe. Ralf jakby tylko na to czekał – wskoczył do domu i wlaźł w kuchni pod stół, potem pod krzesło i za nic w świecie nie chciał już wyjść.

– Co się dzieje dzisiaj z tym psem? – zapytała Jana zdumiona Malwina.

– Wojna idzie, mamusiu – pewnie słyszy gdzieś wystrzały, ale to jeszcze bardzo daleko – powiedział Jan, po czym nacisnął czapkę na głowę i wyszedł na podwórze. Za nim poszła Malwina i Piotrek. Zauważyli, że na sąsiednich podwórkach też stoją ludzie i nasłuchują.

– Ruskie wojsko weszło! – krzyknął sąsiad w stronę Zawadzkich. – Nasi nie chcą posłuchać i oddać broni, strzelają na granicy!

– Bolszewiki idą! – zawołała nagle Malwina i krzyknęła do kobiet: „Połapcie kury i pochowajcie dobrze inwentarz!”.

Na podwórkach zrobił się ruch i bieganina. Wieczorem tego samego dnia przed domem sołtysa zatrzymał się samochód wojskowy, pełen sowieckich żołnierzy wraz z dowódcą. Wchodząc do domu sołtysa, dowódca oświadczył: „Od dzisiejszego dnia rządzi tutaj władza radziecka i wszystkie sprawy trzeba zgłaszać do oficera radzieckiego, który będzie urzędował w biurze na stacji kolejowej. *Tie pier my budiem rieszat o wsiem, poniatno?*”<sup>1</sup>.

– *Da!* – potwierdził sołtys.

Nazajutrz, 18 września, na głównej drodze wsi pojawiły się samochody wojskowe z żołnierzami sowieckimi. Zatrzymały się przy studni u Zawadzkich, a żołnierze usiedli wokół niej na drewnianych ławkach i na łące. Żurawiem wyciągali wodę i pili prosto z wiadra. Przed wieczorem odjechali w stronę majątku Doboszyńskich w Bereszkowicach. Diedzic Doboszyński, bojąc się o rodzinę, żeby nie została wywieziona na Syberię, ułożył się z wojskiem sowieckim i na terenie swojego majątku założył sklep, który zaopatrywał wojsko w prowiant.

W 1940 roku zaczęła się wywózka inteligencji polskiej na Syberię. Z okolic Jurkowa, Proszkowa i Głębokiego zostały wywiezione rodziny leśniczego, radcy prawnego i nauczyciela języka polskiego i historii. Ponieważ szkoła polska nadal była czynna, wszystko działo się na oczach dzieci. Marysia z koleżankami Antosią i Bronią przybiegły do domu i z przejęciem opowiadały o tym rodzicom.

– Samochód wojskowy zabrał pana, który uczył nas historii. I jego żonę, i pana mamę, i dzieci. Z walizkami i wszystkim – opowiadała przejęta Marysia.

– No tak, tak to już teraz będzie – westchnęła Malwina, spoglądając na męża.

– Ale wojny u nas nie ma, Ruskie pilnują, żeby Niemiec nie przekroczył granicy – tłumaczył postępowanie Armii Czerwonej Jan Zawadzki.

Sowieci nieustannie kontrolowali wieś, ponieważ do granicy z Niemcami było tylko 40 kilometrów, biorąc pod uwagę fakt, iż za tą granicą była Polska i okupujące ją Niemcy. Rządy sowieckie na terenach nadgranicznych, w tym we wsi Jurkowo, Proszkowo i Głębokie, trwały aż do 22 czerwca 1941 roku, do czasu najazdu Niemców na Związek Sowiecki, a więc prawie dwa lata. Cechowały je wywózki na Syberię, represje stalinowskie, niszczenie krzyży kościelnych, zamykanie kościołów. Tak więc kiedy na byłe tereny zajęte przez Sowietów wkraczały wojska hitlerowskie, w niektórych wsiach witano Niemców kwiatami, jako wyzwolicieli.

Ludność Jurkowa pochowała się w domach, sadach i na podwórkach, kiedy główną drogą przemierzało się wojsko niemieckie. Nikt go nie witał i nie rzucał w nie kwiatami. Przy studni u Zawadzkich żołnierze zrobili sobie odpoczynek, leżąc na trawie i jedząc swoje wojskowe przydziały. Ogromna czterokomorowa kuchnia polowa gotowała im gulasz, a oni, leżąc bez mundurów, które powiesili na gałęziach drzew, leżeli i jedli papierówki

z sadu. Podglądając ich zza firanki, Malwina mówiła: „Nie wyglądają na takich, co mordują jak Rusek. Miła, tylko za bardzo się nie przyglądaj i dzieci na podwórko nie puszczaj. Lepiej, gdy ani oni nas, ani my ich nie widzimy”.

– Zjedzą i sobie pójda – tłumaczył Jan rodzinie. Tak też się stało. Odjeżdżając, kucharz niemiecki przyniósł dla psa Zawadzkich pół wiadra zlewki. Pukając w drzwi wołał: „Gospodyni, *Essen*, hau, hau”.

– Co on tam woła? – pytała szeptem Jana Malwina.

– Ma jedzenie dla psa, wyjdź do niego – powiedział Jan.

Malwina wyszła uśmiechając się, a Niemiec pokazał na zlewki w wiadrze. Szybko się zakrzętnęła i podała mu garnek. Niemiec zlewki wlał i poszedł. Po półgodzinie nie było śladu po Niemcach; pozostała po nich tylko wymięta trawa przy studni i gdzieniegdzie niedopałek z papierosa. – Zobacz, nawet nie nabrudzili jak żołdacy – uśmiechnęła się Malwina, pokazując Janowi na trawę.

Jednakże tydzień po wizycie Niemców w ogrodzie niespodziewanie w niedzielę przyjechało na rowerach do wsi paru Niemców. Akurat Marysia z koleżanką zrywały w ogródku kwiaty do wazonu i układały z nich bukiety. Nagle Frania zawołała: „Niemcy na rowerach!”.

– Gdzie? – spytała przestraszona Marysia.

– Cicho, już podjeżdżają – szepnęła Frania.

*Guten Tag* – usłyszały przestraszone dziewczyny, patrząc pod słońce i przysłaniając oczy rękoma. Odwróciły się i zobaczyły trzech Niemców w mundurach wermachtu. Żołnierze uśmiechali się i coś do dziewcząt mówili. Jeden z nich wyjął z torby dużą, czarną sakiewkę, a kiedy ją rozłożył na trawie, błysnęło w niej kilkanaście różnokolorowych broszek.

– *Bitte, bitte* – zachęcali Niemcy do wzięcia którejś z nich.

– Neee, nee... – kręciła głową Marysia, mówiąc, że nie ma pieniędzy.

Jeden z Niemców, rudy Gustaw, poprosił ją, aby wybrała coś bez pieniędzy, a on zapłaci za nią. Tak naciskał, że zmuszona Marysia prawie ze łzami w oczach wybrała malutką, świecąca broszkę z dwiema czerwonymi wisienkami. Gustaw powiedział, aby wzięła ją na pamiątkę od niego. Marysia dziękowała, cała w pąsach. Drugą broszkę z kwiatkiem Gustaw dał Frani. Niemcy widząc, że już nic nie uhandlują, pojechali dalej, na drugą wioskę. Dziewczyny przybiegły z broszkami do domu, pokazując je rodzicom.

– Mamy broszki, mamy broszki – wołały, wbiegając przez próg.

– Jakie? – pokażcie – zaciekawiała się Malwina. I kiedy je trzymała w rękę, obracając na wszystkie strony, powiedziała: „Schowajcie i nie chwalcie się, że to od Niemców!”. Za radą Malwiny Marysia swoją broszkę ukryła głęboko w kuferku i ta, przyjechała z nią do Polski.

To byli ci pierwsi Niemcy. Następni nie byli już tacy uprzejmi, bo zaczęła działać bardzo intensywnie partyzantka – polska AK i rosyjska na przemian. Malwina umierała ze strachu, gdy w nocy pukano w okna.

– *Matuszka* – prosili Rosjanie – *daj nam mleko i kusoczek chleba*<sup>2</sup>. – Otwierała drzwi, przy których stał gliniany dzbanek i dwa kubki. Nalewała im mleka do picia, które wypijali duszkiem, a chleb zabierali pod pachę i szli. Nie minęło kilka dni i znów w nocy rozlegało się pukanie: „Pani Zawadzka, to my, swoi, niech pani otworzy”. Otwierała i wpuszczała polskich chłopaków, czasami znajomych, albo z rodziny, kto poszedł do partyzantki. Znów nalewała im mleka i podawała chleb.

– Nie wysadzacie jakiego pociągu? – pytała, nalewając im mleko do kubka.

– Tajemnica – odpowiadali.

– Nie będzie tajemnicy, jak trzeba będzie uciekać. Niemcy mszczą się na ludziach za waszą walkę, wiecie o tym przecież – mówiła do nich przyciszonym głosem.

– Mszczą się wtedy, gdy wiedzą, że nas nie ma w pobliżu; jak jesteśmy, nie ruszą nikogo.

– Ja wiem swoje, a wy swoje – przekomarzała się Malwina z partyzantami.

– Musimy ich dusić; inaczej nie wygramy wojny, pani Zawadzka.

– No, niech was Bóg prowadzi – mówiła i zamykała za nimi drzwi na klucz, kiedy już poszli.

W styczniu 1944 roku nieoczekiwanie do wsi zajęchali samochodami Niemcy. Na głównym placu wsi zwołali wszystkich ludzi i kazali wziąć z domu łopaty, bo trzeba odśnieżać tory kolejowe i zrobić tunel – przejście drogowe dla samochodów. Do pracy poszli wszyscy od Zawadzkich, oprócz Malwiny. Jan nawet zapisał do pracy dzieci, żeby nie zostały wywiezione do pracy w Niemczech, jak to miało miejsce u kilku sąsiadów. I tak codziennie rano Marysia, Piotrek i Jan szli odśnieżać tory kolejowe, odkopywać zaśnieżone drogi, a kiedy to już zrobili, szli do ciężkiej pracy w lesie. Marysia zakładała pończochy i na te pończochy, których stopy były porwane,

zakładała jeszcze skarpety z owczej wełny. Pewnego razu idący za nią z karabinem Niemiec zauważył, jak jest ubrana, i powiedział: „Panienka bardzo rozpustna jest, nosi pończochy i jeszcze na to skarpety!” – pokazał jej na nogi. Marysia nic mu nie odpowiedziała, tylko rozplakała się na jego oczach. Widząc to, Niemiec odszedł od niej, udając, że nie widzi jej łez. Odkopując śnieg łopatami razem z Alfredą, mówiła przez łzy: „Głupi Szwab jeden, nie wie, że moje pończochy nie mają stóp”.

Pracując tak obok siebie, rozmawiały półgłosem, żeby Niemiec jeszcze bardziej się nie zdenerwował, ale ten usłyszał je i krzyknął w ich stronę: „Pracować! Pracować!”. Nachylił się, żeby zapalić papierosa, gdy nagle z góry, gdzieś z daleka, rozległ się warkot silników samolotowych. Wszyscy, zarówno Polacy, jak i Niemcy przystanęli, nasłuchując. Po chwili zobaczyli na niebie kawalkadę nadlatujących samolotów. Całe niebo było wypełnione lecącymi myśliwcami po bokach ciężkich samolotów bombowych.

– Matko Święta! – przeżegnała się Alfreda.

– Ludzie, co to jest? – wołali jedni do drugich.

– *Mein Gott!* – zawołał pilnujący ich Niemiec, żegnając się.

– Ludzie, patrzcie, nawet Niemiec się przeżegnał – pokazywali na Niemca. Drudzy Niemcy podbiegli do niego i też pokazywali na niebo. Po chwili zobaczyli nad sobą ciężkie bombowce z czerwoną gwiazdą na kadłubie. Samoloty myśliwskie także miały czerwoną gwiazdę.

Wszyscy pracujący ludzie stanęli w bezruchu, patrząc na pilnujących ich Niemców. Po chwili dał się słyszeć warkot silników samochodowych i motorów. Zza lasu wyjechała długa kolumna samochodów niemieckich wraz z motorami i samochodami. Jechali główną drogą wprost na wieś.

– Alfreda, jadą palić wieś! – szepnęła Marysia.

– Cicho bądź, chodź, przesuniemy się za szopkę i zakopimy się w śniegu – powiedziała Alfreda i zaczęła się przesuwać, korzystając z tego, że pilnujący ich Niemcy patrzyli na zbliżającą się kolumnę. Udało im się stanąć za szopką i wejść w głęboki śnieg. Kucnęły jedna obok drugiej i czekały.

Zbliżająca się kolumna samochodów nagle zatrzymała się. Słyszały krzyki Niemców, po czym znów rozległ się warkot odjeżdżających samochodów i wszystko ucichło. Obie dziewczyny nadal były do siebie przytulone i oniemiały ze strachu. Jeszcze by tak długo siedziały, gdyby nie usłyszały wołania: „Marysia!... – Alfreda!...” – ktoś wyraźnie ich szukał. Podniosły się pomału do góry i zobaczyły niedaleko od nich stojącego Jana Zawadzkiego.

– Tato! – zawołała Marysia, wydobywając się ze śniegowej zasy. Za nią wyszła Alfreda.

– Chodźcie do domu. Mama czeka z obiadem – powiedział spokojnie Jan Zawadzki i dodał: „Niemcy uciekają, nasza partyzantka ich gna i Sowiety też! Koniec z Niemcami!”.

Dziewczyny objęły się i zaczęły tańczyć pośrodku drogi. Z innych domów też powychodzili ludzie, ciesząc się tak samo jak one.

– Ciekawe, jak tam nasi chłopcy, czy od nich Niemcy też odeszli – powiedziała Malwina, martwiąc się o wnuki, sieroty po córce Ewelinie, które więcej przebywały u nich, czyli u dziadków, niż z ojcem. – Trzeba by było zobaczyć i podjechać do nich, a przynajmniej do Antosia. Dziadku, przywieź je do nas – Malwina spojrzała na Jana.

– Przywiozę, nawet wszystkich trzech, wszystkich trzech mi szkoda i Antoniego też – dodał.

Lada chwila front ruszy z ogromną siłą. Nasze chłopaki z AK walczą, ale boją się, że Rusek jak zwycięży, to i panem tutaj zostanie. Co wtedy zrobimy, mamusiu? – pytał, patrząc z troską na żonę.

Po chwili zastanowienia Malwina powiedziała: „Póki co, trzeba o rodzinę zadbać; jedź do Tyszków i przywieź nam Antosia. Michasia nie ruszaj – jest najstarszy i czasami w domu coś ugotuje; jest zaradny, sama widziałam, jak ojcu pomaga”.

---

1 (ros.) Teraz my będziemy decydować o wszystkim, zrozumiano? [przyp. red.].

2 (ros.) Mamusiu, daj nam mleka i kawałek chleba [przyp. red.].

### III

## Jeszcze trwa wojna

To co wydarzyło się we wsi Ugły, gdzie mieszkał zięć Zawadzkich z trójką małych chłopców po śmierci żony Eweliny, przekroczyło wszelkie nadzieje na ludzkie uczucia i sumienie Niemców. Mogli odejść i zostawić ludzi – już i tak przegrywali wojnę; mogli już nie mordować i nie łupić. Wszystko mogli, gdyby byli ludźmi. Spalenie wsi na odchodnym było znakiem najwyższego barbarzyństwa.

Pacyfikacja wsi Ugły w styczniu 1944 roku na Wileńszczyźnie nastąpiła nagle i gwałtownie. Nikt się nie spodziewał, że za pomoc partyzantce polskiej wieś zostanie ukarana w tak okrutny sposób. Wszystkie domy płonęły, kiedy Antoni Tyszko szykował się z dziećmi do ucieczki ze wsi. Na podstawionych pod ganek saniach siedzieli już chłopcy przyszykowani do wyjazdu; jeszcze tylko gospodarz, trzymając na rękach najmłodszego synka, zajrzał do domu, kiedy nagle na podwórze zajechali na motorach uzbrojeni Niemcy. Jeden z nich wyjął pistolet z kabury i kazał Antoniemu wejść do domu. Tyszko postawił na ziemi synka i trzymając go za rękę, szedł do mieszkania. Za nim szedł Niemiec. Patrząc na to wszystko najstarszy z braci Tyszków, dwunastoletni Michaś, zawołał do siebie Antosia, który odszedł od ojca i pobiegł do brata. Siedzący na saniach chłopcy usłyszeli strzały: jeden, potem jeszcze dwa. Po chwili Niemiec wyszedł z domu, a pozostali Niemcy oblali dom benzyną i podpalili. Potem podeszli do sań, na których siedziały dzieci, i zaczęli je przeszukiwać, szperając w sianie, którym były wymoszczone. Nie znalazłszy nic, wsiedli na motory i odjechali.



Chłopcy zostali sami. Patrzyli na płonący dom i zabudowania gospodarcze. Mieli nadzieję, że może jednak ojciec wyjdzie z domu do nich i pojedzie z nimi do dziadków, tak jak chcieli to zrobić jeszcze przed godziną. Po chwili zobaczyli, jak płonący dach zawala się z trzaskiem i upada. Michaś szarpnął lejcami podcinając konia i wyjechali z obejścia gospodarstwa rodzinnego domu na zawsze. Bernaś otulił mocno najmłodszego Antosia dużym kożuchem baranim i aby nie natknąć się na Niemców, wszyscy trzej pojechali polnymi drogami do dziadków do Jurkowa. W Jurkowie przed gankiem domu Zawadzkich Michaś zatrzymał konia, zeskoczył z sań i przywiązał lejce do płotu. Drzwi otworzył mu Piotrek, syn Zawadzkich, młodszy brat Marysi, a ich wujek. Patrząc na zmarzniętego i ośnieżonego chłopca, z początku go nie poznał, ale kiedy Michaś się odezwał, natychmiast wpuścił go do środka. Babcia Malwina i ciocia Marysia poznały go od razu. Podbiegły do niego, pytając, co się stało.

– Dom spalony, przyjechaliśmy saniami – zdążył odpowiedzieć.

– Kto? Jest tato? – pytały.

– Nie ma – pokręcił głową Michaś. – Jesteśmy tylko my trzej. Tam na saniach jest Bernaś i Antoś! – pokazał za drzwi.

– Bożeż ty mój! – zawołała Malwina i zarzucając na siebie ogromną chustkę, wybiegła przed ganek. Zaraz za nią wybiegła cała rodzina; Jan zajął się koniem, Marysia pochwyciła na ręce Antosia, a Piotrek pomógł wydostać się spod skór Bernasiowi.

Malwina, przeczuwając najgorsze, bała się zapytać o ojca, ale Jan nie wytrzymał i wieczorem, siadając obok Michasia na ławie przy piecu, zapytał cicho:

„Tato przyjedzie jutro?”

– Nieee... Niemiec zastrzelił go w domu, a potem oblali dom benzyną i podpalili – wyrzucił z siebie jednym zdaniem wszystko Michaś.

Słyszając, co mówi brat, Bernaś usiadł z drugiej strony dziadka na ławie i powiedział: „I Antosia by zabili, bo szedł z tatą do domu, jak mu Niemiec kazał iść, ale Michaś zawołał Antosia i Antoś się wrócił do nas”.

Malwina przeżegnała się i podeszła do chłopców.

– Już zostaniecie z nami. Nie bójcie się. Póki my żyjemy, i ciocia Marysia, i wujek Piotrek, nic wam się złego nie stanie – mówiąc to, podeszła do chłopców i pocałowała każdego z nich we włosy, błogosławiąc ich znakiem krzyża.

– To i tak Niemcy okazali łaskę, że ich wszystkich nie zastrzelili razem z ojcem – powiedział z goryczą Jan.

– To nie Niemcy, to sam Pan Bóg czuwał nad tymi sierotami – dodała Malwina, teraz już nawet nie powstrzymując łez. Słyszając to wszystko i Marysia, bawiąca się w kącie drewnianymi klockami z Antosiem, cichutko zapłakała. Piotrek spuścił głowę, patrząc na przytulonych do dziadka chłopców.

Nazajutrz przy śniadaniu odbyła się w obecności całej rodziny poważna narada i rozmowa zarazem. Malwina, patrząc na Michasia i Bernasia, powiedziała: „Od tej chwili ciocia Marysia jest waszą drugą mamą. Macie jej słuchać i szanować, jakby to była wasza prawdziwa mama. Ja jestem waszą babcią, dziadek jak dziadek, wujek Piotrek też, ale ciocia jest zawsze najważniejsza, pamiętajcie”.

To ostatnie zdanie Zawadzka powiedziała bardzo wyraźnie i dobitnie, po czym podeszła do nich i każdego z nich pocałowała i przytuliła. Ta okazana przez babcię czułość roztkliwiła chłopców, bo naraz obydwaj – tak Michaś, jak i Bernaś – rozplakali się, jakby dopiero teraz zrozumieli swoją sytuację. Tylko mały Antoś nic sobie z tego nie robił – najedzony i szczęśliwy, czuł się bezpiecznie na rękach u cioci.

Wchodzący na tą chwilę do domu Jan Zawadzki, widząc łzy chłopców, podszedł do każdego z nich i tak jak babcia przytulił ich obu mocno.

– Nie płaczcie, jesteście mężczyznomi. To tylko kobiety płaczą – próbował żartować. – Ale babci i cioci macie słuchać! – powiedział głośniejszym głosem. – One tu rządzą! Są jeszcze ważniejsze ode mnie! – zażartował, spoglądając na obie kobiety.

W kilka tygodni, a może nawet dni, nastąpiły diametralne zmiany sytuacji w toczącej się wojnie i związanej z nią sytuacji politycznej świata. Front sowiecki ruszył bardzo szybko, gnając Niemców przed siebie i wyrzucając ich ze wschodnich rubieży Polski. W zamian za to tereny wyzwolone spod okupacji natychmiast przeszły pod władzę Rosjan. Mieszkający na tych terenach Polacy poczuli się bardzo niepewnie. Dano im alternatywę: albo zostają i mieszkają nadal w swoich domach, stając się obywatelami sowieckimi, albo opuszczają Wileńszczyznę i wyjeżdżają z niej na zawsze na opuszczone przez Niemców zachodnie tereny Polski. Zawadzkich nie trzeba było na to długo namawiać – od razu podjęli decyzję o wyjeździe do Polski. Mocnym argumentem był też fakt, iż nowa władza sowiecka wcielała do

swojego wojska młodych Polaków i wysyłała ich na front. Malwina drżała o Piotrkę i w dalszej perspektywie o wszystkich braci Tyszków.

– Co by to było, gdyby i naszych chłopców nam zabrali do sierocińca, a potem zruszczyli i staliby się oni bolszewikami? – mówiła do Jana.

– Jest pobór do sowieckiego wojska, to pewne. Ruscy biorą naszych chłopców na przymusową służbę i wysyłają na front razem ze swoimi. Powstał bunt, nasi polscy chłopcy nie chcą iść do Ruskich. Partyzanci z AK pochowali się w lesie, chociaż partyzantki już nie ma, bo po co – jest na nich straszna nagonka od ruskich „wyzwoliciele”. Szukają ich po domach, lasach, chcą połapać wszystkich młodych Polaków – mówił Jan z troską. – Dużo wymordowali, bo boją się o władzę.

– Ledwie Niemcy odeszli pałac i mordując, już Rusek znów to samo robi; Boże, Boże – westchnęła zatroskana Malwina.

– Tu już teraz Rosja jest i będzie. Stalin przyłączył naszą Wileńszczyznę do Rosji. Ludzie mówią, że jeśli ktoś chce, może wyjechać do Polski.

Ledwie Jan skończył mówić, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Malwina wstała i otworzyła. W drzwiach stała Alfreda, a obok niej jej brat Janek.

– Dzień dobry, ciociu i wujku! – zawołała.

– Powiem wam coś ważnego! – zakomunikowała Alfreda, siadając na taborecie w kuchni. – Można będzie stąd wyjechać, bo tu już nie Polska. Bolszewiki wszystko zagarnęli i jeszcze zabierają naszych chłopców na przymus do ruskiego wojska, a jak który nie chce, kulka w głowę! My tu z Jankiem przyszliśmy was namówić, że jakby co, to razem wyjeżdżamy i wy, i my. Nie ma już naszej Polski sprzed wojny – powiedziała z goryczą.

– Tak, przyjdzie stąd wyjechać – pokiwała głową Malwina. – Zwłaszcza że i chłopców musimy ratować, bo nam ich zabiorą do sierocińca!

– Nie damy ich! – zawołała Marysia, wchodząc do kuchni z małym Antosiem na ręku. Widząc ich, Alfreda wstała i podeszła do chłopczyka, wyciągając do niego ręce.

– A chodź do cioci troszkę, Antoś!

Na te słowa Antoś odwrócił się od niej i mocniej przytulił się do Marysi.

– A widzisz go, jaki cwaniaczek! – zawołała Alfreda, zaprzestając dalszych prób wzięcia dziecka na ręce.

– Wyjeżdżamy, Alfredo, razem, tylko trzeba jak najszybciej załatwić dokumenty. Wam to będzie lżej; nam gorzej, bo przyjdzie walczyć o dzieci

z władzą sowiec-ką – powiedziała Marysia, spoglądając na rodziców.

– Marysiu, dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych – powiedziała z przekonaniem Alfreda. Już nawet o tym rozmawialiśmy w domu, prawda, Janku? – dodała, zwracając się do brata.

Wysoki i barczysty młody Jan Zawadzki potwierdził, kiwając głową. Marysia uśmiechnęła się, patrząc na niego.

– Będziemy walczyć i szykować się do dalekiej podróży. I to już powoli każdego dnia trzeba coś pakować i chować w kufry. Dowiedźcie się, kiedy jest wywózka i którym transportem mamy jechać – prosiła Marysia Alfredę.

– Dobrze, Janek pojedzie do starostwa i wszystkiego się dowiemy – obiecała Alfreda. – Chodź, braciszku – idziemy działać w naszej sprawie.

Wychodząc, potarosiła Antosia po główce.

Nadeszło lato 1944 roku. Z Wilna dochodziły tragiczne wieści o walkach w oblężonym mieście – wspólnych walkach polskich oddziałów AK i Armii Czerwonej. W kilka tygodni później sytuacja się diametralnie zmieniła – dotychczas razem walczące oddziały AK i Armii Czerwonej rozłączyły się i dowództwo AK zostało podstępnie zwabione, niby na ważne spotkanie z dowództwem Armii Czerwonej. Następnie przywódcy AK zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. Niedobitki polskiej partyzantki AK ukrywały się jeszcze bardzo długo. Byłe tereny Polski zostały przyłączone do Związku Sowieckiego.

O tym wszystkim opowiedział ludziom, mieszkańcom polskich wsi, ksiądz polski na mszy w kościele, nie bojąc się aresztowania ani represji, czy też wszechobecnego donosicielstwa. Tak więc w domu Zawadzkich podjęto decyzję o opuszczeniu rodzinnych stron na zawsze.

W sierpniu 1944 roku rozpoczął się w Jurkowie dzień jak co dzień, tylko Piotrek, młodszy brat Marysi, zabrał ze sobą do pracy w obejściu chłopców, wołając ich do pomocy przy wypędzaniu krów na pastwisko, a potem przy ich pilnowaniu. Młodzi polscy mężczyźni z okolicznych wsi, będący w byłym oddziale partyzanckim, bojąc się prześladowań od władzy sowieckiej, nadal przebywali w lasach.

W południe przepadł gdzieś najstarszy z chłopców, Michaś. Pasł na miedzy krowy, ale potem zniknął z oczu i babci, i cioci. Przestraszona Malwina powiadomiła o tym Marysię, mówiąc: „Idź, dziecko, zobacz, gdzie on poszedł”.

Idąc brzegiem miedzy, gdzie pasły się krowy, Marysia zawołała:

„Michaś!”. Po chwili w oddali usłyszała odpowiedź: „Coo?”. Idąc w tym kierunku, gdzie słyszała głos, znów powtórzyła wołanie: „Michaś!”. Znów ktoś wyraźnie jej odpowiedział. Idąc w kierunku odpowiadającego jej głosu, minęła gęste zarośla i weszła na niewielką polankę, na której zobaczyła grupkę młodych mężczyzn siedzących wokół ogniska, zajętych składaniem karabinu maszynowego. Zobaczyła wśród nich Bronka, swojego kuzyna i zapytała: „Nie widziałeś Michasia?”.

– Widziałem, był tutaj, ale gdzieś pobiegł w tamtą stronę – pokazał na drogę do wsi.

– Oj, to pewnie już jest w domu – powiedziała Maria i poszła. Nie minęło dziesięć minut, jak od nich odeszła, kiedy nagle usłyszała strzały z miejsca, gdzie przed chwilą była. Przestraszyła się i pobiegła do domu. Wbiegając do kuchni zawołała: „Słyszałam strzały. Ktoś strzelał niedaleko. Dzieciaki są?” – zapytała, spoglądając na wszystkich chłopców.

– Dzięki Bogu, są – potwierdziła Malwina.

Po usłyszeniu serii wystrzałów z domów powychodzili ludzie, pytając jedni drugich, co to było. Nagle na drodze pojawili się czerwonoarmiści i z odbezpieczonymi karabinami podeszli do ludzi.

– Sołtys jest u was? – zapytał żołnierz, patrząc na zebrany tłum.

– Jest – odpowiedział jeden z ludzi, wychodząc z tłumu. – To ja jestem – dodał.

– Dawaj konia i wóz – rozkazał żołnierz.

– Na co ci one? – zapytał sołtys.

– Zabiliśmy bandytę – odpowiedział Rosjanin.

– Chodź ze mną – powiedział sołtys i poprowadził go ze sobą do swojego gospodarstwa. Zebrani ludzie nie ruszyli się z miejsca, chcąc zobaczyć, kogo Rosjanie zabili. Po chwili na środku wiejskiej drogi zatrzymał się wóz z koniem i Rosjanin powiedział ludziom: „To bandzior, dezertor, nie chciał iść do naszej armii! Znacie go? – pytał, spoglądając na ludzi przypatrujących się zwłokom młodego mężczyzny.

Jedna z kobiet podeszła do Rosjanina i zapytała go: „A jak on zginął? Od razu, czy męczył się?”.

– Nieee, od razu! Popatrz! – wskazał na krwawą plamę w okolicy serca.

Kobieta z kamienną twarzą, patrząc prosto w oczy żołdatowi, zapytała: „Jestem jego matką, oddasz mi go?”.

– Zabieraj! – zgodził się żołdat.

Sołtys zawrócił konia z wozem i powiózł zabitego młodego Polaka do domu jego matki. Kiedy Marysia wróciła do domu, przybiegła Alfreda.

– Marysiu, naszego Bronka nigdzie nie ma. Ciocia Ania umiera ze strachu, że leży gdzieś ranny w jakichś krzakach. Bo dużo chłopaków uciekło, ale ich poranili – mówiła Alfreda gorączkowo.

– Cicho, pójdziemy go poszukać – tylko bądź bardzo cicho, nikt nie może o nas wiedzieć – ostrzegła Marysia zdenerwowaną Alfredę.

Usłyszał ich rozmowę Jan Zawadzki i powiedział: „Możecie iść, dam wam latarkę naftową. Ale nie zapalajcie teraz, idźcie po ciemku, ja będę was ubezpieczał, w razie czego gwizdnę”.

– Dobrze, dobrze – dziewczęta ucieszyły się bardzo, że nie są same.

Chodząc po krzakach i trzcinach, wołały go ściszymi głosami po imieniu i nagle po dłuższym poszukiwaniu usłyszały słabe „tutaj...”. Przedarłszy się przez gęste trzciny i tatarak, znalazły rannego Bronka.

– Gdzie jesteś ranny, Bronku? – zapytała Marysia.

– Ramię mam strzaskane i rękę – strasznie boli – wyszeptał.

– Możesz iść? – zapytała Alfreda. Podniosły go delikatnie i Alfreda zarzuciła jego zdrową rękę na swoje prawe ramię. Była silną i rosnącą dziewczyną, toteż szybko i sprytnie wyciągnęła go z zarośli na łąkę. Powoli doszli do jego domu we wsi. Tam przed domem Alfreda posadziła go na ławce, a Marysia pobiegła po jego ojca. Zaprowadzili go do domu. Chłopak jęczał i błagał, żeby mu pozwolili się zabić, bo nie wytrzyma bólu. Ojciec Bronka natychmiast wyprowadził konia ze stajni i zaprzęgnął go do wozu. Chłopak został ułożony na wozie i przykryty kocami. Przy pomocy sąsiada i rodziny Bronku Zawadzki został zawieziony do szpitala, gdzie polski lekarz udzielił mu pomocy, opatrując ranę.

Na tym jednak się nie skończyło. Przywieziono Bronka z powrotem do wsi, a sąsiadom rozpowiedziano, że został w szpitalu. Za radą rodziny zawieziono go nie do jego domu, tylko do innego; wybrano dom ciotki tego zabitego kuzyna. Tam przebywał do czasu, aż ktoś ze wsi zobaczył go i zadenuncjował. Wtedy i stamtąd musiał uciekać. Żołnierze rosyjscy szukali rannych mężczyzn, wiedząc, że zostali postrzeleni. Kolejny raz został zawieziony do szpitala, a potem ukryto go w stodole, w specjalnym tunelu w sianie. Potajemnie przywożono do niego jeszcze kilkakrotnie lekarza na opatrunki. W taki oto sposób przechowano Bronka aż do ogłoszenia amnestii, pozwalającej na ujawnienie się ukrywających się Polaków. Wspólnymi

siłami całej rodziny, ludzi ze wsi i lojalnych polskich lekarzy, udało się uratować młodego mężczyznę z rodziny Zawadzkich, który podobnie jak większość jego rodziny opuści ojczyzną Wileńszczyznę i wyjedzie do Polski.

## IV

# Maria

**B**ył mroźny, zimowy poranek stycznia 1946 roku. Pełnia księżycy oświetlała drogę, którą sunęły sanie zaprzęgnięte w parę koni. Siedzące w nich dwie młode dziewczyny spoglądały z przestachem na pobocze leśne, gdzie co chwilę widać było pojawiające się i znikające świecące punkty. Oczy wilków śledziły ich nocną jeszcze wędrówkę. Wyjechały wcześniej rano i miały do przebycia trzydzieści kilometrów do powiatowego miasteczka Głębokie na Wileńszczyźnie, dokąd udawały się po dokumenty pozwalające opuścić ich rodzinne strony i wyjechać na zachód Polski.

Opatulone w kożuchy, z zapasem chleba, słoniny i wędzonej swojskiej kiełbasy oraz butelką samogonu, jechały świadome ważności swojej misji. Alfreda trzymała mocno lejce i powoziła końmi, a Maria pilnowała przyczepionej do sań naftowej latarki, która nie tyle świeciła w mroku, co odstraszała wilki, tak często atakujące konie. Kiedy już dojechały do miasta, na ulicach świeciły się jeszcze nocne latarnie, ale coraz wyraźniej rozjaśniał się mrok i nastawał powoli dzień. Do starostwa miały jeszcze kawałek drogi, więc jadąc zaśnieżonymi ulicami, z zaciekawieniem przypatrywały się zniszczonemu po wojnie miastu. Niektóre sklepy miały już nowe okna wystawowe, a w nich nowe towary. Pojawiły się też szyldy obwieszczające obecność szewca, krawca, fryzjera. Konie, zmęczone szybką jazdą, teraz ciągnęły wolno sanie, a one przypatrywały się wszystkiemu, co przyciągało wzrok.

W bocznej uliczce, tuż przed skrzyżowaniem głównych ulic, zobaczyły



szereg zaprzęgów konnych – takich samych jak ten, którym tutaj przybyły.

– Boże, Alfredo, zobacz – powiedziała Maria. – Ile tutaj ludzi!

– No... – mruknęła Alfreda. – To chyba tu wydają pozwolenia na wyjazd. Zajeżdżamy! – zarządziła i niewiele już myśląc, skierowała konie w tą właśnie uliczkę. Ustawiły się za ostatnim zaprzęgiem. Chwilę to trwało, zanim wygramoliły się z kozuchów, a kiedy to już zrobiły, Alfreda wyjęła spod siedzenia dwie burki do przykrycia koni i pomagając sobie nawzajem, zarzuciły je koniom na grzbiety. Potem zawiesiły im na głowach worki z obrokiem i przywiązały lejce do drewnianej sztachety przy ogrodzeniu jednego z domów, podpatrując, jak to jest w innych zaprzęgach.

– No, a teraz my – powiedziała Alfreda, poprawiając na głowie futrzaną czapkę. Maria, widząc co robi Alfreda, też schowała parę ciemnych, kręconych kosmyków pod futrzaną czapkę z baraniej skóry. W ciepłych spodniach, kozuszkach, czapkach i walonkach nie przypominały w niczym miejskich, zadbanych dziewcząt. Tylko delikatne rysy twarzy jak jednej, tak i drugiej świadczyły o ich młodzieńczej kobiecości i nieprzeciętnej urodzie.

– Alfredo, musimy znaleźć jakiś wychodek – poprosiła Marysia.

– No pewnie, że znajdziemy, bo zapowiada się długie czekanie w kolejce – powiedziała Alfreda i dodała: „Idziemy...”. To ona była dowódcą i szefową z racji swojego wzrostu i tuszy. Marysia była o wiele niższa od niej i szczuplejsza, ale miała też w każdej sprawie swoje zdanie, które dla Alfredy było bardzo ważne. Znalazszy się na dziedzińcu przy budynku komendantury, weszły w tłum oczekujących ludzi. Idąca przodem Alfreda zagadnęła pierwszego mężczyznę, którego napotkały przy wejściu.

– Dzień dobry, to trzeba czekać w kolejce? Jak długo?

– Najpierw niech panienka się zarejestruje! – odburknął opryskliwie zapytany mężczyzna, skręcając sobie papierosa ze skręta.

– Aha – mruknęła Alfreda i kiwnęła głową do Marysi, żeby szła za nią. – Trzymaj się mnie i nie zostawaj w tyle – napominała.

Marysia już nic nie mówiła, tylko posłusznie szła. Przeciskając się z trudem przez tłum koczujących ludzi, pomału dotarły pod same drzwi, skąd co jakiś czas wychodził urzędnik i wywoływał nazwiska. Kiedy kolejny raz wychylił się, wywołując nazwisko, Alfreda podetknęła mu prawie pod nos dokumenty do rejestracji.

– Obywatelko, nie teraz, nie teraz, proszę czekać! – wrzasnęła jej prosto w twarz.

– Panie naczelniku, proszę chociaż nas zarejestrować! – prosiła ze łzami w oczach dziewczyna.

– Później, powiedziałem! – wrzasnął jeszcze głośniejszy urzędnik.

Alfreda odeszła, chowając dokumenty z powrotem do kieszeni kożucha. Wyszły obie z Marią na dwór i stanęły przy budynku, spoglądając na konie.

– Nie ma wyjścia, czekamy – westchnęła Marysia. – Ale za kim jesteśmy w kolejce? Alfredo, zmiłuj się, poszukajmy wychodka!

– O Boże... No chodź już! – Alfreda przypomniała sobie, że obiecała to Marysi na samym początku. Po chwili szukania i myszkowania w budynku i wokół niego wreszcie znalazły pożądany obiekt w przybudówce. Kiedy już stamtąd wyszły, Marysia zaproponowała: „Każdy tu musi przyjść, prawda? Wcześniej czy później, ale przyjdzie! Alfredo! Tutaj zaczekamy na pana naczelnika!” – mówiła coraz bardziej podekscytowana Marysia.

– Dobrze... – zgodziła się Alfreda i spojrzała na Marię. – Ty to masz czasami takie pomysły!

– I jeszcze coś ci powiem: chodź do sań, weźmiemy ten bimber, co nam dał tato na drogę – powiedziała uśmiechając się Marysia.

Po chwili zrobiły, co zaplanowały. Marysia ukryła pod kożuszką butelkę ze spirytusem, tak że jej nie było widać, i z powrotem weszły do budynku; lecz nie wchodziły już w głąb – czekały przy samym wyjściu, ogrzewając się przy żeliwnym piecyku, ustawionym dla przebywających tam ludzi.

– No, nie jest źle – powiedziała Alfreda. – Tylko musimy tutaj wytrwać...

– Wytrwamy, jak sobie coś zjemy – postanowiła Marysia, wyciągając z kieszeni kożuszka dwie pajdki razowego chleba, posmarowanego smalcem ze skwarkami.

Jedząc, obserwowały ludzi. Wokół nich byli sami obcy i nieznajomi mężczyźni. Wprawdzie tato im mówił, że będzie tam sąsiad z Jurkowa, niejaki Śmiechowski, ale gdzie go teraz miały szukać i po co? Ze stojącego w kolejce tłumu co raz ktoś odchodził, zadowolony, że udało mu się załatwić sprawę. Dziewczyny patrzyły na tych szczęśliwców ze szczerą zazdrością. Żeby nie tracić nadaremnie czasu, zamówiły sobie „kolejkę” do odstania i nadal wypatrywały urzędnika, kiedy tylko wyjdzie z biura.

Trwało to dość długo, ale w końcu wyszedł. Szedł w ich stronę, to znaczy w kierunku ubikacji. Maria otworzyła drzwi wyjściowe i pobiegła przodem. Alfreda została w środku budynku i ani się spostrzegła, że Marysi nie ma

obok. Naraz drzwi się otworzyły i urzędnik wszedł prosto na nią. Maria podbiegła do niego.

– Proszę pana, ja i moja siostra przyjechałyśmy z bardzo daleka saniami i chyba na darmo, bo jest długa kolejka i nie zdążymy wziąć dokumentów. Błagam, niech nam pan pomoże, bardzo pana o to proszę!

Zaskoczony urzędnik przystanął, spoglądając na dziewczynę. Po chwili zapytał: „Jak nazwisko?”.

– Zawadzka Maria – powiedziała jednym tchem Marysia. – I jeszcze ja, ja...

– Alfreda Zawadzka! – zdążyła powiedzieć dobiegająca do nich Alfreda. Nie patrząc na nic, Marysia w okamgnieniu wyjęła spod kożuska butelkę z bimbrem i podała urzędnikowi. Bała się patrzeć na niego i on to zauważył.

– Przyjdźcie jutro rano – powiedział rozglądając się, po czym wziął do ręki butelkę i zniknął w przybudówce.

– Uciekajmy teraz – szepnęła Marysia do Alfredy.

– Ale dokąd? – zapytała ta z przestachem.

– No, jedźmy stąd do rodziny Śmiechowskiego, żeby przenocować!

– Aha, no, dobra – odpowiedziała Alfreda i szybko pobiegły do swoich sań. – Marysiu, co będzie, jak nas nabrał? I jeszcze zabrał nam bimber?

– Oj tam, co będzie, to będzie, jutro się wszystko okaże.

Jechały z wielką ulgą, że oto dokonały rzeczy niezwyklej i niemożliwej. Było już znów szaro i mroźno; kończył się długi dzień. Będąc już na miejscu, przywiązały konie do drewnianego słupka, podały im obrok i nakryły derkami. Potem zapukały do drzwi gospodarzy.

Ludzie, u których przyszło im nocować, byli niezwykle mili i serdeczni. Gospodyni ugościła ich kolacją, a one podarowały jej trochę swojskiej kiełbasy i smalcu ze skwarkami. Pod naporem emocji minionego dnia prawie nie spały, lecz leżąc cichutko obok siebie, planowały, jak ma wypaść ich następny dzień. I jeszcze kiedy na dworze było ciemno, one już znów były na nogach, gotowe do wyruszenia z wiadomą misją.

Na szczęście wszystko odbyło się zgodnie z wcześniej uzgodnionym planem. Po przybyciu do starostwa weszły już odważnie, śmielej zajmując swoje miejsce w ustawionej kolejce.

– Boję się jednak, czy nas nie oszukał – znów miała wątpliwości Alfreda.

– Cicho, nie odzywaj się, czekamy – uspokajała ją Marysia.

Stojący przed nimi i za nimi mężczyźni spoglądali na nie z ciekawością

i próbowali zagadywać, na co Marysia odwracała się do nich tyłem i udawała, że ich nie widzi i nie słyszy. Po chwili drzwi od biura się otworzyły i wyszedł „ich” urzędnik, wołając: „Zawadzka Alfreda i Zawadzka Maria!”. Obie ruszyły przed siebie tak szybko, że o mało się nie przewróciły na schodach, przeszkadzając sobie nawzajem; ale już przed wejściem do pomieszczenia biurowego były spokojne i uważne. Kiedy wszystko skrupulatnie załatwiły i podpisały, każda z nich otrzymała do ręki dokument z wypisanymi nazwiskami i imionami osób z rodziny, które opuszczają Wileńszczyznę i jadą do Polski. Trzymały te dokumenty w dłoniach bardzo wzruszone i ze łzami w oczach dziękowały urzędnikowi, ale ten udawał, że nie wie, o co chodzi, i kazał wchodzić następnej osobie z kolejki. Wyszły więc zadowolone i szczęśliwe, uśmiechnięte do całego świata.

– Jedziemy do Polski, Marysiu! – wołała uszczęśliwiona Alfreda.

– Na razie do domu – stopowała ją Maria. – I to szybko, żebyśmy zdążyły przed nocą – napominała.

Było wczesne przedpołudnie, kiedy wracały do domu. Słońce świeciło pięknie, chociaż mróz nie odpuszczał. Zatrzymały się przy piekarni i za pieniądze dane im na drogę przez mamę Marii kupiły sobie parę pączków.

– A co tam, zasłużyłyśmy sobie – powiedziała Alfreda radośnie. – Kto o nas będzie wiedział, kto nas doceni, a i chwalić się nie ma przed kim, bo kogo to obchodzi! Powiedzą tylko: przywiozły dokumenty – ot i wszystko! Jemy, Marysiu, tyle dla nas za naszą walkę o te dokumenty – zawołała, zjadając i smakując z radością puszystego pączka z marmoladą.

– Ale ja bym wołała kawałek kiełbasy – kaprysiła Marysia.

– No to kto ci broni! – zawołała Alfreda. – No, sięgnijże pod siedzenie, wszystkiego nie oddałyśmy pani Śmiechowskiej przecież!

I tak też się stało – najpierw Marysia zjadła dwa pączki, a potem kawałek kiełbasy z razowym chlebem. Będąc już w pół drogi i dojeżdżając do jednej z położonych przy drodze wsi, poprosiła Alfredę: „Muszę się czegoś napić, bo nie wytrzymam, Alfredo!”. Ta, niewiele myśląc, od razu podjechała pod drzwi przydrożnej gospody.

Powojenna gospoda nie była w ogóle zniszczona przez działania wojenne. Siedzący w oparach dymu i ciepła z pieca kaflowego ludzie byli rozebrani z okryć zewnętrznych – płaszczy i kożuchów. Pili i coś jedli. Na widok wchodzących dziewcząt wszystkie oczy zwróciły się na nie. Niezrażone tym, podeszły do lady barowej i poprosiły o herbatę i wodę dla koni. I już po

chwili siedziały w rozpiętych kozuszkach i piły ciepłą herbatę. Jeden z mężczyzn zainteresował się widokiem dwóch młodych, samotnych dziewcząt i chwiejąc się na nogach, podszedł do nich.

– Panienci tak same?... W daleką drogę?... Nie boją się wilków?...

Na te słowa nic nie odpowiedziały, tylko odwróciły się od niego, nie patrząc w jego stronę. I nagle stał się cud. Z głębi lokalu wyszedł do nich i przywitał się z nimi ich sąsiad, którego już wcześniej wypatrzyły w starostwie.

– No...! Ja was szukałem w Głębokiem, a wy tutaj! Witajcie, dziewczuszki!  
– powiedział do nich rubasznie, z góry spoglądając na wiejskiego pijaczka, który natychmiast się ulotnił.

Po spotkaniu z panem Śmiechowskim zupełnie już się uspokoiły. Napoiły jeszcze konie i już razem z sąsiadem, który jechał przed nimi saniami, pojechały do Jurkowa. Udało się wjechać do wsi przed wieczorem. Brama wjazdowa na podwórze była otwarta na oścież i kiedy w nią wjeżdżały, przywitały ich dwa psy, Reks i Maks – obydwie owczarki szkockie, które skakały i szczekały radośnie. Kiedy już wygramoliły się z sań, lejce od zaprzęgu przejął ojciec i gospodarz Jan Zawadzki. One, otrzepując się ze śniegu, weszły przez sień do kuchni. Przy piecu krzątała się matka Marysia, Malwina Zawadzka.

– Dzięki Bogu, jesteście – zawołała radośnie na ich widok.

– Szczęść Boże, ciociu! – zawołała Alfreda.

– Bóg zapłać, dziecko – odpowiedziała Malwina i kazała im zaraz siadać do obiadu.

– Ciociu, nie jesteśmy głodne, ale jak masz jakieś placki, no to sobie pojemy, co, Marysiu? – Alfreda wyczuła zapach smażonych na smalcu placków ziemniaczanych.

Marysia nic nie mówiła o plackach, tylko z bocznej kieszonki kozuszka wyjęła plik dokumentów i położyła na stole. Malwina spojrzała na córkę i zapytała: „A chłopcy?...”.

– Też, wszyscy – kiwnęła głową Marysia.

Matka podeszła i pocałowała Marysię w czoło.

Jedząc placki ziemniaczane ze śmietaną, Alfreda ciągle opowiadała, z jakim trudem weszły w posiadanie dokumentów. Siedząca przy piecu i słuchająca opowiadania dziewcząt Malwina na przemian to śmiała się, to płakała.

– A gdzie chłopcy? – zapytała nagle Marysia.

– Wszyscy w stodole, i Piotrek też. Coś majstrują przy śrutowniku.

– A nie za zimno? – zmartwiła się.

– Chłopcóm to nie, ale Piotrek jest przeziębiony. Mimo wszystko uparł się iść. Nie słuchają mnie; tylko ciebie, Marysiu, się boją, ale pytali, gdzie jest ciocia, zwłaszcza Antoś.

Ledwie Malwina wypowiedziała to imię, nagle otworzyły się drzwi i wbiegł ośnieżony Antoś.

– Ciociu! – zawołał, podbiegając do Marysi.

– Antoś, Antoś – najpierw wróć i wytrzyj buty ze śniegu; dziadek położył tam taką dużą miotłę przed gankiem, żeby wycierać buty! – napomniała malca Maria. Antoś wrócił posłusznie i zrobił, co mu ciocia kazała, po czym wrócił do kuchni, ale już ze skonfundowaną miną.

– No, a teraz chodź do mnie – powiedziała do niego ciepło. Z koszyka wyjęła papierową torbę, a z niej pączka, i podała go chłopcu. Antoś tak się ucieszył pączkiem, że zapomniał o skarceniu go przez ciocię i przytulił się do niej mocno. Ona też nie była mu dłużna, odwzajemniając uściski. Była osiemnastoletnią dziewczyną, ale to dziecko kochała jak swoje.

Zapatrzona na tę scenę czułości Alfreda powiedziała: „Biedne te dzieciaki, ale dzięki Bogu mają ciebie. – I po chwili dodała, patrząc na napychającego sobie buzię Antosia: „Pomału, Antosiu, nie jedz tak szybko...”. Ale Antoś nie słuchał drugiej cioci i robił swoje.

Alfreda pożegnała się, mówiąc, że musi już iść. Podziękowała za placki, założyła z powrotem kożuszek, czapkę i rękawiczki, pomachała Antosiewi i poszła.

Wieczorem, siedząc przy kolacji, Zawadzcy z Marią, Piotrkim i chłopcami rozmawiali o wyjeździe do Polski.

– Trzeba będzie teraz się zapisać na transport – rozmyślał głośno Jan. – Pójdę jutro do *naczalstwa* i zaniosę papiery – powiedział. Ani Malwina, ani tym bardziej Marysia nie miały nic przeciwko temu.

– Ale nie pojedziemy chyba teraz zimą w nieznane – zauważyła z obawą Malwina. – Powiedz, że na wiosnę chcemy jechać, jakby pytali – dodała niepewnie i jakiś niepokój ogarnął ją przed władzą sowiecką, która rządziła wywózką nie tylko na Syberię, ale i do Polski. Rano poprosiła męża, żeby uważał na bolszewików, jak nazywała żołnierzy sowieckich.

– Dobrze, dobrze – zgodził się posłusznie. Schował dokumenty w kieszeni

kozucha, wsiadł do sań i pojechał do gminy.

Teraz i on musiał swoje odstać w kolejce. I kiedy już mógł wejść, nieoczekiwanie zmienił się przyjmujący dokumenty sowiecki oficer. Poprzedni wyszedł, a nowo przybyły usiadł na krześle za biurkiem i powiedział, patrząc na Jana: „*Nu... szto?*”.

– Przyniosłem dokumenty panie oficerze – mówił Jan spokojnym i grzecznym tonem do siedzącego za biurkiem oficera.

– *Nu pakazi!* – rozkazał oficer. Jan podał mu dokumenty i nic nie mówiąc oczekiwał, co tamten powie. Oficer długo je przeglądał, aż wreszcie odezwał się:

„*Nu ja wižu, nu niecharoszo. A potomu, szto nie eta familia. U etach malczizok familia Tyszko, panimajete?*”<sup>3</sup>.

– A tak, to sieroty po córce Ewelinie, a ja i żona jesteśmy dziadkami, tak i wychowujemy.

– *Nu taak... A gdzie ich otiec?* – zapytał oficer, prześwietlając Jana wzrokiem.

– On też *pagib* – tłumaczył Jan trochę po polsku, a trochę po rusku.

– *Nada padumat’* – zamyślił się oficer. – *Eti malczyki sieroty, a kak sieroty, nada ich prekazać do sierocińca.*

– Nie *nada!* – prawie krzyknął Jan. – Oni nasze *rebiata!*

Oficer spojrzał przenikliwie na Jana, a po chwili powiedział:

„*Pajedietie w Polszu, kak zdiełajecie rabotu w liesu. Panimajetie? Dwadcat’ kubikow!*”<sup>4</sup>.

Jan poczerwieniał ze złości i upokorzenia.

– Jak to? To jeszcze mamy pracować w lesie? Żona chora, małe dzieci, córka taka drobna, pomaga w domu jak może... – nie wiedział, co ma jeszcze mówić; przestępował tylko z nogi na nogę zupełnie bezradny.

– *Nu tak!* – powiedział stanowczo oficer. – *Kak wy vyrabotajete eti kubiki, tak prychoditie k’ mnie nazad po eti dokumienty i rieszenie odjezda w Polszu, pania!*”<sup>5</sup>

– *Pania!* – mruknął pod nosem oburzony Jan i wyszedł.

Wracał do domu zdenerwowany i ledwie żywy ze zmęczenia. Kiedy opowiedział to wszystko Malwinie, ta nic się nie odezwała, tylko zamilkła i chodziła jakaś smutna i nieobecna, zupełnie pochłonięta myślami. Kiedy położyli się spać, szepnęła mu na ucho: „Jutro pojedziemy razem do tego bolszewika”.

– Ty? – zdziwił się Jan.

– No tak, nie mamy innego wyjścia, trzeba *swółoczy* dać coś w kieszeń – powiedziała poważnie Zawadzka.

– Nie, kochana – odpowiedział spokojnie, lecz stanowczo Jan. – Pieniądze będą nam potrzebne na drogę; nie możemy wyruszać w świat bez grosza. A jak które z dzieci zachoruje albo trzeba będzie dać komuś za coś, za jakąś pomoc? Nie możemy jechać bez żadnego zabezpieczenia...

Rano przy śniadaniu Jan spoglądał tkliwie na córkę, karmiącą jajecznicą małego Antosia. Nagle chrząknął i powiedział do niej jakimś dziwnie miękkim głosem:

„Pójdiesz, córciu, ze mną w lasy. Musimy, kochana, ściąć parę drzew dla wojska.

Marysia spojrzała na niego, zaskoczona i zdumiona. Przestała karmić Antosia, wypuszczając go z kolan. Patrzyła na ojca szeroko otwartymi oczami, coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy. Po chwili wykrztusiła: „Jaa...? Dlaczego, tato?...”. Spojrzała na matkę, potem na Piotrka, i z powrotem na ojca, ale kiedy spojrzała w jego oczy, zrozumiała, że nie ma innego wyjścia.

– Co się stało?! Przecież mamy dokumenty! – prawie krzyknęła.

– Nie mamy! – odkrzyknął jej ojciec i zaraz dodał: „Zabrali, *swółocze*, i każą jeszcze odpracować!”.

Marysia zaniemówiła; usiadła na krześle, wpatrując się w ojca nieprzytomnym wzrokiem.

– Jak to zabrali?! I ty, tato, oddałeś?! Zwyczajnie oddałeś?! Po co tam pojechałeś?! Po jakiego czorta?!

Jan przestał się tłumaczyć, tylko oparł łokcie o stół i dłońmi zakrył oczy. W mieszkaniu Zawadzkich nastąpiła cisza. Nawet dzieci przestały się ruszać, czując, że coś bardzo ważnego dzieje się w rodzinie.

– Boże, co my teraz zrobimy? Alfreda z Jankiem i cała rodzina pojadą, a my zostaniemy i jak te głupki musimy jeszcze harować? Za co? Za co ta męka? – Maria mówiła to wszystko jakby nie swoim głosem. Pełna żalu, narzuciła ogromną chustkę na głowę i opatuliwszy się nią, wyszła z domu, kierując się do miejsca, gdzie mieszkała Alfreda z bratem Jankiem. Zawadzcy pozostali w kuchni, spoglądając na siebie. Po chwili Jan wstał, naciągnął na głowę czapkę, ubrał kożuszek, rękawice i poszedł w stronę szopki. Nie wychodził z niej do późnego wieczora, ostrząc siekiery i piłę,



szykując narzędzia do czekającej go pracy. Nazajutrz wczesnym rankiem, zabierając ze sobą prowiant na kilka dni, pojechali saniami razem z córką do pracy w lesie.

Zatrzymali się w leśniczówce, odległej od Jurkowa o dziesięć kilometrów. Tam zgłosili się w kancelarii do leśniczego, który spisał ich dane. Po chwili wyszli razem z leśniczym i pojechali za nim do lasu. Zatrzymali się w lesie sosnowym, gdzie rosły olbrzymie drzewa. Przywiązując lejce do gałęzi sosny, leśniczy poczekał, aż Jan zrobi to samo. Następnie wszedł głębiej w las i kredą zaznaczył drzewa przeznaczone do ścięcia. Jan z Marysią stali w milczeniu i patrzyli, ile im tych drzew zaznaczy. Po skończonej czynności wrócił do nich i oznajmił, że nocleg mogą mieć w leśniczówce, w jego kancelarii, gdzie jest żelazny piecyk i jest ciepło. Oboje, Jan z córką, podziękowali za uprzejmość panu leśniczemu, który odwiązał konia i szybko odjechał.

Pozostali sami w ogromnym lesie, szykując się do ciężkiej pracy przy ścinie tak olbrzymich drzew, że patrząc na nie i na ich wierzchołki, Jan Zawadzki zdjął z głowy czapkę i przeżegnał się. Marysia, patrząc na ojca, poczuła żal i z jej oczu chcąc nie chcąc popłynęły łzy. Jan udał, że tego nie widzi, i zaczął wyciągać z worka sprzęty do cięcia drzewa: piłę, sznurek, miarę i siekiere. Następnie pokazał jej, w którym miejscu ma trzymać mocno piłę i przystąpili do ścięcia pierwszego, olbrzymiego drzewa. Pracowali szczerze, dając z siebie wszystko. Po dwóch godzinach ciężkiej pracy drzewo nagle zaczęło trzeszczeć. Zawadzki natychmiast schwycił Marysię za rękę i odciągnął ją daleko na bok, obserwując, w którą stronę drzewo się przechyla. Upadając, łamało gałęzie i niszczyło inne drzewa.

Kiedy było już po wszystkim, usiedli na ogromnym pniu i Jan wyjął z podróżnej torby dwie kromki chleba, które im Malwina zawinęła w ściereczkę na drogę. Jedną podał córce, a drugą sam przytknął sobie do ust i zaczął powoli jeść. Byli zmęczeni, spoceni i tak rozgrzani ciężką pracą, że jedząc swoje śniadanie, już nawet nie rozmawiali. Udało im się ściąć tego dnia jeszcze jedno ogromne drzewo i kiedy zaczęło się już robić szaro, usłyszeli odgłos dzwoneczków z nadjeżdżających sań. To leśniczy przyjechał zaliczyć ich codzienną pracę na obowiązkowy odrobek, po czym kazał im jechać za sobą na noc do leśniczówki. Leśniczy, może czterdziestoletni mężczyzna, wysoki i dość sporej postury Polak, zaprowadził ich wprost do swojej kancelarii, gdzie stał nieduży, żeliwny piecyk rozgrzany do

czerwoności, a na nim stał zakopcony duży czajnik z gotującą się w nim wodą. Widząc unoszącą się z czajnika gorącą parę wodną, Marysia mimo zmęczenia uśmiechnęła się.

– Tatusiu, zobacz, mamy wodę na herbatę – powiedziała ucieszona.

Słyszając to, leśniczy potwierdził jej słowa i powiedział: „Tutaj możecie sobie być aż do rana. Nie ma tutaj łóżek, ale jest kanapa i fotele, można się przespać. Żona przyniosła wam dwa koce i dwie poduszki” – mówiąc to, wskazał ręką na róg kanapy, gdzie leżał koc z małymi poduszkami.

– Bardzo dziękuję – powiedział Jan Zawadzki, patrząc z wdzięcznością na leśniczego.

Kiedy leśniczy pożegnawszy ich wyszedł, zamykając drzwi za sobą, Marysia po zrzućeniu z siebie kożuska zabrała się za gospodarzenie. Za kotarą w rogu pokoju stało wiadro z czystą wodą, miska i ręczniki. Miska włożona była w metalowy stojak, przysunięty do ściany, na której wisiało przymocowane lustro. Widząc to wszystko, dziewczyna tak się ucieszyła, że zaczęła sobie radośnie nucić. Siedzący przy stole Jan Zawadzki zapalił papierosa i słysząc nucenie Marysi, uśmiechnął się, mówiąc: „Damy radę Marysiu. Widzisz, nawet leśniczy nam sprzyja. Żeby tylko siły nie opuściły nas, to damy radę, córuniu” – mówił spokojnie, z nadzieją w głosie.

– No pewnie, że damy radę, tato! – zawołała spod kotary Marysia, nalewając sobie kubkiem do miski zimną wodę z wiadra i dopełniając ciepłą z czajnika.

Po skończonej toalecie i zjedzeniu kolacji, na którą składały się przygotowane przez Malwinę porcje mięsa z weków, chleb i herbata, ułożyli się do snu.

Wczesnym świtem zbudził ich odgłos kroków na schodach do leśniczówki. Szybko się pozbierali i Marysia sprzątnęła koce i poduszki, zanosząc to wszystko za kotarę. Po chwili usłyszeli zgrzyt klucza w zamku i otwierając drzwi, wszedł do środka leśniczy.

– Dzień dobry – powiedział, spoglądając na Jana i Marysię.

– Dzień dobry – odpowiedzieli jednocześnie oboje.

– To co, zbieramy się do pracy? – zapytał leśniczy.

– Ano tak – przytaknął Jan i szybko dodał: „Bardzo, bardzo dziękuję za troskę i okazaną pomoc, panie leśniczy”.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział leśniczy i zwrócił się do Marysi: „Zrób nam, dziewczeczko, herbaty – mnie, ojcu i sobie – i pojedziemy w lasy.

Cóż, taki los, takie czasy; żeby tylko gorzej nie było, panie Zawadzki – dodał, kierując tym razem te słowa do jej ojca. – Trzeba przetrwać i przeżyć, ot co! To teraz jest sztuka, prawdziwa sztuka, żeby przetrwać i przeżyć!” – powtórzył w zadumie, jakby przemawiał sam do siebie.

Kolejne dni mijały im tak jak i pierwszy. Każdy następny dzień podobny był do minionego. Przybywało ściętych drzew. W ostatni dzień pracy, czyli w sobotę, leśniczy przyjechał po nich, nie jak zwykle pod koniec dnia, tylko przed południem. Pomierzył i zliczył ścięte drzewa i wyszło na to, że wykonali więcej pracy, niż to było nakazane przez ruskiego żołdata, jak o nim wyrażał się Jan. Wracali do domu pomęczeni do ostatka, ale z dobrymi minami.

– Koniec męki, mamusiu! – wołał od progu szczęśliwy Jan, witając się z żoną. Antoś zaś, widząc swoją ciocię umorusaną i zmęczoną, przyczepił się jej do kożuska, uniemożliwiając zdjąć go z siebie.

– Hej – zawołała Marysia – poczekaj, bo się roztopię! – daremnie próbując odzepić rękę malca, trzymające kurczowo za rękaw kożuska. Kiedy wreszcie jej się to udało, rozpięła guziki i powyciągała ręce z rękawów, a kożuszek zsunął się prosto na podłogę. Podniosła go szybko, kładąc na krześle i biorąc na rękę Antosia.

Wieczorem przy kolacji Zawadzcy uzgodnili, że po odbiór dokumentów pojedą do starostwa już razem. Bojąc się i przeczuwając kolejne odmowy związane z wyjazdem – tym razem z powodu dzieci, które noszą inne nazwisko niż Zawadzcy – postanowili zabezpieczyć się. Wczesnie rano, kiedy dzieci i Marysia jeszcze spały, poszli oboje do spiżarki – pomieszczenia obok piwnicy, nazywanego także szafarką – i Jan odsunął najpierw ciężki kufer, a potem wyjął kilka desek z podłogi. Ze schowka wyciągnął małe zawiniątko, które zaraz rozwiązali i Malwina odliczyła, co na drogę, a co dla sowieckiego żołdata, żeby ich w końcu wypuścił do Polski. Zawinęła kilka banknotów do chusteczki, a resztę z powrotem schowali w wiadome miejsce. Jeszcze było ciemno, kiedy usadowiwszy się w saniach, pomknęli do *naczalstwa* w gminie Pliso. Dobrze zajechali, bo jeszcze nie było nikogo z interesantów, kiedy jako pierwsi stanęli przed drzwiami kancelarii.

Wchodzący do biura ten sam oficer co tydzień wcześniej przypatrzył się im i mruknął: „Do *mienia?*”.

– Tak, panie oficerze – odpowiedział Jan i przepuszczając żonę przodem,

wszedł za nią, nie pytając o pozwolenie. Następnie podszedł do biurka i położył na nim świadectwo wykonania pracy odrobkowej w lesie, wystawione przez leśniczego. Oficer wziął dokument do ręki, obejrzał go dokładnie i schował do szuflady.

– *Nu ładno, ładno, a rebiatu toż zabirat w Polszu?*

– *Rebiata* to nasze dzieci – podchwyciła Malwina, podchodząc bliżej do biurka. – Oni sieroty, a my ich dziadkowie jesteśmy – tłumaczyła, przymilając się.

Podeszła aż pod same biurko, przy którym siedział oficer, i prosząc go, zza futrzanego zarękawnika wyjęła zwitek banknotów w chusteczce i delikatnie położyła go na biurku, nie patrząc na oficera. Bała się jego reakcji i gniewu, ale gotowa też była na wszystko, będąc w desperacji. Gotowa była nawet się kłócić.

Po zostawieniu zwitka z pieniędzmi na biurku, Malwina cofnęła się i stanęła przy mężu, oczekując reakcji oficera. Przez chwilę trwała cisza, po czym oficer zgarnął zwitek do szuflady i zaczął coś pisać, nie patrząc na Zawadzkich. Pisał, a oni stali. Po chwili wyjął z szuflady plik dokumentów – tych samych, które odebrał Janowi i po które Marysia i Alfreda jechały w pewną zimową noc saniami – i zaczął na każdym przybijać pieczętkę. Kiedy skończył, oznajmił:

„*Wot waszyje dokumenty! Wsie, i malczikow toże; ujezzajtie w etu waszu Polszu!*”<sup>6</sup>.

Na te słowa Malwina chciała mu dziękować, nawet pocałować w rękę, robiąc krok w jego stronę, ale spokojny i rozważny Jan złapał ją za dłoń, sam podchodząc do biurka i biorąc dokumenty z rąk sowieckiego żołnierza, który oskubał ich jeszcze przed drogą.

– Dziękujemy, dziękujemy – i tak nie mogła się Zawadzka nacieszyć łaskawością „bolszewika”, jak go nazwała.

I w taki oto sposób, mając upragnione dokumenty na przejazd do Polski, rodzina Zawadzkich, wraz z trzema chłopcami – Michasiem, Bernasiem i Antosiem Tyszkami – Piotrkim i Marysią, Malwiną i Janem szykowałą się do drogi w nieznaną – na Ziemię Odzyskaną, do Polski.

---

3 (ros.) No, widzę, ale nie jest dobrze. A dlatego, że nie to nazwisko. Ci chłopcy noszą

nazwisko Tyszko [przyp. red.].

4 (ros.) Pojedziecie do Polski, jak wykonacie pracę w lesie. Rozumiecie? Dwadzieścia metrów sześciennych [przyp. red.].

5 (ros.) Jak już wypracujecie te metry sześciennie, to przyjdźcie z powrotem do mnie po decyzję wyjazdu do Polski, zrozumiano? [przyp. red.].

6 (ros.) Oto wasze dokumenty – wszystkie, chłopców także; jedźcie do tej waszej Polski {przyp. red.}.

## V

# Podróż

**K**ończył się mroźny luty 1946 roku na Wileńszczyźnie. Na polach i drogach leżał jeszcze śnieg i czasami poprószył, zasypując bardziej i tak nieprzejezdne drogi. Po odejściu Niemców na tereny przygraniczne Wileńszczyzny z Białorusią weszła władza sowiecka, wykorzystująca do maksimum wyjeżdżających z tych terenów Polaków. Rodziny polskie musiały jeszcze mocno się natrudzić pracą w lesie, zanim uzyskały pozwolenie na wyjazd. Na szczęście Zawadzcy mieli już to za sobą. I pewnego dnia w marcu, wczesnym świtem, opuszczali swój nowo wybudowany przez Jana dom na zawsze. Opatulone ciepło dzieci – Antoś, Bernaś i Michaś – oraz Piotrek i Marysia siedzieli już na wyładowanych sprzętem gospodarskim furmankach, czekając na rodziców i dziadków. Malwina i Jan jeszcze żegnali się z domem, rzucając ostatnie spojrzenie na pozostawione na ścianach obrazy i portrety. I gdy już mieli wychodzić, Malwina jeszcze raz nagle odwróciła się i podeszła do ściany, skąd zdjęła nieduży obraz.

– To pamiątka z Ostrej Bramy – szepnęła. – Niech nas Matka Boża prowadzi. – Mówiąc to, nachyliła się i pocałowała obraz, po czym przeżegnała się i podała go Janowi. Jan zrobił to samo co jego żona, po czym przytulił ją mocno do siebie i uklękli na środku pokoju w ciszy i zadumie. Po chwili wyszli, opuszczając swój dom na zawsze.

Dzieci i Maria jechały w pierwszej furmance, którą powoził najstarszy z trzech braci Tyszków, Michaś. Najmłodszy Antoś siedział na kolanach

u cioci Marysi mocno do niej przytulony, cichy i przerażony nową sytuacją. Bernaś usadowił się obok Michasia – poważny i dumny, że posadzono go obok woźnicy. Odkąd stracili rodziców, ciocia Marysia stała się ich prawdziwą opiekunką i matką. Niespełna osiemnastoletnia dziewczyna została nią dla trójki osieroconych chłopców, z której najstarszy, Michaś, był o mało co młodszy od niej, a najmłodszy był jeszcze zupełnym dzieckiem. Dziadkowie Jan i Malwina byli obecni, ale z powodu wieku nie byli już w stanie zajmować się wnuczkami. Wszystko pozostawało na głowie Marii. Pomagał też Piotrek, młodszy brat Marysi i wujek dla chłopców.

Do wozu Zawadzkich przywiązana była krowa, nazywana Rogatą. To od niej pochodziło mleko, ser, śmietana i masło; była więc żywicielką rodziny. Siedząc za plecami rodziców, Piotrek spoglądał na idącą za wozem krowę i obserwował drogę, czy gdzieś nie czają się wilki. Trzecim wozem powoził sąsiad, który nie wyjeżdżał ze względu na chorą żonę, a tylko podwoził Zawadzkich do pociągu.

Po godzinie jazdy furmanką rodzina przybyła na stację kolejową w miasteczku Ziabki. Tam do godzin przedpołudniowych trwał załadunek ludzi wraz z dobytkiem do wytyczonych wagonów. Zawadzkim wraz z dziećmi został przydzielony środkowy wagon, do którego po wprowadzeniu krowy i owieczki i usytuowaniu ich w kącie wagonu zaczęto wnosić kufry z ubraniami i sprzętem kuchennym.

Pomagając ojcu ustawiać kufry, Marysia nagle przypomniała sobie o obrazie, bardzo jej ukochanym, przywiezionym kiedyś, dawno temu, z wileńskiej Ostrej Bramy przez matkę. Podeszła do niej.

– Mamuś, zabrałaś Matkę Boską Bolesną?

Malwina spojrzała na nią zaskoczona.

– Nie... Marysiu kochana, nie było jak, został w domu... – Malwina zobaczyła w oczach córki łzy. Podeszła do niej i objęła ją, przytulając do siebie. – Wrócimy, Marysiu, ja wiem, że wrócimy... – głaskała córkę po jej ciemnych, rozwianych kręconych lokach i nie mogąc samej powstrzymać łez, pocieszała ją, jak umiała najlepiej.

– Ciociu, ciociu! – zawołał nagle Antoś, podbiegając do Marysi, która słysząc wołanie chłopca, spojrzała w jego kierunku, wysuwając się z objęć matki.

– No chodźże do mnie, ty maluszku – zawołała wesoło, podnosząc go na rękach w górę.

– Ot i widzisz – powiedziała Malwina – on za tobą świata nie widzi. Już i babci nie chce, tylko do ciebie idzie. – Mówiąc to, wycierała koniuszkiem chustki sączącą się po twarzy łzę.

Tymczasem do środka wagonu wsuwane były duże, masywne kufry z odzieżą i mniejsze, w które włożona była żywność: połacie solonej słoniny, wędzonej kiełbasy, boczku i przetworów z owoców, powidła i suszone jabłka i gruszki, woreczki z kaszą jęczmienną i jaglaną. Wszystkie kufry zamykane były na mosiężne zamki, wykonane przez Jana. Te, w których przechowywane były rzeczy Malwiny, miały nawet misterne, zdobione okucia, a znajdowały się w nich futrzane zarękawniki i parasolki z czasów, kiedy Malwina była jeszcze bardzo młodą i piękną kobietą. Wszystko to zabrała Malwina z domu na daleką drogę w nieznane, ale była pełna nadziei, że wróca, że to tylko tak na pewien czas wyjeżdżają.

Worki z ziemniakami ustawiono pod ścianą, na widocznym miejscu, żeby były dostępne do gotowania. Po drugiej stronie wagonu, oddalonej od inwentarza składającego się z krowy i owieczki, uszykowano z sienników poślanie do spania. Obok stał żeliwny piecyk na drewno, którego rura kominowa wystawała ponad dach wagonu. Starsi chłopcy Michaś i Bernaś z zapałem zajęli się rozpalaniem ognia w piecyku i pilnowaniem go, żeby nie zgasł i żeby w wagonie-mieszkanie było ciepło.

Dziadek Jan, jak go nazywali, który był jeszcze silnym mężczyzną niewysokiego wzrostu i krępej budowy ciała, o siwiejących, szpakowatych włosach, pomagał i dowodził w załadunku. Po wyładowaniu całego sprzętu z wozów, razem z Malwiną poszedł pożegnać się z sąsiadami, którzy pomogli im w przeprowadzce do pociągu. Oboje Zawadzcy ściskali się i żegnali ze łzami w oczach z sąsiadami, których mieli nadzieję jeszcze kiedyś zobaczyć. – Jak Bóg da powrócić, to wrócimy – mówili, prosząc o opiekę nad pozostawionym nowo wybudowanym domem, w którym zostały na ścianach cenne obrazy i ikony.

W samo południe pociąg ruszył. Lokomotywa ciągnęła za sobą kilkadziesiąt wyładowanych ludźmi i inwentarzem wagonów. Ogromny i długi transport Kresowian opuszczał na zawsze swoją ziemię ojczystą, nie chcąc pozostać na niej pod panowaniem władzy sowieckiej.

Przytulony do Marii Antoś jakby się do niej przypiął ze strachu, kiedy wagony zgrzytnęły, ruszając powoli z miejsca. Michaś, Bernaś i Piotrek, siedząc przy piecyku, nawet się cieszyli taką jazdą i przygodą. Malwina



z Janem usiedli obok piecyka z drugiej strony na drewnianych stołeczkach. Jan pykał fajkę, a Malwina cichutko odmawiała różaniec, powierzając los swój i rodziny opiece Matki Bożej.

Po pierwszym dniu jazdy, podczas której już wydawało się, że wszystko toczy się zgodnie z planami i założeniami tak podróżujących, jak i kierujących podróżą, nagle po przekroczeniu granicy sowiecko-polskiej pociąg zatrzymał się w szczerym polu. Zawadzcy usłyszeli głośne pukanie i nawoływania w języku polskim i rosyjskim: „Otwierać!”.

– Co się dzieje? Stacja jakaś czy co? – zapytała męża zaniepokojona Malwina.

Zawadzki odemknął drzwi i zobaczył przed sobą kilku żołnierzy polskich i rosyjskich.

– Dzień dobry – powiedział polski sierżant. – Nastąpiła zmiana w transporcie. Musicie opuścić wagon, tak jak i wszyscy jadący do Polski. Ten pociąg wraz z lokomotywą zwracamy Rosjanom, a na polski pociąg musimy poczekać.

– Jak to? To wszystko musimy wynosić z wagonu i czekać pod gołym niebem? – pytał zdumiony Zawadzki.

– Jak wszyscy, obywatelu, jak wszyscy – nie tylko wy. Wszyscy muszą tak zrobić! – powiedział sierżant i poszedł do następnego wagonu, aby powiadomić kolejną rodzinę.

– Dawajcie, dzieciaki! Nie ma rady! Podawajcie mniejsze kufry i co tam macie pod ręką; wyładujemy. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej! – komenderował Zawadzki.

Malwina zaniemówiła ze strachu, patrząc bezradnie na męża.

– Mamusiu, nie ma co tracić czasu na lamenty i łzy! Bierz się z Marysią i wynoście całą waszą kuchnię. Rozpalimy duże ognisko i będziemy walczyć o przetrwanie, póki nie zmienią pociągu!

Rada nie rada, Malwina ubrała się ciepło i nakazała ubrać się dzieciom, po czym cała rodzina wzięła się za rozładunek dobytku. Do wyniesienia ciężkich kufrow Jan Zawadzki poprosił sąsiadów i wojsko. Sam też pomagał. Natomiast Maria wzięła Antosia na ręce i wyszła z wagonu, po czym zawołała matkę, żeby ta pilnowała dziecko, a sama zabrała się za wyładunek bagaży, w których były spakowane talerze i cała spiżarnia.

Tłumy kobiet i dzieci, walizki i tobołki, kufry i pomiędzy tym wszystkim prowadzone krowy i piszczące w workach prosiaki; wyprowadzane po

specjalnych deskach konie i płaczące dzieci; matki obładowane tobołkami i mężczyźni uwijający się i nawołujący się do pomocy jeden drugiemu – wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Zawadzcy poradzili sobie dość szybko z pomocą chłopców i Marysi. Po godzinie pracy siedzieli już na walizkach i patrzyli, jak sobie radzą inni. Maria, trzymając za rękę Antosia, poszła pomiędzy ludzi, słuchając ich narzekań i płaczu dzieci. Antoś ani nie płakał, ani się niczego nie bał – zadawał tylko cioci pytania, na które i sama Marysia nie знаła odpowiedzi.

– Ciociu, to my teraz będziemy tutaj mieli naszą wioskę? Tutaj będziemy mieszkać? – pytał, rozglądając się z zaciekawieniem po tłumie ludzi.

– Zaraz kogoś zapytamy – odpowiadała bezradnie Marysia i szukała wzrokiem jakiegoś polskiego żołnierza ze straży granicznej. Musiała przejść dość długi kawałek drogi, zanim zobaczyła dwóch żołnierzy z Wojsk Ochrony Pogranicza. Nie zważając na nic, podeszła do nich i zapytała: „Dzień dobry, jak długo będziemy czekać na nasz pociąg?”

Żołnierze odwrócili się do Marysi i uśmiechnęli się.

– Sami nie wiemy, kiedy Rosjanie odblokują tory i zabiorą pociąg. Żeby nasz został podstawiony, musi być pusty tor; może to być szybko, ale może też troszkę potrwać – odpowiedział uprzejmie jeden z żołnierzy.

– Tak, ale tutaj są małe dzieci. Gdzie mają nocować? – jest zimno – nie dawała za wygraną zmartwiona dziewczyna.

– Zaraz przejdziemy się i zaproponujemy ludziom, żeby sobie rozpalili ogniska. Drewna macie chyba dość, bo na drogę też zabraliście? – zapytał drugi żołnierz.

– Drewno jest, ale nie za dużo – odpowiedziała Marysia.

Wracała do rodziców w towarzystwie dwóch żołnierzy z WOP-u. Po drodze zaczepiali ich mijający i narzekający ludzie. Żołnierze odpowiadali im to samo, co Marysi: nie wiemy, kiedy Rosjanie zabiorą lokomotywę i wagony.

– To dzwońcie! Dzieci mają nam chorować? – krzyczały kobiety.

Zaraz też jeden z mężczyzn wszedł na krzesło i zaczął perswadować, żeby się zorganizować i pomagać sobie nawzajem we wszystkim.

– Niech każda rodzina sobie rozpala ogniska i trzeba pilnować! – nawoływał. – Co możemy zrobić? Do Rosjan nie mamy żadnego dojścia ani kontaktu, tylko przez wojsko!

– Od was wszystko zależy, panowie WOP-iści! To nie może tak być, żeby

nas wyrzucić za ruską granicę, na tereny Polski, i zdychajcie, Polaczki! Natychmiast trzeba coś zrobić i działać, panowie żołnierze! Natychmiast! – wołał coraz bardziej zdenerwowany mężczyzna. Po chwili podszedł do niego jeden z żołnierzy i zaproponował, żeby tamten poszedł z nim do najbliższej stacji i zadzwonił do ich dowódcy. Do przemawiającego mężczyzny, który przedstawił się jako radca Grabowski, dołączyło jeszcze paru mężczyzn i wraz z żołnierzami poszli trzy kilometry dalej, do najbliższej stacji.

Obserwujący to wszystko Jan Zawadzki coraz bardziej był zdenerwowany.

– To nie mogli zatrzymać pociągu na stacji? Tylko w szczerym polu? Żebyśmy wszyscy pozdychali, czy co? Specjalnie tak zrobili? – nie dowierzał Zawadzki. – Tylko trzy kilometry! Szlag by to trafił!

Po chwili odezwał się słyszający jego narzekania sąsiad.

– Panie Zawadzki, na stacji kolejowej my, repatrianci, zajęlibyśmy cały dworzec i wszystkie perony, a rosyjski pociąg ciężko byłoby zabrać, bo tam tłok jest. A tutaj, proszę, wywalili na pola i róbcie ludzie, co chcecie. Tak to jest, proszę pana. Nie ma co narzekać – rozpalamy ognisko, panie Zawadzki! – powiedział sąsiad i zaczął znosić chrust na rozpałkę i drewno ze swojego wagonu.

Mijały godziny, a delegacja nie wracała. Lokomotywa z pustymi wagonami nadal stała na torze. Na łące przy torach powstało jedno ogromne obozowisko. Dojono i karmiono krowy, pojono konie wodą z beczek i palono szereg ognisk, przy których skupiały się rodziny. W takich warunkach nikomu nie chciało się spać, chociaż zmęczenie znużyło wszystkich. Zawadzki pomysłowością przewyższał niejednego sąsiada – z kufrów, krzesel i szafek ustawił wokół swojego obozu czworokątny płótek, a na rogach tego ogrodzenia powbijał drewniane pale, do których z kolei przybijał koce i rozłożył je tak, że stanowiły ochronę od wiatru. Na te koce pozarzucał wojskowe, przeciwdeszczowe płaszcze, które kiedyś przed wojną kupił od Żyda. Na deskach, ułożonych na ziemi, na skórach baranich, porozkładane były pierzyny i poduszki puchowe, na których można było spać. Przy ognisku były ustanowione dyżury i ogień, ciągle podsycany, palił się bez przerwy. Malwina z Marysią zrobiły wieczorem kilka kanapek dla wszystkich i jako tako rodzina przetrwała parę godzin.

Kiedy delegacja z wojskiem wróciła i oznajmiła, że z Ruskimi nie można dojść do ładu, ale nasze wojsko robi co może, tylko nadal nie wie, kiedy

Rosjanie zabiorą swój pociąg – niektórzy z repatriantów zaczęli przemyśliwać, jak by tu samodzielnie wyjechać w głąb Polski.

– My nie możemy – mamy krowę, owieczkę i cały nasz dobytek. Jak to zabierzemy? Nie ma mowy! Muszą nam pomóc! To się rozniesie, ludzie rozpowiedzą, jak nam ciężko jest wyjechać. Ja im tego nie daruję! – mówił Jan tak wzburzony, że nawet Malwina przestraszyła się, żeby się tylko nie rozchorował.

Na drugi dzień po spaniu na zimnym powietrzu zachorował Piotrek; kaszlał i dostał gorączki. Malwina podawała mu ugotowaną nad ogniskiem gorącą herbatę malinową z miodem; mało to jednak pomagało, bo kaszel nie przestawał go męczyć. Obie z Marią spróbowały zrobić mu syrop z cebuli i cukru. Pił gorące mleko z miodem i czosnkiem. Na przemian raz mu było lepiej, a raz gorzej. Dzień za dniem mijał i nic się nie zmieniało. Jan wpadał w rozpacz, ale choć starał się dzielnie nie niepokoić rodziny, jego zapał i humor prysły jak bańka mydlana. Poszarzał na twarzy i zamilkł. Drażnił go płacz obcych dzieci, krzyki i nawoływania kobiet. Wreszcie zawołał pod rodzinny namiot swoje kobiety i zdecydował: „Idziemy, Marysiu, do stacji! Czort ich tam wie, co te chłopy załatwili. Muszę porozmawiać z kimś z dowództwa! Nie możemy tu koczować i zdychać. Zapytam też o doktora – może jest tutaj wśród naszych jakiś lekarz, to by Piotrka zbadał. Tylko sza, jak makiem zasiał – ani pary z ust, żeby za nami jakieś płaczące i zawodzące baby nie szły! Trzeba stanowczej i konkretnej rozmowy!”.

Umówili się, że Marysia pójdzie pierwsza – niby to szukać żołnierza – a Jan kilka minut po niej. Maria nie tyle szukała żołnierza z WOP-u, co wypytywała ludzi o lekarza. Nie znalazłszy go wśród repatriantów, posuwała się coraz to dalej, aż przeszła całe obozowisko i zniknęła na leśnej ścieżce biegnącej wśród torów kolejowych. Zaraz za nią poszedł ojciec. Kiedy prawie razem weszli do biura zawiadowcy stacji i zobaczyli, że biuro wypełnione jest żołnierzami polskimi i rosyjskimi, przystanęli po przekroczeniu progu drzwi, speszeni. Widząc ich, polski kolejarz w mundurze zapytał: „Repatrianci ze wschodu?”.

– Tak – odpowiedział Jan Zawadzki.

– Już macie pociąg, już jedzie do was! – odpowiedział zawiadowca stacji, zanim dopuścił do głosu Jana.

Zawadzki nie mógł uwierzyć własnym uszom i patrzył na niego wzburzony, ale natychmiast odezwał się stojący obok niego polski kapitan:

„Już jedzie. Towarzysze radzieccy zabierają swoje puste wagony i natychmiast podejżdża nasz transport. Wracajcie do swoich i szykujcie się do dalszej podróży”.

– Dziękuję, do widzenia – powiedział ucieszony Jan Zawadzki i biorąc Marysię za rękę jak małą dziewczynkę, wyszedł pośpiesznie z biura zawiadowcy. Przeszli przez tory i wracali prędko z powrotem do swoich. Maria, nie czekając na i tak bardzo szybko idącego ojca, zaczęła biec. Wbiegając do obozowiska i napotykając po drodze pierwszych ludzi, krzychała: „Ludzie, zbierajcie się, pociąg jedzie!”.

Siedzące przy ogniskach rodziny powstawały nagle i wśród ludzi powstał ruch i tumult.

– Ludzie, ludzie, pociąg jedzie! – wołała uradowana Marysia, mijając kolejne, zmarznięte grupki ludzi, grzejące się przy ogniskach.

Nie wszyscy uwierzyli dziewczynie; niektórzy ludzie zaczęli spoglądać na stojący, opuszczony transport i kręcić głowami, myśląc, że dziewczyna z tej biedy i zmartwienia zwariowała lub że dostała pomieszania zmysłów. Marysia nie przejmowała się reakcją, tylko biegnąc nadal wołała, żeby się ludzie z powrotem zaczęli pakować. Ogromna radość nastąpiła z chwilą wjazdu na tory polskiej lokomotywy, która wjeżdżając, zagwizdała do ludzi. Sam maszynista, ucieszony sytuacją, pomachał do koczujących repatriantów i nie przestawał sygnalizować o nadejściu pociągu. W pomieszczeniu dla maszynisty było jeszcze kilka osób i kiedy nadjeżdżająca lokomotywa zatrzymała się naprzeciwko tej stojącej na torach, ludzie ci wyskoczyli z polskiej lokomotywy i przeszli do tej drugiej. Cała akcja przetoczenia rosyjskiej lokomotywy nie trwała długo, ponieważ polska lokomotywa przepchała poprzednią z wagonami za rosyjską granicę. Po godzinie czasu na tory, gdzie poprzednio stał opuszczony pociąg, wjechała polska lokomotywa ciągnąca kilkadziesiąt wagonów. Te kilka dni koczowania pod gołym niebem Zawadzcy wraz z dziećmi przeżyli bardzo mocno. Piotrek rozchorował się i leżał otulony skórą z kozuszką przy piecyku. Malwina co rusz grzała mu mleko z miodem i podawała do picia, nacierała spirytusem i kamforą i robiła wszystko co mogła, żeby domowym sposobem wyleczyć syna. Niekiedy gorączka ustępowała nad ranem, żeby powrócić znów wieczorem. Bojąc się o resztę dzieci, nie dopuszczała ich do Piotrka, żeby nie zachorowały.

Po katordze oczekiwania pociąg znów ruszył i po niedługim już czasie wjechał na terytorium Polski. Zawadzcy naradzali się, gdzie by im było

najlepiej wysiąść i osiedlić się. Siedząc przy oknie wagonu, Malwina i Jan rozmawiali, spoglądając na pola za oknem.

– Najpierw jest Warszawa, a potem Lublin – mówił Jan, spoglądając na żonę.

– Ale tam już jest wszystko zajęte, Janku – tłumaczyła Malwina i zaraz dodała: „Najlepsze ziemie, ale mają właścicieli. To co, mamy być u kogoś za parobków, kiedy tymczasem dalej, na zachodzie Polski, czekają na nas ziemie pozostawione przez Niemców?” – mówiła wzburzona, przypominając mężowi, co im mówił sołtys wsi, kiedy spisywał ludzi nie chcących pozostać pod okupacją sowiecką, kiedy okazało się, że ich dotychczasowa ziemia należeć będzie po wojnie do Rosji. – Zostawiliśmy nasz nowy dom na wschodzie, to niech nam dadzą w zamian drugi taki sam, rozumiesz, Janku? – pytała przekonująco, patrząc mu w oczy.

Jan nic już nie odzywał się, tylko westchnął ciężko, układając się obok krzeselka na sienniku, żeby odpocząć. Malwina, widząc to, wstała i okryła go kocem.

– Pośpij sobie, pośpij, musisz nabrać sił, mój ty mileńki... – przykrywając go, pogłaskała go po włosach i skroniach. Jan to czuł, bo dotknął z czułością jej dłoni, kiedy go głaskała. Potem spojrzała na śpiącego Piotrka i podeszła, żeby też go przykryć. Michaś i Bernaś jak zwykle ułożyli się obok siebie razem i spali przy piecyku, natomiast Antoś, przytulony do Marii, spał pod jej ramieniem jakby nigdy nic, szczęśliwy i bezpieczny. Zmęczona do granic, i ona położyła się na swoim sienniku, żeby troszkę odpocząć.

Nad ranem zbudził ich gwizd lokomotywy. Pierwsza podniosła się z posłania Marysia. Podeszła do okna wagonu i spojrzała za okno. Widok, jaki zobaczyła, wstrząsnął nią i przeraził. Przed jej oczami rozpościerały się ogromne, nieprzebyte połączenia gruzów i zburzonych domów.

– Warszawa!... – krzyknęła, strwożona i przejęta. Po jej okrzyku natychmiast wszyscy podnieśli się z posłań, na których drzemali, i podeszli do okna. Pociąg wyraźnie zwalniał, dojeżdżając do stacji.

– Mamo, pójdę i zobaczę, może coś zahandluję – powiedziała Marysia, spoglądając na matkę. I nim Malwina coś zdołała powiedzieć, ona już ubierała się w swój sweterek z angorki i szykowała się do wyjścia.

– Tylko uważaj, nie oddalaj się za bardzo! – zdążył krzyknąć za nią Jan.

Marysia jednak nie słyszała już słów ojca. Po chwili ostrożnie weszła w tłum podróżnych na dworcu, otaczający stragany z pączkami, chlebem,

bułkami, owocami. Handlowano czym popadło i czym tylko można było. Zatrzymała się przy kramiku z pączkami, obok którego sprzedawano śledzie z beczki. Patrząc na sprzedawczynię, która uwijała się, bardzo sprawnie obsługując podróżnych, zapytała: „Po ile śledzie?”.

– Dwa złote – odpowiedziała przekupka w zawiązanej modnie do góry chustce na głowie.

Marysia zastanowiła się nic nie mówiąc i stała dalej. Sprzedawczyni spojrzała na Marię raz jeszcze i wzrok jej zatrzymał się na jej białym sweterku z angorki.

– Za ten sweter dam panience kilo śledzi i pączka.

– Dwa kilo śledzi i 7 pączków – poprawiła ją Maria.

Po krótkim namyśle przekupka zgodziła się.

– No, niech stracę. Dobra, dawaj sweterek! – powiedziała do Marii.

– Dam, tylko najpierw śledzie i pączki – powiedziała Marysia, patrząc jej w oczy.

– Niegłupia jesteś dziewczyno, i ładna. Daleko jedziesz? – wypytywała przekupka.

Marysia nic nie odpowiadała na zadawane jej pytania, tylko patrzyła, jak kobieta nakłada jej śledzie do starej gazety, a potem w drugą gazetę pakuje pączki szczypcami cukiernicznymi. Po podaniu jej zakupów Maria delikatnie zdjęła z siebie swój ukochany sweterek, zrobiony przez nią własnoręcznie z uprzedzonej przez nią samą wełny z angorki i podała kobiecie bez żadnego wyrazu na twarzy. Widocznie kobieta zorientowała się, czym dla Marysi był jej sweterek, bo nic już jej nie powiedziała, tylko szepnęła, biorąc go z jej ręk: „Szczęśliwej podróży, dziewczyno...”.

Wracała prędko z powrotem do wagonu. Po drodze spotkała ojca, który niósł dwa wiadra wody, żeby napoić krowę i owieczkę.

– Tatusiu, mam pączki i śledzie!

– Wracaj szybko, bo zaraz odjeżdżamy – powiedział ojciec, przeciskając się przez tłum.

Po wejściu do wagonu Maria zastała tam płaczącego i rozmazanego Antosia, siedzącego na pośłaniu.

– Jak dobrze, że już jesteś – zawołała Malwina. – Antoś do nikogo nie chciał iść, tylko płacze za tobą – powiedziała, patrząc na niego.

– A ja mam coś dla niego – zawołała wesoło, klękając obok chłopca na pośłaniu.

Widząc swą opiekunkę, Antoś natychmiast się uspokoił i wyciągnął do niej rękę.

– I dla was też mam, ale jak poukładacie to drewno przed piecykiem – powiedziała, patrząc na chłopców, zaciekawionych, co też ich ciocia przyniosła...

Chłopcy grzecznie zabrali się za układanie drewna, spoglądając ukradkiem, jak ciocia wysupłuje z gazety pączki i podaje jeden Antosiowi. Spojrzała na nich i nakazując umycie rąk w misce z wodą, ukrytej za kotarą z koca, dla nich też wyjęła po jednym pączku. Po chwili patrzyła szczęśliwa, jak dzieci zajadają pączki, i podeszła do matki.

– Mamuś, dla nas wszystkich mam pączki, ale i jeszcze coś – pokazała matce zawinięte w gazetę śledzie. Malwina uśmiechnęła się, a wchodzący już do wnętrza wagonu Jan pochwalił córkę: „Zuch dziewczyna!”. Malwina jednak nie dała się zbić z tropu. – Dziec-ko moje, a za co? Za co to wszystko, przecież nie miałaś grosza... – szepnęła, przypatrując się jej.

– Angorkę oddałam! – zawołała Marysia. – A co tam! Zobaczcie tylko, jak chłopcy zajadają!

Malwina tylko pokiwała głową, Maria zaś tymczasem wyjęła śledzie z papierowego zawiniątka i wyłożyła je do porcelanowej miseczki, po czym zalała wodą i odstawiła na bok. Jednak niepohamowany smak na nie sprawił, że tylko popłukała i zabrała się za jedzenie, zachęcając rodziców.

Kiedy pociąg ruszył, Malwina zamyśliła się, patrząc na mijający za oknem obraz ruin i zgliszcz.

– Czy ktoś kiedyś to odbuduje? Jak tu ludzie żyją? Tu nie ma życia...

– Będzie, będzie – uspokajał żonę Jan i dodał: „Jeszcze jakie piękne miasto będzie! ...”.

Wieczorem Marysia poukładała dzieci spać, a sama usiadła przy Piotрку, rozmawiając z nim szeptem, i po chwili też się położyła. Nie zauważyła nawet, że pociąg zatrzymywał się na kolejnych stacjach, w kolejnych miastach, gdzie wysiadali kolejni ludzie, szukając nowego miejsca na ziemi.

*Śniło jej się dzieciństwo, nowe i pachnące ubranko szkolne, nowe pantofelki na nogach i rozśpiewana klasa, która śpiewała:*

*Skowroneczku, szare ptaszę,*



Czemu rzucasz pola nasze.  
Czemu lecisz w kraj daleki,  
Tam za góry, morza, rzeki.  
Czy tam słońko jaśniej świeci,  
Czy przejrzysta w zdroju woda,  
Że ci naszych pól nie szkoda.  
Żal mi gniazdka, żal mi pola,  
Lecz to taka boska wola.  
Muszę lecieć, by znów wrócić,  
Pieśń o wiosnie wam zanucić...

Zaraz potem zobaczyła siebie, jak matka daje jej na drogę różaniec i każe jej iść pięć kilometrów przez las do najstarszej siostry Eweliny, żeby jej pomóc w gospodarstwie. Miała niespełna dwanaście lat. Bała się i płakała, ale Malwina przytuliła ją i pocieszała. – Szybko przebiegniesz leśną drogę, a potem będziesz miała już z górki – mówiła. – Już tylko dróżką łąkową i łatwo trafisz do Ewelinki. Idź, dziecko moje kochane – prosiła ją ze łzami w oczach. Szła więc dzielnie i kiedy była już w pobliżu łąk na otwartej przestrzeni, zobaczyła stojącą na wzgórzu Ewelinę z dwoma małymi chłopcami – Michasiem i Antosiem. Na jej widok chłopcy zbiegali z góry i podbiegnąwszy do niej, pochylili się do jej ręki, żeby ją pocałować. Chowała rękę za plecy, a drugą podawała im paczkę z czereśniami, a może innymi owocami z sadu w Jurkowie. Widziała swoją siostrę po urodzeniu trzeciego syna. Ewelina była słaba, nie miała siły pracować w gospodarstwie, więc Marysia była jej największym wsparciem. Kiedy przyszła pora żniw, zdarzało się i tak, że razem ze szwagrem zwoziła powiązane snopki zboża z pól i razem z nim układała je na stryszku nad oborą. A kiedy Ewelina zachorowała na zapalenie płuc, już jej nie odstępowała. Pewnego razu chora siostra poprosiła ją o przyniesienie wody ze studni, odległej od domu z dwieście metrów.

– Marysiu, przynieś wody, ale nabieraj, dziecko, bardzo mało, żebyś się nie przedzwignęła – prosiła Ewelina.

Marysia jednak robiła po swojemu – żeby rzadziej chodzić po wodę, nabierała do wiader troszkę więcej i co chwilkę podnosiła kawałeczek, przystając dla odpoczynku. Niosąc w klucze na ramionach dwa wiadra

wody, wytyczała sobie, dokąd ma dojść, i w ten sposób posuwała się od krzaczka do krzaczka, od jednej kępy trawy do drugiej, od jednego kwiatka do następnego, aż docierała do drzwi domu, zmęczona i ledwie żywa.

Obrazy z wojny przesuwały się jej jak zły sen: praca ponad siły przy wyrębie lasów dla Niemców; ciężka i mroźna zima; ogromne śniegi i pilnujący pracujących ludzi Niemcy z bronią gotową do strzału. Biegający i zdenerwowany esesman z odbezpieczonym pistoletem uderzył ją w twarz, kiedy na niego spojrzała, potem zaś odprowadził ją na bok i kazał stać na mrozie bez jednego ruchu. Widziała przerażone oczy jej koleżanek i samych Niemców, którzy ich pilnowali. Była przeznaczona na śmierć dla postrachu innych ludzi. Miała jednak szczęście, że wtedy przeżyła, bo esesmana zawołał leśniczy do jakichś ważnych spraw. Nigdy już nie poszła do odrobku w lesie – Jan Zawadzki wykupił ją od skorumpowanych Niemców i tak to sprytnie załatwił, że i z wywózki do pracy w Niemczech została nie tyle zwolniona, co pominięta.

Przed oczami Marysi przesuwały się noce pełne strachu, gdy w ciemności zaterkotał gdzieś bardzo blisko karabin maszynowy, a potem odezwały się pojedyncze wystrzały, lub rozlegał się nagły huk pociągu wysadzanego z torów kolejowych przez partyzantkę polską lub sowiecką. Rozlegało się pukanie w szybę okienną – a to Niemców, a to partyzantów; jedni i drudzy chcieli jeść, podczas gdy nie było co włożyć do garnka dla własnej rodziny. Po raz kolejny przeżywała chorobę i śmierć siostry, okupację i pracę ponad siły. Mimo szumu i huku przetaczającego się pociągu spała zmęczona do granic możliwości, przytulona do małego Antosia. Była piękną dziewczyną i przed sobą miała jeszcze długie życie, pełne poświęceń, pracy i troski o wychowanie trzech chłopców.

Ze snu obudził ją nagły gwizd lokomotywy; powróciła do rzeczywistości. Spoglądała na śpiącego obok niej Antosia, na jego ciemne, kręcone loczki na główce – zupełnie takie, jakie miała jego matka. Uśmiechnęła się i przytuliła do niego, żeby znów zanurzyć się we śnie, w którym widziała siebie w minionym życiu.

Szkoła – jej najpiękniejsze lata życia, radosne i szczęśliwe. Ubrana bardzo starannie i bogato; była jednak córką bogatego rzemieślnika i miała wszystko,

*co potrzebne jej było do szkoły: piękne ubranka i wstążki we włosach. Miała też bardzo dobre stopnie na cenzurce, była chwalona przez nauczycieli i księdza, umiała pięknie śpiewać i pisać wypracowania. Wychowywana w patriotyzmie i miłości do ojczyzny, przeżywała wraz z innymi bardzo śmierć i pogrzeb Marszałka, na którego cześć śpiewano w szkole pieśń:*

*To nieprawda, że ciebie już nie ma,  
To nieprawda, że leżysz już w grobie.  
Płacze cała Polska, nasza ziemia,  
Cała Polska ziemia w żałobie.  
W naszych sercach jak żyłeś, tak żyjesz,  
Ukochany wodzu nieśmiertelny.  
Byłeś dla nas pociągiem ze stali  
Byłeś dla nas sztandarem wspaniałym,  
Tym, co Polskę obronił i ocalił  
I wydzwignął na wieczny szczyt chwały.  
Już usnąłeś po trudach nadludzkich,  
Nie zwycięży już ciebie ból żaden,  
Ukochany marszałku Piłsudski.  
My, żyjący, pójdziem w Twoje ślady...*

Jeszcze śniła, przytulona do małego Antosia, kiedy nagle usłyszała kolejny gwizd lokomotywy i lekkie szarpnięcie oraz głos matki.

– Marysiu, dojeżdżamy do Poznania. Trzeba by się zastanowić, może tutaj wysiadźmy. Gdzieś tutaj, w Poznańskim, chyba w Pile, mieszka Alfreda.

– Mamo, może i my wysiadźmy też – powiedziała i spojrzała na ojca. Ale Jan udał, że nie słyszy, zajmując się obrządkiem przy krowie. No tak, ojciec nie chce – pomyślała i już nic nie mówiła ani o nic nie prosiła – wiedziała, że jak ojciec coś postanowi, tak robi.

Podobnie jak w Warszawie, na stacji w Poznaniu pociąg miał dłuższy postój. Maria wyszła na peron, prowadząc za rączkę Antosia. Michaś i Bernaś także wyszli pochodzić po powietrzu. Malwina stała w otwartych drzwiach wagonu i patrzyła na swoje dzieci. Po chwili usłyszano gwizd lokomotywy i wszyscy na powrót znaleźli się w wagonie. Pociąg ruszył, Maria zaś podeszła do Piotrka.

– Jak ci jest? Jak się czujesz, Piotrusiu? – i nie czekając na odpowiedź, sama powiedziała: „Już niedługo i my stąd wyjdziemy, tylko gdzie? Dokąd nas ten pociąg wiezie?”.

Nie było na to odpowiedzi, więc jechali i jechali, mijając kolejne stacje kolejowe. Aż wreszcie któregoś ranka do ich wagonu ktoś zapukał. Jan wstał i otworzył drzwi. Przed nimi stał kolejarz i kilku żołnierzy polskich.

– Koniec jazdy! Wysiadamy! Dalej już są tylko Niemcy! Dojechaliście pod samą granicę polsko-niemiecką! – zawołał jeden z nich.

– A jaka to miejscowość? Gdzież my jesteśmy? – dopytywał się Jan.

– Jesteście w miasteczku Gubin – odpowiedział kolejarz. – Wojsko was zawiezie na którąś wieś i wybierzecie sobie jaki chcecie dom i jaką chcecie gospodarkę! – To powiedziawszy, poszedł do następnego wagonu.

– Najpierw przewieziemy ludzi, na końcu inwentarz – oznajmił sierżant dowodzący przewozem ludzi.

Jan Zawadzki wyszedł ze swojego wagonu i spojrzał na tłum ludzi, stojący przed swoimi wagonami, ale wcale się niewyładowujący. – Co się tutaj dzieje? Idę się dowiedzieć – powiedział do żony i zanim ona coś powiedziała, już poszedł w kierunku sąsiedniego wagonu, którym tak jak i oni jechała rodzina z Jurkowa.

– Janie! – zawołał jego sąsiad Bolek, widząc go idącego w jego kierunku. – Przywieźli nas pod samą granicę niemiecką! – wołał zbulwersowany, dołączając do zdenerwowanego tłumu. – Nie wysiadamy! Za rzeką już Niemcy! Nie dajmy się! Nie chcemy tutaj mieszkać i żyć obok Niemców! A co będzie, jak oni wrócą i nas stąd przepędzą?!

Jan zbladł i nic nie mówiąc, usiadł zmęczony na drewnianej kolejowej ławce, ocierając pot z czoła. Malwina załamała ręce, przysłuchując się krzykom i groźbom lecącym z wagonów w kierunku kolejarzy i wojska – tym razem polskiego, przydzielonego do pomocy repatriantom. Boże, Boże, co to teraz z nami będzie? – myślała gorączkowo.

Postanowiono, że nikt nie opuszcza wagonów. Pod wieczór przybył ksiądz do negocjacji z Kresowianami. Ksiądz stanął na ławce kolejowej, żeby go lepiej widziano, i zaczął przemawiać do zgromadzonych wokół niego ludzi. Namawiał ich, żeby wyszli z wagonów i czym prędzej jechali do swoich nowych domów, które zajmują co mądrzejsi przybysze. Po księdzu na ławkę weszli kolejni mówcy, którzy również zachęcali do opuszczenia wagonów; byli to dowódcy wojskowi WOP. Ludzie przestali już krzyczeć, ale nadal

uparcie nie wychodzili z wagonów. Na trzeci dzień, wczesnym rankiem, nagle podjechały wojskowe ciężarówki i jeden z dowódców oznajmił, że jeżeli ludzie nie opuszczą wagonów, oni, to znaczy wojsko, cały ich dobytek wystawią przed wagony i niech sobie każdy radzi jak sobie sam chce. – Ostatni raz do was mówię, ludzie; zabierzemy was i wasz dobytek i zawieziemy do nowych domów! – tłumaczył dowódca.

Po chwili ociągania się odezwały się pomruki, świadczące, że ludzie zaczynają rozumieć nieuchronność swej obecnej sytuacji. – Cóż nam robić? Trzeba się zgodzić, bo tu z głodu i brudu pozdychamy – mówili co odważniejsi i najbardziej zdesperowani. I zaczęło się ładowanie sprzętu, kufrów i wszelkich tobołków wprost z wagonu na wojskową ciężarówkę.

Żołnierze pomagali Zawadzkiemu, żartując i uśmiechając się miło – zwłaszcza że zauważyli wśród nich piękną i młodą dziewczynę, która niestety nie pojechała z rodziną wojskowym autem, ponieważ została, by pilnować krowy i czekać na ojca. Kiedy wszystko zostało już zabrane i wyładowana ciężarówka wraz z Janem, Malwiną, dziećmi i sprzętem odjechała, Marysia przywiązała krowę do betonowego słupka na stacji kolejowej i usiadła sobie na ławeczce pod drzewem, czekając na ojca. Przechodząca po chwili grupka żołnierzy przypatrywała się jej ciekawie i zaczepnie. Jeden z nich – figlarny, piegowaty chłopak – zagadał: „Panienko, może pomóc w czymś?”. Maria odwróciła głowę, rumieniąc się po uszy. Błagała w myślach ojca: tato, wracaj prędko! Ojciec przyjechał po dwóch godzinach tą samą ciężarówką, która odwoziła rodzinę. Podchodząc do Marii, zapytał: „No jak? Wszystko w porządku?”.

– Uhu – mruknęła i sama zapytała: „Tatusiu, a gdzie my będziemy mieszkać? Gdzie mamy iść z tą krową?”

– Nic się nie martw. Mama i dzieciaki są już w domu. Jest dom, stodoła, obora i świnia. Tyle zdążyłem zobaczyć. Resztę dopatrzę, jak dojdziemy – powiedział ciepło. – Idziemy – zakomenderował, odwiązując krowę, którą sam prowadził. Po chwili przeszli tory kolejowe i znaleźli się na wąskiej, asfaltowej drodze, która biegła równoległe z widocznym nieopodal pasem granicznym.

– Boże! – wystraszyła się Marysia. – Tam już Niemcy! Tatusiu – zatrwożyła się – będziemy stąd uciekać! Jeżeli tylko zdążymy! – westchnęła.

– Cicho, cicho – uspokajał ją ojciec.

Mijali wojskowe lotnisko, na którym stały porzucone wraki rozbitych

czołgów niemieckich i transporterów. Gdzieś widać było przewrócony samochód terenowy. Na niektórych z nich widoczna była czerwona gwiazda. Na pewno to ruski samochód – pomyślała Maria, nic już nie mówiąc do ojca. Kiedy weszli w leśny gąszcz, było już im lżej iść. Wysokie sosnowe drzewa rzucały cień na drogę.

– Tato? – zapytała Marysia – powiedz, czy to już blisko?

– Tak, tak – odpowiedział szybko i dodał: „Tutaj zaraz, za tym laskiem. Ale wiesz co? Usiądziemy sobie troszkę i odpoczniemy”.

Jak powiedział, tak zrobił – przysiadł na poboczu ścieżki, przywiązał Rogatą do drzewa, a sam wyjął z kieszeni blaszaną, wojskową menażkę i zaczął pić wodę. Po chwili podał menażkę Marii.

– Masz, dziecko, i napij się też.

Marysia napiła się orzeźwiającej wody, ale poczuła głód.

– Jestem głodna. Tato, nie macie czegoś do zjedzenia?

– A mam, mam. Wyjął z kieszeni chleb zawinięty w ściereczkę. – Mama dała dla ciebie – powiedział i podał jej.

– Pamiętała! – ucieszyła się i od razu zapytała: „A ty jadłeś coś?”. Ponieważ ojciec nic nie odpowiedział, Maria przełamała dużą, podwójną kromkę chleba posmarowanego smalcem i podała ojcu jedną część, a drugą od razu sama zaczęła jeść. Jedli w ciszy, a po chwili ojciec odezwał się: „W domu pewnie będzie już na nas czekać kasza ze skwarkami. Mama już na pewno gospodarzy” – dodał.

– To idziemy, tato! – ucieszyła się Marysia. – Powiedz, czy mamy ładny dom? – zapytała wesoło.

– Ładny, bardzo ładny – mówił powoli Jan. – Murowany, podpiwniczony. Przykryty dachówką i duży. Większy, niż mieliśmy w Jurkowie. A po chwili dodał: „I stodoła, i obora, letnia kuchnia też jest. Wszystko murowane z cegły i betonu. Schody do domu nawet są kamienne, z granitu”. Po chwili umilkł i szli w zupełnej ciszy. Szli piaszczystą drogą, po bokach której ciągnął się kilometrami sosnowy las.

– Tatusiu, czy już blisko? – pytała znużona i zmęczona Marysia.

– Blisko, blisko, już tylko za tą górą – pokazał na wzniesienie przed nimi.

Za górą, tak jak ojciec mówił, weszli do wioski – ale nie do tej, w której przeznaczone było im życie. Marysia rozglądała się ciekawie.

– Tatusiu, noo gdzie to? Gdzie ten nasz dom? Który to? – dopytywała się

nieustannie. Szła za nim z tyłu i widziała jego przygarbione plecy, słyszała jego ciężki oddech. Boże, jaki on zmęczony – pomyślała nagle i umilkła. Przestała się odzywać i męczyć ojca pytaniami.

Odpoczywali jeszcze ze dwa razy, zanim dotarli do Kosarzyna. Okazało się, że przeszli tak razem z krową dziesięć kilometrów po piaszczystej drodze. Kiedy dotarli do domu przed wieczorem, czekała już na nich kasza ze skwarkami. Chłopcy biegali po podwórku, a najmłodszy Antoś pilnowany przez babcię siedział z nią przy palenisku kuchennym i podkładał do pieca, żeby zagrzać dużo wody w żeliwnym kociołku do wykąpania rodziny po ciężkiej podróży.

## VI

# Powroty

**W** Wierzbicy dzień za dniem mijał bardzo szybko. Wiosna kwitła całą pełnią na drzewach w sadzie. Żółte mlecze odbijały się jaskrawo w zielonej trawie łąk, gdzie pasły się krowy, jak dawniej w Okopach. Kozińscy i Romaniewiczze dalej mieszkali w jednym domu. Żadnej z rodzin nie chciało się zajmować osobnego gospodarstwa – ani Helenka z Adamem i Rysiem, ani też Wincenty z Michaliną i Zdzisiem nie chcieli się rozstawać. Rano Helena doiła krowy, a Michalina robiła wszystkim śniadanie. Potem wszyscy szli do prac w gospodarstwie. Trzeba było przebrać ziemniaki pozostawione przez poprzednich gospodarzy w piwnicach i posadzić je w polu. Dodatkowo też Zdziś znalazł przypadkiem za budynkami gospodarczymi jeszcze dwa przykryte słomą i ziemią kopce z ziemniakami.

Po ich odkryciu znów namnożyło się pracy. Po usunięciu z nich wierzchniej warstwy przykrycia okazało się, że ziemniaki poprzerastane są już nowymi kiełkami. I znów całe dni wszyscy skupieni byli wokół kopców, obrywając bulwy z długich kiełków i szykując je do sadzenia. Część z nich przeznaczano do spożycia. Mieli więc ziemniaki, mleko od swoich krów, masło i śmietanę. Nie mieli jeszcze tylko mąki i cukru, więc na pobliskim targu wymieniano śmietanę i masło na mąkę i cukier. Po podwórku i w obejściu chodziło już parę kurek, więc i jajko też było. Dodatkowo Michalina nasadziła parę niosek na jajka, żeby wykluły się kurczaczki. Wczesnym świtem budziło ich pianie kogutka. Mieli więc Kozińscy swoje nowe miejsce na ziemi – podobne do Okopów, chociaż inne, poniemiec-kie



i obce.

Pewnej niedzieli, kiedy wrócili z kościoła i zasiedli do obiadu, przed domem zatrzymała się furmanka konna, a z niej wysiadła kobieta i mężczyzna z walizkami. Oboje ubrani byli po miastowemu – on w płaszczu i kapeluszu, ona w pantofelkach na obcasach. Podpatrująca przez okno zza firanki Michalina nagle zawołała: „Jezus, Maria! Dominik i Antosia!”.

Wszyscy jak na komendę doskoczyli do okna, a potem przez sień i na podwórko, a z podwórka na ulicę. Cała rodzina stanęła przed domem, patrząc na przybyszów.

– Matko Święta! – przeżegnała się Michasia. – Mama! – zawołał Dominik, rozkładając ręce. Uściskom i łzom nie było końca.

– Chodźcie, chodźcie do domu – zapraszała szczęśliwa Michalina. Po chwili wszyscy weszli do kuchni.

– Dacie nam jakieś miejsce do spania? – zapytał Dominik.

– Ależ macie tutaj, stoi pusty środkowy pokój! – pokazała na drzwi Helena.

– No to zaniosę tam nasze walizki – powiedział Dominik, po czym wziął obydwie walizki w ręce i poszedł w kierunku wskazanych drzwi. Wrócił po chwili, już bez płaszcza i kapelusza. – Antosiu, idź śmiało i też się rozbierz z płaszcza; albo daj, to ci zaniosę – powiedział, pomagając się rozebrać żonie. Michalina z Heleną z powrotem zaczęły nakrywać do obiadu, przystawiając więcej talerzy, żeby starczyło dla wszystkich.

Cała rodzina patrzyła, jak Dominik i Antosia jedzą rosół podany przez matkę.

– No, to już jesteśmy w komplecie – zauważył promieniujący Wincenty.

– Trzeba to uczcić! – zawołał Adam i wyjął z kredensu kieliszki i butelkę spirytusu własnej produkcji. Nalał wszystkim po kieliszku i wypili toast za szczęśliwy powrót.

– Opowiadajcie, gdzie was tak długo nosiło po świecie! Byliście u Franka? – pytał Wincenty.

– Byliśmy w Warszawie u Felki i Franka, potem pojechaliśmy do Franków do Nidzicy. I tak to wszystko zeszło. W Warszawie byłem też na szkółce, takim szkoleniu rolniczym. Antosia też – uśmiechnął się.

– No proszę, proszę – Koziński był bardzo zadowolony. Wreszcie będziemy żyć – pokiwał głową i spojrzał z wdzięcznością na swoją Michasię. – Wszystko wymodliła wasza mama – dodał z radością, nie spuszczając

z niej wzroku. Michalina nic nie mówiła, tylko uśmiechnęła się przez łzy.

– Ale jak nas już jest więcej, to pójdziemy dzisiaj poszukać dla was domów. Trzeba znaleźć póki są, bo potem rozbiorą co lepsze – nakazywał poważnie Wincenty. – Przecież nas wszystkich już jest trzy rodziny!

Po południu wszyscy mężczyźni z rodziny Kozińskich, włącznie z obydwoma Romaniewiczami, poszli sobie spacerkiem oglądać domy do zamieszkania w Wierzbicy na Dolnym Śląsku. Większość już, niestety, była zamieszкана; wybrali więc z tych gospodarstw, jakie jeszcze pozostały do wyboru. Dominik znalazł dla siebie i swojej Antosi niewielki domek z ogródkiem, w którym rosły już wiosenne kwiaty – narcyzy i szafirki. Tutaj Antosi będzie dobrze – pomyślał; zwłaszcza że kiedy wszedł na podwórko, zobaczył stojącą przy stodole bryczkę na gumowych kołach.

– Ojej, ale się moja Antosia ucieszy! Schowajmy ją do stodoły, żeby mi jej nikt nie ukradł – zawołał uradowany. Wszyscy z ochotą pomogli wtoczyć bryczkę na klepisko w stodole i zaraz też wrota stodoły zostały podparte leżącym nieopodal dużym drewnianym drągiem. Potem całe towarzystwo męskie weszło do mieszkania, które przez opuszczających je Niemców zostało zamknięte na kłódkę. Ale dla Adama Romaniewicza nie stanowiło to żadnego problemu – nie mocował się bynajmniej z kłódką, tylko odgiął łańcuszek i drzwi puściły przy lekkim pchnięciu. Przez ciemną sień weszli do kuchni, czystej i zadbanej. Na płycie kuchennej w kaflowym piecu stały żeliwne garnki.

– Ot, i masz wszystko – powiedział Wincenty, patrząc na syna.

– No... – przyznał z uśmiechem Dominik.

Stojący opodal biały kredensik z przezroczystymi szybkami, a w nim koronkowymi firaneczkami, dawał obraz schludności i ciepła.

– Musiał tu mieszkać ktoś porządny – zauważył Zdziś.

– Skąd to wiesz? – zapytał Dominik.

– Bo jak jest czysto w domu, to i w ludziach – odparł Zdzisław.

– To prawda, Zdzisiu – potwierdził Koziński i dodał, patrząc na Dominika: „Idźcie i oglądajcie, a ja sobie posiedzę przed domem i popalę troszkę”. Po tych słowach wyszedł i usiadł na ostatnim schodku gankowych schodów.

– Zdzisiek, pobiegnij po Antosię; jesteś młodszy i szybko biegasz – poprosił Dominik.

– Ja pójdę, wujku – zaofiarował się Rysiek.

– No widzisz go – uśmiechnął się do chłopca Dominik. – A niedawno taki mały byłeś, że tylko się trzymałeś matczynej spódnicy. No, lecze i przyprowadź tu ciocię... – nie zdążył dokończyć, kiedy chłopak wybiegł już z domu.

– No i pewnie przyprowadzi wszystkie ciocie – zauważył młodszy Koziński, którego bardzo ciekawiła pozostawiona na szafie trąbka. Wziął ją do ręki i zaczął oglądać. Po chwili dotknął ustami ustnika i zaczął trąbić. Słyszając głos trąbki, do domu wszedł Wincenty.

– No i masz tobie... Gdzie to znalazłeś?

– Na szafie – odpowiedział za Zdzisia Dominik.

Zdziś tak się rozochocił, że zaczął wygrywać na trąbce melodie – i to jedna za drugą. Wychodziło mu to bardzo ładnie – tak ładnie, że pod oknami i na ulicy przy domu zaczął pojawiać się i gęstnieć tłumek osadników. Po chwili w tym tłumie znalazły się wszystkie kobiety Kozińskich.

– Matko Boska! – zawołała Michalina. – Cóż oni tam wyprawiają, że cały świat stoi pod oknami?

– Pewnie Zdzisio gra, bo słychać trąbkę – powiedziała Helena.

– Skąd ta trąbka, Helciu? – nie dawała wiary Michalina.

– Mało to trąbek i wszelkich innych rzeczy po Niemcach pozostawało? – powiedziała Helena, przeciskając się do przodu. – No tak, tak, teraz już wiem nawet, skąd Zdziś umie grać! Przecież Franek go przyuczał i wszędzie zabierał ze sobą. Przed wojną jeździli razem grać na weselach i zabawach do Karpłówek i w Okopach, i w lasach ćwiczyli razem – mówiła Michalina.

I tak rozmawiając między sobą, weszły za Rysiem do domu. Zwykle Zdziś na widok wchodzących nie przestawał grać, tak samo było i teraz. Malwina jednak podniosła rękę, dając mu znać, żeby się wstrzymał.

– Uszy pękają od tego trąbienia – powiedziała głośno, chociaż i tak by ją słyszano, bo Zdziś właśnie przestał grać.

– Antosia podeszła do Dominika. – To nasz domek? – zapytała, patrząc na niego.

– Uhu... – mruknął, kiwając potakująco głową.

– Ładnie tutaj – powiedziała, patrząc na zasłonki w szybkach kredensu i w oknach. – Ale to nie nasze – westchnęła.

– Teraz już nasze – upewniał ją Dominik.

W odpowiedzi pokiwała powątpiewająco głową. – Od kiedy? – zapytała.

– Jak chcesz, od razu przyniosę nasze rzeczy i mieszkaamy.

– Lepiej zamieszkać niż się bać, że ktoś nam zabierze – powiedział cicho.  
– Dobrze – zgodziła się. I rozglądając się po wnętrzu domu, gdzie już myszkowali ciekawscy Kozińscy, powiedziała: „Idziemy po rzeczy”. Nie mówiąc nic nikomu, wymknęli się z domu i poszli prosto do domu rodziców.

Michalina z Heleną zajrzały w każdy kąt i do każdego pokoju.

– Tutaj jest tak samo jak u nas, kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy – stwierdziła Helena.

– No właśnie, i to mnie niepokoi, że ci ludzie tak wszystko tutaj zostawili, jakby zaraz mieli wrócić. Wyszli z domu w jednych ubraniach, może tylko z walizką – mówiła Michalina z troską.

– Ale nikt im domu nie spalił jak nam, mamusiu kochana. Nie uciekali przed śmiercią jak my. I nie siedzieli w mrozy z dziećmi w lesie, żeby przeżyć – mówiła Helena do matki, tłumacząc jej powstałą sytuację życiową.

– Ani my im, ani oni nam nie wyrządzili świadomie żadnej krzywdy. To tylko wojna, tylko wojna, mamuś... Więksi od nas i potężniejsi zgotowali nam ten los.

– Ojoj, jaka polityka... – powiedział z uśmiechem Adam, podsłuchując rozmowę matki z córką. I podchodząc bliżej do Helenki, szepnął jej: „Helciu droga, a my? My też musimy znaleźć coś dla siebie, jakiś dom. Rysio rośnie...” – spojrzał na żonę pytająco.

– Sama nie wiem, myślałam nieraz o tym. Później może nie być już żadnego wyboru. Osadnicy ciągle przybywają. Dobrze, poszukamy, przejdziemy sobie po opuszczonych domostwach, i to zaraz – Helena podjęła natychmiastową decyzję.

Podczas kiedy Romaniewiczowie zastanawiali się nad swoim domem i rodziną, zjawili się nagle z walizkami Dominik i Antosia Kozińscy.

– No to jesteśmy w domu, mamu kochana! – zawołał Dominik. – Już tutaj zostaniemy i będziemy żyć – dodał, patrząc na zdumioną matkę, Helenkę i Adama.

Michalina na te słowa przeżegnała ich znakiem krzyża: „Niech was Bóg ma w swojej opiece...”. – Idziemy już, Wicuś, niech się młodzi zagospodarzą tutaj – zawołała do Wincentego, buszującego na stryszku domu wraz z chłopakami Rysiem i Zdzissem.

– Dobrze, dobrze, już schodzimy do was – odpowiedział Wincenty, schodząc po schodach ze stryszku. Zobaczcie, co znaleźliśmy! – pokazał trzymany w rękach portret Hitlera i parę opasek Hitlerjugend.

– Tato... – odezwał się Dominik. – Niejeden portret Hitlera widzieliśmy po drodze, jak tutaj jechaliśmy. Są ich setki, a może tysiące – mówił Dominik. – Propaganda tak ogłupiła ten naród... naród nadludzi – dodał, patrząc na portret.

– Dobrze, kochani moi, my zabieramy się i idziemy do domu – powiedziała Michalina patrząc na Wincentego i Zdzisia. Zdziś, wychodząc, spojrział na Dominika: „Zabieram trąbkę!”.

– Bierz, przecież nie moja – zgodził się Dominik i spojrział na Antosię.

Po wyjściu wszystkich Kozińskich Dominik z Antosią usiedli przy stole i tak trwali w ciszy przez chwilę, patrząc na siebie. Po chwili Antosia poprosiła: „Rozpalisz w piecu?”.

– A mam rozpaścić? – zapytał retorycznie.

– Tak... – odpowiedziała, posyłając mu uśmiech.

– No to rozpalę – powiedział, biorąc jej dłonie w swoje i całując je czule.

Tymczasem rodzina Romaniewiczów, idąc za przykładem Dominika i Antoniny, wędrowała po Wierzbicy, szukając domu dla siebie.

– Dopiero teraz szukamy, jak wszystko już pozajmowane – narzekała Helenka.

– Znajdziemy, znajdziemy – próbował uspokajać ją Adam i dodał: „Przecież nie chciałaś, Helciu; mówiłaś, że rodzicom będzie ciężko samym w obcym domu”.

– No tak – westchnęła Helenka – ale jest jeszcze Zdziś. Może i on pewnego razu przyprowadzi do domu synową? A my mamy Rysia. Urośnie nam i co? Dominik mi rozjaśnili w myślach. Trzeba mieć swój dach nad głową – mówiła, wchodząc na podwórze do domku pod lasem, na samym krańcu wsi. Przed gankiem rosły duże krzaki bzu. O tej porze roku kwiaty miały już pąki. Opodal schodów wejściowych stała drewniana ławeczka. Nieduża, ale z oparciem.

Adam spojrział na Helenkę. Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Przeszli ścieżką obok drzwi wejściowych i zaszli za tył domu, gdzie drewniany płotek okalał niewielki ogródek, zarośnięty trawą. Za ogródkiem widać było sad pełen kwitnących jabłoni, wiśni i śliw.

– Adam, widzisz to?!

– No... – zamruczał Adam i dodał: „Chodź prędko, zobaczymy, czy ktoś już tutaj nie mieszka”. Weszli ostrożnie po schodach na ganek i zobaczyli, że na drzwiach wisi kłódka.

– Zamknęli, jak wyjeżdżali – powiedziała ze smutkiem Helenka.

– Niemcy wyjechali, za to my przyjechaliśmy. Nie ma na to rady. Taki los. I czy chcemy, czy nie chcemy, tak już musi być. Mówiąc to, Adam podważył skobel przymocowany do drzwi, na którym była zaciśnięta kłódka. Nie mogąc sobie poradzić rękami, wyjął z kieszeni scyzoryk i odgiął nim gwóźdź przytrzymujący skobel. Ostrożnie zsunął kłódkę ze skobla i pchnął lekko drzwi, które ustąpiły, uchylając się. Po chwili wszedł pierwszy do środka korytarza domu, a za nim wsunęła się Helenka. Przez korytarz dotarli do następnych drzwi, które po naciśnięciu klamki otworzyły się i oczom Romaniewiczów ukazała się obszerna i widna kuchnia z całym wyposażeniem meblowym. Pod dwoma oknami naprzeciwko drzwi stał duży dębowy stół i wokół niego poustawiane były ławy do siedzenia. Nieopodal stołu znajdował się piec kaflowy z paleniskiem i krążkami fajerek, na których stały żeliwne garnki, od największego do najmniejszego powkładane jeden w drugi.

Helena nic nie powiedziała, tylko spojrzała na Adama.

– No tak... – odezwał się po chwili. – *Ordnung muss sein*<sup>7</sup>.

Helena na te słowa uśmiechnęła się i jakby z ulgą potwierdziła, siadając na brzegu dębowej ławy przy stole.

– To u nich jest chyba największą wartością w życiu, bo uczuć to chyba nie znają...

– Spójrz Helciu – powiedział Adam, podchodząc do białego, staroświeckiego kredensu, stojącego obok pieca. – Są i talerze, i kubki! – zawołał z entuzjazmem.

Helena podeszła i otworzyła drzwiczki kredensu. Oczom jej ukazała się biała zastawa obiadowa w miniaturowe, różowe kwiatki.

– Boże – szepnęła, zaskoczona i zachwycona. – Zupełnie jak u dziadków Kotwickich!

– Widzisz kochana, wszystko co utraciliśmy powraca, jakby w nagrodę.

– Tak, powraca... Widać w tej wsi szabrownicy jeszcze nie byli – odezwała się po chwili, a w głębi duszy, w wyobraźni, zobaczyła panią Felicję Masojadę i księdza Ludwika Wrodarczyka... Ale o tym już nie powiedziała Adamowi. Romaniewiczowie obejrzelili cały dom – wszystkie pokoje po kolei, strych i piwnice, sad i budynki gospodarcze – po czym wieczorem pojawili się u Kozińskich, ale tylko po to, żeby zabrać swoje rzeczy i wraz z synem przeprowadzić się do nowego domu, jeszcze tego

samego dnia.



7 (niem.) Porządek musi być [przyp. red.].

## VII

# Na swoim

Wiosna 1946 roku w Kosarzynie była ciepła i deszczowa. Stacjonujące we wsi wojsko powoli opuszczało zajęte domy i przenosiło się do nadgranicznej strażnicy w Żytowaniu lub do koszar wojskowych w Gubinie. Na placu wiejskim pod ogromnymi topolami każdego dnia zbierało się dużo ludzi przyjezdnych i wojska. Często widać było wojskowe samochody terenowe. Wojsko Ochrony Pogranicza było wszędzie obecne. Uzbrojone patrole chodziły po wałach przeciwpowodziowych tak wysokich, że kiedy się po nich szło, widać było przed sobą rozpostarty krajobraz na przestrzeni kilku kilometrów, tak po stronie polskiej, jak i niemieckiej. Dla przyjezdnych osadników zza Buga najgorsze były noce w Kosarzynie, ponieważ mieszkający za Nysą Łużycką Niemcy, byli mieszkańcy Kosarzyna, bardzo często, nie zważając na nic, przechodzili lub przepływali Nysę, żeby wrócić do swoich opuszczonych domostw po coś tam jeszcze pozostawionego. Ujadanie psów trwało czasami do rana, słychać było tupot uciekających ludzi, krzyki i nawoływania. Kiedy księżyc w pełni świecił w nocy, niejedną raz zebrana przy oknie rodzina podpatrywała, jak drogą biegną czy idą ludzie ubrani po cywilnemu lub w mundurach. Podglądająca zza firanki Malwina wołała Jana.

– Chodź i zobacz, Jasiu: mają takie mundury pasiaste w zygzaki, jakie mieli Niemcy, którzy byli u nas na wschodzie.

Zawadzki przyglądał się i mówił: „To niemożliwe, żeby to byli Niemcy; nasze wojsko nie przepuści myszy, a co dopiero człowieka”.



– Aleśmy popadli w biedę, żeby tak dać się zawieźć na koniec świata – gderła Malwina. – Trzeba było nam wtedy wysiąść w Poznaniu, pamiętasz, Jasiu?

– Nie myśl o tym i kładź się spać; w dzień trzeba pracować, bo jutro wojsko z nową władzą parceluje ziemię. Sam nie wiem, ile jej brać. Mówili, że ile kto chce, to może sobie brać.

– Tylko żeby dobrej dali, pod pszenicę – mówiła, kładąc się do łóżka.

– Jak tak, to musisz iść ze mną, Mila, bo ja się na ziemi, jak wiesz, nie znam. – Zawadzki przypominał, że nie jest rolnikiem.

– A pójdę, pójdę – zapewniała.

Obudziły ich przejeżdżające po ulicy samochody, a ponieważ dom Zawadzkich stał tuż przy drodze, nie sposób było nie słyszeć przejeżdżających aut. Bez słowa ubrali się i poszli do kuchni. Krzątała się tam już jak zwykle Marysia. Z chustką zawiązaną na głowie i z wiadrem w rękę stała przyszykowana do wydojenia Rogatej.

– A widzisz ją – uśmiechnął się Jan. – Wcześniej dzisiaj wstałaś, córciu, ode mnie – zauważył.

– Pewnie, bo ja nie kursuję w nocy pod oknami jak tato, tylko śpię – powiedziała wesoło, wychodząc do obory.

Zawadzki spojrział na żonę, a Malwina tylko ciężko westchnęła i powiedziała: „Dobre z niej dziecko, bardzo dobre” – i zaczęła szykować śniadanie dla rodziny. Najpierw rozpałała w piecu, potem nastawiła wodę w czajniku na kawę i postawiła ją na płycie kuchennej. Następnie wyjęła z szafki dużą, żeliwną patelnię przywiezioną zza Buga i zaczęła wbijać na nią jajka. Aromat ze smażonej jajecznicy szybko roznosił się po domu, budząc pozostałych domowników. Wszyscy chłopcy jak na komendę najpierw pobiegli na dwór, a potem już wszyscy, przepychając się na schodach, znaleźli się w kuchni przy stole. Malwina z uśmiechem nakładała im na talerze jajecznicę i patrzyła zadowolona, jak zajadają. Przyniesione z udoju i precedzone przez Marię mleko od razu naląła im do kubków. Wypili je jednym tchem, wycierając rękawem koszuli powstałe po pianie wąsy.

Gdy chłopcy odeszli już od stołu, do jedzącego przy nim jeszcze Jana przysiadła się Malwina i Marysia, która dołożyła chleba, bo chłopcy wszystko zjedli. Smarując długie kromki swojskiego chleba zauważyła, że w spizarcie zostały już chyba tylko dwa bochenki.

– Dobrze, moje kochane kobiety, będziecie sobie piekły chleb i co tam

jeszcze chcecie, ale macie iść dzisiaj ze mną w pola z mierniczymi, bo ja nie znam się na ziemi, a nie chcę, żeby mi namierzyli takiej, z której nie będzie chleba. Nasza mama wie najlepiej, jaka ma być ziemia pod pszenicę, a jaka pod żyto – dodał, patrząc ciepło na Malwinę.

Marysia spojrzała na rodziców i zaproponowała: „Może by i chłopców wszystkich wziąć, niech się uczą.

– A wiesz, to dobry pomysł; zaraz pójdę i ich zatrzymam, żeby nigdzie nie szli. Niedługo pewnie przyjadą geodeci – powiedział Zawadzki, po czym wstał od stołu i założywszy czapkę na głowę, wyszedł z domu.

Kiedy Zawadzcy przyszli całą rodziną na plac, było już tam sporo ludzi – wojsko, nowi osadnicy i geodeci. Po zapisaniu się u mierniczego poczekali jeszcze na resztę osadników, po czym cała wieś poszła na kosarzyńskie pola – te, które usytuowane były pod wałami przeciwpowodziowymi.

Rozpoczęło się mierzenie ziemi, kawałek po kawałku. Wytyczano działki w kolejności alfabetycznej, więc Zawadzcy musieli czekać cierpliwie na swoją kolej. W spokoju i milczeniu obserwowali poczynania geodetów i ludzi. Chłopcy pomagali mierniczym nosić sprzęt do mierzenia, ustawiali tyczki na polach i wkopywali cementowe kamienie dla oznakowania zajętej działki. Malwinę cieszyły ich poczynania; obserwowwała zachowanie swoich wnuków i mówiła do Marysi: „Zobacz, Marysiu, jakie sprytne te nasze dzieci. Radzą sobie i są uczynne, chcą pomagać. Żeby jeszcze tylko chciały się uczyć” – żartowała, trzymając za rękę najmłodszego Antosia. Maria zaś przysłoniła sobie ręką oczy od słońca i uśmiechnęła się, widząc Michasia pomagającego ustawić sprzęt mierniczemu na polu.

Kiedy przyszła kolej na wytyczanie ziemi dla Zawadzkich, chłopcy jeszcze bardziej się starali. Malwina wybrała sobie kawałek ziemi pod samym wałem i przy rzece. Najpierw wzięła do ręki garść ziemi, roztała ją w ręce, potem w palcach. Przeszła jeszcze kawałek i z drugiej strony pola znów zrobiła to samo.

– Tak, tutaj proszę nam odmierzyć hektar i z drugiej strony drogi dwa hektary.

– Zawadzka, a co tutaj będziecie siać czy sadzić? – zapytał podchodząc do niej jeden z nowych osadników. – Przecież tutaj woda zawsze podchodzi, nie widzicie tego? – pytał Malwinę, a patrzył na Jana, jakby chciał go przekonać o złym wyborze żony. Jednakże Jan udał, że tego nie słyszy, i poszedł dalej miedzą oglądać inne pola. Zdziwiony osadnik machnął ręką i kręcąc głową

z niedowierzaniem patrzył, jak odmierza się działki dla Zawadzkich. Malwina zaś wiedziała swoje i kazała wytyczyć działki tam, gdzie wskazała.

– Co ci ludzie wyprawiają – mówił zbulwersowany osadnik do mierniczego.

– A co to ciebie obchodzi, człowieku! – nie wytrzymał mierniczy. – Masz swoje pole wytyczone? No, masz? To idź stąd i zostaw ludzi w spokoju! – zachnął się na przeszkadzającego mu w pracy osadnika.

Wścibski człowiek jednak nie zrezygnował i mimo że pozostała ludność wsi poszła już dawno do swoich domów, on uparcie podglądał i stał na polu.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi; wszędzie zdarza się spotkać podłych ludzi – powiedział mierniczy, zwracając się do Jana.

Malwina uśmiechnęła się do geodety.

– To nam nie pierwszyna. On myśli o sobie, nie o nas – zastanawia się, czemu my bierzemy ziemię przy rzece, jak rzeka wylewa. Nie może tego zrozumieć, ale to i dla nas tym lepiej. Niech się troszkę pogłowi i pomartwi.

Tego dnia Zawadzcy mieli wytyczone pięć hektarów pola pod wałami – najżyźniejszej i najlepszej ziemi pod buraki cukrowe i pszenicę. Nazajutrz otrzymali jeszcze parę hektarów pod ziemniaki i żyto, ale to już były pola w innej części gruntów kosarzyńskich, które znajdowały się pod tzw. obserwatozem, jak nazywano wieżę strażniczą przy granicy polsko-niemieckiej.

Ogromną radością dla rodziny okazały się odkryte przez dzieci kopce z kartoflami, które Niemcy skrzętnie poukrywali na skraju wsi pod lasem. Były to spore prostokątne wzniesienia przykryte ziemią, na których leżały jeszcze sterty tataraków, trzciny i kolących gałęzi tarniny. Szperając chłopcy myśleli, że znajdą tam jakieś bunkry, a może skarby pochowane przez uciekających Niemców; tymczasem drążąc w ziemi, dotarli do kiełkujących kartofli. Najpierw zawiadomili o swym znalezisku babcię, a potem pobiegli do cioci, która zrzucała ze strychu siano dla krowy.

Maria nie mogła wprost uwierzyć w takie szczęście.

– Co my mamy robić? – zastanawiała się. – Sami wszystko zabierzemy? Tak nie można. – Weźmy, ile nam trzeba i jeszcze trochę, ale potem powiadomijmy ludzi; niech też przychodzą po ziemniaki, co, mamó? – radziła się matki.

Malwina kazała brać wózek i ładować nań tyle kartofli ile się da, a następnie zawieźć je do domu. Potem należy powiadomić ludzi, ale tak,

żeby o kartoflach dowiedział się każdy. – Bo jak się powie tylko jednemu, to ten jeden wszystko zabierze – uzasadniała. I zaczęło się... Chłopcy wozili kartofle na wózku, Maria na taczce, a Malwina zawiadamiała sąsiadów. Kiedy Jan Zawadzki wrócił z łąk do domu, ze zdumienia aż usiadł na schodach.

– No widzisz, babciu, wymodliłaś gdzie trzeba i mamy co jeść – mówił szczerze uradowany.

– Jeść to jeść, ale trzeba sadzić – i to szybko, żeby było potem co zbierać – odpowiedziała Malwina, obierając do ugotowania trochę niemieckich kartofli na spróbowanie.

Jedząc obiad, Zawadzki zastanawiał się, czy by nie przerzucić Niemcom przez Nysę trochę ich kartofli. Malwina aż zaniemówiła na taki pomysł męża, a Marysia na to roześmiała się serdecznie. – Nie mówcie tylko głośno, żeby tego chłopcy nie usłyszeli. Jeszcze gotowi to zrobić. Jan Zawadzki westchnął ciężko i powiedział: „Ja wcale nie żartuję. Jakby moje kartofle ktoś za rzeką jadł, też bym chciał po nie iść i chociaż trochę sobie wziąć”.

Malwina pokręciła głową: „Ale masz pomysły, dziadku”. Jednak kiedy głębiej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że Jan ma rację. Niemcy na pewno przechodzą przez rzekę po swój ukryty tutaj dobytek, mimo straży granicznej. Przecież nie wszędzie są pilnujący żołnierze.

Zawiadomieni przez Zawadzką sąsiedzi z radością wozili niemieckie kartofle do swoich piwnic. Widząc to, Jan zauważył jakby z nutką zazdrości: „Może by jeszcze troszkę wziąć tych ziemniaków? Przecież to ogromne cztery kopce, jeszcze zaczną sprzedawać i zarabiać na tym. A my jak te głupki oddaliśmy za darmo”. Malwina już nie mogła tego słuchać; zawiązała chustkę na głowę i kiwnąwszy na Marysię ręką, wyszła wraz z nią z domu.

– Chodźmy zobaczyć do tych kopców, co tam się dzieje – powiedziała cicho do córki.

Idąc, kobiety już z daleka zauważyły samochód wojskowy i paru żołnierzy. Malwina spojrzała na córkę, na jej piękne włosy. – Mogłabyś ubrać chustkę, żebyś się tak nie rzucała w oczy, Marysiu – powiedziała z niepokojem.

– Oj tam, komu mam się rzucać w oczy. Tyle dziewcząt tutaj chodzi, pewnie za mąż chcą się wydać. Mnie się nie spieszy – beztrąsko odpowiedziała córka. Malwina nic na to już nie odpowiedziała, tylko

pokręciła głową.

Przy kopcach z kartoflami trwała zacięta praca. Wojsko także wybierało ziemniaki do swojej kuchni, wrzucając je do wiader, a potem napełniając nimi worki. W gaziku wojskowym, terenowym jeepie, siedział młody podporucznik, który nie spuszczał z Marysi oczu. Przez chwilę napotkała jego wzrok, ale spłoszona nagle się odwróciła.

Malwina stała i patrzyła na wybierających ziemniaki ludzi.

– Zobacz, Marysiu, ile narodu. Na handel to oni nie wybierają, każdy ma swoją rodzinę do wykarmienia.

– To prawda – przyznała matce rację Maria. – Chodźmy już, mamó – powiedziała nagle szeptem, nachylając się matce do ucha i ukradkiem spoglądając na młodego podoficera. Napotykając na jego wzrok, z wrażenia aż potknęła się o ziemniak leżący przy rozkopanym kopcu. Nie czekając na matkę, poszła prędko do domu, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Za nią przyszła Malwina.

– No i już wszystko jest jasne! Nasze chłopaki nakarmili tymi kartoflami nie tylko osadników, ale także i wojsko polskie! – zawołała głośno, tak żeby i Jan posłyszał. Naprawiający buty chłopcom w drugim pokoju Jan usłyszał słowa żony i przyszedł do kuchni.

– No i ciężar spadł mi z serca, że mają kartofle i wojsko, i ludziska, a nie jacyś handlarze – powiedział i zaraz dodał: „Od jutra bierzemy się za sortowanie i sadzenie”.

– Jasiu, ty obrób najpierw pole. Trzeba je zaorać, żeby posadzić – radziła Malwina.

– Jak znajdę konia, jak znajdę konia i pług – odpowiedział Jan. – Jak nie znajdę, będziemy sadzić pod motykę. Nie ma rady.

Cały następny tydzień rodzina Zawadzkich pracowała nad sortowaniem ziemniaków, obrywaniem kielków i przekrajaniem. Jan zdążył pożyczyć konia i pług od sąsiada, no i pole pod sadzenie kartofli zostało należycie przygotowane.

W przydomowych ogródkach siano pierwsze kwiaty i szykowano ziemię pod warzywa. Gdzieniedzie po podwórkach chodziły już kury i przybywający coraz to nowi gospodarze zapoznawali się, podobnie jak i gospodynie, pożyczając jedna od drugiej i wymieniając się czym tylko można było. Wielkanoc 1946 roku w nowym domu, na nowej ziemi, była skromna, ale nie brakowało jajek malowanych w cebulce czy drożdżowych

bab, upieczonych z mąki przywiezionej zza Buga.

Na stole przykrytym białym obrusem, przed krzyżem stojącym pośrodku wsi, pod ogromnymi topolami, ustawiono święconki, czyli potrawy do poświęcenia. Na furmance przywieziono z Chlebowa księdza proboszcza. Po poświęceniu potraw ksiądz zapoznał się z pierwszymi mieszkańcami wsi i zapisał wszystkich do księgi parafialnej. Nakazywał uczestnictwo we mszy świętej w kościele w Chlebowie, oddalonym od Kosarzyna o dziewięć kilometrów. Przekomarzano się z księdzem, że nie każdy ma wóz i konia. Daleko do kościoła, a ludzie po całym tygodniu pracy są zmęczeni okrutnie.

– Kto może, niech przyjeżdża, a kto nie może, to ja do niego przyjadę – zdecydował ostatecznie ksiądz proboszcz.

Przed świętami Maria wyszorowała podłogi, a wszyscy domownicy zostali wykąpani. Przebrała pościel na łóżkach, umyła okna, a w wazony powkładała pierwsze kwiaty.

## VIII

# Miłość i śmierć

**W** te pierwsze święta Maria zaprosiła sąsiadów, zwłaszcza że poznała dopiero co Kasię, dziewczynę z sąsiedztwa, a swoją rówieśnicę, oraz jej brata Józka. Poczęstowała ich babką drożdżową oraz sernikiem własnego wypieku. Potem poszli wszyscy na spacer. Dołączyła do nich grupka żołnierzy, jeszcze stacjonujących w jednym z domów.

Kosarzyn wypełnił się powojenną młodzieżą. Zaczęły się flirty i powstały pierwsze związki narzeczeńskie. Spośród wszystkich dziewcząt przybyłych do Kosarzyna Maria wyróżniała się urodą oraz inteligencją. Szczupła, piękna dziewczyna o dużych, ciemnych oczach, z rozpuszczonymi, kręconymi włosami, zwracała na siebie uwagę. Już wtedy, kiedy była z matką przy kopcu z ziemniakami, wyczuła, że jest obserwowana. Nie chciała jednak więcej spotkać przystojnego podoficera – wolała towarzystwo kolegów i koleżanek z sąsiedztwa, bała się obcych mężczyzn. Czuła, że mogliby ją skrzywdzić, więc unikała jak ognia ich towarzystwa. Jednak nie mogła uciec z wiejskiej zabawy, na którą przyszła razem ze swoją nowo poznaną sąsiadką. Na tej wiejskiej potańcówce zaprosił ją do tańca ten sam młody oficer WOP, który przypatrywał jej się wtedy przy kopcu z ziemniakami, kiedy tak szybko wróciła do domu.

I tak się to zaczęło – spotkania, bzy, kwiaty, spacer i długie, niekończące się rozmowy. Maj 1946 roku stał się dla nich najpiękniejszym miesiącem w ich życiu. Oboje zakochali się w sobie pierwszą, ogromną i gorącą miłością. Marysia pracowała bardzo ciężko w domu i na polu, czekając

z utęsknieniem na wieczorne spotkanie z ukochanym. Malwina jednak nie pochwałała tego związku.

– To komunista, do kościoła nie chodzi i w Boga nie wierzy! – wyrzucała Marii. – Spójrz na Wojtka Śmiechowskiego – chłopak z naszych stron, Kresowiak, lubi konie i lubi ciebie. Wyjdź za niego, dziewczyno, i będziecie żyli, jak pan Bóg przykazał!

Namawiała Marię na związek z chłopakiem z Wileńszczyzny, a więc ze swojakiem. Wojtek nie pozostawał dłużny Zawadzkiej, nazywając ją mamusią. Wokół Marii zebrał się pokaźny tłumek osób niechętnych wobec jej wybranka – łącznie z Michasiem i Bernasiem, z którymi Wojtek Śmiechowski zawarł porozumienie przyjaźni, pozwalając im od czasu do czasu pojeździć na koniach z wojskowej stajni. Dokuczali więc porucznikowi Władysławowi Sowińskiemu szczerze i mocno – nawet do tego stopnia, że przechodząc obok niego, wydawali nieprzyjemne i nieprzyzwoite odgłosy, utwierdzając go w przekonaniu, że u nich w domu wszyscy tak robią. Dowiedziawszy się o tym, Marysia skręcała się ze wstydu.

Tymczasem zbliżało się lato i zboża na polach zaczęły dojrzewać, szykowano się więc do pierwszych zniw po wojnie. Jan Zawadzki ostrzył kosę i szykował stodołę do przechowywania zboża. Stacjonujące już teraz wojsko w Żytowaniu pomagało przy zniwach ludziom, którzy sami sobie jeszcze nie umieli poradzić. Gospodarze w zamian odwdzięczali się żołnierzom, czym tylko mogli. Gospodynie piekły chleb i bułki. Wieczorami po pracy urządzano kolacje z akordeonem. Pomagali wszyscy sobie nawzajem, chodząc jeden do drugiego wiązać na polu snopki ze zbożem lub pomagać przy młocce.

Pod koniec lipca w południe Jan zasłabł nagle przy pracy w polu. Sąsiad przywiózł go na wozie do domu. Malwina robiła co mogła: biegała wokół niego wraz z Marią, podawała zioła i walerianę. Nic to jednak nie pomagało. Zdecydowano się wieźć ojca do szpitala do Gubina; ale jak? Na furmance? Marysia pobiegła do żołnierza mającego wartę na pasie granicznym, żeby zadzwonił do oficera po pomoc. Kapitan Wrzos, dowódca przygranicznej jednostki WOP w Żytowaniu, podesłał konie wraz z woźnicą, żeby zawieźć chorego do szpitala. Z pomocą sąsiadów i rodziny ułożono Jana na wozie, przykrywając kocami. Woźnicą był Piotrek Wojtkuński, kolega i bliski znajomy Marysi, też przybyły z Wileńszczyzny, a odbywający służbę wojskową w jednostce przygranicznej WOP.



Konie szły powoli po piaszczystej drodze, ciągnąc wóz, na którym ułożono chorego Jana. Maria zaglądała do ojca od czasu do czasu, ale widząc, że ma przymknięte oczy, nie rozmawiała z nim. Niespodziewanie w Żytowaniu przysiadł się do nich oficer. Usiadł z drugiej strony woźnicy i zapalił papierosa.

– Chorego wieziecie? – zapytał, patrząc na leżącego Jana Zawadzkiego.

– Tak – odpowiedział Piotrek

– Coś się stało? Przy żniwach? – wypytywał dalej oficer.

– Przy żniwach. Tak, tak – potwierdziła cicho Maria.

– A skąd przyjechaliście tutaj? – pytał dalej.

– Jak to skąd? Zza Buga – odpowiedziała Marysia i dodała: „Jak wszyscy, jak wszyscy, którzy uciekli od Stalina”.

– Jak to od Stalina? – pytał oficer, coraz bardziej zaintrygowany.

– No, tam już nie ma naszej Polski. Stalin nam zabrał i nas tutaj pozapędzał, aż do Niemców – wyrzuciła z siebie jednym tchem Maria. Wojtkuński nieoczekiwanie szturchnął ją w bok. Na Marysi nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia i ciągnęła dalej.

– Stalin to najgorszy ze wszystkich morderca i gnębiel! Naród rosyjski nie jest zły – podzieli się ostatnim kawałkiem chleba; ale ten ich wódz!

Po tych słowach znów Wojtkuński szturchnął Marię w bok, ale tak mocno, że aż zabolęło.

– Wojtkuński, przestań! – powiedziała Maria na głos, tak żeby i oficer słyszał.

– Przestańcie, Wojtkuński, przeszkadzać, niech panna mówi dalej, co myśli – chętnie posłucham – zwrócił uwagę woźnicy oficer.

Słuchając narzekań Marii na Stalina, na przeprowadzkę, na wojnę, dojechali do Gubina i przed dworcem kolejowym oficer zeskoczył z wozu. Kiedy już oddalił się od nich, Wojtkuński powiedział: „I co panna Marysia dobrego narobiła? Toż to polityczny!”.

– A co mi tam polityczny, prawdę mówiłam! – powiedziała Marysia, spoglądając na ojca. Przechylając się do tyłu, poprawiła mu koc.

W szpitalu w Gubinie, na izbie przyjęć, lekarz wojskowy dokładnie zbadał Jana i kazał zostawić go na oddziale wewnętrznym. Zaniepokojona Maria zapytała doktora wprost: „Panie doktorze, proszę powiedzieć, co ojcu jest? Czy bardzo chory?”

– Chory, panienko, serce. Zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił.

Marysia, siedząc przy szpitalnym łóżku ojca, patrzyła na niego i głaskała go po ręce.

– Będzie dobrze, tatusiu, zdrowiej nam. Jest na oddziale dobry lekarz, on ci pomoże, ja to wiem – mówiła ze łzami w oczach, całując rękę ojca.

– Dobrze, dobrze Marysiu. Tylko tak zaniemogłem w same żniwa – tłumaczył się Jan cichym, zgnębionym głosem.

– Zaniemogłeś, bo się przepracowałeś; za dużo, tatusiu, za dużo. Ale teraz już niczym się nie martw, tylko wracaj nam zdrowy. Tyle razem przeszliśmy! Pamiętasz ścinę drzewa w lesie, jak nam żołdat ruski zabrał dokumenty i nie chciał wypuścić? A podróż, wagony, pamiętasz? A krowę, jak prowadziliśmy razem i mnie oszukiwałeś, że już blisko, a wcale nie było blisko? Trzymaj się dzielnie. Jutro przyjadę – mówiła Marysia, a powstrzymywane nadaremnie łzy i tak spływały jej po twarzy.

– Nie przyjeżdżaj, córciu! Ja się tu będę wylegiwał, a wy tam same w te żniwa musicie sobie radzić? Zmogło mnie, jestem jakiś bez sił – tłumaczył się Jan przed córką.

– Dobrze, nabieraj siły i o nic więcej się nie martw – mówiąc to, pocałowała ojca i pomału wyszła ze szpitalnej sali na korytarz. Przystanąła w drzwiach i pomachała mu ręką, uśmiechając się przez łzy.

W drodze powrotnej jakoś już nie chciało jej się rozmawiać z Wojtkuńskim. Widząc to, Piotrek też się nie odzywał, ale będąc już blisko domu, zapytał: „Z ojcem bardzo źle?”.

– Źle, Piotrek, jeszcze nigdy go takim nie widziałam, jak żyję. Nigdy! – powtórzyła drżącym głosem.

Żołnierz pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział: „Gdyby Panna Marysia potrzebowała pomocy jakiej, to ja chętnie pomogę”.

Maria spojrzała na niego, na jego połowy mundur, i powiedziała: „Dziękuję ci, Piotrek; nawet nie wiesz, jak mi już pomogłeś – że jesteś taki tutaj, taki swój i dobry kolega”.

Na tą pochwałę od dziewczyny przejęty bardzo Piotrek, poprawiając żołnierską czapkę na głowie, krzyknął na konie: „wioo...”, jakby te były nieposłuszne i powolne.

W domu Maria opowiedziała matce wszystko ze szczegółami. Obie postanowiły, że Maria pojedzie do ojca na trzeci dzień, żeby poprzedniego dnia nie tracić, bo przecież pogoda jest i trzeba wiązać snopki na polu. Ale na trzeci dzień rano Maria znalazłszy się w szpitalu z prowiantem dla ojca, nie

zastała go na tym samym łóżku, na którym go zostawiła. Zaczęła więc iść korytarzem i zaglądać do każdej z sal, szukając go wzrokiem. Idąc tak, napotkała lekarza, który widząc ją, przystanął i podszedł do niej.

– Pani przedwczoraj przywiozła ojca do szpitala?

– Tak – odpowiedziała Marysia, oczekując ze strachem, co lekarz jej powie.

– Proszę wejść do mojego gabinetu – otworzył jej drzwi, żeby ją wpuścić.

Lekarz patrząc jej w oczy powiedział: „Bądź dzielna dziewczyno; twój ojciec wczoraj w nocy zmarł nagle na atak serca”.

Maria patrzyła na niego przez chwilę, jakby nie rozumiejąc słów, które usłyszała. Lekarz nalał do szklanki wody i podał jej. Marysia nie tknęła wody, tylko spokojnie zapytała: „Gdzie teraz jest mój tata?”.

– Leży w przyszpitalnej kostnicy – odpowiedział lekarz. – Zaprowadzę cię tam.

– Nie trzeba, pójdę sama – odpowiedziała, biorąc od lekarza podany jej druk, na którym widoczny był napis: „Świadectwo zgonu”. Chwilę stała przy ojcu, który leżał na katafalku. Patrzyła na niego i miała wrażenie, że śpi; ale kiedy dotknęła jego ręki – tej samej, którą całowała jeszcze niedawno – poczuła chłód. Dłoń ojca była zimna i nieruchoma. Mimo wszystko pogłaskała ją i nagle ogarnęła ją przeraźliwa rozpacz.

– Coś ty, tatusiu, zrobił? Jak ja sobie teraz poradzę? Boże mój jedyny... – rozpląkała się i rozżaliła w tej zimnej kostnicy bez świadków, bez żywych ludzi. To wyzwoliło z niej ból i żal, że nikt tego jej bólu nie widzi i nie słyszy. – Dlaczego? Przecież w tym lesie byłeś taki silny, tatoo... Taki strasznie silny i odważny. I teraz, kiedy wreszcie dojechaliśmy i mamy swój dom, ty umierasz, umierasz...

Jej ciche, rozpaczliwe łkanie zostało przerwane nagłym otwarciem drzwi, w których pojawił się ten sam lekarz, który z nią rozmawiał.

– Pomóc ci w czymś? – zapytał, patrząc w jej zapłakane oczy.

Niee – zdołała wykrztusić, ale po chwili zapytała cicho: „Czy można stąd zadzwonić?”.

– Tak – chodź na portiernię i powiesz dokąd, to portierka zadzwoni – powiedział lekarz.

Wychodząc z kostnicy, ostatni raz pogłaskała ojca po rękę i wyszła za lekarzem. Z przyszpitalnej portierni powiadomiono porucznika Sowińskiego, że Jan Zawadzki z Kosarzyna zmarł nagle w szpitalu i jego córka Maria prosi

o pomoc.

16 lipca 1946 roku na cmentarzu w Gubinie pochowano Jana Zawadzkiego, pierwszego powojennego repatrianta, przybyłego z odległej Wileńszczyzny. W samo upalne lato, w pierwsze po wojnie żniwa, ojciec znikł na zawsze z życia rodziny. Maria została sama jako główny żywiciel i opiekun całej rodziny, wraz z chorowitą matką, Piotrkim i trójką chłopców.

Los rodziny Zawadzkich był wkrótce znany w okolicy, przyjmowała więc z pokorą i wdzięcznością każdą pomoc. Była wdzięczna za to, że jest przy niej Władek, który bardzo pomógł jej przy pogrzebie ojca. Ale jesienią Władek nagle wyjechał, skierowany przez dowództwo do WSO – Wyższej Szkoły Oficerskiej w Poznaniu. Straciła z nim kontakt.

Maria zaczęła chodzić na grzyby, których całe kosze przynosiła do domu i w piecu chlebowym suszyła. Prawdziwki – dorodne, z białymi kapeluszami – suszyła nanizane na cieniutkie druciki i ułożone na specjalnych saniach wsuwanych do pieca chlebowego. Po wysuszeniu zdejmowała je z drucików i poprzez otwory pozostałe po nich przeciągała grubą, bawełnianą nitkę. W ten sposób powstawał wianuszek pachnących, ułożonych od największego do najmniejszego przepięknych prawdziwków, po które późną jesienią przyjeżdżali do wsi handlarze.

Pewnego razu na początku września, wracając z grzybów, zobaczyła przed domem wojskowy gazik. Myśląc, że to przyjechał Władek lub któryś ze znajomych żołnierzy, pospiesznie przebiegła przez podwórko, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Zostawiając koszyk pełen grzybów w letniej kuchni, przedziutko wbiegła po schodach do domu i skierowała się wprost do środkowego pokoju, który był pokojem dla przybyłych gości. Jednakże wchodząc, stanęła jak wryta. Za stołem siedział nieznany kapitan, który zadawał pytania Malwinie, a jej odpowiedzi zapisywał w zeszycie.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało, patrząc na oficera i na matkę.

– Dzień dobry – odpowiedział kapitan i podziękował Malwinie, mówiąc: „To my sobie teraz porozmawiamy z córką”.

Maria usiadła na krześle naprzeciwko kapitana i czekała, co tamten powie. Kapitan poczekał, aż zamkną się drzwi za wychodzącą z pokoju Malwiną, i zapytał, patrząc badawczo na Marię: „Panna Maria Zawadzka?”.

– Tak – odpowiedziała odważnie Maria, patrząc na kapitana.

– Panna jechała w lipcu wozem przez Żytowań?

– Taak – skojarzyła pytanie Marysia. I zaraz też prędko dodała:

„Wieźliśmy chorego ojca do szpitala. To znaczy na wozie, które pożyczyło nam wojsko. Ale nie można było mu pomóc; tata zmarł na zawał serca”.

– Bardzo to przykre – zauważył oficer. – Ale chciałbym zapytać panienkę, co panienka wtedy mówiła, jadąc na tym wozie, i do kogo?

Maria spłoniła się i aż spociła. Przypomniały jej się słowa Wojtkuńskiego: „I co panna Marysia dobrego narobiła? Toż to polityczny”. Teraz, patrząc odważnie na oficera, powiedziała: „Nic takiego nie mówiłam. Nikogo nie obgadywałam, broń Boże. Tak tylko sobie rozmawialiśmy z panem oficerem, który usiadł obok woźnicy z drugiej strony”.

– Hm – mruknął kapitan. – A o czym była mowa – niech panna Marysia spróbuje sobie przypomnieć? – nalegał.

Po chwili milczenia i namysłu Maria nie wytrzymała i rozplakała się.

– Mówiłam tylko to, co mówią wszyscy.

– Jacy wszyscy? – nacierał kapitan.

– Noo, wszyscy sąsiedzi, rodzina.

Nagle zamilkła, otarła łzy i powiedziała cichym głosem: „Umarł mi ojciec. Mama jest chora, mam na wychowaniu trzech chłopców, dzieci mojej nieżyjącej siostry. Jestem uczciwym człowiekiem. Nic złego ani nie zrobiłam – ani nie ukradłam, ani nikogo nie skrzywdziłam”.

Oficer nic nie odpowiedział. W pokoju nastąpiła cisza – taka sama, jak w całym domu – aż Marysia rozejrzała się, co to się stało, że nawet Antosia nie słyhać. I nagle spod drzwi sypialni chłopców dał się słyszeć rumot upadającego taboretu. Jak się później okazało, Antoś wraz z babcią podsłuchiwali przesłuchanie Marysi przez oficera politycznego.

Oficer, słysząc to, wstał z krzesła i powiedział: „Do widzenia, panno Mario. Niech już panna nic nikomu nie opowiada. Kłaniam się; jestem kapitan Wrzos, i zostałem oddelegowany, żeby pannę przesłuchać”.

– Do widzenia – odpowiedziała zaskoczona Maria.

Kapitan spojrzał na nią spod oka, uśmiechnął się i wyszedł z pokoju, a potem z domu. Marysia patrzyła za nim, jak wsiada do wojskowego gazika, a potem odjeżdża.

– Marysiu, co ty nagadałaś i komu? – wchodząc do pokoju, matka zarzuciła ją pytaniami.

– Jaa? Eee, nic takiego. Jak wieźliśmy tatę na wozie z Wojtkuńskim, przysiadł się do nas jakiś oficer w Żytowaniu i tak sobie gadaliśmy. Wtedy ja powiedziałam, że Stalin to morderca i najgorszy z ludzi.

– Widać tak teraz nie wolno nam mówić – pokiwała głową matka, sama nie wiedząc, czy to mówienie jest złe, czy może dobre. – A kto to ich wie, tych politruków, co oni chcą od nas, od zwykłych ludzi. Przecież przyjechaliśmy do naszej Polski, do jedynej Polski, a Stalin to przecież, jakby nie było, Ruski jest – rozmyślała Malwina po swoim.

Wizyta oficera politycznego i przesłuchanie Marii pozostawiły jednak w rodzinie pewien niesmak, ślad do namysłu i ostrożności w wypowiedaniu swoich słów i opinii na temat władzy.

Nazajutrz, chodząc za grzybami w lesie, Marysia cały czas rozmyślała o przesłuchaniu. Przestraszyła się nie na żarty. Boże, jeszcze mnie zamkną – myślała z trwogą. Co by się wtedy stało z mamą i dziećmi? Jeszcze długo po tej wizycie wpadała w panikę, ilekroć dał się słyszeć przed domem silnik samochodu. Jednakże w końcu pozbierała się jakoś i nadal chodziła na grzyby, które stanowiły dla jej rodziny jedyny dopływ gotówki na zakup najpotrzebniejszych rzeczy dla dzieci i domu.

## IX

# Deresz z Unry

**P**rzesłuchanie prowadzone przez kapitana Wrzosa było dla Marii nie tyle upokorzeniem, co wstydem. Nikt nigdy jeszcze tak jej nie upokorzył za coś, co wydawało jej się najzwyczajniejsze w świecie. Nie wydawało jej się zupełnie, żeby popełniła jakieś przestępstwo czy obraziła kogokolwiek, a zwłaszcza Stalina, który był przecież Ruskiem, jak go określiła Malwina.

– Boże, a jak to się wszystko doniesie do Władka? – aż skręcała się ze wstydu. Jednak jej przygnębienie nie mogło trwać długo, ponieważ w połowie września przyszedł do Zawadzkich sołtys z radosną nowiną.

– Przydzielają konie z UNRY! – zawołał, wchodząc na podwórko. – Niech panna Marysia zbiera się i jedziemy do Gubina! Cały transport koni wyładowują na stacji! – sołtys tak był uradowany nowiną, że cały czas gadał i śmiał się.

Sołtysowa radość udzieliła się i Marysi. Podeszła do niego uśmiechnięta i powiedziała: „Cieszę się oczywiście, ale nie znam się na koniach; może niech jedzie Michaś, najstarszy nasz chłopak – zaproponowała. – Tylko proszę, żeby go tam sołtys przypilnował, bo to jeszcze dzieciak jest” – uśmiechnęła się.

– Michaś to już nie dzieciak, ale oczywiście służyć radą, jak najbardziej – obiecał. – Niech się zbiera i przychodzi szybko na plac. Tam mamy zbiórkę wszystkich i jedziemy w trzy furmanki! – odchodząc, mówił podekscytowany sołtys.

Maria pozostawiła nieobrane ziemniaki w misce i pobiegła z nowiną do

matki. Malwina ucieszyła się.

– No widzisz, nie same złe nowiny i wydarzenia nas spotykają. Pan Bóg czuwa nad nami, Marysiu – powiedziała i od razu zmartwiła się. – Ale gdzie szukać Michasia?

Maria wiedziała, gdzie go szukać – pobiegła nad jezioro, na rybacką przystań, i z daleka, machając ręką, zawołała go. Michaś ją zobaczył z łódki, bo też jej pomachał. Usiadła nad brzegiem jeziora i czekała na niego, dopóki nie przyплыł do brzegu, razem oczywiście z rybakiem od Roszaka, któremu pomagał wyciągać sieci z jeziora.

– Chodź prędko! – wołała, kiedy dobijał do brzegu.

– Coś się stało? – zapytał.

– Tak, dostaliśmy konia z Unry – odpowiedziała szybko. Michaś aż podskoczył.

– Ale fajnie, wracam na koniu – mówił tak samo szybko, jak szedł za nią po wąskiej ścieżce przez las.

– Tylko nie wariuj! Zachowuj się! – napominała. – Uważaj, nie daj sobie wepchnąć jakiejś starej szkapy, żeby mi ciebie nie nabrali! Będą może próbować, boś młody, ale ty masz swój rozum i myśl! – spojrzała na niego ostro. – Słuchaj sołtysa, wydaje mi się ludzki człowiek, ale kto go tam wie, jakie on ma myśli, może to jaki „farbowany lis” jest?

– Oj, ciociu, ale ty się boisz! Koń to koń, jaki jest, wszyscy widzą! – powiedział i omijając ją, pobiegł pierwszy.

– Napij się i biegnij na plac, tam jest zbiórka! – zawołała za nim Maria. Żeby było szybciej, przeszła przez sąsiedzkie podwórko i weszła na swoje. Widząc matkę w letniej kuchni, usiadła zmęczona na schodach.

– Noo, zdążyłam, Michaś przyprowdzi konia – powiedziała tak, żeby i Malwina słyszała.

Michaś zdążył się zabrać w ostatniej chwili, jak już „delegacja” kosarzyńska na czele z sołtysem miała ruszać. Wskoczył na wóz, gdy ten już jechał. Usiadł pomiędzy mężczyznami, opierając się o burtę wozu, i słuchał, o czym rozmawiają. Jeden z mężczyzn – Mieckiego, też osadnik z Wileńszczyzny, jak i Zawadzcy – spojrzał na Michasia i powiedział: „Wam to potrzebny jest koń do pracy, silny, żeby pola porała. Nie bierz, Michasiu, jakiegoś zgrabnego wierzchowca, bo takie konie to słabe są do pługą” – pouczał.

Michaś nic się nie odzywał, ale wziął sobie słowa Mieckiego pod



rozważę. Kiedy grupa kosarzyńska dojechała już do stacji, sołtys zrobił zbiórkę i nakazał trzymać się razem przy wybieraniu koni, żeby jeden drugiemu doradził szczerze i po sąsiedzku. Stanęli więc wszyscy zgodnie w kolejce. Konie biegały po dużym placu luzem, więc można było je oglądać i wybierać. Michasiowi spodobał się duży, masywny koń pociągowy, chodzący sobie obok stada spokojnie i dostojnie, podczas kiedy inne konie biegały spłoszone, tłocząc się i ściskając. Podszedł do sołtysa i wskazując na konia, powiedział: „Już wybrałem, nie mam co tutaj przebierać. Jak mogę go wziąć, to biorę tego dużego deresza z czarną grzywą” – pokazał sołtysowi palcem, gdzie koń stoi. Sołtys niewiele myśląc podprowadził go do komisji unrowskiej i przedstawił sprawę. Przewodniczący komisji unrowskiej spisał, komu oddaje konia, i w taki oto sposób amerykański koń znalazł się w rękach Michasia. W towarzystwie sołtysa i przedstawiciela Unry Michaś wszedł na plac i po chwili trzymał już konia za uzdę, głaszcząc go po pysku.

– Jak go będziesz transportował? – zapytał unrowiec.

– Wsiądę na niego, ale muszę na coś wejść, bo nie wskoczę, duży jest – powiedział Michaś, przypatrując się koniowi.

– No to chodź pod platformę, tam ci go potrzymamy – powiedział unrowiec.

– Panie, a nie dziki on? Nie zrzuci chłopaka? – zatroszczył się sołtys.

– Tyle wiem co i pan, ale sądząc po wyglądzie, to nie wygląda mi na rozbrykanego mustanga, chociaż i takie tutaj mamy.

Po chwili koń stał spokojnie przy platformie wagonowej, a Michaś natychmiast znalazł się na jego grzbiecie, głaszcząc go po szyi i klepiąc. Potem złapał za wędzidło przy pysku i delikatnie obrócił jego głowę w kierunku, gdzie mieli jechać. Koń wykonywał jego polecenia bezbłędnie i bez żadnego oporu. Nie wybiegł galopem z placu, jak większość zabranych koni, ale po prostu wyszedł spokojnym marszem.

Sołtys z podziwu aż pokręcił głową. – Może on jaki stary jest, że taki powolny? – spytał unrowca.

– Nie stary, ale to taki ciężki typ, pociągowy. To silne konie, do pracy, specjalnie hodowane. Nie bójcie się, sołtysie. Rodzina będzie zadowolona, jeszcze mnie wspomnicie – uspokajał unrowiec.

W taki oto sposób Michaś jako pierwszy ze wsi przyjechał wierzchem do Kosarzyna i wjechał na podwórze przez otwartą bramę. Widząc konia, obie kobiety – Malwina i Marysia – i chłopaki stanęli zdumieni pod ścianą kuchni

letniej. Babcia jak zwykle w takich zjawiskowych, niecodziennych przypadkach, widząc tak olbrzymiego konia, przeżegnała się. Maria założyła sobie ręce na piersiach i patrzyła zaskoczona, tak jak i reszta rodziny. Po chwili powiedziała: „Ja do niego nie podejść. Za wielki jest...”.

– Ciociu, zobacz, jaki on jest, łagodny jak baranek. Jest wielki, ale za to robotny i silny – przekonywał Michaś i ciocię, i babcię, i siebie. Po chwili zsunął się z niego i poklepał go po szyi. Następnie przyniósł wodę w wiadrze i zaczął go poić. Maria, przełamując opór, podeszła bliżej za Piotrkim, który był śmielszy i już stał przy Michasiu.

– Teraz go nie ruszajcie, bo pije wodę, potem możecie go pogłaskać – pouczał Michaś wszystkich obecnych i przyglądających się.

Kiedy koń się napił, Maria zauważyła: „Noo... a teraz przydałoby się dać mu coś jeść. Ale co? Co konie jedzą?” – zapytała, patrząc na Malwinę.

– Obrok – odpowiedziała Zawadzka i zaraz dodała: „Owies najlepszy, ale skąd go wziąć? Na razie siano, a potem trzeba jechać do łomowskich gospodarzy i kupić z worek owsa na początek.

– Zaprowadź go, Michasiu, do tej środkowej stajni i przywiąż mocno do żłoba, jak on taki silny – żeby nam się w nocy nie zerwał i stajni nie rozwalił – powiedziała z troską Maria.

– Nałóż mu siana do żłoba – dodała babcia i poszła po schodach do domu. Marysia podążyła za nią. Przy koniu zostali sami młodzi mężczyźni i mały Antoś, któremu Michaś pozwolił pogłaskać konia po pysku.

Cała rodzina przy kolacji o niczym innym nie rozmawiała tylko o Dereszu – tak go nazwał Michaś i tak już zostało. Pomału przyzwyczajano się do niego i chłopcy wyprowadzali go ze stajni, żeby z nim pochodzić po podwórku. Michaś spróbował zaprzęgać go też do wozu.

W miesiąc po jego przybyciu do Zawadzkich przyszła sąsiadka z prośbą, czy by można było wynająć ich konia na wyjazd po zakupy do miasta, bo szykuje się w sąsiedztwie wesele. Taka prośba od sąsiadów? Jak tu odmówić, chociaż nikt nie jeździł jeszcze Dereszem do miasta. Rodzina zgodziła się z ociąganiem i obawą, ale Malwina zaproponowała, że Michaś pojedzie z sąsiadami, bo już z koniem jest zapoznany, a powozić będzie sąsiad, bo jest starszy i bardziej doświadczony.

Rano skoro świt wyruszyli do miasta. Michaś z sąsiadem siedzieli na pierwszej ławce na wozie, a z tyłu usiadła sąsiadka. Jechali, rozmawiając sobie spokojnie o tym i owym. Sąsiadka wypytywała Michasia: „Czy kawaler

o żeniaczkę nie zamyśla, bo dużo ładnych dziewcząt do Kosarzyna najechało się, a coraz to ładniejsze przyjeżdżają”. Michaś odpowiedział, że tak, i owszem, zamyśla, ale najpierw musi szkołę skończyć i wojsko odsłużyć, a to jeszcze trochę musi potrwać.

– A nie ma kawaler już jakiej na oku? – nie dawała za wygraną ciekawska kobieta.

– Noo... może i mam... i nie dokończył zdania, kiedy nagle na drodze, którą jechali, zerwał się wiatr tak silny, że poniosł leżącą na drodze gazetę wprost pod kopyta konia, a potem na głowę, zakrywając mu oczy. Koń wspiał się kopytami całą wysokością w górę, a potem rozciągnął się jak na wyścigach i leciał bez opamiętania, trzymany za lejce z całych sił przez sąsiada. Biegł na oślep, zbaczając z drogi, i parł naprzód po polach w kierunku Nysy Łużyckiej. Jedną z dwóch trzymany przez sąsiada lejc urwała się nagle, a druga, mocno trzymana, naprowadzała konia wprost do rzeki. Będąc już bardzo blisko niej, wóz zahaczył o betonowy słup graniczny i wywrócił się, a spieniony koń zatrzymał się w miejscu, rżąc i prychając, przestępując z nogi na nogę. Sąsiad, sąsiadka i Michaś wyczołgali się z przewróconego wozu i usiedli na trawie. W taki oto sposób poznano możliwości Deresza z UNRY.

Długo to trwało, zanim wszyscy doszli do siebie – i koń, i sąsiad, i sąsiadka, i Michaś. Kiedy już się wszyscy uspokoiłi i powrócili na swoje miejsca, nie chciało im się jechać dalej po zakupy. Zawrócili z drogi do domu i bardzo ostrożnie z powrotem wracali.

To był tylko jednorazowy wybryk konia, zupełnie niezależny od niego. Resztę swojego życia ciężko przepracował na polach i łąkach – najpierw u Zawadzkich, potem u Kozińskich i jeszcze w kołchozie. O przygodzie z Dereszem jeszcze długo rozmawiano przy różnych weselach, spotkaniach i biesiadach kosarzyńskich. Niejeden raz w swoim życiu woził on później ludzi z Kosarzyna do miasta po zakupy, na targ, do lekarza i szpitala. Z biegiem czasu przestano się już bać jazdy furmanką z Dereszem – ale od czasu do czasu spoglądano przezornie na drogę, czy aby przypadkiem nie leży na niej jakaś porzucona gazeta lub papier.

## X

# Pierwsze Boże Narodzenie w nowym domu

**P**o raz pierwszy w nowym domu miała miejsce choinka – bez ojca. Była pięknie ubrana – znalazły się na niej i malutkie czerwone jabłuszka od sąsiadów, jakieś gwiazdki i aniołki jeszcze poniemieckie, bombki i świeczniki pod świeczki, i same świeczki, i jeszcze parę cukierków. Stół wigilijny był skromny, ale nikt nie był głodny, bo pierogów z kapustą i grzybami było dość. Był też barszczyk czerwony z uszkami i ryby z jeziora. Sernik upieczony przez Marię leżał nakrojony w dużym półmisku pośrodku stołu, co bardzo cieszyło chłopców, ponieważ w te święta mogli jeść, ile tylko zdołali. Marii bardzo zależało, żeby wszyscy domownicy byli radośni i szczęśliwi, mimo braku dziadka. Bała się tylko o cukierki na choince, bo było ich bardzo mało i nie chciała, żeby przedwcześnie znikły; więc wieczorem, kładąc się spać w drugim pokoju, gdzie też spała mama, nasłuchiwała przez ścianę, czy który się tam nie zakrada. Prawie zapadając w sen, usłyszała jednak skrzypnięcie drzwi do środkowego pokoju, gdzie stała choinka. Myśląc, że to chłopcy, zawołała: „Odejdź od choinki! Nie ma cukierków!”. W odpowiedzi jednak nikt się nie odezwał, usłyszała natomiast czyjeś kroki, kierujące się wprost do jej pokoju. Nastąpiła cisza, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołała drżącym z przestrawu głosem.

Nagle drzwi się otworzyły i zobaczyła w progu mężczyznę w płaszczu

i kapeluszu, z walizką w ręku. Usiadła natychmiast na łóżku, okrywając się pościelą. Malwina zrobiła to samo.

– Dobry wieczór, Marysiu – powiedział mężczyzna.

– Dobry wieczór, ale kim pan jest? – zapytała, nie poznając Wojtka Śmiechowskiego.

– Wojtek Śmiechowski, właśnie przyjechałem – powiedział ciepłym głosem.

– Matko Boska, Wojtuś! – krzyknęła z radością Malwina. – Marysiu, wstawaj, przywitaj się! Boże! Boże! Wojtuś! Przyjechałeś! – Malwina nie posiadała się z radości. Maria natomiast sposepniała; nie na niego czekała. Jednakże tamten, na którego czekała nie przyjechał – nawet nie napisał – więc żyła nadzieją, że jeśli nie napisał, to może, może przyjedzie...

Tymczasem wstała, ubrała się i zakrzętnęła przy kuchni, przygotowując gościowi poczęstunek. Siedząc naprzeciwko niego w kuchni z rozpuszczonymi włosami, przy lampie naftowej, obserwowała, jak je zrobione przez nią gołąbki. Piła herbatę i od czasu do czasu spoglądała w jego stronę. On, jedząc, nie spuszczał z niej oczu. Po chwili powiedział: „Marysiu, powiedz, czy cieszysz się, że przyjechałem? Bardzo chciałem, ale czy ty się cieszysz?”

– No... cieszę się. A co tam u ciebie? Jak rodzice się mają? Zdrowi? – pytała.

– Pozdrawiają cię. Pytają: „A kiedy nam, Wojtusi, przywieziesz synową? No jedź, jedź synku, po nią! No i jak widzisz, przyjechałem, Maryś!”

– Wojtek, już ci mówiłam: ja nie myślę teraz wychodzić za mąż. Mam pod opieką chłopaków, mamę i ciągle chorującego Piotrka. Po świętach zawiozę go chyba do szpitala. Nie mam czasu na śluby i wesela, Wojtuś!

Po tych słowach Wojtek przestał jeść; pił herbatę i do reszty stracił humor.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nieoczekiwanie przyjechali Alfreda i Leon Bogrecowie. Marysia ożywiła się, co bardzo wpłynęło także i na innych domowników. Nawet Wojtek poweselał od opowiadań Alfredy. Po obiedzie poszli wszyscy na spacer drogą przez Kosarzyn i dotarli do jeziora. Leon szedł z Wojtkiem przodem, a one we dwie z Alfredą z tyłu.

– Alfredo, zróbcie coś, żeby on się odczepił ode mnie – prosiła Marysia.

– Zabierzemy cię! Pojedziesz z nami do Poznania, a on gdzieś tam wysiądzie po drodze i pojedzie do swojego domu. Nie chcesz go? Nie będziesz go miała! Tylko powiedz, Marysiu: czy ty kogoś kochasz? Przecież

mnie możesz powiedzieć! – mówiła Alfreda.

– Kocham, ale nic z tego – on do mnie nie przyjdzie mieszkać, a zabrać mnie stąd też nie może, bo nie zostawię mamy samej z chłopakami!

– No tak... – Alfreda zamyśliła się. – No to co będzie, to będzie, a na razie zrobimy tak, jak ci mówiłam – zgodziła się.

Wracali do domu w dobrych humorach i uśmiechnięci. Alfreda zaraz przedstawiła Malwinie, co zamierzają z Marysią.

– A Piotrek? Miałaś z nim jechać zaraz po świętach do lekarza – przypomniała matka.

– Pojadę, zaraz potem, jak wrócę od Alfredy – przyrzekała Maria.

Nazajutrz po świętach całą czwórkę odwiózł na stację sąsiad. W przedziale wagonu Maria starała się siedzieć jak najdalej od Wojtka. Na dworcu w Poznaniu nastąpiło ich ostateczne pożegnanie. Wojtek poprosił Marysię na kilka słów na osobności.

– Powiedz mi szczerze, dziewczyno: czy ty mnie nie chcesz, czy mam na ciebie czekać? – zapytał wprost, patrząc jej w oczy. – Ja ciebie kocham od dawna, jeszcze w Jurkowie marzyłem o tobie. Jeśli mnie zechcesz, będę cię szanował i będę dbał o ciebie, najlepiej jak potrafię. Jestem sam u rodziców. Będzie ci dobrze ze mną – mówił, głaszcząc jej długie, falujące włosy. – Powiedz mi, czy jeszcze kiedyś mam przyjechać do ciebie i po ciebie. Nie musisz teraz odpowiadać – jeśli nie chcesz, możesz mi napisać w liście, Marysiu moja kochana.

Nie mogła już tego słuchać, tylko odsunęła jego dłoń od siebie i patrząc mu w oczy, powiedziała: „Nie kocham cię, Wojtek. Zapomnij o mnie. Znajdź sobie dziewczynę, która ciebie pokocha, a ty ją. Możesz być mi tylko przyjacielem, tak jak ja dla ciebie. Żegnaj Wojtku!” – i nie czekając na to, co on powie, wskoczyła na schodek pociągu, gdzie Leon podał jej rękę, żeby mogła wejść.

Przesiadali się na pociąg do Piły. Kiedy pociąg ruszył, nie spojrzała nawet na pozostawionego na peronie Wojtka.

Wyjazd do Bogreców był tylko pretekstem dla Marii, żeby raz na zawsze zakończyć znajomość z Wojtkiem, więc na drugi dzień wracała już do domu. Odprowadzając ją na dworzec, Alfreda zapytała ją: „Nie podobał ci się Wojtek, Marysiu? Naprawdę?”.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego? – zapytała Maria.

– No?... – nacierała zaciekawiona Alfreda.

– No, może dlatego, że śmierdzi końmi! – odpowiedziała ze śmiechem Maria.

Po tych słowach obie wybuchły śmiechem, jak za dawnych czasów w Jurkowie.

Maria wracała do domu spokojna; jedna sprawa odeszła na zawsze z jej myśli. Ze stacji kolejowej w kierunku Kosarzyna szła poboczem drogi. Zauważyła przejeżdżający wojskowy gazik, który zatrzymał się i podwiózł ją do Żytowania. Z Żytowania przyszła na piechotkę do domu.

Malwina, widząc ją zmęczoną, nie zadawała jej żadnych pytań, tylko podgrzała rosół i podała, żeby zjadała. Chłopcy oczywiście ogołocili choinkę i pozjadali cukierki, dając Antosiewi tylko jednego, na co musiał naskarzyć i pożalić się. Maria potarosiła go lekko po jego gęstych lokach i poszła do pokoju Piotrka.

– I co, Piotrusiu, trzeba jechać do lekarza i do szpitala, musimy wyleczyć to paskudztwo!

– Boję się – powiedział cicho Piotr, patrząc błagalnie na siostrę.

– No coś ty! Jedziesz się leczyć, a nie umierać! – zawołała wesoło i jakby jakiś cień zawisł jej na ustach. Zamiast się śmiać, posmutniała nagle, głaszcząc brata po twarzy. – Będziemy walczyć! – zapewniała go. – Nie zostawię cię samego, Piotruś! – i nagle nie wiadomo skąd jej oczy napełniły się łzami.

Widząc łzy w oczach siostry, Piotrek odebrał to jako potwierdzenie swej trudnej sytuacji i wtulił głowę w poduszkę. Maria pogłaskała go po ramieniu i powiedziała: „Pojutrze jedziemy do Gubina na prześwietlenie, a następnie do lekarza; potem zobaczymy. Teraz śpij spokojnie i nie martw się”.

Ostatnie słowa mówiła już bardzo cicho, żeby ukryć drżenie głosu. Zostawiła przy jego łóżku palącą się lampkę naftową i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Słyszała jeszcze długo w środku nocy, jak Piotrek kaszlał. Kaszel dusił go i męczył, nie dawał spać innym domownikom. Maria z początku nie spała słuchając, potem jednak zmęczenie przewalczyło myśli i usnęła.

Obudziła się wcześnie rano. W domu było zimno, bo piece dawno już wystygły, więc zarzuciwszy na siebie sweter i spodnie, zabrała się za rozpalanie w tym pokoju, w którym spała z matką. Potem przeszła do kuchni i rozpałała ogień pod blachą, stawiając na nim czajnik z wodą na kawę zbożową i herbatę. W pokoju u chłopców jeszcze nie rozpałała – wiedziała, że i tak jeszcze sobie pośpią. Kiedy miała już ugotowaną kawę, naląła jej

sobie do filiżanki i przysiadła, gdy do kuchni przyszła Malwina.

– Marysiu, idziesz do obory? – zapytała córkę.

– Idę, tylko napiję się ciepłej kawy – odpowiedziała Maria.

– Pilnuj się, dziecko, i nie zachoruj – prosiła, napominając ją, matka.

– Ja nie zachoruję – zapewniła Marysia. – Ale ty, mamó, idź i jeszcze sobie pośpij – poprosiła matkę. – Jak wrócę z obrządku, to sobie porozmawiamy troszkę; opowiem ci, jak było u Alfredy.

– No to jak tak, to i ja się napiję kawy i poczekam na ciebie przy piecu – powiedziała Malwina, rozglądając się za kubkiem.

Marysia po chwili wyszła z wiadrem z domu i skierowała się do obory. Za nią pobiegł pies Finek i kotka Zuzia, czekając na świeże mleko z udoju. Rogata przywitała ich mruzeniem i posłusznie stała, kiedy Maria zaczęła ją doić. Mleko tryskało z wymion wprost do wiadra, tworząc w nim obfitą pianę. Dojąc krowę, Marysia przytuliła się do jej boku tak, że czuła jej ciepło, a obwiązaną chustką głowę wprost oparła o jej brzuch. Po wydojeniu poklepała Rogatą po zadzie i poszła nalać mleka do miski dla kotów i psa. Potem poniosła wiadro do domu, żeby precedzić mleko. Malwina pomagała jej przy cedzeniu, podtrzymując białą, rozpostartą na dzbanie cedziłkę, czyli skrawek tetry przeznaczonej do cedzenia. Po ukończonej pracy z mlekiem Marysia wróciła jeszcze do obory, żeby oporządzić posłanie dla krowy, wygarniając starą ściółkę i nakładając świeżej słomy. Jeszcze narzuciła krowie świeżego siana do żłobu i wyszła, zamykając drzwi na skobel.

Idąc do domu, wstąpiła po drodze do szopki i nabrała sobie drewna na ręce – i taka obładowana, w zaśnieżonych butach, wtoczyła się do kuchni. Zrzuciła drewno przed piecem na cynkową blaszkę i wreszcie usiadła. Tymczasem matka zdążyła już ugotować na mleku przyniesionym przez Marysię zacierek, które jeszcze gorące i parujące postawiła przed nią do zjedzenia. Maria najpierw zdjęła kożuszek, potem sweter, a na końcu umyła w misce ręce i usiadła przy stole. Malwina nic nie mówiła, tylko podkładając do pieca czekała, aż Marysia zacznie mówić.

– Wiesz, mamuś, w jakim domku mieszkają Bogrecowie? – rozpoczęła rozmowę córka. – Nigdy byś nie uwierzyła. Daleko od ludzi, na jakimś pustkowiu. Tam tylko saniami albo wozem można się dostać. Domeczek malutki z małymi okienkami, ale w środku jak w bajce – firaneczki, koroneczki, dywaniki. Co tam Alfreda nie powywieszała! Obok domku szopka, a w niej drewnienko, poukładane jedno na drugim. Porządeczek, aż



miło!

Jedząc zacierki na mleku, Marysia starała się opowiadać mamie jak najdłużej o tym, jak mieszka Alfreda z Leonem, żeby pominąć sprawę wizyty świątecznej Wojtka. Malwina słuchała, słuchała, a na końcu nie wytrzymała i zapytała wprost: „No a Wojtek? Przyjedzie jeszcze kiedy?”.

– Nie przyjedzie, mammo! Nic z tego, nie kocham go i nie wyjdę za niego, koniec i kropka!

Marysiu, to co teraz będzie? Nie masz żadnego kawalera! – wystraszyła się matka. – Tamten wojskowy elegant nawet się nie odezwał, a tobie on się podobał – mówiła zatroskana.

– Mammo kochana! Jak kocha, to się odezwie, a jak nie kocha, to i lepiej, żeby się nie odzywał! Jutro jadę Piotrka ratować do lekarza! To teraz jest najważniejsze! – powiedziała stanowczym tonem Marysia.

– Tak dziecko moje, tak, tak – potwierdziła Zawadzka.

– Zaniosę mu gorącego mleka, bo kaszlał całą noc – powiedziała Marysia i z garnuszka stojącego na piecu przelała mleko do kubka, po czym poniosła je do pokoju dla Piotrka. Kiedy tam weszła, spał. Szkoda jej się go zrobiło, bo wreszcie usnął po ciężkiej nocy, ale mimo to lekko nim potrząsnęła, żeby się obudził.

– Przyniosłam ci mleko, Piotruś – powiedziała cicho. – Podnieś się i wypij – poprosiła. Po chwili uniosła go na poduszce i pomogła mu wypić mleko. Potem okryła go jeszcze z wszystkich stron pierzyną i wyszła.

– Dobra z ciebie dziewczyna Marysiu. Pomagałaś Ewelinie, teraz Piotrkowi i jeszcze dzieci masz na głowie. I ja już ledwie chodzę. Jesteś bardzo ładna i mądra. Szkoda by ciebie było dla jakiejś łachudry wioskowej. Zasłużyłaś na dobrego męża – martwiła się, narzekając, Zawadzka.

– Przyjdzie czas i na to, mammo droga! – zawołała wesoło Marysia.

## XI

# Piotrek

**N**azajutrz wcześniej rano Marysia zabrała się z Piotrkiem i z sąsiadem saniami do Gubina. Byli w przychodni powiatowej jako najpierwsi pacjenci. Doktor Kunicki najpierw osłuchiwał Piotrka bardzo uważnie, opukał, potem kazał mu się ubrać i poczekać w poczekalni. Siedział za biurkiem i pisał Piotrkowi skierowanie na prześwietlenie. Od czasu do czasu spoglądał spod okularów na Marię i nic nie mówił. Nagle wstał i podał jej kartkę ze skierowaniem, pytając: „Kim pani jest dla tego chłopaka?”.

– Siostrą – odpowiedziała cicho.

– Noo, dziewczyno, oby nie było za późno, oby nie było za późno – powtórzył. – No cóż, lepiej późno niż wcale – dodał z namysłem. – Będziemy robić, co w naszej mocy. Teraz idźcie na prześwietlenie, a potem jeszcze raz do mnie ze zdjęciem – przykazał.

Aparat rentgenowski znajdował się w szpitalu, więc tam poszli. Przeszli tylko przez podwórze szpitalne i znaleźli się w piwnicach szpitala, gdzie były jeszcze gabinety lekarzy i rentgen. Usiedli na krzesła i czekali tak jak inni ludzie na swoją kolejkę, kiedy nagle drzwi z pracowni rentgena się otworzyły i pielęgniarka zawołała: „Piotr Zawadzki!”. Marysia wstała z krzesła, mówiąc: „Piotruś, to my, ciebie wołają, chodź!” – i omijając siedzących ludzi, weszli do pracowni. Kręcący się w pomieszczeniu szczupły i zwinny lekarz w białym fartuchu krótko i stanowczo rozkazał: „Proszę się rozebrać!”. Marysia natychmiast pomogła bratu zdjąć kurtkę i sweter, a potem rozebranego do pasa podprowadziła aż do miejsca, gdzie miał mieć

zrobione zdjęcie. Po wszystkim kazano im czekać w poczekalni.

Maria, pomagając ubrać się Piotrkowi, spoglądała przez drzwi na minę lekarza, próbując odgadnąć, co też zobaczył on w Piotrkowych płucach. Na wynik nie czekali długo. Po piętnastu minutach pielęgniarka podała Marii w dużej, szarej kopercie kliszę rentgenowską.

– No, wreszcie mamy! Teraz do lekarza!

Przed gabinetem doktora Kunickiego Piotrek dostał ataku kaszlu – tak silnego, że chwilami wydawało się Marii, że się udusi. Podtrzymała go, kiedy kaszłał, i dawała herbatę z buteleczki, żeby pił. Doktor ich usłyszał, bo nie zważając na czekających pacjentów, kazał im wejść do gabinetu.

– Proszę dać mi zdjęcie – spojrzał na Marię, która bez słowa podała mu kopertę. Wyjął kliszę z koperty, podszedł do okna, podniósł do góry i zaczął oglądać pod światłem dnia. Dość długo to trwało, zanim odłożył kliszę na biurko. Po chwili jednak wskazał Marysi krzesło i powiedział: „Są wyraźne zmiany, to nie ma wątpliwości. Chłopak jest wycieńczony – musi zostać w szpitalu i od razu podjąć leczenie. Czemu tak późno przyjechaliście?”.

Marysia na te słowa spuściła głowę i nic nie odpowiedziała. Lekarz spojrzał na nią i widząc, że dziewczyna jest bliska płaczu, złagodniał i zapytał: „Jakie jest imię chłopca?”.

– Piotrek... Piotr Zawadzki – poprawiła prędko.

– Zawołaj no tego Piotrka.

Kiedy Piotrek przyszedł, lekarz kazał mu się położyć na kozetce i podciągnąć sweter. Jeszcze raz dokładnie go zbadał i powiedział: „Zostajesz, chłopcze, w szpitalu! Będziemy wyganiać z ciebie choróbsko! Tyle pracy mamy po tej wojnie – musisz się wyleczyć i brać się do roboty!”.

Piotrek spojrzał na Marysię ze łzami w oczach, ale nie było rady – doktor był stanowczy. Oboje, Piotrek i Marysia, patrzyli, jak doktor Kunicki wypisuje Piotr-kowi skierowanie do szpitala na oddział.

– Pójdziecie teraz do dyżurki pielęgniarek i podacie im to skierowanie. One już dalej powiedzą, co robić. Ja będę miał obchód wieczorny to zajrzę do ciebie, chłopaku. Nic się nie bój, tam na sali leży jeszcze takich paru jak ty. Nie będziesz sam.

Ostatnie zdanie doktor Kunicki powiedział bardzo ciepło, jakby na pocieszenie. Marysia podziękowała lekarzowi i wyszli z gabinetu na korytarz. Szli wolno długim szpitalnym korytarzem i Piotrek co rusz wycierał oczy rękawem, a kiedy zauważyła to Maria, natychmiast podała mu

chusteczkę.

– Masz, Piotrusiu, chustkę; powycieraj oczy i nie bój się. Ja będę przyjeżdżała do ciebie. Może i Antosia czasami przywiozę, jak pozwolą. On tak za tobą jest, chyba najbardziej ze wszystkich.

Na te słowa Piotrek uśmiechnął się.

– Strugałem mu procę na wróble, ale nie dokończyłem. Daj mu ją, leży schowana pod schodami do domu, niech sobie sam dokończy.

– Dobrze, jeszcze niejedną procę zrobisz, tylko teraz musisz się wyleczyć – powiedziała Maria, głaszcząc go po ramieniu.

Weszli do dyżurki pielęgniarek. Marysia powiedziała „dzień dobry” i podała kartkę ze skierowaniem napisanym przez lekarza. Jedna z sióstr uśmiechnęła się ciepło i zwróciła się do Piotrka: „Proszę, chodź się przebrać i zostawić swoje rzeczy”.

Piotrek spojrzał na Marysię, która wzięła go za rękę i poprowadziła za pielęgniarką. Wszyscy razem weszli do łazienki. Pielęgniarka wyjęła z szafki piżamę i podała Piotrkowi.

– Masz i przebierz się. Potem przyjdź do dyżurki, zaprowadzę cię na oddział.

– Ja pomogę mu się przebrać, jestem siostrą – szybko powiedziała Marysia, patrząc na pielęgniarkę.

– Dobrze – zgodziła się siostra. – Ja jestem siostra Teresa, mam dzisiaj dyżur – wyjaśniła. – Zwracajcie się do mnie, jak coś będzie wam potrzeba – powiedziała ciepło i wyszła z łazienki.

Piotrek został w szpitalu, w sali z trzema innymi mężczyznami. Na pożegnanie Marysia powiedziała mu, że codziennie będzie się dowiadywać o niego, dzwoniąc do doktora od żołnierza z pasa granicznego. Wracła do domu już spokojna, że Piotrek jest w dobrych rękach – bowiem doktor Kunicki zdążył już zasłynąć w okolicy jako bardzo dobry lekarz i człowiek.

Maria codziennie dzwoniła do doktora z pasa granicznego. Dzień przed sylwestrem 1946–47 dowiedziała się, że trzeba Piotrka zabrać ze szpitala w Gubinie, ponieważ specjalne konsylium lekarzy po wnikliwej naradzie zdecydowało, że Piotrka należy umieścić w specjalistycznym szpitalu chorób płuc w Gnieźnie. Pojechała po niego saniami z sąsiadem i przywiozła go na razie do domu, żeby pobył ze wszystkimi, witając Nowy Rok 1947.

Tymczasem w wiejskiej świetlicy szykowano zabawę sylwestrową. Powojenna młodzież, przybyła tak jak i Marysia z Kresów, poznawała się

i zaprzyjaźniała. Kasia, już wcześniej poznana najbliższa sąsiadka Marysi, i jej brat Józek oraz inna młodzież, z zapalem przystrajali świetlicę do zabawy tanecznej. Marysia nawet tam nie zajrzała – pochłonięta pracą w domu i w gospodarstwie, problemami zdrowotnymi mamy i Piotrka, w żałobie po ojcu, nawet nie myślała o tańcach. Czekala ją ciężka, stresująca wyprawa z Piotrkim do Gniezna. Tak więc pracowała w gospodarstwie, w domu, w kuchni, gotowała, prała, prasowała i szykowała brata do podróży.

Pewnego razu, kiedy wieczorem wracała z wiadrem pełnym mleka z obory do domu, usłyszała na korytarzu rozmowę dochodzącą do niej z pokoju środkowego. Malwina wyraźnie rozmawiała z obcym mężczyzną – w środkowym pokoju... a to oznaczało, że w domu Zawadzkich pojawił się gość. Mężczyzna! Przystanęła i zadrżała – usłyszała głos Władka! Jej Władka! Ukochanego i tak oczekiwanego! Z przestachem, z szalonym biciem serca weszła cichutko do kuchni i postawiła wiadro z mlekiem na szafce kuchennej. Ściągnęła z nóg filcowe buty i delikatnie postawiła je za szafką. W samych skarpetkach przeszła cichutko do pokoju sypialnego, gdzie spała z matką, i szybko zaczęła się przebierać. Zrzuciła stary sweter, w którym była w oborze, i... nie zdążyła jeszcze nic świeżego założyć, kiedy nagle w drzwiach stanął Antos, wołając: „Ciociu, ciociu, pan Władek przyjechał!”.

– Cichooo... – wysyczała do Antosia, przykładając palec do ust. Ale posłyszawszy głos Antosia, w drzwiach pojawiła się matka, za nią wszyscy chłopcy, a na końcu Władek! Usiadła zrozpaczona i zrezygnowana na brzegu łóżka z rozpuszczonymi włosami, w cerowanej sukience i w skarpetkach.

– Marysiu kochana – odezwała się Malwina. – Właśnie przed chwilą przyjechał pan Władysław.

I nie czekając na odpowiedź Marii, zabrała wszystkich chłopców i kazała im iść za sobą do ich pokoju, żeby posprzątać, bo to Nowy Rok nadchodzi, a u nich straszny bałagan jest! Chłopcy niechętnie, ale poszli. Marysia wstała z łóżka i podeszła do Władka.

– Witaj, moja kochana – odezwał się pierwszy. Wziął w dłoń jej rękę, którą podała mu na przywitanie, i przyciągnął ją do siebie. Tulił ją długo i czule, całując po włosach, oczach i ustach. – Marzyłem o tej chwili – szeptał. Dla Marysi to spotkanie było jak sen. Nie mogła w to uwierzyć. Milczała i tylko oddawała pocałunki.

Po pierwszych uniesieniach, po gorącym przywitaniu, Władek zaprosił ją

do środkowego pokoju, gdzie zostawił swoje podróżne bagaże, i wyjął z torby podróżnej prezenty dla niej. Umieścił na stole parę przepięknych naczyń kryształowych i zwój materiału – prawdziwego jedwabiu na sukienkę. Z drugiej torby wyjął zawinięty w pergamin i złożony podwójnie, upieczony przez jego siostrę biszkopt przełożony kremem.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Pierścioneł dam ci, kochana, jak skończę szkołę. Mam jeszcze trochę nauki. Muszę skończyć studia oficerskie. Tak musi być. Jeśli na mnie poczekasz, będziemy razem już do końca życia. Jeśli na mnie poczekasz, kochana... Ja do ciebie tutaj nie przyjdę mieszkać i żyć. Mam dla nas inną przyszłość. Proszę cię, bądź silna i poczekaj na mnie. Kocham cię.

Siedząc przy wysokim, rzeźbionym piecu w środkowym pokoju w Kosarzynie w 1946 roku, 31 grudnia, dwie godziny przed północą, a więc przed Nowym Rokiem 1947, Maria Zawadzka i Władysław Sowiński wyznali sobie miłość. Ta miłość stała się dla Marii siłą napędową w walce o codzienny byt rodziny, o życie Piotrka, o kształcenie chłopców, o zdrowie matki. Miała siłę, żeby zawieźć Piotrka do Gniezna, żeby wrócić z powrotem do Gubina, przejść dziesięć kilometrów piechotą przez las do domu, namiesić dzieję ciasta na chleb i nazajutrz wczesnym świtem go upiec.

Nadeszła wiosna 1947 roku. Zbliżała się Wielkanoc. Władek był na studiach w Poznaniu, Piotrek nadal w szpitalu. Jeździła do niego, kiedy tylko czas na to pozwalał. Zawoziła mu zawsze parę jajek i śmietankę, czasem też rosół z kury z mięsem, a czasami kielbasę swojej produkcji czy suszone owoce. Piotrkowi było raz lepiej, raz gorzej. Gdy czuł się lepiej, siadywali sobie na korytarzu przy oknie i jedli razem przywiezione produkty. Marysia opowiadała mu o Antosiu, Michasiu i Bernasiu – co który zbroił i jakie ma z nimi kłopoty, utrapienia i radości – o mamie, która jej pomagała, jak tylko mogła najlepiej w gospodarstwie.

Pewnego razu Piotrek przerwał jej opowiadanie i powiedział cicho, z żalem w głosie: „Maryś, ja już ich chyba nie zobaczę...”. Spojrzała na niego z przestachem i przestała jeść.

– No coś ty, Piotrek, idzie ku dobremu, leczysz się! Bierzesz leki! Powinno ci być lepiej... – dokończyła bardzo cicho i całkiem przestała jeść. Oczy jej napełniły się łzami. – Nawet tak nie żartuj ze mną, Piotruś – poprosiła cicho, patrząc mu w oczy. Przyjrzała mu się uważniej. Niewielki zarost na brodzie był już widoczny. Piotrek stawał się dorosłym mężczyzną.

– Jesteś już dorosły chłop! – zawołała. – Nie możesz tak się uzalać nad sobą – mówiła i gładziła go po włosach.

– Muszę ci to dzisiaj powiedzieć, siostrzyczko, bo nie wiem, czy mi się nie pogorszy bardziej, jak przyjedziesz następnym razem, i czy będę mógł tutaj z tobą usiąść na korytarzu. Trzy dni temu miałem krwotok z płuc.

Maria oniemiała. Skurczyła się w sobie i wzięła go za rękę. Trzymając go tak, pytała: „Dlaczego? Jak to się stało? Już tak dawno bierzesz lekarstwa! Już parę miesięcy i co? Nie ma żadnej poprawy?”.

– Prześwietlenie wykazało dziury w płucach. Wozili mnie do Poznania – powiedział głosem pełnym żalu i smutku. – Nie mam już prawie płuc. Nie mam czym oddychać.

Marysia głaskała go po ręce i mówiła: „Posiedź tutaj sobie, a ja pójde do profesora i zapytam go, co i jak” – i nie mówiąc już nic, zostawiła go i poszła szybko korytarzem prosto do gabinetu profesora. Najpierw zapukała, potem nacisnęła kłamkę. Niestety, drzwi były zamknięte. Stała chwilę i poczekała. Potem poszła do dyżurki pielęgniarek. Dowiedziała się od nich, że profesora już dzisiaj nie będzie. Postanowiła czekać do jutra. Gdzie? Na korytarzu posiedzę – pomyślała. O swojej decyzji powiedziała Piotrkowi. Ten zmartwił się, że Marysia nie będzie spała całą noc.

– E tam – powiedziała i dodała: „Jak Antoś był chory, też nie spałam. Jak babcia była chora, też. To mi nie pierwszyczna – zapewniała brata. – Jak będę wracać do domu, w pociągu sobie pośpię, powiedziała i dodała: „Ale ty idź do łóżka, idź i połóż się”.

Piotrek posłuchał Marii, wstał i podtrzymywany przez nią, poszedł do swojej sali szpitalnej.

Przesiedziała całą noc przy parapacie okna, opierając się o róg ściany głową, pod którą podłożyła sobie małą poduszeczkę, podaną jej przez pielęgniarkę z oddziału. Wydawało jej się czasami nawet, że drzemie i śni. Zbudziły ją pierwsze wiosenne promyki słońca, padające przez okno prosto na twarz. Wstała i poszła do łazienki. Opryskała sobie twarz wodą, przeczesła włosy, poprawiła spódnice, otrzepała ją, wyprostowując jak to było możliwe najlepiej zagniecenia i fałdy powstałe przez długie siedzenie na krześle. Zajrzała przez otwarte drzwi od korytarza do sali Piotrka, który spał jeszcze, i poszła pod gabinet profesora, gdzie usiadła na krześle, czekając na niego. Siedząc tak i rozmyślając, nie zauważyła nawet, jak szybko minął czas i dochodziła godzina ósma. Obserwowała krzątający się personel szpitalny,

biegające pilęgniarki i salowe. Na korytarz wychodzili lekarze i przybywali nowi pacjenci.

Z zamyślenia obudziły ją słowa: „Pani do mnie?”. Podniosła wzrok i zobaczyła nad sobą oczy profesora, otwierającego kluczem drzwi.

– Tak – odpowiedziała prędko.

– Proszę – profesor otworzył szerzej drzwi, wpuszczając ją przed sobą.

– Dzień dobry – jestem siostrą Piotra Zawadzkiego, chciałam się dowiedzieć o jego zdrowie – wyrzuciła jednym tchem.

– Proszę usiąść – profesor pokazał jej ręką na krzesło naprzeciwko jego biurka. – Muszę pani powiedzieć, że brat pani nie tak dawno, bo przedwczoraj, miał krwotok z płuc – powiedział profesor spokojnym, ale dobitnym głosem. A po chwili dodał: „Stan jego uległ pogorszeniu, organizm nie walczy. Nie możemy opanować choroby. Za późno do nas przyjechał. Mówiłem to już pani, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy się, ale mimo wszystko miałem nadzieję. Proszę przygotować się na najgorsze. Nie mogę pani powiedzieć, kiedy to nastąpi – może w każdej chwili, a może za miesiąc.

– Czy ja... mogłabym zostać przy nim i czuwać aż do końca? – zapytała cicho, nie patrząc na profesora.

– Stanowczo odradzam! Jego świadomość ulegnie częściowemu zatarciu, a poza tym jest siostra Anna, która bardzo dobrze się nim opiekuje. Wie, co i kiedy trzeba podać, jak pomóc przy krwotoku. Proszę jej zostawić swój adres.

Czując, że rozmowa z lekarzem została zakończona, Maria wstała i przeszła parę kroków w kierunku drzwi, ale nagle odwróciła się i podeszła do biurka, przy którym siedział lekarz. Wyciągnęła z kieszeni płaszcz sto złotych i położyła na biurku.

– To od mamy, za opiekę – powiedziała nieśmiało.

– Proszę pani! – podniesionym, ale pozbawionym złości tonem zawołał lekarz. – Proszę zabrać pieniądze! – Trzymając w dłoni banknot wyszedł zza biurka, kierując się w jej stronę. Podając jej pieniądze, powiedział: „Proszę pani, zrobiłem naprawdę wszystko, co było w mojej mocy. Widocznie medycyna nie zna jeszcze sposobu, żeby zwalczyć tę chorobę w jej zaawansowanym stadium. Niech pani idzie do siostry Anny, a potem do brata. Ja więc nic nie mogę dla pani zrobić.

– Dziękuję – powiedziała Maria, chowając pieniądze z powrotem w kieszeni płaszcz i wychodząc z gabinetu. Sto złotych, które przeznaczone



było dla lekarza, wcisnęła pielęgniarce do fartucha, prosząc błagalnie, żeby nie odstępowała Piotrka na moment. Chwilę później siedziała już przy jego łóżku, głaszcząc go po ręce. Zapomniała, że jest głodna; coś ścisnęło ją za gardło, łzy nieubłagalnie toczyły jej się po twarzy. Wiedziała, że po raz ostatni widzi go żywym. Wychodząc, wstąpiła jeszcze do siostry oddziałowej.

– Chciałam podać swój adres – powiedziała cichym głosem.

– Proszę – pielęgniarka podała jej kartkę. Kiedy napisała, jeszcze raz zwróciła się do siostry Anny: „Zostawiam go pod opieką siostry i Boga. Będę się modlić za brata i dziękować za siostry dobre serce”. Pocałowała siostrę Annę i prędko wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy opuściła szpital, szła szybko alejką pomiędzy drzewami, nie oglądając się za siebie. Czuła, że siostra Anna, stojąc w oknie szpitala, odprowadza ją wzrokiem.

Do Gubina przyjechała nad ranem. Przed nią była jeszcze do pokonania dziesięciokilometrowa droga, szła więc poboczem, ale nie przyglądała się już rozkwitającej wiosną przyrodzie. Wewnątrz siebie czuła szarość i żal do tej przyrody, do świata, nawet do kwitnącego już przy drodze polnego kwiatka: jak można kwitnąć, rosnąć, szumieć lasem, kiedy żal zabiera radość życia? Jak można cieszyć się wiosną i słońcem? Kto śmie się cieszyć, kiedy odchodzi życie – najukochańszego brata, dobrego, niewinnego chłopca?

Idąc tak w żalu i bólu, nie zwracała uwagi na drogę, którą jechał jak zwykle, jak co dzień, wojskowy gazik.

– Panna Marysia! – krzyknął kierowca. – Podwoję! – zawołał wesoło.

– Dobrze – odpowiedziała i wsiadła do środka, otwierając tylne drzwiczki gazika.

Obok kierowcy siedział kapitan Gałązka, dowódca strażnicy w Żytowaniu. Odwracając się do Marii, zagadnął: „Z daleka, panno Marysiu?”.

– Z Gniezna, od brata ze szpitala – odpowiedziała Maria.

– Aha – potaknął ze zrozumieniem oficer i dodał: „W Poznaniu na uczelni wojskowej jest nasz Włodek; to niedaleko od Gniezna”. Kapitan Gałązka celowo wspominał Sowińskiego, żeby dowiedzieć się o nim co nieco od Marii, ale ta udała obojętność.

– Taak? – zdziwiła się.

Gałązka spojrział na nią zdumiony, ale kiedy wysiadała z auta przy strażnicy, dodał: „Włodek po tej szkole będzie awansował, nawet bardzo

wysoko”.

– Dziękuję i do widzenia! – powiedziała zdawkowo, zamykając za sobą drzwiczki samochodu.

Gdy szła dalej ścieżką przez las, ciągle brzmiały jej w uszach słowa Gałązki: „Władek po tej szkole będzie awansował, nawet bardzo wysoko”. Nieopodal ścieżki zobaczyła ścięty, rozłożysty pień drzewa. Usiadła na nim, zakryła dłońmi twarz i mocno, spazmatycznie załkała... Władku, gdzie teraz jesteś? Boże! jak bym chciała, żebyś mnie przytulił... – łkała wewnętrznym płaczem, bojąc się wybuchnąć, żeby broń Boże nikt nie usłyszał i nie zobaczył, a potem nie rozpowiedział. – To mój ból i mój żal, to moje życie... Odpowiedzialna za trzech dorastających chłopców bez ojca, bez ręki ojca, jak sobie da radę? Mama ledwie chodzi. Jak ja mam ich zostawić? – Płakała niewidzialnie dla świata i ludzi. Cierpiała... Jasno zdawała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej przyjdzie jej żyć.

Do domu dotarła zupełnie wyczerpana. Nie chciała rozmawiać. Malwina przeczuwała złe wieści. Czekala i nie pytała o nic. Nalała jej gorącej zupy szczawiowej z jajkiem i śmietanką, którą Marysia zjadła. Potem poszła do swojego pokoju i położyła się. Spała do wieczora. Przed wieczorem obudziła się i kiedy chłopcy poszli spać, one z matką długo jeszcze rozmawiały. Maria opowiedziała wszystko Malwinie o Piotрку, pieniądzech i siostrze Annie. Matka rozplakała się tak bardzo, że Marysia obawiała się, iż może się jej coś stać, więc pocieszała ją jak umiała i żeby ją uspokoić, opowiedziała jej o spotkaniu z kapitanem Gałązką.

– No widzisz, dziecko, Władek pisze, żebyś czekała na niego, ale jak on wróci z tych szkół, to co wtedy będzie? Przecież ty nie możesz mnie zostawić samej z chłopcami i iść z nim do miasta. Ja już jestem coraz słabsza, Marysiu – Malwina patrzyła na córkę błagalnym wzrokiem.

– Nie zostawię was, mamo, nie bój się – zapewniła Maria matkę i poszła do pokoju, żeby się położyć, a Malwina podążyła za nią.

Dwa tygodnie później przyszedł telegram z wiadomością, że Piotrek nie żyje. Na pogrzeb pojechała Marysia z bratem sąsiada. Piotr Zawadzki został pochowany w Gnieźnie, na cmentarzu komunalnym. W pogrzebie uczestniczyła tylko Maria, sąsiad Zawadzkich, ksiądz i siostra Anna, która była przy jego śmierci.

Żegnając się z Anną, Maria zapytała ją, czy mogłaby odpłatnie opiekować się grobem i zająć się budową skromnego pomnika. Siostra zgodziła się.

Marysia zostawiła jej pieniądze w obecności księdza. Podziękowała jej bardzo serdecznie za opiekę nad bratem, za to, że była przy nim do końca.

Po ceremonii pogrzebu i opuszczeniu cmentarza przez uczestniczących w nim ludzi, Maria stała jeszcze długo przy grobie Piotrka. Nad jego świeżą mogiłą pochylały się zielone, rozłożyste liście dębu. Ptaki radośnie witały wiosnę. Maria cierpiała z żalu i bólu. Nie tak dawno ojciec, teraz ukochany brat. Żaden z nich już nigdy nie usłyszy budzącej się do życia wiosny...

## XII

# Niemieckie powroty

L atem 1947 roku, pewnego poniedziałkowego ranka w czasie żniw, do Kozińskich w Wierzbicy przyszedł sołtys z dwoma starszymi mężczyznami – jak się okazało, Niemcami. Wincenty krzątał się po obejściu wraz z Nerkiem i na zawołanie sołtysa otworzył wejściową furtkę, żeby wpuścić gości.

– Dzień dobry, panie Koziński – powiedział sołtys i podał rękę Wincentemu. Dwaj obcy mężczyźni tak jak i sołtys przywitali się, ale pozdrowieniem niemieckim – *Guten Tag* – co wprawiło Wincentego w osłupienie.

– Panie Koziński, mam obowiązek poinformować pana o wyjściu nowej ustawy, która stanowi, że na Śląsku, jeśli dotychczas mieszkający tu Niemcy chcieliby mieszkać dalej, to podpisawszy akt zgody na przyjęcie obywatelstwa polskiego, z powrotem mogą wrócić na swoje. Ci oto panowie postanowili wracać, a ten dom i to gospodarstwo, gdzie aktualnie mieszka wasza rodzina, trzeba będzie im oddać. Na zachodzie kraju są jeszcze puste domy i gospodarstwa. Jedźcie tam póki jeszcze czas i znajdźcie sobie dom. Ci Niemcy wracają z powrotem. Ja też będę musiał stąd wyjechać. Nie ma rady, panie Wincenty – zakończył wyjaśnianie sołtys Kaczmarek.

Wincenty nic nie odpowiedział, tylko ściągnął płócienny kapelusz z głowy, przeczesał rękami włosy i z powrotem założył kapelusz na głowę. Oznaczało to silne zdenerwowanie i roztargnienie. Po chwili milczenia spojrzął na Niemców i zapytał sołtysa: „Kiedy mamy się wyprowadzić?”.

– Jest ugoda, że dopiero jak zbierzecie z pól swoje płody – te, które zasialiście i posadziliście. To znaczy na jesieni, po wykopkach, panie Koziński. Do tej pory na pewno znajdziecie sobie dom – tłumaczył sołtys. – Ja też tak samo jak i wy muszę sobie szukać nowego domu – dodał i zwrócił się do Niemców tak jak umiał: „*Bitte*, pany”. Wziął od nich podane dwa dokumenty w zalakowanych kopertach i jeden z nich podał Kozińskiemu.

– To jest dokument, że oni wracają tutaj z powrotem. Trzeba jechać na zachód i szukać, panie Wincenty, i to jak najszybciej!

Trzymając w ręku kopertę, Koziński nieśmiało zapytał, co z resztą rodziny – Dominikiem i Romaniewiczami.

– Tak samo, tak samo – potwierdził sołtys i dodał: „Już u nich byłem, wszystko wiedzą. Najbardziej bali się o ojca i matkę – tak mi mówili”.

– Ja to nic, ale żona – nie wiem, czy da sobie z tym radę. Przeszła tyle piekła i znów teraz ma się tułać i jeździć gdzieś po świecie. Nawet nie wiem, jak to jej powiedzieć, Boże mój jedyny – westchnął ciężko strapiony Koziński. Schował kopertę do kieszeni. Sołtys podał rękę Wincentemu, tak samo zrobili i Niemcy, po czym wyszli z podwórka przy domu i poszli środkiem drogi przez wieś.

Michalina, która widziała wszystko przez okno od kuchni, zarzuciła na ramiona ciepłą, dużą chustę i wyszła na podwórze do męża. Podchodząc do niego bliżej, zapytała: „Kto to są ci panowie i czego chcieli?”. Patrzyła mu w oczy badawczo, chcąc rozpoznać, czy usłyszy dobrą, czy złą nowinę.

– Chodź, wejdziemy do domu – odpowiedział drżącym głosem Wincenty. Michasia pobladła, czując, że to bardzo ważna sprawa. Natychmiast usiadła na krześle pośrodku kuchni, wpatrując się w męża i czekając, co powie.

Biedny Wincenty przez całe życie, jak mógł, chronił żonę. Unikał przekazywania jej smutnych i niekorzystnych wiadomości, teraz jednak, przyparty do muru przez zrzędzenie losu, nie mógł tego uniknąć. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział jednym tchem: „Gospodarze niemieccy wracają na swoje. Musimy stąd wyjechać i poszukać sobie innego domu, Michasiu moja najukochańsza!”. Po tych słowach podszedł do niej i przytulił ją mocno do siebie. Trwali tak dość długo, aż posłyszeli kroki na schodach do domu. Drzwi się otworzyły i weszła Helena. Podeszła do matki i zapytała: „Już wiecie?”.

– Tak, przed chwilą się dowiedzieliśmy. Trzeba szybko jechać na zachód, póki są jeszcze jakieś gospodarstwa i domy! – zgębnionym głosem

odpowiedziała matka.

Wieczorem przy stole u rodziców Michaliny i Wincentego zebrała się cała rodzina. Zbliżało się lato 1947 roku. Dojrzałe na polach zboża czas było zacząć kosić, a tu jak grom z jasnego nieba gruchnęła wiadomość o nakazie opuszczenia domu i już jako tako zagospodarowanego gospodarstwa. Michalina siedziała na ławie przy piecu skulona i nieobecna. Nic nie mówiła, tylko słuchała narady rodziny. Do tej pory to ona miała najważniejszy i decydujący głos, teraz jednak wyraźnie zamilkła; wiadomość o opuszczeniu domu zdruzgotała ją zupełnie. Postanowiono, że już w najbliższym tygodniu Adam i Dominik pojedą na zachód szukać domów dla rodziny.

– Ja tam nie pojedę – oponował Zdziś. – Jadę do Franka do Nidzicy!

Wszyscy spojrzeli na niego i zamilkli, ale nic nie powiedzieli. Był pełnoletni – miał dwadzieścia lat i mógł decydować o sobie.

Michalina spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Ta decyzja najmłodszego syna wydawała jej się słuszna i mądra. Powiedziała nawet, że dobrze, niech tak będzie. Przy Franciszku będzie mu dobrze. Franek mu pomoże w urządzeniu życia.

Kładąc się spać późnym wieczorem, Wincenty spojrzał na żonę i zaniepokoił się.

– Coś ty taka czerwona na twarzy, Michasiu? Nic ci nie jest? – zapytał podchodząc do Michaliny.

– Noo, coś mi gorąco tak jakoś – odpowiedziała niepewnie.

Podszedł i dotknął jej czoła, ale zaraz cofnął rękę. – Masz gorączkę! Trzeba coś zaradzić. Połóż się, kochana – powiedział z troską i podprowadził ją do łóżka, pomagając się położyć. Następnie poszedł do kuchni i umoczył ręcznik w wodzie, wycisnął go i położył delikatnie na czoło Michasi, która oddychała ciężko. Westchnął głęboko, po czym podreptał do kuchni i rozpałił w piecu. Potem poszedł do pokoju Zdzisia i budząc go, powiedział: „Mama zachorowała, idź po Helenkę”.

Zdziś wstał bez słowa, ubrał się i wyszedł. Po półgodzinie wrócił z Heleną, która przyniosła tabletkę aspiryny, jaką Adam dostał od Amerykanów, będąc w niewoli. Ale zanim podała mamie tabletkę, ugotowała jej lanych kluseczek na mleku, żeby nie brała tabletki na pusty żołądek. Michalina z przymusem zjadła parę łyżek, a potem zażyła tabletkę.

Helena czuwała przy matce całą noc, troszkę przysypiając na fotelu przysuniętym do maminego łóżka. Na stolyczku nocnym paliła się lampka

nocna zrobiona z latarki konnej. Obok, na drugim łóżku, spał ojciec. Czasami zachrapał, ale zaraz się budził przejęty, że swoim chrapaniem może zaszkodzić chorej. Nad ranem gorączka ustąpiła i Michalina już lepiej oddychała. Spała cichutko i spokojnie. Wtedy Helenka wyszła z pokoju i przeszła do kuchni. Tam rozpała w piecu i zagotowała wodę na kawę zbożową. Kiedy ojciec wstał i wszedł jeszcze zaspany do kuchni, na stole z dzbanka dymiła się pachnąca kawa zbożowa i na talerzu leżał pokrojony i posmarowany masłem chleb, a obok w miseczce znajdowały się ugotowane na miękko jajka przygotowane na śniadanie.

– Jak to dobrze, żeś ty przyszła, córuniu moja kochana – powiedział wdzięczny Wincenty. Już nam tu było dobrze, tak dobrze... i mamusia bała się, że jest za dobrze. Ona zawsze ma rację. Przeczuwała, że może się stać coś niedobrego.

Helena spojrzała na ojca, na jego siwe włosy. Był wysoki, szczupły jak na mężczyznę w jego wieku, ale już przygarbiony, a teraz w dodatku zatroskany, smutny i przejęty.

– Tatusiu, wobec tego wszystkiego, co przeszliśmy, obecna sytuacja to nic wielkiego. Damy sobie radę! Najważniejsze, żeby mama wyzdrowiała. Macie tutaj śniadanie, a ja pójdę do domu. Gdyby coś się działo, niech Zdzisiek przybiegnie. Zobaczymy, może trzeba będzie zawołać doktora, jak nie będzie lepiej – powiedziała, wychodząc z domu rodziców. W południe wróciła i przyniosła całej rodzinie garnek ugotowanego rosółu. Zajrzała do mamy i na jej widok uśmiechnęła się, podchodząc do leżącej wysoko na poduszkach Michaliny i wołając wesoło: „No i już jest dobrze, prawda?”

– Troszkę mi lepiej, ale czemu zachorowałam? Tam, w tych lasach na mrozie, gorzej było i jakoś wytrzymałam. Wszyscyśmy wytrzymali, a tutaj zaraz chora jestem i sama nie wiem z czego – skarżyła się córce chora. Obie jednak dobrze wiedziały, że Michalina Kozińska nie przeziębła się, tylko wiadomość o opuszczeniu domu tak ją załamała.

Tymczasem Adam z Dominikiem szykowali się do wyjazdu na zachód, aby szukać domu. Na czas ich nieobecności obie kobiety – Antosia i Helena z Rysiem – zamieszkały w domu rodziców, nie chcąc być same u siebie. Michalina poweselała, widząc przy sobie ukochanego wnuka. Leżąc w łóżku, przez otwarte drzwi z pokoju do kuchni słuchała, co jej dzieci mówią przy śniadaniu, czy obiedzie. Co rusz to któreś weszło i coś jej powiedziało. Wincenty cieszył się widząc, jak Michasia znów się uśmiecha, kiedy Rysio

czytał jej już swoją szkolną książkę. Była dumna z wnuka i wróżyła mu bogatą, jak sama mówiła, przyszłość.

– Jaki ten nasz Rysio mądry – opowiadała potem Wincentemu, kiedy szykował się wieczorem do snu. – Już czyta i liczy. I nikt mu nie nakazuje, sam chce. Będzie kimś, bo chce się uczyć.

Wincenty nic nie mówił, tylko uśmiechał się ciepło swoim zwyczajem, kładąc się na łóżku obok żony.

– Ja to bym chciała, żeby był doktorem, szanowanym przez ludzi dobrym człowiekiem, albo księdzem.

Na te słowa Wincenty nie wytrzymał i odezwał się: „Czy on będzie doktorem, czy księdzem, to już od niego zależy. Żeby był tylko dobrym człowiekiem, moja miła” – dodał, przykrywając się pierzyną.

– No, przecież mówię... – potwierdziła Michasia, zdziwiona, że mąż nie zrozumiał jej słów.

– Śpij już, śpij, moja kochana – powiedział, zdmuchując lampkę naftową przy łóżku.

Mijały dni, a Michalina jednak nie wstawała z łóżka. Kiedy próbowała chodzić, nawet za swoją potrzebą, Helena albo Antosia podtrzymywały ją, bo taka była osłabiona. Zdecydowano się pojechać po doktora. I pewnego dnia Zdziś przywiózł lekarza z przychodni rejonowej. Lekarz osłuchał chorą i stwierdził, że było zapalenie oskrzeli, ale już prawie całkiem minęło. Helena przyznała się, że podawała mamie aspirynę.

– To bardzo dobrze – lekarz pochwalił starania Helenki. – Ale serce bardzo słabiutkie – stwierdził i przepisał witaminy i żelazo. Kazał babcię dobrze odżywiać i żeby się niczym nie denerwowała.

W trzy dni po wizycie lekarza, kiedy wszystkim wydawało się, że chora lada dzień zacznie chodzić, nieoczekiwanie i nagle, któregoś dnia nad ranem, Michalina zmarła. Nie można było w to zupełnie uwierzyć. Helena kilka razy podchodziła do łóżka, chcąc przywrócić mamę do życia, żeby otworzyła oczy i spojrzała na nią. Zdziś ponownie pojechał po lekarza, który stwierdził zgon z powodu niewydolności krążenia.

Dom Kozińskich pograżył się w żałobie. Smutek, łzy, cisza... Dominik i Adam ledwie zdążyli na pogrzeb, odszukani przez kolegów ze wsi. Zebrana przy trumnie rodzina czuwała, pogrążona w smutku. Najważniejszy człowiek z ich rodziny – ostoja ciepła, troski, mądrości i dobra, kochana żona, matka i babcia – odszedł od nich na zawsze. Leżała w odkrytej trumnie pośrodku



pokoju. Po jej obydwu stronach paliły się świece. W ogromnej rozpaczy, przygarbiony i nieobecny dla świata, siedział pochylony przy trumnie jej najukochańszy mąż – jej Wicuś, z którym przeżyła najpiękniejsze i najtragiczniejsze chwile w swoim życiu: pożogę ukraińską, mróz, głód i cierpienie. I teraz, w chwili mniejszych, zdawałoby się, przeciwności życiowych, jej serce nie wytrzymało – strudzone, zatrzymało swój bieg.

Michalina Kozińska została pochowana na cmentarzu w Wierzbicy Górnej, na Śląsku Opolskim. Parę miesięcy później cała rodzina Romaniewiczów i Kozińskich opuściła na zawsze Wierzbicę, żeby osiąść na skraju ziemi zachodniej, tuż przy granicy polsko-niemieckiej, w miejscowości Kosarzyn. Zajęli trzy domy, które wybrali spośród wielu innych, wolnych jeszcze i przeznaczonych dla osadników przybyłych z Kresów. Wincenty Koziński zamieszkał z Dominikiem i Antosią w domu pod lasem, na samym skraju wsi Kosarzyn, a Romaniewiczowie – w ładnym, wysokim, murowanym domu, stojącym w szeregu usytuowanym przy drodze głównej, biegnącej przez wieś.

Zdzisław Koziński nie przyjechał od razu do Kosarzyna – pojechał do brata Franciszka, do Nidzicy. Będzie tam przebywał przez trzy miesiące, aby na święta Bożego Narodzenia przyjechać do ojca i zamieszkać wraz z nim oraz z Dominikiem i Antosią. Z chwilą zamieszkania w Kosarzynie Kozińscy staną się sąsiadami i nieodłącznymi przyjaciółmi rodziny mieszkającej nieopodal, za wiejskim płotem – rodziny Zawadzkich.

## XIII

# Powódź

Zbliżał się maj 1947 roku. I znów, jak przed rokiem, zakwitły bzy w Kosarzynie. Pachniały we wszystkich ogródkach i przed wszystkimi domami, a ich zapach mieszał się z wonią konwalii, czeremchy i jaśminu.

W domach i na podwórkach, zwłaszcza w niedzielę, grało radio. W soboty zamiatano i grabiono ulice przed domami. Szorowano podłogi, w wazonach pachniał przyniesiony z łąk tatarak. Wieczorem w drewnianych cebrzykach kąpano całe rodziny, a na łóżkach przebierano świeżą pościel, pachnącą krochmalem. Znad wód jeziora unosiły się dźwięki orkiestry wojskowej, która grała na zabawach organizowanych dla wszystkich – nie tylko dla letników gubińskich, przybywających tu na wypoczynek. Było czysto, świeżo i pogodnie w duszach.

Maria piekła chleb w dużym piecu chlebowym. Najpierw rozpałała w nim ogień, po czym zamykała piec. Potem, kiedy się nagrzał, wygarniała z niego żar i na długiej łopacie wsuwała do pieca ciasto chlebowe, poukładane w wiklinowych koszyczkach. Po godzinie wyjmowała świeżutkie i pachnące bochny, które po wierzchu smarowała albo zwykłą wodą, albo roztrzepanym jajkiem, za pomocą gęsiego piórka. Posmarowane bochenki w koszyczkach układała na drewnianej desce. Potem przychodził czas na ciastka. Ciastka zawsze „szły” się piec po wyjęciu chleba. Były to kruche ciasteczka wykręcane przez maszynkową foremkę – przeróżne serduszka, paluszki, kwiatki i słoniki. Żeby się upiec, potrzebowały tylko paru minut czasu. Potem Maria wyciągała je tak jak chleb i wsypywała do dużego wiklinowego

kosza, żeby były na niedzielę i na cały tydzień. Michaś, Bernaś i Antoś uwielbiali te ciastka i chleb, pieczony co tydzień przez ciocię Marysię.

Michaś i Bernaś chodzili już do szkoły średniej z internatem. W domu pozostał jeszcze najmniejszy, Antoś, którego trzeba było przygotować do Komunii Świętej. Maria miała dylemat, ponieważ musiała mu albo kupić, albo uszyć ubranko.

Któregoś dnia zapakowała do torby masło, śmietanę, ser i jajka i pojechała wozem z sąsiadem, który jechał na targ, do Gubina. Na targu sprzedała te produkty i poszła szukać po sklepach ubranka do komunii dla Antosia. Kiedy w sklepie pytała o materiał, z którego mogłaby je uszyć, pani Adamkiewiczowa, sklepowa, odpowiedziała jej, że właśnie przywieziono płótno żaglowe – niedrogi, ale ładny, w sam raz na ubranko. Kupiła. W domu zaniósła starą, poniemiecką maszynę do szycia na strych, ukryła się przed światem i tam kombinowała, jak uszyć to ubranko. Najpierw wyrysowała, a potem wykroiła na papierze formę, którą następnie przyłożyła do materiału i wykroiła. Po uszyciu wyszło z tego wspaniałe i piękne ubranko. Antoś wyglądał w nim rewelacyjnie, o czym zaraz Marii doniosły plotkujące sąsiadki. – Antoś, ten od Zawadzkich, wyglądał najładniej z wszystkich dzieci – mówiły.

Babcia Malwina nie mogła się nacieszyć. Maria nie chciała, żeby mówiono, że chłopcy, sieroty, to już muszą wyglądać i być gorzej ubrane od innych dzieci, więc dawała z siebie wszystko, żeby było dobrze. Chłopcy mieli zawsze dobre buty i dobre ubrania. Swetry robiła im na drutach z owczej wełny, przedtem uprzedzonej na kołowrotku na cieniutkie niteczki. Potem tę wełnę prała, suszyła, zwijała i wyrabiała na drutach piękne swetry i pulowerki. Czasami farbowała, a czasami tylko prała. Cieszyła się, że chłopcy dobrze się uczą i nie ma z nimi kłopotu, ale było też i różnie. Nieraz ze łzami w oczach wracała ze szkół, z wywiadówek. Pragnęła z całych sił, żeby się uczyli, żeby w życiu nie pracowali ciężko, żeby byli kimś.

Pod koniec maja zaczęły padać deszcze tak duże i ulewne, że przygraniczne rzeki Nysa i Odra, a także mniejsza Łomianka, wezbrały nagle szybko i gwałtownie. Woda spiętrzyła się pod wałami od strony niemieckiej. Zamknięto dwie bramy i służę, nie wpuszczając wody na kosarzyńskie pola i łąki. Straże wioskowe i wojsko czuwały dzień i noc na wałach. Mimo to jednak ziemia była tak podmokła, że i ziemie uprawne pod wałami leżały pod wodą. A pewnego razu woda zalała łąki i dochodziła aż do wioski. Wtedy

Maria zarządziła alarm. Co ważniejsze rzeczy załadowała sąsiadowi na wóz; wywieziono je na górkę, do leśniczówki. Na wozie Maria posadziła także Malwinę i Antosia. Starszym chłopcom nakazała czuwać nad pozostawionym dobytkiem, a w razie dużej wody mieli siadać do drewnianego cebrzyka i płynąć do leśniczówki.

Po raz pierwszy Maria przestraszyła się. Teraz drżała o byt i życie rodziny wobec żywiołu zupełnie od niej niezależnego. Nie miała na to żadnego wpływu, więc pozostawała tylko ucieczka – jak najdalej, jak najwyżej – tam gdzie woda nie dosięgnie jej najbliższych. Sąsiedzi i inni ludzie ze wsi przenosili swoje rzeczy i meble z dolnych pomieszczeń domów na strychy, Maria zaś ewakuowała całą swoją rodzinę. Babcia z Antosiem siedzieli na ławce pod leśniczówką, a ona chodziła na zwiady do chłopców, aby sprawdzić, jak sobie radzą. Po głównej drodze wsi oraz po bocznych, tych pod wałami ochronnymi, jeździły wojskowe amfibie i ciężarówki. Umacniano wały workami z piaskiem. Wszyscy mężczyźni ze wsi brali w tym czynny udział.

Pewnego razu do Marii przybiegł Michaś z wiadomością, żeby szła jak najszybciej na plac pod topolami do wsi, bo przywieziono ryby – duże sumy, które wpłynęły na łąki kosarzyńskie z Odry i zostały wyłowione sieciami.

– Weź, ciociu, worki, bo baby ze wsi przychodzą z workami! – krzyknął Michaś i z powrotem pobiegł do wsi.

– Worki? Skąd mam wziąć? – Po chwili zastanowienia wzięła wózek podręczny, którym wozila chrust z lasu, i stary koc, i z tym wszystkim poszła do wsi. Tam, na placu pod topolami, zebrała się cała ludność wsi. Żołnierze wraz z sołtysem rozdzielali ryby. Wózek, który Marysia przypchała, był bardzo przydatny, ponieważ sumy rzeczywiście były olbrzymie i w workach na plecach nie uniosłaby ich nawet przy pomocy Michasia. Przy jego pomocy wrzucili na wózek dwie olbrzymie ryby i przywieźli do domu. Potem poszli z Michasiem i z powrotem przyprowadzili Malwinę z Antosiem z leśniczówki do domu.

– Nie uciekamy już. Żołnierze na placu mówili, że woda zacznie lada chwila opadać – uspokajała Maria rodzinę i siebie.

Malwina, widząc tak olbrzymie ryby, była tak bardzo zdumiona, że aż usiadła.

– Boże mój, skąd one się tam wzięły na kosarzyńskich łąkach? – dziwiła się.

– Wpłynęły Odrą, jak jeszcze śluza była otwarta. Pomyliły bieg rzeki i znalazły się w pułapce – mówiła, wycierając pot z czoła rękawem sukienki, Marysia.

– Co my teraz z nimi zrobimy, Marysiu? – pytała zatroskana matka.

– Jest dużo pracy, to fakt, ale postaram się włożyć mięso do słoików i zagotować. Ale najpierw trzeba je podzielić i obsmażyć.

Maria zaprzętnęła do pracy Michasia i Bernasia; także Antoś pomagał podtrzymywać, zanosić, podnosić, przynosić wodę. Malwina obierała ziemniaki na obiad do ryby i przyśpiewywała sobie. Marysia dawno nie słyszała, żeby mama śpiewała. Słyszając to, uśmiechnęła się sama do siebie. Miały na stole w kuchni całą górę nasolonego mięsa z ryby.

Pracując, Maria rozmyślała o ich kosarzyńskim życiu. Było dużo pracy, ale i szczęścia, zadowolenia, że sobie radzą, że nie są bezradni i biedni; że jest w ich życiu radość z każdego dnia; że nikt nie jest głodny; że dzieci są najedzone i ubrane; że wszystko jest tak, jak być powinno. Mają od Rogatej mleko, masło i ser. Kury chodzące po podwórku niosą jajka. I jest zawsze rosół na niedzielny obiad. Chleb i ciastka na stole.

Jestem dzielna? – zadawała sobie w myślach to pytanie Maria. Chce mi się pracować ponad siły! Chcę, bo kocham, bo żyję! Bo mnie ktoś kocha! Wieczorami, kiedy kładła się spać zmęczona ponad siły, dotykała listu od ukochanego mężczyzny, który zawsze miała schowany pod poduszką. Ten list, ten skrawek papieru napisały dla niej jego ręce, dotykały go, więc i ona go dotykała przed snem. W tym liście było wyznanie miłości. To była jej siła, największa ze wszystkich. Nie myślała o tym, co jej napisał, nie przywiązywała wagi do innych słów, jak choćby tych, że zabierze ją z Kosarzyna. To nie było ważne – ważne dla Marii było to, że ją kocha! I ona kochała go bardzo.

Ryby, zagotowane w słoikach, jeszcze długo były brane ze spizarki do obiadu. Kiedy nadeszło lato i pora żniw, Marysia chodziła do sąsiadów na odrodek – wiązać snopki na polu – żeby potem oni przyszli jej pomóc. Babcia przygotowywała obiad dla chłopców, mając już gotowe mięso z weków.

## XIV

# Babcia Malwina na zebraniu partyjnym

**P**ewnego razu sołtys przyniósł do Zawadzkich zawiadomienie z komitetu partii o tym, że w Łomach ma się odbyć zebranie i obecność wszystkich nowych osadników jest obowiązkowa. Maria w takich trudnych sprawach urzędowych, na których w ogóle się nie znała, powierzała wszystko matce. Tak było i tym razem.

– Trzeba iść, mamó, do tych Łomów. Pójdiesz sobie z innymi kobietami i mężczyznami na to zebranie. To tylko dwa kilometry, a potem sobie posiedzisz i posłuchasz, co tam będą nowego mówić. No, odpoczniesz sobie i jak przyjdiesz, opowiesz mi.

Malwina nic już nie powiedziała – lubiła spacerować po ogrodzie, czasami przydarzało jej się to przez cały dzień, więc dwa kilometry to nic takiego strasznego. Umówiły się z Anną Koziurową, że pójdą razem. Anna była troszkę młodsza od Malwiny, ale wcale nie tak dużo. Tak więc dwie starsze panie, elegancko ubrane, wybrały się na zebranie partyjne do Łomów. Zebranie miało się odbyć w dużej sali szkolnej, a udział w nim mieli wziąć mieszkańcy dwóch wsi i przedstawiciele władz z Gubina.

Idąc ścieżką przez las, kobiety opowiadały sobie, jak piecze się bliny albo ciasto świąteczne – ucierane. Kiedy doszły do szkoły, zobaczyły przed wejściem tłum ludzi, ale nie zrażając się tym, weszły do środka, pomagając sobie laskami. Z racji ich podeszłego wieku natychmiast ustąpiono im

miejsca. Usiadły w pierwszej szkolnej ławce z prawej strony i wraz z innymi czekały na przyjazd władz.

Po krótkiej chwili w drzwiach ukazał się sołtys wsi Łomy i drugi sołtys z Kosarzyna oraz przyjezdny gość, delegat PZPR z Gubina. Sołtys Łomów przedstawił gościa i oddał mu głos. Delegat mówił:

*Witam was, towarzysze, serdecznie na pierwszym wiejskim, powojennym zebraniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jesteśmy tutaj pionierami budowy nowej Polski, nowego ładu i porządku. Po dwustu prawie latach ziemi polskie wróciły z powrotem do macierzy!*

*Dzięki naszemu wodzowi Stalinowi, który był nam przewodnikiem w walce z okupantem, wojna została wygrana. Nasza Pierwsza Dywizja imienia Tadeusza Kościuszki, powstała w Sielcach nad Oką w Rosji, szła naprzód, wyzwalała kolejno polskie miasta, aż doszła do Berlina, niszcząc faszystów.*

*Nowa powojenna władza ludowa, towarzysze, odbuduje kraj! Odbuduje stolicę, zrujnowaną i zniszczoną!*

Malwina Zawadzka po tych słowach potakująco skinęła głową. Podbudowany tym delegat mówił jeszcze głośniejszym głosem.

*Każda para rąk jest bezcenna. Każda praca dla ojczyzny jest na wagę złota. Nasza partia chce zlikwidować analfabetyzm na wsi, unowocześnić służbę zdrowia, uruchomić nieczynne fabryki i zatrudnić w nich ludzi, a wieś ma być bogata i zasobna. Nie może zabraknąć chleba ani na wsi, ani w mieście. Nasze dzieci muszą być wykształcone i mądre, wychowane bez demagogii kościelnej i zabobonów! Kto z was, towarzysze, chce wstąpić w szeregi naszej partii i być z nami, ma okazję być już dzisiaj tutaj zapisany i przyjęty. Otczymy was opieką i wspomozemy. Nie zostawimy was samym sobie. Kto jest chętny, proszę podawać nazwiska i sołtysi będą zapisywać.*

Po tej przemowie nastąpiła cisza. Ludzie spoglądali niepewnie jeden na drugiego, jakby nic nie rozumiejąc. Trwało to chwilę, zanim odezwały się pojedyncze głosy.

- A po co nam się zapisywać? – odezwał się nieśmiało jeden z mężczyzn.
- Jeśli ktoś się zapisze w nasze szeregi, zawsze pomożemy i otoczmy

opieką, to nic nie kosztuje – powiedział, uśmiechając się, delegat. I zaraz dodał: „Niech jeden z sołtysów zapisuje Łomy, a drugi ludzi z Kosarzyna. Śmiało, można podchodzić pojedynczo i zapisywać się” – zachęcał.

Malwina kręciła się nerwowo w ławce, patrząc na ludzi ustawiających się w coraz to dłuższej kolejce.

– Ale ogłupiają ludzi, Koziurowa – powiedziała do sąsiadki.

Delegat usłyszał słowa Malwiny i zwrócił się do niej.

– Żeby pani nie stała w kolejce, możemy do pani podejść – zaproponował, uśmiechając się.

– A po co? – odparła wyzywająco i zapytała: „A będzie jakaś rozmowa, czy tylko trzeba się zapisać i iść do domu?”.

– Można i tak, i tak – odpowiedział delegat.

– A to ja zaczekam na rozmowę – powiedziała poważnie Malwina.

Delegat nachylił się do sołtysa z Kosarzyna, wskazując mu Malwinę. Ten coś mu powiedział i delegat coś zapisał. Po skończonym zapisywaniu ludzie z powrotem usiedli na swoich miejscach w ławkach. Delegat wstał zza biurka i podziękował wszystkim bardzo serdecznie, obiecując ponownie pomoc partii. Spojrzał na Zawadzką i zapytał: „Proszę, może ktoś ma jakieś pytania, chętnie odpowiem”.

– Ja chciałabym zapytać pana delegata o jedno tylko – powiedziała Malwina i nie czekając już na zachętę, zapytała wprost: „O tym kościele... – to mamy nie słuchać księdza, tylko Stalina? To delegat nie wie, że Stalin to bolszewik, komunista, który do kościoła nie chodzi i ludzi łupi?! I kazał delegat ludziom jak baranom zapisywać się do komunistów?”.

W miarę słów babci Malwiny uśmiech z twarzy delegata stopniowo zniknął. Jego oczy stawały się coraz większe ze zdumienia. I nagle stał się cud: odezwały się głosy ludzi, którzy chcieli wypisać się z partii – początkowo pojedynczo, a potem rozbrzmiała nimi cała sala. Teraz już nie w kolejce, ale tłumnie jeden przez drugiego krzyczeli swoje nazwiska, żeby je wykreślić. Natomiast babcia, korzystając z zamieszania, szturchnąwszy w bok sąsiadkę, po cichutku opuściła salkę szkolną i podpierając się laską, przeszła przez drogę na drugą stronę ulicy, a potem zniknęła w lesie.

Wracały jakoś szybciej z tego zebrania, niż na nie szły.

– Oj, oj – narzekąla Koziurowa – ale Zawadzka im nagadała!

– Co miałam na wątrobie, to powiedziałam, a i tak za mało. Ja, moja Koziurowa, widziałam na własne oczy, co bolszewiki wyprawiali! Może nie



wszyscy widzieli, ale ja przeżyłam ichnią rewolucję. Byłam w samym piekle tych czerwonych diabłów. Dla nich ludzkie życie tyle jest warte, co splunąć!

– Zawadzka, nie denerwuj się, bo trzeba dojść do domu, a jak mi tutaj zemrzesz po drodze?

– Siadaj Koziurowa, odpoczniemy trochę – powiedziała Zawadzka, siadając na pniu drzewa.

– A ileż mi zostało? Kto im nagada, jak my pomrzemy?

Koziurowa nic już nie mówiła, tylko usiadła przy Zawadzkiej i milczała.

– Jeszcze by tego brakowało, żebym ja na stare lata do bolszewików przynależała! – ciągnęła Malwina coraz ciszej, najwyraźniej mocno już zmęczona. – Tylko szkoda mi mojej Marysi, sama biedna jest. Też się jej nie poszczęściło z tym narzeczonym, bezbożnikiem jakimś!

– Malwina, czemu ty się martwisz? My już swoje przeszły, niech się teraz młodzi martwią – uspokajała Koziurowa. I zaraz dodała radośnie: „Żadne z moich dzieci nie zapisało się! Dobrze, że my obie poszły”.

– Widziałam, jak mnie zapisywał na kartce; myślałam sobie: już po mnie, odgryzą się na mnie! Ale co mi mogą zrobić, mnie starej? Ziemi mi nie zabiorą, wszystką oddaję Marysi – pocieszała się Malwina Zawadzka. – Boję się tylko jednego: żeby przeze mnie na Marysi się nie mścili. To biedne dziecko i tak już ma za swoje od losu – westchnęła ciężko. Kiwając głową z troską w oczach, wstała z pnia drzewa i podpierając się laską, poszła dalej ścieżką przez las w stronę Kosarzyna. Koziurowa dołączyła do niej i tak razem wracały, już nic nie mówiąc.

Nazajutrz przyjechał do Zawadzkich sołtys z Łomów i opowiedział Malwinie, jak podnieceni jej słowami ludzie nie dawali żyć delegatowi. Jeszcze po jego wyjściu z zebrania, gdy już siedział na furmance gotowy do odjazdu, wykrzykiwali swoje nazwiska, żeby je wykreślił z listy komunistów.

## XV

# Nowi sąsiedzi

Zbiór grzybów jesienią był znów wyzwaniem do zabezpieczenia bytu rodziny. Jak rok temu, tak i w 1947 r. jesień w Kosarzynie była ciepła, długa, kolorowa i pachnąca grzybami. Maria wiedziała, że trzeba będzie wyposażyć chłopców do szkoły – wszystkim kupić buty, ubranie i bieliznę. Postanowiła więc zbierać i sprzedawać grzyby. Wczesnym świtem biegła z koszyczkiem w lasy, w znane sobie tylko dobrze miejsca, gdzie rosły prawdziwki. Przychodziła do domu w południe, zmęczona, ale szczęśliwa. Nie dość, że miała nazbierany pełniutki koszyk samych białych prawdziwków, to jeszcze niosła dodatkowo w chustce przepiękne borowiki.

Przechodząc pewnego razu jak zwykle przez podwórze jednego z opuszczonych domów, zauważyła w kuchennym oknie firanki. Zastanowiło ją to i z zaciekawienia aż przystanęła, ale nie widząc nikogo, poszła dalej, wchodząc na swoje podwórko. Malwina siedziała na ławce przed domem i łuskała do miseczki fasolę.

– Mamo, ktoś mieszka już w tym opuszczonym domu obok? Widziałaś?

– Widziałam, a jakże, i poznałam młodziutką kobietę, mężatkę. Ma na imię Antosia – powiedziała matka, uśmiechając się.

– No i co? Jaka ona? – pytała dalej Marysia.

– Dobra i mądra – odpowiedziała Malwina. – To dobrzy ludzie, oni są aż z Wołynia. Uciekli przed banderowcami i uchowali się z życiem – wyjaśniała dalej Zawadzka córce.

Marysia westchnęła i pokazała matce nazbierane grzyby.

– Zuch jesteś, moja Marysiu – uśmiechnęła się. – Mało cię chwale, bo zapominam, że czasami trzeba. Czasami trzeba – dodała ciszej, kiwając głową.

Maria spojrzała na matkę i wzruszyła ramionami: co się dzisiaj mamie stało, że taka melancholia na nią naszła? Ale nie miała już czasu dłużej się zastanawiać, tylko usiadła obok niej na stołeczku i zaczęła rozkładać na rozłożonym fartuchu prawdziwki do „obróbki”.

– Zanim zabierzesz się za grzyby, idź, dziecko, i zjedz troszkę zacierek na mleku. Świeżo ugotowane – prosiła z troską Malwina. Marysia nie sprzeciwiała się, bo troszkę ścisnęła ją w żołądku, więc poszła na śniadanie. Jedząc powoli zacierki, spoglądała od czasu do czasu przez okno na matkę łuskającą fasolę i myślała sobie: „Co się mamie stało, że taka dzisiaj inna jakaś? Może to ci nowi sąsiedzi coś mamie nagadali i teraz jak nic jest pochłonięta tymi myślami?”. Zjadła jeszcze kawałek chleba z masłem i popiła kawą zbożową. Po chwili dołączyła do matki i siedząc tak obok niej, starała się wyciągnąć od niej, kto przyjechał. Malwina powoli wyjaśniała, że jest cała rodzina, a więc dziadek, ojciec męża Antosi, mąż Antosi i jeszcze przyjedzie, ale później, młodszy brat męża Antosi, kawaler, który jest teraz u brata w Nidzicy; to gdzieś aż w Prusach, w Olsztyńskim. I jeszcze przyjechała siostra męża Antosi z mężem i synem, ale mieszkają tam dalej, przy samej głównej ulicy. Nazywają się Romaniewiczze, czy jakoś tak.

Z całego tego wywodu matki Marysię najbardziej zaintrygowała postać owego „kawalera”. Jak nic, będzie chciała swatać mnie z tym kawalerem, żeby tylko wybić mi z głowy wojskowego „eleganta” – pomyślała. Ale to były tylko myśli – nie chciała mamy denerwować i wchodzić z nią w drażliwe tematy od rana. Oczyszczała korzonki prawdziwków i przycinała je, żeby wysuszyć je osobno, bo korzonki też handlarze skupowali, tyle że po niższej cenie. Słuchała gaworzenia matki z zaciekawieniem, nawet jej nie przerywając. Po chwili jednak zapytała: „A jacy oni? Chociaż kultury troszkę mają?”.

– Z tego, co ja wyniosłam z rozmowy z tą Antosią, to wielkie jakieś państwo, tylko teraz popadło w biedę, jak każdy. Ona przyjdzie, przyjdzie, pytała się o ciebie, czy mam dzieci i skąd jesteśmy. Uciekli przed banderowcami do lasu. Co oni tam wycierpieli na tym Wołyniu, Boże ty mój! My wycierpieli, ale oni, to strach mówić.

Marysia nic nie mówiła, tylko słuchała. W pewnym momencie

przypomniała sobie o chłopcach.

– Mamo, gdzie oni są? Mówili ci coś, gdzie idą? – zapytała z niepokojem.

Malwina opowiedziała Marii, że przyszedł mieszkający po sąsiedzku rybak Roszak i poprosił, żeby chłopcy mu pomogli rozwinąć i rozwiesić sieci na ryby.

– Nie podoba mi się to! – zachnęła się Maria. – Wieczorami słyszę, co dzieje się na podwórku u tych rybaków! Piją, to pewne, i poją swoich pracowników, których mają za parobków! Na pewno ci nieszczęśnicy żadnego grosza do domu nie przynoszą rodzinie, bo wszystko przepiją! Teraz wzięli się za naszych chłopaków! Oj, coś czuję, że będę musiała się za to wziąć!

Malwina nic na to nie odpowiedziała, tylko westchnęła głęboko. Po chwili milczenia jednak odezwała się cicho: „Oj przydałaby się w tym domu jakaś męska ręka, oj przydałaby się...”.

Na te słowa Maria wstała od grzybów i poszła do letniej kuchni po sanie i druciki, żeby ułożyć na nich grzyby do suszenia.

Kiedy minęło południe a chłopców nadal nie było, postanowiła pójść po nich. Dom Roszaka znajdował się na samym końcu wsi pod lasem. Odległość od domu Zawadzkich nie była duża – wystarczyło przejść tylko przez główną ulicę i kawałek jej poboczem, żeby znaleźć się przy furtce Roszaków. Będąc już przy niej, nacisnęła klamkę i weszła na podwórze. Od razu wzrok jej padł na rozpostarte na drewnianych kołkach sieci rybackie.

Kiedy weszła dalej, usłyszała męskie głosy. Obok schodów wejściowych stał stolik, wokół którego siedzieli mężczyźni. Na stoliku stało parę butelek wina i kawałki węgorka. Marysia szukała wzrokiem chłopców. Michaś siedział na ostatnim schodku wejściowym do domu i... palił papierosa. Obok niego stał Bernaś i coś jadł. Najmłodszy Antoś siedział obok Michasia i bawił się z psem.

Na widok Marysi Roszak wstał.

– O! I panna Marysia przyszła do nas! Zapraszamy, zapraszamy pięknie na węgorka – mówił, przymilając się. Maria nie zwracała na niego żadnej uwagi, tylko spojrzała ostro na Michasia, który schował papierosa za siebie, a następnie wyrzucił go w trawę. Teraz odwróciła się w stronę Roszaka i powiedziała sucho: „Dzień dobry, panie Roszak”. Roszak chciał coś jeszcze zagadać, ale Marysia kiwnęła tylko głową na chłopców, którzy natychmiast ruszyli za nią do wyjścia.

W domu ostro do nich przemówiła: „Nie wstyd wam?! Z pijakami się zadawać?! Tylko mnie nie ma, a wy do Roszaka!”.

– Ależ ciociu – próbowali się tłumaczyć, jeden przez drugiego. – Przyszedł po nas, żeby mu pomóc porozwieszać sieci. Nie byliśmy nad jeziorem ani na wodzie, tylko na podwórku – usprawiedliwiał się Michaś.

– Z tobą to ja jeszcze porozmawiam sobie! – przeniknęła go wzrokiem. Michaś spuścił oczy i już nic nie powiedział. Marysia też już dała spokój. Wzięła z szafki wiadro i poszła doić Rogatą. Chłopcy ukryli się w swoim pokoju, potulni i grzeczni, nie rzucając się cioci w oczy. Kiedy wróciła od krowy z obory, naszykowała im maselniczkę do robienia masła i kazała ubijać masło. Była spokojna, gdy byli zajęci – wtedy wiedziała, że nic nie broją i są w domu. Ubijali to masło bardzo pracowicie, tak że po czterdziestu minutach można je było wyłożyć do miseczki i kroić nożem.

Na obiad tego dnia mieli duszone grzybki w śmietanie z ziemniakami i zsiadłe mleko. Siedząc tak wszyscy przy stole, chwalili babciny obiad i komentowali swój pobyt u Roszaka – ile nałowił ryb i jakie duże. Maria, słuchając tego opowiadania, pomyślała sobie, że dobrze by było zjeść – no, chociaż spróbować – mały kawałeczek węgorza. I nagle jej marzenie się spełniło, bo do drzwi kuchennych rozległo się pukanie i weszła Roszakowa z półmiskiem ryb.

– Panno Marysiu, przyniosłam troszkę węgorza dla chłopców, dla pani i dla pani starszej.

– Dziękuję bardzo... – powiedziała Maria, mile zaskoczona taką gościnnością Roszaków. Wzięła od Roszakowej półmisek, przełożyła rybę na talerz i oddała półmisek. – Proszę, może pani usiądzie – zaproponowała. Ale Roszakowa, tłumacząc się mnóstwem zajęć i obowiązków, podziękowała, przeprosiła i poszła.

Po jej wyjściu Malwina spojrzała na Marysię i powiedziała żartem: „Nie taki diabeł straszny, jak go malują”. Maria zrobiła minę przewracając oczami, tak że rozśmieszyła chłopców, i naraz wszystkim zrobiło się wesoło.

Jakby tego było mało, wieczorem do Zawadzkich przyszły z wizytą zapoznawczą dwie nowo przybyłe, zamężne sąsiadki – Helena Romaniewiczowa i Antosia Kozińska. Przyniosły pączki z konfiturami.

– Dobry wieczór – powiedziały prawie jednocześnie, wchodząc do domu.

– Dobry wieczór, proszę, proszę – zapraszała siedząca przy piecu Malwina, a Maria podsunęła im krzesła, żeby usiadły. Antosia postawiła na

stole talerz z pączkami i usiadła na podanym jej przez Marysię krześle. Marysia, mimo że ciągle jeszcze cierpiała z powodu ostatnich tragicznych przeżyć, starała się być pogodna i życzliwa wobec nowo poznanych sąsiadek. Nie rozpoczynała jednak jako pierwsza rozmowy, grzecznie czekając, co powiedzą jej nowe i starsze od niej zamężne sąsiadki.

– Dawno tutaj przyjechaliście? – zapytała Helena Romaniewiczowa i zaraz potem dodała: „My już mieszkaliśmy na Śląsku, ale gospodarze powracali, przyjęli polskie obywatelstwo i trzeba było wyjeżdżać”.

Maria nic nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową ze zrozumieniem. Po chwili jednak odezwała się: „My przyjechaliśmy wiosną 1946 roku; nie było tu jeszcze dużo osadników, tylko wojsko. Prawie w każdym domu stacjonowali żołnierze WOP”.

– No to i dobrze – zauważyła, śmiejąc się, Antosia. – Przynajmniej było bezpiecznie.

– Ale nie było nam za dobrze – odezwała się przysłuchująca się rozmowie, dotychczas milcząca Malwina. – Latem w zeszłym roku, zaraz po przyjeździe, umarł mi nagle mąż, w same żniwa. Wiosną tego roku umarł syn.

Po tych słowach obie sąsiadki Helena i Antosia posmutniały i zrobiła się cisza.

– Takie życie, taki los człowieka – westchnęła ze zrozumieniem Helena. – Wojnę przeżył, ciężką podróż i przyszło umrzeć po przyjeździe...

– Teraz już nie wyjedziemy stąd, bo i gdzie nam się tułać samym po świecie – westchnęła Zawadzka. – Jak mąż żył, planowaliśmy stąd wyjechać – dodała. – Teraz to już mowy nie ma – mówiąc to, spojrzała na córkę.

– Starsi chłopcy chodzą do szkoły w Gubinie, a potem i najmłodszy pójdzie w ich ślady – dodała Maria.

– To wasze dzieci? – zapytała nieoczekiwanie Helena.

– Nasze, nasze – przytaknęła Malwina i wyjaśniła: „Nasze, bo po starszej córce, która umarła w wojnę, a zięcia zabili Niemcy”.

– Aha – pokiwała ze zrozumieniem głową Helena.

– Marysia to jeszcze panienka, ale ma całą rodzinę na głowie – ciągnęła Malwina. – Utrzymuje nas wszystkich. To zuch dziewczyna. Chwałę, bo tak jest – dodała, patrząc na Marysię całą w pąsach.

– Oj, mamuś! Każdy by robił to co ja, gdyby było trzeba – powiedziała zawstydzona.

Antosia spojrzała na Marię, na jej długie, związane ciemne loki i powiedziała: „Jesteś śliczna, dziewczyno; poznasz jakiego kawalera i wyjdiesz za mąż, no i będziecie mieli mężczyznę w domu.

Maria nic nie odpowiedziała, tylko spojrzała na matkę. Na to Malwina machnęła ręką i powiedziała: „Pewnie, że ma powodzenie, bo to ładna jest i mądra, ale że mądra, to i przebiera – nie chce wyjść za pierwszego lepszego, za jakiegoś łachudrę”.

– Bardzo słusznie – pochwaliła przysłuchująca się rozmowie Helena. I zaraz zaprosiła do spróbowania pączków z konfiturą: wzięła talerz do ręki i poczęstowała Malwinę, Marię i Antosia. – My mamy w domu, a to dla was – powiedziała, stawiając talerz z pączkami z powrotem na stole.

– To ja zrobię herbatę – zaofiarowała się Marysia, uśmiechając się miło do nowych sąsiadek.

– Marysiu, zrób herbatę z tej róży, co stoi w tym dużym pudełku w spiżarni. Tę różę to jeszcze zbierałam w domu na Wileńszczyźnie – mówiła Malwina.

Nieoczekiwana wizyta sąsiadek ucieszyła ją do tego stopnia, że po raz pierwszy od dłuższego czasu Malwina Zawadzka uśmiechnęła się. Marysia, widząc to, też uległa nastrojowi i rozpromieniła się zupełnie.

Tego wieczoru w domu u Zawadzkich było ciepło, spokojnie i pogodnie. Kobiety, pijąc herbatę, dzieliły się wiedzą, jak najlepiej zrobić wino z dzikiej róży, jak upiec dobre ciasto, jak uprząść wełnę na sweter i ciepłe skarpety.

Od tego jesiennego wieczoru Helena Romaniewiczowa, Antosia Kozińska i Marysia Zawadzka zostaną najlepszymi przyjaciółkami na całe swoje przyszłe życie. Trzy młode kobiety staną się sobie bardzo bliskie – na dobre i na złe. Codziennie rano, idąc na grzyby przez podwórze Kozińskich, Marysia będzie pukała w okno i wyjdzie do niej Antosia. Razem będą wędrować po lasach i przynosić do domu kosze pełne grzybów – i to nie byle jakich, tylko samych dorodnych borowików. Potem każda w swoim dużym piecu chlebowym będzie te grzyby suszyć, a następnie wkładać je do płóciennych woreczków lub nakładać na sznureczki, tworząc oryginalne zwoje pachnących wieńców. Niejeden też raz w lesie zobaczą Adama Romaniewicza, jak biega z koszykiem po młodnikach, wyprzedzając je i zabierając im spod nosa prawdziwki.

– Adam! – udawała gniew Antosia. – Znów mi powybierałeś moje prawdziwki!

Adam śmiał się tylko i mówił: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Było to słuszne przysłowie, ponieważ Adam wyruszał do lasu jeszcze gdy na dworze było zupełnie ciemno. Dziewczyny bały się ciemności w lasach z powodu wszechobecnych dzików. Adam z tego powodu był bardzo dumny i pewny siebie. Pod koniec dnia przychodził na podwórko do każdej z nich, aby zobaczyć, ile to one dzisiaj przyniosły do domu prawdziwków. Widząc ich zbiory, chwalił i zachęcał do dalszych wypraw.

W kuchniach letnich, w dużych piecach chlebowych suszyły się leśne trofea. Pod koniec października do wsi przyjeżdżali po grzyby handlarze. Marysia najpiękniejsze borowiki z białymi czapczkami schowała, a handlarzom wynosiła wysuszone podgrzybki, kurki i zielonki. Handlarka w tlenionych włosach z pomalowanymi paznokciami ważyła, targowała, liczyła, coś zapisywała, oglądała grzyby, w końcu podawała cenę i czekała, aż Maria powie: „Dobrze, niech tak będzie”, po czym wypłacała pieniądze, kładąc je na stół. Marysia brała pieniądze do ręki i jeszcze raz liczyła. Po chwili uśmiechała się i już targ grzybów został doprowadzony do końca.

Pewnego razu Maria poszła do domu Kozińskich i zastała Wincentego Kozińskiego siedzącego na ławeczce przed gankiem domu. Dziadek, siedząc na ławeczce, palił swoją fajkę, a przywieziony z Wołynia Nerek – już sędziwy, tak jak i jego pan – leżał obok. Marysia nie wiedziała, co ma powiedzieć na przywitanie, więc widząc starszego pana, powiedziała: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. I tu spotkała ją niespodzianka – Wincenty Koziński, zamiast odpowiedzieć „na wieki wieków...”, powiedział spokojnym głosem, jakby nigdy nic: „Dzień dobry, panienko!”. Powiedział to głośno – tak żeby uzmysłwić młodej dziewczynie, co mówi. Rozśmieszyło to ją, ale za to bardzo dziadka Kozińskiego polubiła – za jego poczucie humoru i dowcip. Od tamtej pory, przychodząc do Kozińskich, już zawsze mówiła „dzień dobry” z wesołą miną, a dziadek z taką samą miną jej odpowiadał.



## XVI

# Wyprawa grzybowa

**P**o pierwszych przymrozkach, w połowie listopada, cała zaprzyjaźniona „grzybowa” trójka – Antosia, Marysia i Adam – wyruszyła, aby sprzedać najbardziej cenne grzyby, na targ aż do Poznania. O czwartej nad ranem do stacji kolejowej w Gubinie zawiózł ich furmanką Dominik. Umówili się, że wieczorem znów po nich przyjedzie.

Obładowani zwojami grzybów, które powkładali do płóciennych worków, specjalnie uszytych w tym celu, w wagonie usiedli wszyscy razem obok siebie. Siedzieli drzemiąc i tylko budził ich gwizd lokomotywy, kiedy pociąg mijał kolejne stacje. W Zielonej Górze mieli przesiadkę do Poznania, więc chcąc nie chcąc musieli opuścić ciepłe miejsca w wagonie i wyjść na peron. Nie trwało jednak pół godziny, kiedy wsiedli do pociągu jadącego do Poznania. Byli podekscytowani i przejęci i ze zdenerwowania kobiety powyciągały z torebek kanapki i zaczęły jeść, a Adam wyszedł na korytarz i zapalił papierosa.

Dojechawszy do Poznania, z trudem przepychali się przez dworcowy tłum. Adam torował im drogę, a one posuwały się za nim z workami grzybów na plecach. W pewnej chwili Antosia zawołała: „Hej, zaczekajcież, przecież musimy się dowiedzieć, gdzie iść, gdzie jest to targowisko!”.

– No tak – przyznała jej rację Marysia i przystanęła, patrząc na swych współtowarzyszy. Nagle jednak jakby oprzytomniała i podchodząc do jednej z kobiet, zapytała wprost: „Proszę pani, gdzie jest targowisko z grzybami? Jak iść, w którym kierunku?”. Kobieta spojrzała na Marysię i powiedziała:

„Jest tramwaj. Piątka tam jedzie. Proszę” – wskazała ręką w kierunku przystanku tramwajowego. – Tam idźcie i wsiądźcie do tramwaju piątki, zawiezie was na samo targowisko. Trzy przystanki i jest targ” – krzyknęła już za nimi, odchodząc w swoim kierunku.

Za radą kobiety poszli we wskazanym kierunku i po półgodzinie znaleźli się na ogromnym placu targowym, wypełnionym tłumem ludzi. Tak jak i poprzednio, drogę torował im Adam. Wysoki i barczysty, zupełnie dobrze sobie radził, przeciskając się przez tłum. Za nim podążały Antosia i Marysia.

Mijając po drodze kiosk z gazetami i papierosami, Adam nagle zatrzymał się.

– Muszę kupić papierosy, poczekajcie tutaj – zwrócił się do kobiet. Marysia i Antosia stanęły obok i rzuciły z pleców worki z grzybami. Naraz Maria szturchnęła w bok Antosię.

– Zobacz, tam w rogu handlują grzybami.

Antosia spojrzała i zobaczyła stojące kobiety i mężczyzn z naręczami grzybowych wianków, przewieszonych przez ręce i ramiona, a przy nich handlarzy i kupujących, oglądających towar i targujących się głośno.

– Adam – zawołała Antosia – zobacz no tylko – idziemy tam, czy tutaj wyciągamy grzyby z worków?

– Eee tam, tutaj już zostanemy – zaproponował Adam i zaczął rozwiązywać swój worek z grzybami. Za jego przykładem poszły kobiety. Po chwili wszyscy troje stanęli obok siebie, przystrojeni w grzybowe wieńce z samych dorodnych, wysuszonych prawdziwków. Ludzie stojący nieopodal i sprzedający grzyby zareagowali na to ożywieniem, zwracając na nich uwagę.

– Nie przejmujcie się – uspokoił kobiety Adam. – Zazdrosne te baby, że jesteśmy im konkurencją. Najlepiej nie patrzcie w ich stronę – dodał, zaciągając się dymem z papierosa i patrząc w tłum.

Po chwili podeszła do nich jedna z kobiet sprzedających grzyby i powiedziała: „Kobiety kochane, trzeba ustanowić jedną cenę na targowisku, żeby nas handlarze nie oszukiwali. Trzeba się umówić”. Adam natychmiast zareagował: „Po ile sprzedajecie?”. Kobieta przysunęła się do nich bliżej i szepnęła: „Prawdziwki pierwszego gatunku, te białe, to najdroższe – po osiemset złotych. Podgrzybki młode po trzysta pięćdziesiąt, a starsze po dwieście pięćdziesiąt”.

– I tak schodzą? – pytał zaciekawiony Adam.

– Schodzą, ale po jednym wianuszku. Pójdą wszystkie, jak o ósmej przyjadą handlarze z Łodzi i Warszawy. Oni kupią wszystko.

Antosia, Marysia i Adam spojrzeli na siebie porozumiewawczo. – Noo dobrze, niech i tak będzie – zgodzili się wszyscy.

– Hej, kobieto – zawołał za nią Adam. – Mówisz prawdę?

Kobieta wróciła i powiedziała: „Nazywam się Celina Kozubska i żyję z grzybów. Uczciwa jestem i nie lubię, jak ktoś oszukuje”.

– Dobrze, dobrze, Celina – łagodziła dyskusję Antosia.

Kiedy Celina odeszła do swoich, Marysia odezwała się: „Żeby tylko już ktoś kupił od nas te grzyby...”. I jak za dotknięciem różdżki poczuła szarpnięcie, a potem głos mężczyzny: „Po ile macie te białe prawdziwki?”.

Adam spojrział na mniejszego od siebie, łysego tłuściocha i zniechęcony jego widokiem, rzucił przez zęby: tysiąc złotych. Mężczyzna przestał oglądać grzyby i zapytał Adama: „Pierwszy raz sprzedajesz, a takiś mądry?”. Adam znów spojrział na niego z góry. – Albo kupujesz, albo nie przeszkadzaj! – Dobra, dobra... ale jak kupię wszystkie wasze prawdziwki od ciebie i od kobiet, to od każdego kilograma pięćdziesiąt złotych obniżacie – zaproponował, obserwując reakcję Adama.

– Pięćdziesiąt za dużo – odezwała się Antosia.

– Niech będzie dwadzieścia – targowała Maria.

– No to trzydzieści – proponował handlarz.

– Dwadzieścia pięć – odezwał się Adam i dodał: „To moje ostatnie słowo; jak się nie podoba...”.

– Dobra, dobra, dobra... – uciszał handlarz. Wyjął z torby podręczną wagę z haczykiem. – Dawajcie na wagę.

– A po co? Na każdym zwoju jest kartka z podaną wagą – powiedział spokojnie Adam.

– Dobry człowieku – odezwał się handlarz. – Żeby kupić towar, trzeba zważyć. Dobrze ci z oczu patrzy, ale trzeba się przekonać, co i ile się kupuje.

Adam już nic się nie odezwał, tylko obserwował poczynania handlarza, gotów na atak słowny, gdyby kupującemu nie zgadzała się waga. Po zważeniu Adamowych grzybów i zapisaniu na kartce, ile ważą, handlarz tak samo postąpił z grzybami Marysi i Antosi.

– Noo, zgadza się – potwierdził. Wyjął spod płaszcza portfel i zaczął liczyć pieniądze. Stojąca obok niego jego pomocnica zakrywała teczką poczynania swojego pracodawcy, żeby grubość portfela jej szefa nie

zaciekawiała targowiskowych złodziei, których wszędzie było pełno.

Kiedy Adam schował już swoje ciężko zarobione, wychodzone za grzybami pieniądze głęboko do kieszeni marynarki pod płaszczem, powiedział do handlarza: „Dziękuję ci. Za te pieniądze kupię sobie nowy pług do gospodarstwa”. Handlarz spojrział na niego i pokiwał głową: „Niegłupi jesteś, aleś chłop. Zresztą kto cię wie, kim ty jesteś?”.

Marysia i Antosia nie posiadały się z radości, trzymając w rękach swoje pieniądze. Wyściskały się i wypłakały w swoich objęciach.

– Adam, chodź, pochodzimy sobie troszkę po targu – zawołała Antosia. – Udało nam się sprzedać dobrze grzyby. Kup Helenie ładną chustkę albo i kapelusz, będzie się cieszyć.

– Oj, wy kobiety, zaraz rozpuścicie wasze pieniądze – narzekał, ale szedł teraz w ślad za nimi.

Zatrzymali się wszyscy przy kramiku z chustkami, szalikami, czapkami i rękawiczkami.

– Adaś, zobacz, jaka piękna chustka – zawołała Antosia. – Ciepła, w kwiaty. Kup Helenie – nalegała, pokazując ręką na rozwieszoną nad kramikiem chustkę.

– Dobrze, kupię, ale tylko chustkę – no, może i rękawiczki – dodał. – Ale na więcej mnie nie namawiajcie! – mówiąc to, spojrział na nie, udając bardzo stanowczego.

Przechodząc obok różnorodnych kramów z przeróżnymi towarami, tak Marysia, jak i Antosia już nie zwracały wcale uwagi na Adama, który dreptał za nimi i tylko mruczał niezadowolony, że tak pędzą. Maria przystanęła przy stoisku z bielizną i całej rodzinie kupiła po dwie zmiany ciepłej bielizny na zimę, a potem jeszcze buty, na które wiozła ze sobą miarkę z patyczków. Kupiła też czapki, szaliki i rękawiczki. Była nie mniej szczęśliwa od Antosi, która Dominikowi kupiła prawdziwy, filcowy, przedwojenny kapelusz. Z reguły zawsze optymistyczna Antosia teraz cieszyła się jak dziecko – jak rozbawiona mała dziewczynka, chichocząc się i śmiejąc jak dawniej na Wołyniu...

Wychodząc już z tłumu targowego, Marysia zboczyła na prawo, gdzie przy samej ścieżce stał kram z pamiątkami. Przystanęła i zapatrzyła się. Antosia i Adam stanęli za nią z tyłu i też tak jak i ona wpatrywali się w różnorakie świecidełka, ramki, broszki i łańcuszki. Maria oglądała kolorowe serduszka, powieszzone w zwoju na tasiemce umieszczonej nad

kramikiem. Wybrała jedno białe – a właściwie to przezroczyste – kryształowe serduszko; do tego poprosiła srebrny łańcuszek. Od razu umieściła serduszko na tym łańcuszku i to wszystko zapakowała w ładne niebieskie, malutkie pudełeczko.

Antosia i Adam spojrzeli na siebie, ale nic nie powiedzieli. Znali już tajemnicę Marii od Malwiny, która wyjawiała im, że Marysia jest zakochana i ma już narzeczonego, ale jej, czyli Malwinie Zawadzkiej, on się mało podoba, bo nie jest gospodarski syn, tylko inteligent, jak go nazywała. Ponieważ zbliżały się święta, Maria z nadzieją wypatrywała ukochanego, będącego na studiach, lub przynajmniej listu od niego. To malutkie serduszko jest dla niego...

Siedząc już na dworcowej ławce, jedli śląską kiełbasę z bułką, kupioną w dworcowym bufecie i popijali oranżadą – w poczuciu satysfakcji, że warto było chodzić na te grzyby. Mieli do odjazdu jeszcze całą godzinę, więc przypatrywali się ludziom przechodzącym po holu dworca. Marysia i Antosia szczególną uwagę zwracały na kobiety – jak są ubrane, jakie mają buty, fryzury.

W pewnej chwili Antosia szturchnęła Marię w bok: „Ej, widzisz to co ja?”.

– Gdzie? – zapytała Maria.

Antosia pokazała ręką na kobietę stojącą przy kasie dworca. Marysia przestała jeść i zapatrzona na kobietę, powiedziała na głos, tak żeby i Adam usłyszał: „Zobaczcie, to Celina; chyba sprzedała grzyby i wraca do domu, tak jak my”. Ale obserwując ją zobaczyli, że Celina po chwili odchodzi od kasy i idzie do grupki stojących obok bufetu ludzi, wśród których stoi handlarz – ten sam, który kupił od nich grzyby – jego pomocnica i całe towarzystwo „grzybowe” z poznańskiego targu.

– Noo... to jednak jest jedna banda. Ciekawe, jak się dzisiaj obłowili – zauważył Adam. – Sądząc po bagażu, to nieźle. No, no, dobry człowieku, już na następny raz to nas nie nabierzesz – powiedział sam do siebie. – Ja coś widziałem w tych małych, świdrujących oczkach. Takie małe, świdrujące, to zawsze są fałszywe – dodał, śmiejąc się. – Ale przecież każdy musi z czegoś żyć.

Mimo to wracali do domu w dobrych humorach. Maria wprost tryskała radością – z zakupów, że ma w co ubrać chłopców, że jest silna i dzielna, że sobie radzi. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia – drugie święta, a ona

miała dla chłopców prezenty pod choinkę, prawdziwe, nowe, pachnące świeżością buty z prawdziwej skóry.

Wieczorem na stacji kolejowej w Gubinie czekał na nich Dominik. Przywiązał Deresza do drewnianego słupka, a sam przechadzał się po peronie tam i z powrotem, czekając na pociąg z Zielonej Góry. Kiedy tylko pociąg się zatrzymał i z wagonów wysypali się pasażerowie, od razu ich dojrzał i pomachał czapką. Jak zwykle pierwsza zobaczyła go Antosia. Doskoczyła do niego i objęła go za szyję.

– Dominik, warto było zbierać grzyby, oj, warto! Teraz to ja już z Marysią będę chodziła, ona zna te lasy lepiej ode mnie.

– Antosiu kochana, to dopiero za rok! Za rok znów narosną, ale zimą trzeba przeczekać – śmiał się Dominik Koziński i cieszył razem z nią. Radość ze sprzedaży grzybów udzieliła się wszystkim.

To dla Marii był dzień pełen wrażeń. W domu nastąpiło szaleństwo rozpakowywania, przymierzania i śmiechu. Malwina nie mogła uwierzyć oczom. Dotykała i głaskała nowe trzewiki – jak nazywała kupione nowe buty dla chłopców. Nawet wtykała nos do wewnątrz trzewika, żeby powąchać, jak pachną świeżością.

– Oj wy, moje *malczyki* – jak czasami nazywała chłopców w chwili radości – cieszcie się, że macie taką ciocię! Bóg ją wam zesłał po śmierci waszej mamy!

Mówiąc to, podeszła do Marysi i pocałowała ją we włosy, głaszcząc czule. Jej oczy napełniły się łzami wzruszenia. Na taką reakcję babci chłopcy zaniemówili – patrzyli na ciocię, buty i nowe ubrania w ciszy i z uśmiechem na ustach. Tego wieczoru w domu u Zawadzkich wszyscy byli szczęśliwi.

I jakby tego było mało, Malwina wydoستاła z kredensu list i podała Marysi.

– Masz, to od twojego narzeczonego – powiedziała.

Marysia wzięła list i poszła z nim do środkowego pokoju. Tam w ciszy i przy lampie naftowej czytała:

*Najdroższa moja Marysiu!*

*Jestem na uczelni wojskowej. Jeszcze dwa lata nauki przede mną. Lata pełne zajęć i trudu. Nie mogę przyjeżdżać do ciebie, jak bym chciał i pragnął, tak jak pragnie Ciebie moje serce. Znam Twoją sytuację. Znam Twoje trudy*

*ciężkiej pracy i wychowania dzieci. Nie mogę być z Tobą, nie mogę mieszkać wraz z wami, z całą rodziną. Moje losy są Ci znane. Moja przyszłość to wojsko i służba w mundurze. Przyjadę, jak tylko będę mógł, i zabiorę Ciebie do miasta. Będziemy mieszkać w mieście i żyć w mieście. Czekaj tylko na mnie cierpliwie, moja Ty najukochańsza i jedyna na świecie dziewczyno. Moja najpiękniejsza Marysiu!*

*Władek*

Przeleciała wzrokiem pismo – raz, potem jeszcze kilka razy. Pocałowała list i przytuliła go do serca. Patrząc w płomień lampy naftowej, zamyśliła się. Łzy cichutko spływały jej po twarzy. Serce łomotało jak szalone. Czy to sen, czy bajka, czy ty jesteś naprawdę taki dobry i kochany? A jeśli jesteś, to czemu tak cierpię z tęsknoty? Czemu dajesz mi cierpieć i dajesz się kochać do bólu i łez? Jeszcze dwa lata – Boże, daj mi siłę! Zakryła oczy dłońmi.

Po chwili otworzyły się drzwi i weszła Malwina. Ciekawa, co tam było w liście, usiadła cichutko na krześle naprzeciwko córki, czekając, co ta powie.

– Władek napisał, że ma jeszcze dwa lata nauki, a potem zabierze mnie do miasta – powiedziała, patrząc na matkę.

– Dwa lata... a wiesz ty, dziecko, co może być przez te dwa lata? Wszystko; może mnie zabraknąć, i co wtedy? – zapytała Malwina, patrząc na Marię.

Marysia schyliła głowę i nic już nie odpowiedziała.

## XVII

# Boże Narodzenie

**K**osarzyn w 1947 roku zmienił się bardzo w porównaniu z rokiem poprzednim. Poniemieckie domy opuścili stacjonujący tutaj po wojnie żołnierze WOP. Do opuszczonych przez nich domów przybywali coraz to nowi osadnicy, przybyli ze Wschodu. Obok Zawadzkich zamieszkała rodzina Koziurów – Anna, Marcin i ich troje dorosłych dzieci: Kasia, Józek i najmłodsza, szesnastoletnia Stefka. Z kolei naprzeciwko ulokowała się rodzina Miechowskich, a dalej – obok Roszaków – Matacze. Idąc w głąb Kosarzyna, można by wyliczać kolejne domy, zamieszkałe przez osadników przybyłych ze Wschodu: a więc Słobodzianowie z dwojgiem dorosłych dzieci, Helenką i Mirkiem; Skieresze z piętnastoletnim Bogdanem; Kryzowie, młodzi małżonkowie; Król z młodziutką żoną Heleną; Szydliki, młode małżeństwo; Antczaki z młodym chłopcem Kazikiem, przysposobionym z rodziny; Kozińscy, Franciszek i Anna; i drudzy Kozińscy, przybyli ze Śląska, którzy zmuszeni byli opuścić świeżo zagospodarowaną przez siebie ziemię z powodu powrotu do swoich domów dawnych gospodarzy.

Tak więc śmiało można było powiedzieć, że wieś tętni życiem. Ludzie cieszyli się z zakończenia wojny, że żyją. Nowa parcelacja ziemi też zachęcała do zakładania rodzin i gospodarstw rodzinnych. Tym, którzy zostawili domy i ziemię na Kresach, nowa „władza” nadawała tytuły własności ziemi na byłych terenach niemieckich.

Jednakże choć władza nadawała ziemię, zdarzały się też incydentalnie



przypadki jej odebrania. Tak m.in. stało się u Zawadzkich. Nieświadomi niczego, posadzili na swojej wymierzonej działce ziemniaki i zasiali żyto. Żeby zagospodarować ugory, trzeba było włożyć w to ogromną pracę – nawieźć pole, zaorać je i zabronować. Tego wszystkiego dokonał jeszcze za życia Jan Zawadzki. W chwili przepisania pola innym użytkownikom jego ziemia była już zagospodarowana i z redlin wychodziły pierwsze zielone listki sadzonek kartofli, a na drugim kawałku pola zieleniło się żyto.

Powiadając o zmianie właściciela gruntów, nowo obrany sołtys wsi przyszedł do Zawadzkich sam jeden. Bał się reakcji Malwiny, która Bóg wie jak się zachowa przy przedstawicielach władzy, gdy się o wszystkim dowie. I miał rację.

– Sołtysie, czemu tak zrobiliście? I za co? – napierała na niego z pytaniem Malwina. Przecież dokładnie znacie naszą sytuację; wiecie, że ja jestem sama wdowa z trójką sierot i Marysią. Za to, że nagadałam w Łomach? To za to ta bezbożna kara i krzywda? Noo, pokażcie, komu jeszcze zabraliście jego pracę i oddali nierobom na zatracenie i przepadek?

– Bóg mi świadkiem, Zawadzka, że to nie ja. Przysięgam, że ja nie odpisywałam wam ziemi – tłumaczył się sołtys. – To jest jakieś równanie gruntów. Jednym odpisują, drugim przypisują – mówił. – Napiszcie podanie do gminy – takie zażalenie, że nie zgadzacie się na takie załatwienie sprawy. Napiszcie, a ja zawiozę – zakończył rozmowę.

Po jego wyjściu, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, nawet ciężkich czasów wojny, Malwina rozplakała się. Poszła do swojego pokoju, gdzie spały na dwóch łózkach zawsze obie razem z Marysią, położyła się i już do wieczora nie wstała. Wieczorem wstała i usiadła przy stole zrezygnowana.

– Dostałam za swoje. Teraz muszę odpokutować. Ale jeszcze nie poddam się, musimy napisać pismo do gminy i nie dam sołtysowi, tylko sama zawiozę – zdecydowała. – Piszemy podanie, Marysiu.

Maria przyniosła zeszyt w kratkę i wyrwała z jego środka dwie kartki. Malwina dyktowała, a Marysia pisała.

*Ja, niżej podpisana Maria Zawadzka, z domu Kozłowska, córka Elżbiety i Arkadiusza, przybyła zza Buga wraz z rodziną i osieroconymi dziećmi swojej córki Eweliny, składam prośbę o nieodbieranie mi ziemi uprawionej przez mojego męża Jana, który już nie żyje. A który tę ziemię nawoził i obsiał,*

*zasadził na niej ziemniaki, żeby wykarmić rodzinę i przysposobione sieroty. Prośbę swą składam do władz partyjnych i gminnych.*

*Szczęść Boże i z poszanowaniem.*

*Malwina Zawadzka z Kosarzyna*

Marysia jeszcze kilkakrotnie musiała to pismo matce przeczytać, po czym złożyła je i od razu schowała mamie do jej torebki. Nazajutrz rano wybrała się Malwina z sąsiadem Mieckowskim wozem do miasta, który zawiózł ją do urzędu i tam czekał. Sama zaniósła napisane pismo do biura gminy i nie doczekawszy się przyjęcia przez wójta, wróciła do domu, jednakże pismo zostawiła.

Efekt tego był taki, że babcia Malwina odzyskała swoje utracone grunty, o czym powiadomił ją sołtys. Uradowana, powiedziała do Marysi: „Dostałam nauczkę, że mam siedzieć cicho i trzymać język za zębami. Dobrze, dobrze, niech tam sobie robią co chcą te bezbożniki, byleby ludzi nie krzywdzili”.

Marysia uśmiechnęła się i przytuliła mamę.

\* \* \*

Przed wojną Kosarzyn był ogromną wsią rybacką i portową dla barek przewożących towary do Szczecina i na Śląsk. Po działaniach wojennych został zniszczony co czwarty dom, ale większość i tak pozostała w bardzo dobrym stanie do zamieszkania. Nowo przybyli repatrianci dbali o swoje gospodarstwa i domy i coraz to bardziej je ulepszali i remontowali. Wszechobecne na tych przygranicznych terenach wojsko pomagało we wszystkim, w czym tylko zdołało, więc mieszkańcy Kosarzyna, mimo bliskości granicy, którą stanowiła Nysa Łużycka, nie czuli się zagrożeni od strony Niemiec. Wojskowe patrole czuwały nad bezpieczeństwem dzień i noc.

Po jesiennych zbiorach na polach i wykopkach, grzybobraniach, nadszedł czas na przygotowywanie się do zimy. Pewnego razu Maria poprosiła sąsiada i biorąc chłopców na wóz, pojechała do leśniczego kupić drzewo na opał. Jeździli po nie aż trzy razy. Sterty sosnowego drzewa poukładali za szopką, a potem cały dzień piłowali. Bernaś i Michaś mieszkali w szkole

z internatem, więc kiedy przyjeżdżali, Marysia nadrabiała z nimi zaległe prace w domu. I tak się cieszyła, kiedy mieli już opał na zimę, kartofle w piwnicy i ciepłe ubrania! To była jej radość największa i najważniejszy cel w życiu – nakarmić, ubrać, zadbać o ciepło w zimie. I jeszcze porozmawiać, nakrzyczeć lub pochwalić; pojechać do szkoły na wywiadówkę, porozmawiać z nauczycielem, lekarzem, jak trzeba. Była dla nich i matką, ciotką, opiekunką i przyjaciółką. W domu został najmłodszy, Antoś, który zaczął chodzić do szkoły podstawowej we wsi Łomy, oddalonej od Kosarzyna trzy kilometry.

Przed gwiazdką w 1947 roku Michaś i Bernaś przyjechali do domu i cała rodzina szykowała się do świąt. Najwięcej pracy w domu jak zwykle miała Maria. W nocy zaczął padać śnieg. Kiedy Maria wstała rano, żeby wydoić krowę, i rozpędziła się z domu do obory, o mało co nie upadła na progu, wpadając w poślizg. Zachwiała się tylko nieznacznie i poszła dalej. Rogata przywitała ją lekkim muczeniem, a Maria poklepała ją po tylnym zadzie.

– Już zima, Rogata, śnieg napadał – mówiła do krowy, tak jak do człowieka. Rogata żuła sobie sianko i stała potulnie, gdy Maria ją doiła. Strużki mleka wpadały w cynkowe wiadro, wydając charakterystyczny dźwięk i plusk tworząc pianę. Dojąc krowę, Marysia przytuliła się do jej boku i było jej ciepło.

W domu, rozpalając w piecu, krzątała się już Malwina, która przygotowała garnek na mleko, żeby ugotować na nim lanych kluseczek na śniadanie dla chłopców. Widząc ją, Marysia powiedziała: „Śnieg napadał. Po co wstałaś tak wcześnie, mamó? Chłopaki jeszcze pośpią sobie. Co będą robić tak rano?”. Malwina nic na to nie odpowiedziała, tylko ciężko westchnęła. Maria przecedziła mleko do glinianego garnka i od razu odlała je do innego, stojącego na płycie kuchennej, przygotowanego na kawę zbożową i lane kluski dla chłopców.

– Nie mogę spać, Marysiu, jak ty ciężko pracujesz. Sama jedna jesteś na tym świecie dla nas wszystkich. Pracujesz tak jak mężczyzna, a może jeszcze więcej. Wszystko jest na twojej głowie, córciu ty moja dzielna – uzalała się Malwina nad losem córki.

Marysia przyjrzała się matce uważniej. Jej kiedyś piękne i bujne włosy teraz spięte były w kok i przewiązane chustką. Rysy twarzy zacierał czas, jednak bystre, duże, ciemne oczy nadal były pełne blasku. Była damą do końca. Niegdyś piękna i dystygowana kobieta, miała w sobie powagę

stateczności i szacunku. Ludzie, którzy ją spotkali tutaj, na zachodzie Polski, całowali ją w rękę. Była niezwykłą kobietą o niezwykłej osobowości. Nosiła czarne, długie spódnice, zakrywające buty. Na końcu spódnicy przyszyty był ochronny pasek z ostrego, mocnego materiału, zakończonego metalową siateczką.

Marysia postawiła mleko na fajerkach kuchennych i usiadła przy stole naprzeciw matki.

– Pamiętasz, mamó, zimę na wschodzie? Pamiętasz, jak pracowałam w lesie – najpierw dla Niemców, potem dla Ruskich? Mogłam już nie żyć – wtedy, gdy esesman mnie uderzył – pamiętasz?

Malwina podparła się ręką pod brodą i słuchała córki.

– Wtedy zimą, jak ścinaliśmy las dla Niemców, ktoś doniósł do SS, że źle pracujemy i Niemcy zrobili na nas nagonkę. Niespodziewanie przyjechali i okrążyli nas wszystkich, młodych, pracujących przy wyrębie lasu. A ten mały, wściekły esesman latał od jednego do drugiego i nas wyzywał. Mnie schwycił ze rękę, uderzył w twarz, odciągnął na bok i kazał stać. Pilnujący nas żołnierze niemieccy tak byli przestraszeni, że stali przed tym esesmanem na baczność. Ja nic sobie z tego nie robiłam – nie bałam się; kazał stać, to stałam. Wszyscy pracowali i nikt na mnie nie patrzył z naszych ludzi ze wsi. Wszyscy myśleli, że zaraz mnie ten Niemiec zastrzeli. Ale przeżyłam – Niemiec nie strzelił. Dopiero potem, jak przyszłam do domu, dotarło do mnie, że byłam skazana na śmierć. Bóg mnie uchronił – żyję. Mam misję wychowania dzieci po siostrze, no to wychowam – taki mój los i dam sobie radę, mamó moja – zakończyła Marysia, głaszcząc rękę Malwiny opartą o stół.

Malwina milczała, a po chwili powiedziała: „Pamiętam, jak by to było dziś. Ojciec poszedł wtedy do jednego z dowódców niemieckich z tego wojska, co was, młodych, pilnowali, i wykupił ciebie z tej pracy w lesie. Mój Jan, dobry i mądry. Bóg nam go zabrał...”. Pokiwała głową i rozżaliła się nad losem rodziny. Jej oczy napełniły się łzami, tak jak i Marysi, i już by się obie rozplakały, gdyby nie usłyszały za oknem dźwięku dzwoneczków przejeżdżających sań. Podniosły się nagle i podeszły do okna, aby zobaczyć, kto to jechał. Zobaczyły przez okno w sypialni, że sanie skręciły na podwórze Kozińskich.

– Do Kozińskich ktoś przyjechał na święta – zauważyła Maria.

– No to pewnie ten najmłodszy, co to miał przyjechać – powiedziała

Malwina i dodała: „Mówili, że kawaler; ciekawe, jakież on to jest?”.

Marysia nie podchwyciła tematu i zajęła się przygotowywaniem śniadania dla chłopców. Przyniosła ze spizarki duży bochenek chleba i zdrapując z niego okruchy przypieczonej mąki nad koszykiem do drewna, położyła go na stole. Malwina wzięła bochenek do ręki i nożem zrobiła nad nim znak krzyża. Potem ukroiła pierwszy kawałek i położyła na talerzu, a następne kromki układała w koszyczku. Obok chleba postawiła masło.

– Jak są kluski na mleku, to nie robię jajecznicy – powiedziała Marysia.

Dzień coraz bardziej się rozwidniał, na stole nadal jednak paliła się lampa naftowa. Rozmowa obu kobiet w kuchni zbudziła Bernasia, który wstał z łóżka, przeszedł przez korytarz i wszedł do kuchni. – Dzień dobry – powiedział, zaglądając, i znikł z powrotem za drzwiami. Po chwili usłyszeli, jak wychodzi na dwór. – Żeby chociaż się ubrał – zachnęła się Malwina. – Przyjechał do domu i jeszcze gotów się przeziębic.

– Mamo droga, to już prawie dorosły mężczyzna – odezwała się Marysia.

Nim zdążyły się nad nim uzalić, Bernas już był z powrotem w kuchni, biegnąc i otrzepując się ze śniegu. – Brr – zawołał od progu, wbiegając do kuchni.

– Idź, idź i stań przy piecu – prosiła babcia – ogrzej się, synku – mówiła, patrząc na niego z tkliwością.

Marysia spojrzała na wysokiego i przystojnego chłopaka, na jego ciemne i kręcone loki. Nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się. Babcia jednak nie wytrzymała i zaczęła wypytywać.

– No powiedzże nam, dzieciaku, jak ci jest w tym wielkim świecie, w szkole? Dajesz radę z nauką? Radzisz sobie?

– Bardzo dobrze, babciu kochana – odpowiedział Bernas, grzejąc ręce nad płytą kuchenną.

– No to chodź już, chodź, siadaj tutaj z nami i najedz się – prosiła.

Bernas przestał grzać ręce, podszedł do miski z wodą, opłukał sobie ręce i twarz, a potem posłusznie usiadł przy stole. Wziął do ręki chleb i zaczął smarować go masłem. Przedtem jednak przyłożył kromkę chleba do nosa i twarzy. Marysia obserwowała, co robi, i uśmiechała się nadal. Wiedziała, że chłopak wącha i smakuje domowy chleb, tak bardzo różniący się od tego, który jadał w internacie. Babcia tego nie widziała, ale była bardzo rada, że wnuczek uczy się i wyrasta na uczciwego człowieka.

Jedząc śniadanie wraz z babcią i ciocią, Bernas opowiadał, jak mu jest

w Poznaniu, w Zakładach Cegielskiego; o nauce w przyzakładowej szkole i pracy. Mówił, że jest mu bardzo dobrze, że kiedyś, jak skończy szkołę, będzie miał bardzo dobry zawód i będzie zarabiał dużo pieniędzy. Babcia nie posiadała się z radości. – No widzisz – mówiła do Marysi – Pan Bóg czuwa nad nami.

– Nad Bernasem – poprawiła Marysia i nastrój jej się poprawiał z minuty na minutę.

Spojrzała za okno. Dzień prawie już całkiem wstał. Widziała ze swojego okna w kuchni, że u Kozińskich w oknie nadal widać było światło od lampy naftowej. Pewnie wszyscy witają tego młodego Kozińskiego i rozmawiają – pomyślała.

Kiedy wszyscy chłopcy, łącznie z Michasiem i Antosiem, zasiedli już do stołu, Marysia powierzyła im wyprawę po choinkę do lasu.

– Choinka to wasza sprawa. Ja szykuję święta; dzisiaj robię rozczyń na chleb i jutro piekę. A i prania mi też przywieźliście sporo. Wasza praca to obrządek krowy, pozamiatane i odśnieżone podwórko, narąbane i przyniesione do wszystkich pieców w domu drewno. I rozpalcie też. Ja będę pilnować i podkładać; jak jestem w domu, to przypilnuję. A jak już wszystko to porobicie, możecie sobie poprasować koszule i spodnie, wyczyścić też buty jak należy. Co który ma zrobić, powie wam Michaś, jako najstarszy z was – mówiąc to, Marysia spojrzała na Michasia, który poczuł się od razu ważny, bo dowodził i rządził.

Niewiele młodszy od Marysi, jednak słuchał jej i szanował za jej poświęcenie dla nich. On jako najstarszy z braci Tyszków doskonale zdawał sobie sprawę z ciężaru, jaki wzięła na siebie młoda dziewczyna, więc starał się jak potrafił najlepiej nie sprawiać kłopotu ani babci, ani cioci. Jako najstarszy w rodzinie mężczyzna czuł się też ważny i odpowiedzialny. Ucząc się w liceum, był przykładem dla braci. Pedant od urodzenia, dbał bardzo o czystość i swój wizerunek – spodnie miał zawsze wyprasowane, buty wyczyszczone, śnieżnobiałą koszulę i krawat. Włosy układał w charakterystyczne fale. Podczas gdy Bernas i Antoś mieli włosy ciemne i kręcone, Michaś był blondynem o włosach lekko falowanych, których atrakcyjność podkreślał brylantyną.

Przedyskutowawszy, co który ma zrobić, uzgodnili, że najpierw pojedą po choinkę; ale żeby mieć czym pojechać, pójdą wszyscy razem prosić sąsiada o pomoc. W zamian za pożyczenie konia i sań przywiezłą sąsiadowi też

choinkę.

– Tylko ubierzcie się ciepło – nakazywała babcia Malwina, kiedy wychodzili z domu. Nie było ich z pół godziny, kiedy wrócili z powrotem.

– Mieckowski pojechał do Gubina po zakupy na święta – zakomunikował Marysi Michał. – Trudno, przywieziemy ją jutro – zdecydował i wyszedł z domu, a po chwili zniknął na podwórku. Maria spojrzała za nimi przez okno. Wszyscy trzej poszli w stronę szopki i dało się słyszeć rąbanie drwa. – No i dobrze – westchnęła ucieszona.

Chłopcy zajęli się pracą, ale w samo południe gdzieś przepadli, zniknęli. Marysia chodziła niespokojna i sypiąc kurom ziarno, niby to przypadkiem zaglądnęła na podwórze do Kozińskich. Tam Antosia robiła to samo.

– Hej, Marysiu! – zawołała Antosia Kozińska.

– Dzień dobry – odpowiedziała Maria i chcąc uniknąć rozmowy, już szła w kierunku swojego domu. Widząc to, Antosia zawołała: „Poczekaj, coś ci powiem”.

Marysia zatrzymała się i podeszła pod płot, poprawiając chustkę na głowie.

– Przyjechał Zdzisiek, brat Dominika, wiesz, ten najmłodszy. Fajny i grzeczny chłopak, bardzo grzeczny, taki dobrze wychowany – uśmiechnęła się. – Pojechał z waszymi chłopakami po choinkę do lasu.

– Noo, to przywiozą choinki i wam, i nam, i jeszcze Romaniewiczom, bo Helena napatoczyła się, jak wyjeżdżali – zawołała wesoło Marysia. – To dobrze, że mieli z kim pojechać, bo my jeszcze nie mamy konia.

– No widzisz, jak fajnie – zachwycą się Antosia. – I jeszcze ci coś powiem: przez płot czy nie przez płot, ale tak zwyczajnie, po sąsiedzku, zapraszamy was do nas na święta. Przyjdźcie wszyscy, z chłopakami!

– Nie, nie Antosiu kochana – próbowała bronić się Maria. – Nasza mama nie zechce; zawsze wigilia była w domu, chyba że w święta – to i my was zapraszamy.

– Dobrze, to niech i tak będzie – zgodziła się Antosia.

– No to jesteście umówieni.

– Idę do domu piec pierniczki na choinkę – zawołała odchodząc Antosia. Maria spojrzała za nią i pomyślała: „Jaka ta Antosia jest szczęśliwa; ma swojego Dominika i ma wszystko”. Przed oczami stanął jej kapelusz, który kupiła Dominikowi na targu w Poznaniu. I nagle roześmiała się: kiedy on ten kapelusz założy i gdzie? W taki mróz? Po Kosarzynie będzie paradował?

Taka roześmiana weszła do kuchni, gdzie Malwina miesiła już rozczyn na chleb. Widząc córkę rozbawioną i uśmiechniętą, zapytała: „Co tam? Chłopcy znów coś zmajstrowali?”.

– Eee, nie – odpowiedziała Marysia i opowiedziała mamie o kapeluszu Dominika. Teraz i Malwina się uśmiechnęła.

– Gdyby widzieli moje zarękawniki futrzane i parasolki, to by się dopiero zdziwili! Oni myślą, że my biedota jakaś jesteśmy – powiedziała poważnie i przez chwilę zamyśliła się. – Noo tak, teraz tak. Oni wszystko stracili, jak i my. Im spalili, a nasze wszystko zostało za Bugiem. Nasze piękne i cenne obrazy, ikony. Teraz to my biedni, jak i oni. Wszyscyśmy równi – zakończyła ze smutkiem.

– Opowiadała mi Antosia, że mieli dwór i służących.

– Noo mieli, dawno temu, i się skończyło. Nie jesteśmy od nich gorsi, pamiętaj, Marysiu! – podkreśliła mocno matka. I zaraz dodała: „Nasi przodkowie mieli tytuły szlacheckie i tylko mój Jan był rzemieślnikiem, ale za to bardzo dobrym majstrem. Jak byłaś dzieckiem, miałaś najładniejsze ubranka w szkole i najładniejsze buciki. Wybudował nam nowy dom, który trzeba było zostawić, żeby uciec od władzy bolszewickiej. Teraz tam bolszewiki rządzą i w naszym domu ktoś inny zamieszkał”. Mówiąc to, Malwina stawała się coraz smutniejsza i melancholijna. – Żebyśmy nie wyjeżdżali przez nich i nie zamęczyli się tak tą podróżą, może i nasz tata jeszcze by żył. Zamęczył się i zdręczył tym wszystkim. Jego serce nie wytrzymało, już nie dało rady. Biedny mój Jasiek...

Marysia nie wiedziała co robić, jak zapobiec łzom mamy, która nagle rozplakała się i roztkliwiła na wspomnienie męża. Podeszła do matki i przytuliła ją. Malwina po chwili otrząsnęła się i usiadła na krześle.

– Nic nie rób, mamó, pójdź i połóż się, a ja wezmę się za wyrabianie ciasta na chleb – zwróciła się Marysia do matki, która widocznie źle się poczuła, bo posłuchała córki i poszła do pokoju sypialnego.

Maria tymczasem wymiesiła pełną dzieżę ciasta na chleb i ponapełniała nim koszyczki do jego upieczenia. Ponad dwadzieścia bochnów chleba posmarowała po wierzchu roztrzepanym jajkiem i pozostawiła jeszcze na godzinę, żeby wyrosły. Potem poszła do kuchni letniej, gdzie w ogromnym piecu chlebowym specjalną łopatą wygarnęła z pieca żar. Po godzinie umieściła w piecu wszystkie koszyczki i czekała, aż się chleb upiecze.

Pod wieczór do domu wrócili chłopcy z dość sporą choinką, którą od razu



zostawili w szopce. Trafili na moment, kiedy Marysia wyjmowała gorące bochenki z pieca. Dała im jeden, żeby zanieśli do domu i dali babci. Chłopcom zaś tak pachniał niesiony chleb, że po drodze każdy sobie coś uskubał; i taki oskubany położyli przed babcią na stole.

Malwina spojrzała i zachnęła się.

– Nie mogliście już po ludzku poczekać, aż wystygnie? Jeszcze dostaniecie boleści żołądkowych! – nakrzyczała na nich. – Jak ja teraz ten chleb pokroję – narzekała.

– Babciu, a po co kroić, taki zjemy – zaproponował głodny Antoś.

– A jedzcie sobie – zgodziła się udobruchana już Malwina i dodała: „Tylko nie taki postny, naleję wam zupy. Z zupą jedzcie”. Po chwili każdy stał z talerzem w kolejce i babcia nalewała do talerza zupę ogórkową. Z zadowoleniem patrzyła, jak z apetytem zajadają. Usiadła przy piecu, obserwując całą czwórkę i słuchając, co opowiadają. Jeden przez drugiego opowiadał, jak wybierali sobie choinki, jak je później mocowali na saniach, żeby nie pospadały.

– Noo, a z kimże to jeździliście po te choinki – jak mówicie, że aż trzy przywieźliście – dopytywała się.

– Mamy nowego sąsiada – mówił za wszystkich Antoś. – Przyjechał do Kozińskich i to on z nami jeździł. To pewnie brat tego pana Dominika, co miał przyjechać; czekali na niego.

– Wiem, wiem – mówiła Malwina. – To teraz rodzina im się powiększyła.

Babcia Malwina zamyśliła się. Maria tymczasem zanosila chleb do spiżarki i układała na półkach. Było już zupełnie ciemno na dworze, kiedy przyszła do domu. Starsi chłopcy zdążyli czmychnąć z domu do kolegów, z którymi dawno się nie widzieli. W domu został przy babci jak zwykle Antoś.

– Jak to dobrze, Marysiu, że już mamy chleb. Jest chleb, to i nie ma biedy. Jest masło, mleko i ser. Mamy jajka i mąkę. Wyślemy którego chłopaka do Łomów po miód i upieczemy pierniczki na choinkę i jednego dużego, takiego przekładanego z powidłami na święta. Antosia to już dzisiaj piekła pierniczki – snuła plany Maria. – A ty wiesz, że nasze chłopaki jeździli po choinkę z tym młodym Kozińskim, co to do nich przyjechał?

– Wiem, Antosia już się pochwaliła i zaprosiła nas na święta – powiedziała Maria, patrząc uważnie na matkę i oczekując, co ta dalej powie.

– Nie, my tam nie pójdziemy, ale oni mogą do nas przyjść, czemu nie –

rozważała Malwina.

– Tak też i ja jej powiedziałam – odezwała się Maria, próbując swojego wypieku. – Udał się chlebek – stwierdziła zadowolona. Bez zakalca, dobry jest.

– Jesteś zuch, Marysiu.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia 1947 roku do stołu u Zawadzkich zasiadła Malwina, Marysia i trzech chłopców: Michaś, Bernaś i Antoś. Maria jako główna opiekunka i żywicielka rodziny podzieliła się opłatkiem najpierw z mamą, potem po kolei z wszystkimi chłopcami. Na stole było wszystko, co należało: jedli barszczyk z uszkami, pierogi z grzybami, ryby smażone i śledzie w śmietanie, sałatki z jajek, ziemniaków i fasoli – wszystko jarskie i smaczne. Pośrodku stołu stał półmisek pełen ciastek i pierników. Na choince świeciły się pozapalane świeczki, przytwierdzone do gałązek na ponemieckich klamerkach. Jedli w milczeniu i powadze. Babci sączyły się z oczu łzy, które raz po raz wycierała chusteczką. Nic nie mówiła ani nie żaliła się, ale wszyscy wiedzieli, że brakuje jej przy stole Jana i Piotrka, którzy odeszli na zawsze. Wszystkim ich brakowało.

Marysia zaintonowała kolędę *Lulajże Jezuniu*. Po jej odśpiewaniu i chłopcy się popłakali. Nie wstydzili się – żal i ból po stracie ukochanego dziadka, który zastępował im ojca i uczył życia, był ogromny i bolesny. Żal po stracie Piotrka także. Wyjeżdżali z Wileńszczyzny wszyscy z nadzieją dobrego, przyszłego życia i już dwóch spośród nich nie ma.

Smutek, żal i łzy zostały powstrzymane przez nagłe pukanie do drzwi wejściowych.

– Kto o tej porze? W święta? – Marysia aż zadrżała. Wyszła z pokoju i podchodząc pod drzwi wejściowe, zapytała: „Kto tam?”

– Marysiu, to ja; przyszedłam zapytać, czy byście nie zabrali się z nami na pasterkę do Chlebowa? – wołała spod drzwi Antosia.

Maria natychmiast otworzyła drzwi i zobaczyła w nich stojącą Antosię, a obok niej młodego mężczyznę.

– Proszę, proszę wejść – zapraszała do środka.

– Dobry wieczór – powiedział mężczyzna i od razu przedstawił się: „Zdzisław Koziński”. Podał rękę Marii, a kiedy ta podała mu swoją, pocałował ją.

Marysię to nagłe spotkanie tak zaskoczyło, że nie wiedziała w ogóle co zrobić i jak się zachować. – Bardzo serdecznie zapraszam – ledwie

wyszeptała, pokazując na drzwi do pokoju środkowego.

Widząc wchodzących gości, Malwina bardzo się ucieszyła. – Gość w dom, Bóg w dom – powiedziała wesoło.

– Nie będziemy państwu przeszkadzać; przyszliśmy tylko zaprosić na pasterkę, bo jedziemy konno, furmanką – tłumaczyła babci Antosia.

Malwina spojrzała na chłopców, potem na Marysię. – No i co? Jest kto chętny? – zapytała.

– Babciu, my możemy jechać we dwóch: ja i Bernaś – odezwał się Michaś. – Ciocia lepiej niech nie jedzie. Zimno takie, a i tak wcześniej rano trzeba doić krowę, to będzie strasznie zmęczona; a jak przyjdzie całe nabożeństwo stać, bo nie będzie miejsca? Lepiej niech ciocia zostanie w domu – tłumaczył Michaś.

Maria spojrzała na Michasia z wdzięcznością. Uratował sytuację. – Tak, tak – potwierdziła – niech chłopcy jadą, ja pojedę w drugie święto. Może mnie zabierze ktoś z sąsiadów.

– Dobrze, no to zbierajcie się, wyjeżdżamy o jedenastej.

Podczas całej tej rozmowy Zdzisław przypatrywał się nieśmiało Marysi, która tego wieczoru wyglądała prześlicznie w swojej aksamitnej sukience z białym kołnierzykiem, zrobionym przez nią samą na szydełku. Długie, rozpuszczone włosy spadały jej z jedwabistym blaskiem na sukienkę. Czarne, duże oczy, przykryte długimi rzęsami, nadawały powabu i czaru pięknej dziewczynie. Jednakże Zdzisław miał świadomość, że to nie dla niego wyglądała tego wieczoru tak zjawiskowo cudnie – nawet jeśli od czasu do czasu spojrzała nieśmiało w oczy obcemu, nieznanemu chłopakowi.

On to widocznie poczuł bardzo mocno, bo też uciekał wzrokiem i starał się nie patrzeć na Marię. Onieśmiała go i czuł się źle. Patrzył na Antosię, kiedy ta podniosła się z krzesła i kiedy wyjdą. Ale Antosia jak to ona – najpierw musiała się nagadać do woli, żeby potem wyjść. Babcia Malwina zaprosiła ich w gościnę w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia – wszystkich, wraz z dziadkiem Wincentym. Obiecali przyjść na pewno.

Po ich wyjściu Malwina poszła się położyć do sypialni. Chłopcy szykowali się do wyjazdu na pasterkę. Antoś schował się do pokoju chłopców i przeglądał nową książkę, którą mu przywieźli starsi bracia. Ilustracje samochodów, ulic i pięknych miast zachwyciły go i zajmowały całkowicie. Wtopił się w zaczarowany świat książki. Maria siedziała sama przy świątecznym stole, zapatrzona w płomień świecy na choince,

pochłonięta myślami i tęsknotą. Jeszcze kilka razy tego wieczoru przeczytała list od Władka. Zabiorę cię do miasta – pisał. Wydawało jej się, że słyszy jego głos. Jak mnie zabierzesz? Od mamy? Od chłopców? Mam ich zostawić na niepewny los? Antosia z mamą? Chłopców, którzy lada chwila opuszczają dom, żeby założyć własne rodziny? A ja zabiorę się i pojedę do miasta dla własnej wygody? Czemu dzisiaj i teraz nie ma ciebie przy mnie, przy tej choince? Poznań jest tak daleko? Nie możesz przyjechać? – mnóstwo pytań nachodziło ją w chwili zwątpienia i rozsadzało głowę.

Po wyjściu chłopców z domu nastąpiła cisza. Mama spała, Antoś też. Pozbierała ze stołu talerze po kolacji i zniosła do kuchni. Założyła sobie fartuszek. Sprawdziła, jak w piekarniku piecze się szynka na świąteczne śniadanie. W kociołku była jeszcze ciepła woda. Nalała ją do miski i umyła naczynia, kładąc je na czystą ściereczkę na stół, żeby obeschły. Później starła podłogę w kuchni i na korytarzu. Na końcu sama się wykąpała w dużej, cynkowej wannie, którą ustawiła pośrodku kuchni. Była to dość sporych rozmiarów przenośna wanna przeznaczona do rodzinnych kąpeli, którą przywieźli zza Buga – pamiątka po ojcu, który pewnego razu przywiózł ją do domu z miasta, gdy okazało się, że opuszczają Wileńszczyznę. Za to była mu bardzo wdzięczna i cieszyła się szalenie. Kiedy używała tę wannę, ciągle słyszała słowa ojca: „Teraz to już bieda nam nic nie robi, mamy się w czym wykąpać”. Na wspomnienie jego słów uśmiechnęła się.

Położyła się spać długo po północy. Jednak o szóstej rano organizm przyzwyczajony do wstawania zmusił ją do otwarcia oczu. W oborze Rogata przywitała ją jak zwykle muczeniem. Nałożyła jej siana do żłobu i zaczęła doić. Kiedy skończyła, poklepała ją po zadzie mówiąc: „Wesołych Świąt, Rogata”. Krowa machnęła głową w jej stronę, z pyskiem pełnym siana. Na to Marysia zaśmiała się szczerze. – Och, ty mądra moja – powiedziała odchodząc.

W kuchni czekała już na nią Malwina. W piecu palił się ogień i zrobiło się przyjemnie ciepło. Widząc Marysię uśmiechniętą, Zawadzka też uśmiechnęła się i powiedziała: „I mamy święta...”.

– Noo... – potwierdziła Maria. – Spizarka cała jedzenia, z tego cieszę się najbardziej – dodała. – Pełna brytfanna gołąbków i gęś upieczona, i ciasta. I swoja szynka, i smalec... Mamo moja droga... nie jesteśmy bogaci, ale niegłodni.

Malwinie na te słowa puściły nerwy. – Jak tu nie płakać? – zapytała

żałości. – Nie tylko niegłodni, ale i ubrani – dzięki tobie, dziewczyno moja. Za twoją ciężką pracę i poświęcenie, za wszystko – niech ci Bóg błogosławi i ma w swojej opiece – to mówiąc, Malwina podeszła i mocno przytuliła córkę. – Córeczko moja, ci chłopcy, sieroty, kiedyś ci za to podziękują. Zobacysz, kiedyś oni ci podziękują, a ja dzisiaj cię błogosławię.

Teraz już rozplakała się również Marysia. Nagle drzwi do kuchni się otworzyły i wszedł Antoś – rozespany, ze wzburzonymi włosami i w kalesonkach. – Jest już śniadanie? – zapytał i spojrzął na babcię i ciocię, stojące pośrodku kuchni w objęciach. Obie jak na komendę roześmiały się przez łzy.

– Jest, jest, a co byś tak szybko chciał zjeść? – zapytała Marysia, patrząc na jego potargane włosy.

– Jest szynka, ciociu? – zapytał nieśmiało.

– Pewnie, że jest. Cały rok hodowałam dla was szynkę na święta – śmiała się Marysia. Mówiąc to, otworzyła drzwiczki piekarnika i wyciągnęła dużą brytfannę. Kiedy podniosła pokrywę do góry, buchnęła z niej para i po całym domu rozszedł się wspaniały aromat pieczenia. Obudziło to śpiących Michasia i Bernasia i w niedługim już czasie cała rodzina zasiadła do świątecznego stołu.

Patrząc na swoich siostrzeńców, Marysia była szczęśliwa. Jej własne szczęście gdzieś się na chwilę ukryło i zapomniało o niej.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami i zaproszeniami, do domu Zawadzkich zapukali goście. Witając ich wraz z mamą na progu swego nowego domu, Maria Zawadzka czuła się nie mniej zaszczycona niż oni sami.

– Proszę, proszę, zapraszamy bardzo serdecznie – mówiła ciepło do Kozińskich.

Podawali jej ręce z uśmiechem. Mężczyźni byli w garniturach, a Dominik nawet w wojskowych oficerkach i w kapeluszu na głowie, który dostał od żony na gwiazdkę. Widząc go w kapeluszu, Marysia uśmiechnęła się jeszcze bardziej. Dominik nachylił się do niej, ściszej głoś: „To od żony, ładny?” – mrugnął do Marii.

– Ładny – potwierdziła Marysia.

Zdzisław przywitał się z uśmiechem na ustach, mierząc wzrokiem dziewczynę od stóp do głów. Marysia zauważyła to od razu i też przyszło jej na myśl: jak nic, będą mnie swatać. Nie wpadła przez to w zły humor, wręcz

przeciwnie – rozbawiła się tym do granic. Dziadek Wincenty uśmiechnął się i zdjął czapkę, całując Marię i Malwinę w rękę. Była tym jego gestem mile zaskoczona. Na widok sąsiadów chłopcy powstali od stołu, ale Antosia machnęła ręką, żeby z powrotem usiedli. Antoś tylko umknął do pokoju chłopców. Dwaj starsi pozostali przy stole, znając się już co nieco ze Zdzisiem, ze wspólnej wyprawy po choinkę.

– Ładna choinka – powiedział Dominik, oglądając przystrojone drzewko z wszystkich stron.

– Pierniczki też powiesiłaś? – zapytała Antosia. I nie czekając odpowiedzi, stwierdziła: „Ja też”.

Maria pousadzała gości tak, żeby czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Dziadek rozmawiał z babcią Malwiną o gospodarstwie i o domach zza Bugiem; o życiu, które przeminęło, o przedwojennej Polsce i o tym, jak tutaj jechali.

Po kieliszku nalewki Wincenty Koziński roztkliwił się bardzo. Patrząc na Malwinę Zawadzką, wspomniął żonę.

– Żona moja umarła na Śląsku. Serce nie wytrzymało tych przeżyć – tego, co my przeszliśmy, droga pani Malwino. Co my przeżyliśmy na Wołyniu, wiedzą tylko ci, co sami to przeżyli i jeden Pan Bóg. Piekło na ziemi, urządzone przez ludzi dla ludzi. Taak, droga pani.

Po słowach Wincentego wszyscy nagle zamilkli. Przy świątecznym stole nastała cisza. Nikt nie wiedział, jak się zachować. Dziadek Wincenty wyjął z kieszeni chusteczkę i powycierał oczy i nos. Marysia mrugnęła na Michasia, wskazując na butelkę, żeby pouzupełniał gościom kieliszki i Michaś to w mig zrozumiał. Biorąc do ręki kieliszek, Dominik wznosił toast: „Zdrowie gospodarzy!” – Zdrowie gości – odwzajemniła się Marysia, biorąc do ręki swój kieliszek. Wszyscy zebrani przy stole wypili.

Po chwili Maria zaintonowała: *Wśród nocnej ciszy...* Muzykalna rodzina Kozińskich z dziadkiem Wincentym na czele pięknie śpiewała. Wszyscy Kozińscy – Zdziś, Dominik i Wincenty – zaśpiewali tę kolędę jak za dawnych czasów w kościele w Okopach. Po skończonej jednej, śpiewali drugą, a potem trzecią kolędę. Bracia Tyszkowie najpierw się dołączyli, ale potem dyskretnie opuścili biesiadników, wychodząc z domu i kierując się do kolegów i przyjaciół, dawno niewidzianych.

Marysia śpiewała wraz z gośćmi – szczęśliwa i radosna. Była szczęśliwa, że urządziła rodzinie tak wspaniałe święta, że poznała tak wspaniałych,

mądrych i ciepłych ludzi, że patrzy na nią przystojny i dobry chłopak. Że życie, mimo trudów i łez, czasami uśmiecha się i do niej. Wpatrzony w nią Zdziś Koziński zachwycił się jej urodą, mądrością, zaradnością. Zakochał się w niej bezgranicznie, bez żadnego swatania ze strony rodziny czy przyjaciół. Siedząc naprzeciw niej, nie spuszczał wzroku z jej błyszczących, czarnych, dużych oczu. Wpatrywał się w jej wspaniałe loki spływające na ramiona. Już ją kochał; w marzeniach była jego żoną, najcudowniejszą kobietą w jego życiu.

Patrząc na nią, z wrażenia wypił stojący przed nim kieliszek pełen wiśniowej nalewki, nie czekając, aż reszta biesiadników wypije kolejny toast. Widząc to, Maria roześmiała się tak, że aż zakryła usta dłonią. Antosia dołączyła do Marysi, co tak onieśmieliło Zdzisia, że zrobił się czerwony jak burak. Żeby przerwać zbiorowe chichoty, Dominik zaintonował *Lulajże Jezuniu* – ulubioną kolędę Marii, jej najukochańszą, przywołującą wspomnienia.

## XVIII

# Sylwester

**M**inęły święta Bożego Narodzenia i pomału dobiegał końca rok 1947. Pewnego razu do Marysi przybiegła sąsiadka Kasia Koziurowa z pytaniem, czy poszłaby na zabawę sylwestrową do Łomów.

– Kasiu, jak to: ja i ty? Miałybyśmy iść obie, bez mężczyzn?

– Józek pójdzie, mój brat i jeszcze chłopaki ze wsi – powiedziała Kasia.

– Nie wiem, nam samym nie wypada iść, jak to wygląda? A Józek pójdzie na pewno? – dopytywała się Marysia.

– Pójdzie – zapewniała Kasia.

– No to zobaczymy. Jak przyjdziecie po mnie, to może pójdziemy wszyscy razem – zakończyła rozmowę Marysia. Była nawet zadowolona, że dziewczyna ze wsi, sąsiadka, chce z nią iść.

W dniu zabawy sylwestrowej Kasia przyszła przed wieczorem do Marii. – No to idziemy! – zawołała.

– Józek jest? – zapytała Marysia, zaglądając, czy ktoś nie stoi obok Kasi.

– Już poszedł z naszymi chłopakami ze wsi – powiedziała Kasia.

– Ooo, jak tak, to ja nie idę – stwierdziła wzburzona Maria. – Po nocy same, to szaleństwo, Kasiu!

Kasia widząc, że nic już nie wskóra, usiadła na krześle.

– No to zostajemy w domu – powiedziała z determinacją w głosie. – Józek miał na mnie poczekać, ale nie poczekał; jak mu tam wleją, to będzie miał za swoje.

Marysia wiedziała, że Józek, brat Kasi miał charakter dość „zaczepliwy”,



ujmując to delikatnie, więc przyznała Kasi rację.

– Zostaniemy sobie w domu; jak chcesz, to przyjdź do mnie. Mama będzie i chłopcy, jakoś przywitamy ten nowy rok razem. – Kasia coś jeszcze chciała powiedzieć, ale na schodach wejściowych do domu dały się słyszeć czyjeś kroki. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Marysia, podchodząc bliżej, zapytała: „Kto tam?”.

– To ja, Antosia – zawołała zza drzwi dziewczyna.

Maria otworzyła drzwi i zobaczyła w drzwiach Antosię, a za nią stojącego Zdzisia Kozińskiego.

– Dobry wieczór, sąsiadki! – zawołała Antosia.

– Dobry wieczór – odpowiedziały prawie razem, speszone i zaskoczone.

– Idziecie na zabawę? – zapytała, wpatrując się w Marysię.

– Nie idziemy, bo nie mamy z kim – odpowiedziała Maria, uśmiechając się.

Antosia spojrzała na Zdzisia, a ten, podchwytyjąc temat, zaproponował: „Ja właśnie chciałem zaprosić pannę Marysię na zabawę”.

Marysia spojrzała na Kasię, a Kasia na Marysię. – No to idziemy, tam już jest mój brat i wszystkie chłopaki ze wsi! – zawołała, niewiele myśląc, uradowana Kasia.

– Dobrze, idziemy – zgodziła się po chwili Marysia.

Malwinie nie bardzo podobała się ta wyprawa Marysi na zabawę sylwestrową w ciemną, zimową noc, przez las i to do sąsiedzkiej wsi. Ale skoro był przy niej chłopak i to znajomy mężczyzna – z oporami, ale zgodziła się. Szli więc w trójkę pod rękę, żeby im było raźniej i pewniej. Kasia śmiała się i rozweselała tym śmiechem Marię i Zdzisława. Oni dwoje mało się odzywali i do siebie, i do Kasi. Kasia a to raz widziała, że coś się w lesie świeci, a to że coś trzaska, a to że słyszy jakieś kroki.

– Kasiu, ucichnij – prosiła ją Maria.

– Boisz się, Marysiu?

– No, boję się; noc jest, jeszcze jakieś wilki na nas napadną.

– No coś ty, Maryś, tutaj nie ma żadnych wilków! – zachnęła się Kasia. – Zostały na wschodzie. Tata mi mówił, że tutaj to najwyżej dzika można spotkać, który jak zobaczy człowieka, zmyka szybciej niż on.

– No dobra – przyznała jej rację Marysia – ale i tak bądź cicho.

Zdzisław nic nie mówił, czy są wilki, czy ich nie ma. Wolał nie poruszać tematu. Do Łomów nie było daleko, więc kiedy przeszli niewielki mostek

i weszli na leśne wzgórze, zobaczyli światła wsi. Zabawa odbywała się w świetlicy szkolnej, więc musieli przejść jeszcze kawałek drogą przez wieś.

Będąc od świetlicy jakieś dwieście metrów, usłyszeli dochodzące do nich dźwięki muzyki orkiestry wojskowej. Zbliżając się, zauważyli przy świetlicy stojący tłum młodzieży. Była to typowa powojenna polska młodzież – mężczyźni w wojskowych marynarkach, w czapkach rogatywkach lub innych wojskowych szynelach i butach. Byli i tacy, u których na głowie widniał kapelusz lub czapka. Kobiety miały już na sobie nowe płaszcze i sukienki, kupione na targu za grzyby lub mleko i śmietanę, jajka i drób. Młodzież wiejska, która niejednokrotnie przybyła na wieś z miast, jakoś sobie radziła – więc i tutaj, na skraju Polski, na odległej wsi w gąszczu lasów lubuskich, dziewczęta wyglądały tak samo szykownie, jak gdzieś w wielkim mieście centralnej Polski. Włosy ułożone miały w wieniec otaczający głowę lub też widać było na niej wszechobecną i modną wówczas trwałą ondulację. Maria wyróżniała się spośród dziewcząt tym, iż nosiła swoje długie i ciemne, rozpuszczone loki, które spadały luźno na szyję i plecy. Związywała je tylko podczas pracy w kuchni czy w polu. Miała swój styl i swój sposób bycia.

Wchodząc po schodach do środka świetlicy, nowo przybyli zostali zauważeni przez młodzież kosarzyńską i zaraz też zaproszono ich do wspólnego stolika. Kasia zaczęła szukać wzrokiem brata, którego zobaczyła po drugiej stronie sali na ławce w towarzystwie kolegów. Pił piwo i coś głośno rozprawiał. Nie chciała do niego podchodzić, więc tylko go obserwowała. Dziewczęta usiadły na krzesłach, przedtem jednak rozbierając się z płaszczy, które Zdzisław zaniósł do szatni. Po chwili wrócił z numerkiem od szatniarza i trzema butelkami oranżady, które postawił przed dziewczętami. Marysia spojrzała na butelkę i uśmiechnęła się, Kasia zaś, niewiele myśląc, otworzyła butelkę i zaczęła popijać słodki napój.

– Pij Marysiu, to dobre. Nie takie jak domowy kompot, ale dobre. – I zanim Marysia zaczęła pić oranżadę, już przed nią i przed Kasią stały szklanki przyniesione przez Zdzisława z bufetu.

Udało im się wejść podczas przerwy, ale po chwili orkiestra wojskowa znów zaczęła stroić instrumenty do grania. I kiedy rozległ się walc *Nad pięknym, modrym Dunajem*, Zdzisław uklonił się Marii.

Pierwszy raz trzymał ją w ramionach; a ona... po raz pierwszy tańczyła od tak dawna – od niepamiętnych chwil, kiedy jeszcze była w swojej wsi na Wileńszczyźnie. Jeszcze przed wojną, kiedy była zupełnie młodziutką

dziewczyną. Po tylu ciężkich latach, po katorżniczej pracy w lesie, gdzie otarła się o śmierć, po przeżyciach i chorobach ojca i brata, po pogrzebach. Tego dnia, na zabawie sylwestrowej, pierwszej po wojnie zorganizowanej z takim rozmachem przez wojsko dla młodzieży wiejskiej, tańczyła i była szczęśliwa.

Jej partner tryskał humorem, dowcipem i inteligencją. Był nią zauroczony od pierwszego spotkania i od pierwszego spojrzenia. O północy witali Nowy Rok 1948 szklanką taniego lubuskiego wina, wytworzonego w pierwszej po wojnie zielonogórskiej winiarni. Tej pamiętnej nocy życie Marii nabierało innego, nowego, nieznanego wymiaru.

Jeszcze jedną, największą niespodziankę sprawił jej Zdzisław, grając wraz z orkiestrą wojskową na trąbce – tylko dla niej – walca Straussa. Wszystkie pary wirowały wokół niej, a ona siedziała dumnie, wpatrzona w chłopaka, który ją na tej zabawie przy wszystkich zgromadzonych ludziach tak bardzo wywyższył i otoczył czcią. Czuła się, jakby była w innym świecie; była szczęśliwa. I kiedy Zdzisław wrócił do jej stolika, dziękowała mu bardzo za piękną niespodziankę, a młodzież kosarzyńska, zebrana wokół nich przy stoliku, biła mu brawo.

W pewnym momencie zauważyli, że z drugiej strony świetlicy, gdzie siedział Józek, brat Kasi, coś się dzieje – Józek uderzył jednego z mężczyzn w twarz, a ten, niewiele myśląc, oddał mu jeszcze silniej i Józek spadł z ławki, na której siedział. Widząc to Zdzisław zerwał się, chcąc mu iść na pomoc, ale Maria natychmiast schwyciła go za rękę i posadziła przy sobie. Paru chłopców z Kosarzyna podbiegło jednak do Józka, chcąc oddać cios mężczyźnie, który go uderzył, ale nie mieli już komu – żona tego mężczyzny wzięła go pod pachę i wyprowadziła z zabawy.

Tak więc zabawa sylwestrowa w Łomach nie zakończyła się w sposób typowy dla zabaw wiejskich, bo pilnujące swoich mężczyzn dziewczyny zapobiegły tradycyjnemu „mordobicciu”.

## XIX

# Tam, gdzie kwitną łąki zielone

Nadszedł mroźny styczeń 1948 roku. Kosarzyn nie miał jeszcze elektryczności. Wieczory spędzano, chodząc na tzw „wieczórki” do sąsiadów. Antosia z Heleną bardzo często przesiadywały u Marysi, podpatrując, jak ona przedzie wełnę na kołowrotku, potem ją pierze, zwija i wyrabia przepięknym wzorem swetry, skarpety i pulowery dla chłopców. Maria była w tym mistrzynią i nie miała sobie równych; nawet Malwina nie potrafiła tak pięknie wyrabiać wzorów jak Marysia. Tak więc wieczorami wszystkie trzy schodziły się raz do jednej, potem do drugiej i do trzeciej, i przędły. Podczas pracy śpiewały, opowiadały sobie przeróżne historie z życia, z wojny, z przeżyć. Romaniewiczowie i Kozińscy otoczyli Marię opieką. Kobiety pomagały sobie nawzajem, pożyczając jedna od drugiej, co której było potrzeba. Z ufnością obserwowano więź, jaka powstawała między Zdzisiem i Marysią. Po cichutku szeptano, że dobrze byłoby ich ze sobą pożenić.

Pewnego wieczoru w niedzielę Antosia przybiegła po Marię. – Chodź na chwilkę do nas – poprosiła ją. Marysia, zarzuciwszy chustkę na głowę, pobiegła za Antosią.

W domu u Kozińskich zebrała się cała rodzina. W dużym, środkowym pokoju Antosia nakryła stół, a Dominik postawił butelkę polskiej Wyborowej. Wokół stołu zasiedli Romaniewiczowie z Rysiem – już prawie dorosłym chłopakiem – Dominik, Antosia, Zdzisław, dziadek Wincenty i Marysia. Maria z zaciekawieniem przypatrywała się zebranej rodzinie.

Czuła się, jakby już do niej należała. Mimo że wszystkim było wiadomo, iż Marysia jest zaręczona i ma narzeczonego, przyzwyczajano ją do rodziny i zapraszano na wszystkie ważne narady. I kiedy wszyscy już usiedli, Dominik zaczął mówić.

– Wracam ze szkolenia w Warszawie i powiem wam wszystkim, co u nas na wsi będzie się wyrabiało. Otóż na wiosnę mają powstawać wszędzie na wsiach polskich tak zwane spółdzielnie produkcyjne. Tak zwane! – podkreślił. – W rzeczywistości będą to kołchozy, jak w Rosji. Czego od nas chcą? Żebyśmy oddali cały nasz inwentarz – konie, krowy, świnie – do wspólnej obory, karmili wspólnie; mało tego – żebyśmy oddali całą naszą ziemię... I wszystkich ludzi ze wsi mamy przyjąć do tej tak zwanej spółdzielni. Wszystkich – podkreślił – małorolnych i bezrolnych. Jednym słowem, oddamy nasz dobytek hołocie na zmarnowanie! Ot co!

Po przemowie Dominika nastąpiła zupełna cisza. Marysia skuliła się w sobie; pomyślała, że musi oddać Rogatą i owieczki, z których ma wełnę. Zamarła z przerażenia, tak jak i cała rodzina Kozińskich i Romaniewiczów.

– To cóż nam robić? – pytał zatroskany Adam, paląc jednego papierosa za drugim.

– Nie dam, nic nie dam! Wpierw mnie muszą zabić, oprawcy! – zbuntowała się Helena.

Marysia siedziała przerażona i patrzyła na dziadka Wincentego, który naraz rozkazał Dominikowi: „Noo, polejże, synku, tej gorzałki, co ją postawiłeś na stole! Bez gorzałki trudna bardzo sprawa jest” – podkreślił poważnym głosem.

Dominik posłuchał ojca i ponalewał we wszystkie kieliszki stojące na stole.

– No to teraz wypijmy, moi kochani – mówiąc to, podniósł do góry kieliszek i wychylił go jednym duszkiem. Za jego przykładem poszli pozostali członkowie rodziny. Po wychyleniu jednego głębszego dziadek wytarł wąsy i spoglądając po kolei na wszystkie swoje dzieci, powiedział:

„Powiem wam jedną i najważniejszą rzecz. Żeby nie zostać pożartym przez wilki, trzeba się z nimi zaprzyjaźnić. Rozumiecie to, moi drodzy? To znaczy, trzeba przyłączyć się do stada i pomalutku, pomalutku zostać jego przywódcą. Eliminować słabe sztuki, przeganiać do wszystkich diabłów, w tym przypadku gnać od naszego dobytku wszystkich małorolnych pijaków, złodziei, oszustów i łotrów. Zostawić najdorodniejsze i najuczciwsze sztuki.

Pilnować i patrzeć na ręce! I to trzeba przeżyć, zamiast się buntować, krzyczeć i siedzieć po więzieniach!

Jak tylko mrozy puszcza, zrobimy w wiejskiej świetlicy zebranie. Ludziom wszystko trzeba spokojnie wytłumaczyć. I na tym zebraniu wybrać na przewodniczącego Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej naszego Dominika! Ot co!”.

Skończywszy swą przemowę, dziadek Wincenty z triumfem spojrzął na wszystkich zebranych przy stole. Antosia aż przyklasnęła z radości. Adam Romaniewicz z akceptacją pokiwał głową. Marysia odetchnęła i poczuła, jakby jakiś ciężar jej spadł z serca. Z ogromną wdzięcznością spojrzała na dziadka Wincentego. On to zauważył i powiedział poważnie: „Jeszcze jedno wam powiem – siedzi z nami przy stole najładniejsza kobieta w Kosarzynie – pokazał ręką na Marysię. – Twoje zdrowie, dziewczyno” – zakończył, wychylając następny kieliszek. I wszyscy spojrzeli z aprobatą na Marię.

Niby wszystko było uradzone i zatwierdzone, jednak złe myśli i troski nie opuszczały Marysi. Przecież będzie musiała oddać tę ostatnią krowę! Ktoś obcy będzie doił Rogatą? Jej Rogatą? Nic się jednak nie odezwała tego wieczoru podczas narady u Kozińskich. Postanowiła wszystkiego pomału się wypytać u Antosi i Zdzisława.

Do domu odprowadził ją Zdziś.

– Dobranoc, Zdzisiu, dziękuję za gościnę – powiedziała, podając mu rękę.

– Dobranoc, Marysiu; nie martw się tym kołchozem, Dominik coś wymyśli – pocieszał Marię najmłodszy Koziński.

W domu Marysia opowiedziała wszystko, co usłyszała u Kozińskich, Malwinie. Babcia załamała rękę.

– Myślałam, żeśmy od Ruskich uciekły, od ich komuny i rządów Stalina, do naszej Polski – zawołała. – A oni odbierają nam i tę resztkę dobytku, co nam została. Bolszewik to bolszewik! – Malwina była bliska płaczu.

– Cicho, mamó, wszystko będzie dobrze. Dominika zrobią przewodniczącym, to nam wszystkiego nie da rozgrabić – pocieszała ją Maria.

– A ty skąd o tym wiesz? – przestała pomstować Malwina.

– Noo, wiem, a skąd, to nie trzeba wiedzieć – powiedziała Marysia i dodała: „Eee tam, całe to gadanie to tylko straszenie ludzi. Nie ma co się bać”.

Jedno jest pewne – nie ustępowała Malwina – za nic w świecie nie

oddamy naszej Rogatej do kołchozu! Jak trzeba będzie, weźmiemy widły i przegnamy!

Maria uśmiechnęła się, widząc oczyma wyobraźni, jak Malwina przegania widłami władzę ludową.

– Mamo droga moja! Po co nam widły? Schowamy Rogatą gdzieś, zaprowadzimy nawet do lasu albo do stodoły. Zrobimy w sianie tunel i ją schowamy. Nie będziemy się bić.

Malwina niby to słuchała córki, niby przytakiwała, ale na wszelki wypadek wzięła do ręki różaniec i pomodliła się na intencję, żeby kołchoz nie zabierał im wszystkiego, co mają.

Tymczasem dni zimowe mijały jeden za drugim. Maria poza kuchnią paliła w dwóch piecach – w izbie, gdzie spała z matką, i w pokoju Antosia, który chodził do szkoły podstawowej w Łomach. Rano po wydojeniu krowy gotowała dla Antosia zacierkę na mleku albo kluseczki lane, lub też smażyła jajecznicę. Po śniadaniu wyprawiała do szkoły chłopca, który szedł wraz z innymi dziećmi z Kosarzyna. Zakładała mu w mrozy ciepłą futrzaną czapkę na głowę, która zakrywała mu także uszy. Czapkę tę Antoś nazywał uszatą. Na szyję zawiązywała mu szalik z owczej wełny, na nogi zakładała ciepłe skarpety, na ręce rękawiczki i tak ubranego wypuszczała na dwór. Patrzyła, jak z całą grupą dzieci z Kosarzyna idzie przez las do szkoły w Łomach. Po odprawieniu Antosia do szkoły wracała do codziennego obrządku w oborze i świniarniku, zachodziła jeszcze do owiec i wsypywała im do koryt resztki obierek i ziemniaków, nakładała w koryta siana. Potem poiła krowę i podawała wodę w wiadrze owcom. Po obrządku wracała do domu. Najbardziej lubiła siedzieć w kuchni przy piecu i prząść wełnę. Kręciła kołowrotkiem i z motka przędła się wełna w postaci cieniutkiej, wełnianej nitki. Malwina palcami rozrzedzała jeszcze surową wełnę i szykowała Marysi do przędzenia nowe motki. Potem gotowały zupę dla siebie i dla Antosia. Pod wieczór smażyły placki ziemniaczane na smalcu lub racuchy. Zawsze codziennie wymyślały coś innego i smacznego, z myślą o Antosiu, żeby się dziecko najadło. Więcej jedzenia Maria szykowała, gdy przyjeżdżali ze szkoły starsi chłopcy. Wtedy na płycie kuchennej stawiała o wiele większy garnek.

Pod koniec lutego słońce zaczęło przygrzewać coraz mocniej, dzień stawał się coraz dłuższy. W ogródku pojawiły się pierwsze wiosenne śnieżyczki. Na drogach stały roztopy. W marcu tegoż roku śniegi już całkiem puściły i trawa

zaczęła się zielenić. Na polach widać były wschodzące oziminy, tylko rzeki Kosarzyna jak zwykle o tej porze roku wypełniły się po brzegi. Ludzie wychodzili na wały obserwować wodę, ale wałowy Hombek uspokajał wszystkich, żeby się nie bali. Mówił, że powodzi wiosennej w tym roku po zimie już nie będzie – chyba że w maju po deszczach; na to trzeba uważać i czuwać.

Tymczasem po Odrze sunęły kawałki kry w kierunku Szczecina. Barki przestały płynąć. Śluza została zamknięta i wody z rzek na polach nie było, tylko pod wałem od strony wsi w koleinach i bruzdach stała woda gruntowa. Po gospodarskich podwórkach chodziły kury, kaczki, gęsi i wypędzano owieczki do karmienia. Krów jeszcze nie wypędzano na pastwiska, więc gdzieś słychać było muczenie podczas nakładania siana do żłobów. Nocą we wsi od czasu do czasu zaszczekał pies. Dziki podchodziły pod same obejścia – wygłodzone po zimie, szperały na dawnych kartofliskach i szukały siana.

W kwietniu na dachu stodoły u Koziurów pojawiły się bociany. Miały we wsi tylko jedno gniazdo, właśnie na tym dachu. Z chwilą przylotu bocianów czuło się już wiosnę w pełni. Nad polami śpiewał skowronek, w gęstwinach leśnych budziło się życie. Obudzone wiewiórki hasały po gałęziach i las na nowo rozbrzmiewał śpiewem ptaków.

Tego roku przed Wielkanocą w świetlicy kosarzyńskiej odbyło się zebranie wyborcze władz nowo powstającej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej. Na to zebranie przyszli wszyscy mieszkańcy, którzy byli właścicielami ziemi, łącznie z krawcami, szewcami i piekarzami. Przedstawiciel Komitetu Powiatowego PPR objaśniał im, na czym polega praca w spółdzielni i dlaczego trzeba się zapisać. – Kolektywizacja, towarzysze, to jedyna droga do dobrobytu – przekonywał. Mówił, że to „jedyny słuszny cel w Polsce Ludowej, żeby wszyscy pracowali na roli, od chłopca małorolnego i bezrolnego, do tego, co ma dużo ziemi. Wszyscy muszą pracować, żeby nigdy nikomu nie zabrakło chleba, żeby nikt nie był głodny. Miasto na was, towarzysze, patrzy! Warszawa na was patrzy! Stolica czeka na chleb!” – wołał do zdziwionych i zaskoczonych ludzi.

Po jego wystąpieniu zaległa na krótko cisza, po czym zabrał głos wójt gminy Gubin, a po nim rozpoczęło się głosowanie na kandydatów do władz spółdzielni. Na przewodniczącego podano dwie kandydatury: Dominika Kozińskiego i Mariana Króla. Ponieważ Dominik Koziński zdobył



największą ilość głosów, bo aż trzydzieści dziewięć, a Marian Król tylko osiemnaście, przewodniczącym został Dominik Koziński, a Mariana Króla wybrano na sekretarza RSP. Skarbnikiem został jeden ze starszych gospodarzy przybyłych z Kresów, jak i wszyscy zresztą pozostali – Stanisław Antczak. Delegat z komitetu pogratulował nowym władzom i życzył im owocnej pracy. Zanim jednak opuścił salę, zasypano go mnóstwem pytań. Nie mogąc na wszystkie odpowiedzieć, zapisywał pytania, ale kiedy te nie ustawały, zaproponował, by zgłaszać się pojedynczo, podając pytanie i swoje nazwisko. Po takim obrocie sprawy ilość pytań nagle się zmniejszyła – nikt nie chciał, żeby delegat zapisywał jego nazwisko na kartce.

Rodzina Kozińskich wstrzymała się od wszelkich pytań, pozostawiając swój los i dobytek w rękach Dominika – podobnie jak Romaniewiczowie i kilku innych gospodarzy ze wsi. Dominik budził zaufanie ludzi i respekt samym swoim wyglądem. Chodził w wysokich oficerkach i wojskowych spodniach. Nosił skórzaną, czarną kurtkę. Przemawiając na samym końcu zebrania, mówił spokojnym, ale stanowczym głosem, rzeczowo, o sprawach organizacji spółdzielni – o tym, że parę świń i jedną krowę rodzina może sobie chować i karmić w swoim gospodarstwie, natomiast ziemia, oprócz przydomowych warzywniaków, zostaje oddana spółdzielni. Po tym zdaniu na sali rozległy się pomruki niezadowolenia. Jednak przewodniczący patrzył na gospodarzy spokojnie i ze zrozumieniem, i żeby wszystko było jasne, powiedział: „Ja sam oddaję całą swoją ojcowiznę! Nie ma czego żałować! Nastaly takie czasy! Zobaczmy, jak nam pójdzie, ale będziemy się starać! Co tydzień będziemy mieć zebrania sprawozdawcze – podsumowujące, co zrobiliśmy. Będziemy rozmawiać o wszystkim, pracować i dzielić się tym, co zarobimy wspólnie!”.

Zebranie zakończyło się późnym wieczorem. Było szumne i burzliwe. Widać było, że delegat z komitetu jest zadowolony, a i wójt podkręcał z uśmiechem wąsa. Na twarzy Dominika Kozińskiego jednak pozostawał grymas troski, powagi i niepewności. Zdawał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazł. Oddać swoją własną ziemię do wspólnoty nie jest łatwo, podobnie jak i rządzić ludźmi.

Delegat podał mu rękę na pożegnanie.

– Teraz, towarzyszu, nie wojna, ale i tak macie przed sobą bardzo ważne zadanie – zauważył.

– Spróbuję i to zadanie wykonać jak potrafię najlepiej – zapewnił

Dominik. Pożegnał się z wójtem, podał rękę Marianowi Królowi, Antczakowi i wyszedł ze świetlicy. Na drodze czekał na niego Adam Romaniewicz, najwyższy mężczyzna ze wsi, wyróżniający się w wioskowym tłumie, oraz Zdzisław i Antosia. Wracali do domu drogą przez wieś razem ze wszystkimi ludźmi, którzy co rusz to znikali w bramach swoich domostw.

W domu ojciec palił niespokojnie fajkę i chodził po podwórku, czekając na synów i synową. Kiedy ich zobaczył, przystanął nasłuchując, a potem wszedł razem z nimi do domu. Wincenty nic nie mówił i o nic nie pytał – widział na twarzy Dominika zmęczenie, więc czekał cierpliwie na rozmowę. Wiedział, że syn prędzej czy później zwierzy mu się ze swych trosk.

W niedzielę Dominik zabrał ojca i Zdzisia na wóz i pojechali w pola. Pod wałem mieli dobrą i urodzajną ziemię; planowali sadzić tam buraki. Obok miała rosnąć pszenica i rzepak, dalej kartofle i żyto. Stary gospodarz patrzył na pola, nie mogąc uwierzyć, że zbiory z nich pójdą do wspólnoty. Nic nie mówił, ale było mu ciężko.

Stojąc na wysokim wale przeciwpowodziowym i patrząc na krajobraz pól i łąk, Kozińscy zrozumieli, że czasy przedwojennego Wołynia mają już za sobą, że minęły one bezpowrotnie.

– Pamiętasz, tato, co mi powiedziałeś, gdy wracaliśmy kiedyś drogą ze spalonych Okopów? – zapytał nieoczekiwanie ojca Zdzisław.

Wincenty spojrzał na młodszego syna.

– Tak, pamiętam – odpowiedział w zadumie. – Mówiłem ci wtedy, że pojedziemy tam, gdzie kwitną takie same łąki zielone jak na Wołyniu. I oto teraz mamy wszystko – mamy pola i łąki, ale Polska nie ta... – zamyślił się ojciec.

– Trzeba żyć i w takiej Polsce; dziękujmy Bogu za to życie, które mamy – powiedział cicho Dominik, zapalając papierosa. Ubrany w kapelusz i oficerki, nie wyglądał na przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, ale raczej na dziedzica, co szybko zauważył Zdzisław. – Pewnie, tobie i tak niczego nie brakuje, i tak jesteś pan – powiedział, śmiejąc się, do brata.

– No i o to właśnie chodzi, towarzyszu...! – zawołał Dominik, puszczając do niego oko. Zdzisław dał mu kuksańca w ramię, a ten szybko mu oddał.

Wincenty pokręcił głową i nic już nie powiedział...

## XX

# Wielkanoc

**W** 1948 roku wieś zmieniała się w bardzo szybkim tempie. Najechało się młodych małżeństw i osadników, którzy zamieszkali w domach po niemieckich uchodźcach. Zaczęło przybywać dzieci i niemowląt. Nastąpił powojenny wyż demograficzny. Wraz z rozwojem spółdzielni do przodu posuwała się wiejska cywilizacja. Do wsi po raz pierwszy po wojnie przyjechało kino objazdowe, wywołując swoją obecnością niemałą sensację. Na ścianie w dużej sali wiejskiej świetlicy rozwieszono biały, duży ekran. W niespełną godzinę wszystkie krzesła były zajęte. Zgaszono światło i z aparatu projektora filmowego wyświetlono pierwszą powojenną kronikę filmową.

Ludzie z zapartym tchem śledzili obrazy przesuwające się na ekranie. Po raz pierwszy ujrzeli Warszawę w gruzach. Zobaczyli pierwsze zmagania z odbudową stolicy. Ujrzeli tłumy ochotników pracujących na tych gruzach i jak cegła po cegle powstaje ściana domu.

Młodzież wiejska i ta z miast, dziewczęta i chłopcy – ochotnicy z całej Polski – odbudowywali stolicę. Z megafonów szła muzyka, widać było uśmiechy i radość na twarzach. Transparenty i hasła nawoływały do pracy, do przekraczania wyznaczonej normy. Pracowali pionierzy i najlepsi pracownicy, robotnicy odznaczani medalami przez samego Bieruta. Wizerunki co ładniejszych dziewcząt zdobiły okładki gazet, sąsiadując z hasłami typu „Dziewczyny na traktory”. Na okładce jednej z gazet uśmiechnięta dziewczyna trzymała kierownicę rolniczego traktora. Wszędzie

były kwiaty i radość z odbudowywania kraju z powojennych ruin. Całość zaś wieńczył uśmiechnięty Mieczysław Fogg, śpiewający piosenkę o bzach.

Zmieniając taśmę z kroniki na film, operator spojrział na siedzący w mroku na świetlicy tłum ludzi. Wszyscy byli tak przejęci tym, co zobaczyli, że nikt się nawet nie poruszył. Po kronice operator włączył radziecką komedię *Świat się śmieje*. Przez półtorej godziny kosarzyńska świetlica rozbrzmiewała śmiechem i chichotem.

Od tamtej pory raz w miesiącu regularnie przyjeżdżało do wsi kino objazdowe. Zawsze tydzień przed przyjazdem na tablicy ogłoszeniowej wisiał plakat z informacją, jaki film tym razem będzie wyświetlany.

Zbliżała się Wielkanoc. W jej wigilię z rana przed dużym krzyżem stojącym pośrodku wsi ustawiono stoły i przykryto je białym obrusem. Dziadek Antczak – tak nazywano najstarszego gospodarza we wsi, którego także obrano na skarbnika spółdzielni – przywiózł z Chlebowa proboszcza, żeby ten poświęcił koszyczki ze święconką. Pierwszy po wojnie proboszcz, ksiądz Zaręba, był wysoki i miał barczystą posturę. Jego postać budziła ogromny szacunek ludzi, ale też co niektórzy z parafian czuli przed nim respekt, bowiem ksiądz wytykał wady z ambony i słynął z „ciętego” języka. Zdarzało się podczas kazania, że przemawiał do zebranych w kościele parafian, patrząc tylko na jednego człowieka, do którego miał jakiś zarzut względem jego zachowania – czy to w rodzinie, czy wśród ludzi. I mimo że nie zwracał do adresata swoich słów wprost, od razu wiadano, o kogo chodzi, parafianin zaś skręcał się ze wstydu.

W Kosarzynie przed krzyżem ksiądz zdjął z siebie płaszcz i w stroju liturgicznym zmówił wraz ze wszystkimi zebranymi mieszkańcami modlitwę, po czym poświęcił wiktuwały zgromadzone na półmiskach, talerzach i w koszyczkach, przystrojone wiosenną zielenią, wstążkami i przykryte serwetkami. Kosarzyńskie gospodynie podziękowały księdzu i z każdego koszyczka i z każdej święconki do koszyczka księdza powkładały po kolorowym jajku, kawałku wędliny czy też swojskiej kiełbasy. Ksiądz Zaręba, błogosławiąc Kosarzyn, odjechał na furmance z powrotem do Chlebowa.

W środkowym pokoju u Zawadzkich Maria na umyte przedtem okna zawiesiła śnieżnobiałe firanki. Na stole, na białym obrusie przystrojonym listeczkami ciemnozielonej mirty, stał wazon, a w nim wierzbowe bazie. Obok na półmisku, także przystrojonym mirtą, umieszczona była średniej

wielkości polukrowana babka drożdżowa, a przy niej kawałek swojskiej kiełbasy, szynki, chleb i sól w kieliszku. Patrząc na to, Marysia była szczęśliwa. Podeszła do ogromnego lustra, które umieszczone w jednym z rogów pokoju, przechylało się górną jego częścią do wnętrza pokoju i widać w nim było wszystkie meble i sprzęty. Uśmiechnęła się i poprawiła włosy.

Jak niewiele jej trzeba było do szczęścia! – tylko spokój w rodzinie, pełna spiżarka, umyte okna i podłogi, wyprana pościel na łóżkach i dobre stopnie chłopców w szkole. Bolesna tęsknota za ukochanym była jednak za długa, wystawiona na próbę czasu, na niespełnione obietnice i nadzieje. Dziewczyna coraz to bardziej pozbawiała się marzeń, które nie miały się nigdy spełnić.

Życie przy boku mamy i chłopców, którym poświęciła wszystko, zajmowało ją tak bardzo, że zagłuszało ból rozstania. Przed świętami, schowana przed światem na strychu domu, uszyła sobie ze starego płaszcza ojca sukienkę. Tak ją skroiła, przykładając do starej, już znoszonej i poprutej, że ta nowa wyglądała jak kupiona ze sklepu. Potrafiła dobrać do niej dodatki, wszyć zamek, dopasować do siebie – tak że teraz, stojąc przed lustrem, wprost promieniała ze szczęścia.

Coraz to częściej, szczególnie w wieczorne soboty, przychodził do Zawadzkich Zdzisław Koziński. Siadywał sobie przy wysokim, rzeźbionym piecu w środkowym pokoju i patrzył na Marysię. Ona coś tam wyszywała, udając, że go nie widzi, a on patrzył i milczał. Czasami przychodził do nich Antoś; niby to coś szukał w szufladzie pod lustrem, a tak naprawdę babcia wysyłała go na zwiady. Po chwili Antoś wychodził i Zdzisław też wstawał ze swojego krzesła.

Podobnie było i teraz, w święta. Jednakże tym razem Zdzisław, mówiąc Marysi „dobranoc”, zaproponował jej spacer wokół jeziora. Zgodziła się. Na pożegnanie pocałował ją w rękę. Po jego wyjściu na krzesło, gdzie siedział, leżała kartka, a na niej napisane były słowa: „Panna Marysia bardzo mi się podoba”. Wybuchnęła śmiechem. Ale dzieciak! Już znali się parę miesięcy, a on nic nie mówi, tylko pisze karteczki! Trzymając karteczkę w rękę, pobiegła z nią do matki.

– No zobacz, mam, jakiego mam kawalera!

Malwina wzięła karteczkę do ręki, ale po chwili ją oddała, mówiąc: „A czytajże mi, bo nie widzę dobrze”. Marysia przeczytała, co było napisane na kartce, i zapytała matkę: „Podoba ci się taki chłopak, co zamiast mówić,

pisze na kartce?”. Malwina pomyślała, pokręciła głową i powiedziała, też z uśmiechem: „Widać on taki nieśmiały jest, ale może to i dobrze, że nie jakiś wsiowy ladaco? Z dobrej rodziny” – dodała już poważnie.

Rozmowę przerwało im nagle ciche pukanie do drzwi. Marysia, myśląc, że to któryś z chłopców się wygłupia, podeszła i otworzyła. W drzwiach stał Władek z teczką i bukietem konwalii. Wchodząc powiedział „dzień dobry” i zdejmując wojskową czapkę, przywitał się najpierw z Malwiną, całując ją w rękę, a potem z Marysią.

Maria oparła się z wrażenia o kuchenny stół, zaskoczona nie mniej od matki. Już nie było jej do śmiechu. Spojrzała na niego i zapraszając do środkowego, gościnnego pokoju poszła przodem. Po chwili znaleźli się oboje w tym samym pokoju, z którego przed dziesięcioma minutami wyszedł Zdzisław. Patrzyła na Władka, jak rozbierał się z wojskowego płaszcza – wysoki, przystojny, z błyszczącymi oczami. Na pagonach munduru połyskiwały dwie lśniące gwiazdki. Piękny i wymarzony. Jej niedawne jeszcze marzenie stało przed nią... najukochańsze i najdroższe na świecie. Ale czemu przyjechał dopiero teraz, po tylu długich miesiącach, latach prawie, nie licząc listów, które przychodziły bardzo rzadko? Dlaczego dopiero teraz? Gdzie był i z kim we wszystkie minione święta i sylwestra? – te i inne pytania weszły w nią i kłuły swoją niewiadomą.

Władek przytulił ją mocno do siebie i nie puszczał długo z ramion.

– Miła moja i najdroższa dziewczyno – szeptał, wzruszony chwilą. – Wiesz, jak ja o tobie marzyłem, myślałem, śniłem? Czy ty to czułaś? Wiedziałaś, że tak tęsknię?

Maria patrzyła na niego z oczami pełnymi łez. Usiadła przy piecu, przysuwając mu krzesło. Wszystko na nim lśniło i pachniało wielkim światem – mundur, koszula, krawat... Nawet włosy pachniały perfumowaną kolońską wodą. Trzymał jej dłonie w swoich czystych i wypielęgnowanych. Głaskał jej długie, rozpuszczone loki, spływające na ramiona. A ona?... Miała na sobie nową, ale przerobioną ze starego płaszcza ojca sukienkę i była w niej dla niego najpiękniejsza. Dawno temu podarował jej jedwab na sukienkę, ale go sprzedała. Za ładny był dla niej, a trzeba było mieć pieniądze na inne ważniejsze od niej rzeczy i sprawy, które zajmowały jej życie. Niespodziewany i nagły, niezapowiadany jego przyjazd całkowicie pozbawił ją sił.

Siedzieli oboje w ciszy, w niemym trwaniu. Nie mogła uwierzyć, że jest

tutaj obok niej – w nowym, pachnącym mundurze, z błyszczącymi gwiazdkami na pagonach, taki inny od innych. Z innego świata, z innej bajki przybył tutaj do niej – gdzie w odległości trzystu metrów znajduje się pas graniczny pomiędzy Polską a Niemcami.

Dotknęła ręką jego włosów, potem twarzy. Przytrzymał na chwilę jej dłoń, całując czule.

– Przyjechałeś do mnie? – Na długo? – zapytała cicho.

– Przyjechałem do ciebie i po ciebie, kochana moja – odpowiedział, tuląc jej dłoń.

Spuściła głowę. Łzy spływały jej po twarzy, spadając na sukienkę. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przyłożył jej do oczu. Wzięła chusteczkę i powycierała oczy i twarz.

– Skończyłem studia, dostałem mieszkanie w Poznaniu. Teraz wszystko zależy już od ciebie – czy ze mną zostaniesz w tym mieszkaniu i w moim życiu, najdroższa moja Marysiu.

Po chwili wstał i otworzył teczkę. Wyjął z niej książeczkę do nabożeństwa i podał jej.

– Zobacz, mam książeczkę do nabożeństwa. Dała mi moja mama dla ciebie. Żebyś nie myślała, że jestem „bolszewik”, jak mnie niektórzy nazywali, bo wybrałem wojsko.

Maria doskonale wiedziała, że ci „niektórzy” to jej mama, czyli Malwina Zawadzka. Wzięła od niego książeczkę i przytuliła ją do serca.

– Dziękuję, kochany, będę ją zawsze miała przy sobie.

Władek spojrzał na nią niepewnie i z przestachem, bojąc się zapytać wprost, czy wyjdzie za niego. Z kieszonki munduru wyjął malutkie niebieskie pudełeczko i otwierając je, podał Marii.

– Bądź moją żoną – powiedział głośno i wyraźnie, patrząc jej w oczy.

Patrzyła z niedowierzaniem, że to dzieje się naprawdę. Nie mogła oderwać oczu od tego, co trzymała w dłoni. Pierścionek ze szczerego złota z przezroczystym oczkiem – czekała na to. Pierścionek od ukochanego chłopca, takiego, którego zazdrościłby jej cały świat: koleżanki, koledzy, rodzina – o którym marzyła. Ten wspaniały i mądry, najukochańszy jej Władek, teraz oświadcza się jej. Daje jej cały świat, spełnia marzenie!

Po chwili wziął od niej pudełeczko, wyjął z niego pierścionek i delikatnie wsunął jej na palec.

Ten wieczór w przeddzień Wielkanocy 1948 roku pozostanie w pamięci

Marii na zawsze. Nazajutrz rano, po uroczystym śniadaniu z całą rodziną, oboje pójdą na długi spacer wokół jeziora Borek. Będzie to jej pożegnanie z ukochanym chłopcem. Pożegnanie z marzeniem, ze snem, który nie miał się nigdy spełnić. Marysia nie odejdzie od chorej matki i nie zostawi chłopców. Nie mogłaby żyć i cieszyć się szczęściem, zostawiając najbliższych swoich bez opieki i bez wsparcia.

W drugi dzień świąt Wielkanocy cała rodzina Zawadzkich została zaproszona w gościnę do Kozińskich. Po południu tego dnia na obiecany spacer nie wokół jeziora Borek, ale wałami ochronnymi nad Odrą, pójdzie Marysia ze Zdzisławem Kozińskim, który zaczął się odzywać do niej coraz to odważniej, a nawet opowiadać o swoim minionym życiu na Wołyniu. Coraz bardziej zaciekawiał Marię.



## XXI

# Srebrne obrączki

**M**aj w Kosarzynie to słońce nad lasami, jeziorami, rzekami, a wraz ze słońcem kwiaty, szafirki, bzy i kaczeńce na łące. Zapach koszonej trawy na łąkach. Bociany stąpające z godnością za kosiarką. Mleczce kwitnące i kwiaty polne. Chabry, maki, stokrotki i kwitnące sady: wiśnie, czereśnie, jabłonie i śliwy. Przecudne brzoskwinie. Wszystko pięknieje i rozkwita, pszczoły, osy i trzmiele buszują i brzęczą. Jaskółki pracują zawzięcie, budując domki pod dachami domów, stodół i obór. Stado bydła ze spółdzielni produkcyjnej, wyprowadzane na pastwiska, muczy i pomukuje, a pilnujący pies biega wokół i ujada. Za pędzonym bydłem unoszą się tumany kurzu.

Wszystkie pola i łąki wokół Kosarzyna są zagospodarowane. Łęty ziemniaków posadzonych w kwietniu rosną i wschodzą nad redlinami. Oziminy pną się coraz to bardziej do góry. Cieszą oczy z daleka całe połacie zielonych pól. Nie odbiegają w niczym od tych po stronie niemieckiej. Wszędzie przy sianokosach pracują ludzie. Stamtąd, gdzie siano już przeszło, zwozi się je i układa na sterty. Na drabiniastych wozach wypełnionych sianem, na ich wierzchu, siedzą kobiety – żony rolników, w kolorowych chustkach i spódnicach. Pomagają zwozić i składać. Jedzie więc na wozie obok męża Helcia Królowa i Jadzia Szydlikowa, Jasia Kryzowa, Słobodzianowa, Hombkowa i Skiereszowa, Mataczowa. Wszystkie kobiety pracują wraz ze swoimi mężami. Żeby wykorzystać słoneczną pogodę, żeby zwieźć jak najwięcej siana.

Ogromne topole rosnące pośrodku wsi rzucają cień na wieś w upalne dni

i są odgromami w czasie burzy. Pod topolami, na zielonej murawie, po placu przechadzają się i skubią trawę stada gęsi. Główną drogą prowadzącą przez wieś do jeziora Borek i rzek Odry, Nysy i Łomianki, czasami przejedzie samochód – przeważnie wojskowy – lub wędkarze na rowerach, obładowani sprzętem wędkarskim. W samo południe z pastwisk do obór przypędzane jest bydło na południowy udój, gdzie wprawne ręce dojarek pracują szybko i sprawnie. Wydojone mleko zlewane jest do ogromnych metalowych kan – specjalnych zbiorników do przechowywania mleka – i wstawiane do głębokiej studni w ziemi, żeby przechować je do rana. Rano mleczarz zbiera wszystkie kany z mlekiem z trzech udojów i zawozi do mleczarni do Chlebowa, skąd mleko wędruje na przetwory, ale już do gubińskiej mleczarni.

Ludzie z Kosarzyna mieli nadzieję, że może kiedyś czasy się zmienią i oni znów staną się gospodarzami na swoich polach. Przecież formalnie nie pozbawiono ich własności ziemi – nadal byli jej właścicielami. Tak więc pracując na spółdzielczych polach, dbali, żeby były dobrze obrobione. Złościło to niektórych i nieraz narzekali, że mają już dość „kołchozu”. Nie mówiono na RSP, że to jest spółdzielnia – nazywano to z rosyjska kołchozem.

Pewnego razu stacjonujące w Gubinie wojsko rosyjskie, jadąc z ćwiczeń z nieczynnego lotniska, całą kolumną stanęło pośrodku wsi, pytając, jak mogą dojechać do jeziora Borek, żeby się wykąpać. Dzieci im pokazały drogę, nie bardzo rozumiejąc, co do nich mówił kierowca jednej z ciężarówek. Po południu paru rosyjskich żołnierzy przyszło do wsi. Znaleźli sołtysa przy jednej z bryczek, jak szykował się do wyjazdu po zakupy do miasta. Był nim Tadeusz Szydlik – stateczny i poważny gospodarz, ojciec Czesława, który wraz z nim i jego młodziutką żoną, tak jak i reszta mieszkańców Kosarzyna, przybył z Kresów Wschodnich. Podchodząc do sołtysa, żołnierz przywitał się.

– *Zdrastwujtie!*

– Dzień dobry – odpowiedział Szydlik

– *Eto kałchoz?* – zapytał żołnierz

– Nie, to nie kałchoz, kałchoz w Rosji, a tu Polska jest – wyjaśniał sołtys.

– *A kto u was priezydient?*

– Bierut! – odpowiedział dziarsko sołtys.

– *Nu, ładno! Bierut, bierut i bolsze jeszcze budut brat*<sup>8</sup> – potwierdził

żołnierz, nie rozumiejąc odpowiedzi sołtysa.

– Przysłuchujący się rozmowie rolnicy pokiwali ze śmiechem głowami.

– *Spirt u was jest*<sup>9</sup>? – pytał nadal żołnierz, uśmiechając się do zebranych ludzi.

Szydlik niewiele myśląc zawołał przechodzące obok dwie dojarki z wiadrami z mlekiem.

– Chodźcie, kobiety, macie dzisiaj nie lada gości. Głodni są, jeść im się chce. Dajcie im jeść i pić i uczęstujcie, jak należy – uśmiechnął się do kobiet.

Dojarki zmierzyły wzrokiem dwóch rosyjskich żołnierzy i zaprosiły ich do kuchni. Jedna z nich naląła im po kubku mleka, a druga ukroiła chleba. Zaprosili do stołu. Żołnierze, ociągając się, z wolna usiedli przy stole. Jeden z nich, Wania, zajrzał w kubki.

– *Eto małako! My choczem spirt!*<sup>10</sup> – powiedział rozczarowany.

– *Niet spirta, eto nie riestawran, eto spółdzielnia rolnicza – wot szto!*<sup>11</sup> – zawołała Jasia Kryzowa. Żołnierze wypili mleko i wytarłszy rękawem usta, wyszli na dziedziniec. Sołtys jeszcze czekał na nich, żeby dokończyć rozmowę. Widząc ich, zapytał: „Dobre mleko?”

– *Charoszije* – przytaknęli ze śmiechem. – *Nu, eto nie kałchoz, w kałchozie u nas objazatielno dołžen byt’ spirt!*<sup>12</sup> – powiedział poważnie Wania. Tym stwierdzeniem rozbawił kosarzyńców zupełnie.

– *Dawaj, Wianuszka, k nam* – wołali go rolnicy, idący na przerwę obiadową.

– *Nielzja, nada wozwraszcz’ sja!*

– Idźcie z Bogiem – zawołała za odchodzącymi Jasia Kryzowa.

– Co ty do nich krzyczysz, kobieto – zwrócił jej uwagę Szydlik. – Oni ani Boga, ani diabła nie znają. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale machnął ręką. Wsiadł na bryczkę i wyjechał z podwórza w ślad za wychodzącymi żołnierzami.

– *Do swidania* – krzyknęli za nim odchodzący żołnierze..

– *Do swidania* – odkrzyknął Szydlik, poganiając konie.

Na przerwę obiadową do domu z łąk przyszła także Marysia. Wprawdzie matka nie oddała do spółdzielni Rogatej ani dwóch świnek, ale Malwina, bo na nią zapisane było gospodarstwo rolne, oddała całą ziemię. W przerwie obiadowej Maria wydoiła Rogatą i zjadła zupę ugotowaną przez matkę. Po obiedzie położyła się na chwilę, aby odpocząć. Godzina odpoczynku była dla Marysi wytchnieniem i nabraniem sił do dalszej pracy. Gdy wracała na łąki,

minął ją wóz jadący po siano. Siedziała na nim Antosia, a powoził Zdziś. Antosia w chusteczce na głowie, w kolorowej spódnicy, wyglądała, jakby jej ubyło z dziesięć lat. Zawsze była radosna, ale praca wśród ludzi jeszcze bardziej ją nakręcała i dodawała wigoru. Zdziś widząc Marię, zatrzymał konie.

– Wskakuj – zawołała Antosia i pomogła wejść Marysi, która tak jak i Antosia usiadła na krawędzi furmanki i nogi zawiesiła za drabinkę. Zdziś uśmiechał się i od czasu do czasu odwracał do rozmawiających kobiet.

– Zagląda do ciebie – Antosia ściszyła głos i wskazała na buty Zdzisia. – Zobacz, kupił sobie na bazarze nowe trampki wczoraj w Gubinie. Nowe, do siana – zaśmiała się. – Zmienił się nasz chłopak. Spoważniał...

Maria nie chciała słuchać, co jej opowiada Antosia, natomiast Zdzisław to czuł i podpędził konie szybciej, wjeżdżając na łąki. Zatrzymując konie przy kopcach z sianem, zeskoczył z wozu i pomógł zejść najpierw Marysi, a potem bratowej.

– Dzisiaj jak zawsze... – powiedział nieśmiało, trzymając ją za rękę.

– Dobrze... – uśmiechnęła się do niego miło i poszła na łąkę, gdzie grupka kobiet przewracała grabiami pokosy do suszenia.

Na miedzy leżały drewniane grabie do grabienia siana. Wybrała sobie takie, jakie dla niej byłyby najodpowiedniejsze, i przymierzając do siebie, poniosła je na łąkę. Tam poprawiła chustkę i zabrała się za przewracanie siana. Kobiety uśmiechały się pomiędzy sobą, zagadując Marię, że nowa para szykuje się do ślubu w Kosarzynie.

– Jaka para? Kto? – Marysia udawała, że nie rozumie pytania.

– O tobie teraz się mówi – podeszła do niej bliżej Kasia Koziurowa. – Powiedz, Marysiu, czy to prawda? Wiesz, że nasz Józek smali do ciebie cholewki? – Ale nie będę się pchał, jak mnie nie chce – mówił mi wczoraj wieczorem.

Marysia spojrzała na Kasię i przystając na chwilkę, wytarła z czoła pot.

– Kasiu, ja Józka uważam za kolegę z jednej wsi. Tylko kolegę – powtórzyła.

– No dobra, ale się nie wykręcaj – cała wieś widzi, że chodzicie sobie za rączkę. Co niedzielę was widać razem. Na potańcówkach razem, w kinie i w kościele. Noo? – powiedz, to powiem kobietom i przestaną plotkować – nacierała nadal Kasia.

– Boże – westchnęła Marysia. – Nic nie powiem, bo sama nie wiem. Ot,

chodzimy sobie... Nie dokończyła mówić, gdy Regina Mataczowa zawołała: „A co ty, Kasiu, tak się przyczepiłaś do dziewczyny?! Może to tobie tak bardzo zależy na Zdzisiu Kozińskim?! – zapytała zaczepnie. Kasia zrobiła się czerwona i wzruszyła ramionami: „Też coś! Pomyślałby kto!”.

Tutaj kobiety rozszyfrowały Kasine intencje i wybuchnęły śmiechem. Po pewnym jednak czasie przestały plotkować i Krysia Miechowska, grabiąc pokosy siana, zaczęła śpiewać:

*Czerwone jagody wpadają do wody,  
Powiadają ludzie, że nie mam urody  
Czerwone jagody wpadają do wody...  
Urodo, urodo gdybym ja cię miała  
Dostałabym chłopca, jakiego bym chciała...*

Wszystkie kosarzynianki podchwyciły melodię, powtarzając kolejne zwrotki. Na łąkach zrobiło się głośno i wesoło. Wszystkim naraz poprawiły się humory. Przyjeżdżający po siano rolnicy z żonami uśmiechali się. Marysia, poprawiając niesforny kosmyk wydobywający się spod chustki na głowie, popatrzyła na uśmiechnięte i rozśpiewane kobiety, wozy załadowane sianem i zadowolonych z życia ludzi. Powojenna młodzież polska, ocalona z pożogi wojennej, pracując nawet ponad normę i ponad siły, chciała żyć i cieszyła się życiem.

– Tutaj jest moje miejsce, wśród tych ludzi – myślała Marysia, ciągle jeszcze wspominając chłopca, któremu zwróciła pierścionek zaręczynowy. Widziała, jak załadowany sianem wóz z Antosią na samym wierzchu, powożony przez Zdzisia, wyjeżdża z łąki na drogę. Zdziś odwrócił się i pomachał jej ręką. Zdjęła z głowy chusteczkę i odwzajemniła pozdrowienie. Widząc to, Kasia szturchnęła w bok Mieckowską. Ta wzruszyła ramionami: „Oj, Kaśka, znajdź i ty sobie chłopca i też będziesz machała”.

Wiosenne sianokosy i zwózka siana zakończyły się tuż przed czerwcowymi deszczami. Wiosenne burze jakby czekały, aż wszystkie kosarzyńskie siano zostanie zwiezione i ukryte w spichrzach i stodołach. Z pól zniknęli ludzie, bo podmokłe pola przy wale przeciwpowodziowym pokryte były oczkami wodnymi, a w brzdach i redlinach stała woda. W niedzielnym obchodzie pól Adam Romaniewicz z troską tylko kręcił

głową, mówiąc do Dominika: „Zobacz tylko, wszędzie woda. Aż żal serce ściska, kartofliska pod wodą. I na polu pszenicznym woda. Jak tak dłużej postoi, to klęska. Wszystko szlag trafi!”.

– No ileż może padać, już chyba dosyć – nie przejmował się Dominik. Spojrzał na chmury. – Zobaczcie – zwrócił się do rolników stojących nieopodal nich. – Niebo jaśnieje, będzie pogoda! – Wszyscy spojrzeli na niebo.

– Będzie – potwierdził dziadek Antczak.

Kilku kosarzyńskich rolników, ubranych w czyste koszule i świąteczne spodnie, przechadzało się po wale przeciwpowodziowym, z którego widok rozpościerał się na wszystkie pola i łąki Kosarzyna. Widać było powolnie płynącą Odrę i wartkim strumieniem wpływającą do niej z gór Nysę Łużycką. Od strony pól kosarzyńskich przez śluzę zamykaną ogromną, drewnianą bramą wpływała do Odry mniejsza rzeczka Łomianka, wypływająca od jeziora Borek. Przy brzegach rzek siedzieli wędkarze, łowiąc ryby. Płynąca po Odrze barka z Wrocławia do Szczecina „zabuczała” sygnałem, witając grupę ludzi idących po wale. Odpowiedzieli, machając rękami i czapkami.

Do Dominika i Adama podszedł Zdziś.

– Żenię się – powiedział tajemniczym i uroczystym głosem.

Adam, strąsając popiół z papierosa, zapytał: „Marysia Zawadzka?”.

– Tak – odpowiedział Zdziś.

– No i bardzo dobrze, zuch dziewczyna – uśmiechając się, spokojnie skomentował Adam.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – potwierdził z zadowoleniem Dominik, klepiąc brata po ramieniu.

– A kiedyż to wesele u Kozińskich? – zapytał idący za nimi i przysłuchujący się rozmowie Czesiek Szydlik.

– Na wsi wesele jest zawsze po żniwach – poważnie wytłumaczył dziadek Antczak.

– Tego jeszcze nie uzgodniliśmy dokładnie – tłumaczył się Zdziś, bojąc się drażnić temat bez Marysi, żeby jej przypadkiem ktoś życzliwy nie doniósł, że on uzgadnia termin z kosarzyńcami, a nie z nią.

Podśluchujących zrobiło się coraz więcej. Zaciekawiony tematem Józek Koziura podszedł do Zdzisia.

– Masz szczęście, mnie nie chciała – zauważył smętnie.

– Zdziś spojrział na Józka. – Oj Józek, Józek, ale ja przecież widziałem, że ty na ostatniej zabawie wciąż tańczysz tylko z jedną dziewczyną.

– I chyba się z nią ożenię! A co tam! Dobra dziewczyna i z porządnej rodziny jest – odpowiedział z determinacją Józek.

– Noo... to kto wie, czy mnie nie wyprzedzisz – powiedział, śmiejąc się, Zdziś. – Kozak jesteś!

Józek z wrażenia, że wyjawiał swoją tajemnicę, przeczesał palcami na głowie swoje długie włosy, uczesane modnie do góry.

Zdziś szanował Józka i uważał go za swojego najbliższego kolegę, a nawet jedynego we wsi przyjaciela. Koziurowie tak samo przybyli do Kosarzyna z Wołynia. Józek, będąc w partyzantce polskiej, miał podobne przeżycia jak Zdziś, cudem unikając śmierci. Przyjaźnili się i wspierali. Dzięki tej przyjaźni zbliżyły się do siebie i ich rodziny. Kasia, młodsza siostra Józka, często przychodziła do Marysi, a z najmłodszą, piętnastoletnią Stefką, już flirtował Michaś, najstarszy z trzech braci Tyszków.

Tymczasem oprócz tworzących się nowych związków narzeczeńskich i partnerskich do Kosarzyna przybywały coraz to nowe młode pary małżeńskie. Niektórzy pomieszkali bardzo krótko i wyjeżdżali, nie widząc dla siebie miejsca w spółdzielni rolniczej, ale większość pozostawała. Pracę w spółdzielni traktowano tymczasowo, nie widząc dla niej perspektyw na dłuższe lata. Nie zabrano im też ziemi notarialnie i to właśnie była przyczyna, dla której nie wszyscy opuszczali Kosarzyn. Pracowano, bo tak trzeba było. I czekano...

Zbiorowisko ludzi, napływających z różnych stron i środowisk społecznych, różniło przybyłych w zachowaniach co do kultury i sposobu bycia. Słysząc było mowę Kresowian, zruszczoną i z akcentem – lub dla odmiany warszawiaków, z ich gwarą i ubiorem. Mężczyźni chodzili w spodniach-pompkach z wysoko upiętymi nogawkami spodni, niektórzy w oficerkach – wysokich butach z cholewami – tak jak Dominik Koziński, jeszcze inni – w normalnych, długich spodniach, z nogawkami opadającymi na buty. Kobiety obowiązkowo paradowały w trwałej ondulacji i w pantoflach na korkach, a także w barwnych, kolorowych, kwiecistych sukienkach. Tak ubranych ludzi można było zobaczyć w niedzielne letnie popołudnia, jak spacerują alejkami nad jeziorem Borek lub po głównej drodze Kosarzyna.

Były to dni, w których nie pracowano na polach i mieszkańcy wsi

urządzali sobie piknik na trawie nad jeziorem lub w sadach wśród drzew owocowych. Widać było porozkładane koce, a na nich kanapki, ciasto i alkohol. Śpiewano to, co każdy lubił i zapamiętał ze stron rodzinnych – przeważnie piosenki wojskowe, ale też przyśpiewki rodem z centralnej Polski. Często dochodziło pomiędzy biesiadnikami do kłótni, a nawet bijatyki pod wpływem alkoholu. Kłócono się o wszystko – kto z nich więcej ucierpiał podczas wojny, kto był większym bohaterem. Bojowych mężczyzn uspokojały ich żony, każda zasłaniająca swojego. Wszystko wracało do normy w powszedni, poniedziałkowy dzień, kiedy znów spotykali się przy porannym apelu na dziedzińcu spółdzielni. W roboczych ubraniach i kombinezonach, w lnianych czapkach na głowie, ludzie mało różnili się od siebie. I wszyscy równo trzymali łopaty i widły w garści. Kiedy zdarzało się, że w nocy krowa nie mogła się ocielić, natychmiast biegano z pomocą, zapominając o niedawnych utarczkach i nieporozumieniach. W takich momentach wieś jednoczyła się w jedną rodzinę.

Żniwa 1948 roku przebiegały bardzo sprawnie. Wychodzono w pola bardzo wczesnym świtem, ponieważ z godziny na godzinę słońce coraz to mocniej grzało, a w południe praca na polu stawała się nie do wytrzymania i dla ludzi, i dla zwierząt. Wieś zamierała. W dwugodzinnej przerwie obiadowej nie tylko jedzono obiad i odpoczywano, ale dojono i pojono krowy i konie. Po południu na ulicy pojawiało się stado krów, pędzone na pastwisko; wozy drabiniaste jechały po snopki zżętego zboża; ludzie szli na pola w grupach – niektórzy podjadając jakiś owoc, inni paląc papierosa. Praca trwała do późnych godzin wieczornych. Gdy ludzie wracali z pól, ostro atakowały komary. Wszyscy byli zmęczeni, ale niektórzy jeszcze szli wykapać się w jeziorze – kobiety w swojej grupie, a mężczyźni w swojej.

Pewnej letniej niedzieli przed południem do Zawadzkich przyszli Kozińscy i Romaniewiczowie. W obecności całej rodziny Zdzisław Koziński oświadczył się Marysi Zawadzkiej. Włożył jej na palec pierścionek z błękitnym oczkiem po mamie Michalinie Kozińskiej – podarunek od ojca Wincentego Kozińskiego. Malwina rozplakała się, wycierając oczy chusteczką. Tego samego dnia spółdzielczą bryczką pojechali dać na zapowiedzi do księdza proboszcza do Chlebowa. Wieczorem Dominik Koziński wręczył najmłodszemu bratu dwie srebrne obrączki.

- Masz i żeń się, braciszku. Wprawdzie nie złote, ale srebrne i trwałe.
- Zostaniesz moim świadkiem? – zapytał Zdziś.



– Zostanę, oczywiście – przyrzekł Dominik.

– A świadek Marysi? – zmartwił się Zdzisław. – Nie mogą być wszyscy z rodziny; myślałem o Helenie.

– Nie Helena, nie. Może Alfreda? – najbliższa dla Marysi i siostra cioteczna – zastanawiał się Dominik.

– Pewnie, że Alfreda; zaproponuję Marysi, na pewno będzie zadowolona.

Ostatecznie uzgodniono datę ślubu i wesela na piętnasty października, zaraz po wykopkach.

Na dożynkach pod koniec sierpnia, oficjalnie już przed całą wsią, Maria Zawadzka i Zdzisław Koziński przedstawili się wszystkim jako para narzeczeńska. Siedzący przy wspólnych stołach biesiadnicy nieustająco wołali, żeby młodzi się całowali, wykrzykując często weselnym zwyczajem: „gorzko!”.

– Hej, to jeszcze nie wesele! – uspokajał nieco trunkowych biesiadników Zdziś. I biorąc za rękę Marysię, szedł z nią tańczyć na drewniany podest, gdzie orkiestra wojskowa przygrywała do tańca.

Pierwsze kosarzyńskie dożynki spółdzielcze były szumne i bogate. Stoły uginały się od owoców i ciast. Wino było własnej produkcji, chleb upieczony z własnej mąki przez kosarzyńskie gospodynie. Do serników i tortów używano wyłącznie własnych, wypracowanych surowców – mąkę, jajka, masło, ser, śmietanę.

– Ciężko pracowaliśmy – mówił Dominik przybyłemu na tę uroczystość delegatowi z komitetu partii. Wszystko, co na tych stołach tutaj widzicie, nasi ludzie wypracowali własnymi rękami. Nie tylko dla siebie – także dla państwa – dodał. – Według planu, wszystko oddane. Miasto ma od nas chleb, mąkę, mleko i mięso, ziemniaki i kaszę, towarzyszu.

Zadowolony delegat tylko przytakiwał.

– Można powiedzieć, że należycie do krajowej czołówki. Wasza spółdzielnia odznacza się w pracy. Skąd macie ludzi, towarzyszu Koziński? – chciał wiedzieć delegat.

– Jak to skąd? – Zza Buga, tak jak i moja rodzina. Także z centralnej Polski – Łódź, a nawet Warszawa znalazła się w Kosarzynie. Wołyń, Wileńszczyzna, całe wschodnie Kresy, towarzyszu. Jak wsiedli do pociągu, to wieźli ich i wieźli, aż przywieźli tutaj, na koniec świata. Ludzie nie chcieli wysiadać z pociągu, gdy się dowiedzieli, że za rzeką Niemcy! Taak, tak to było, towarzyszu Świdorski. A teraz popatrzcie na nich – jak się cieszą, że

przeżyli wojnę! Tańczą, śpiewają i tak pracują! Czasami się nawet pobijają, pokłócają, jak to ludzie. Młodzi się żenią. Coraz więcej mamy młodych małżeństw, dzieci przybywa! – Dominik podniósł głos. – Przedszkole jest potrzebne! Dzieci nie ma kto pilnować, jak rodzice w polu. To bardzo ważna sprawa, towarzyszu Świderski.

– Noo, widzę, że z was bardzo dobry gospodarz, o wszystko się martwicie – uśmiechnął się Świderski. – Powiem w powiecie o przedszkolu, obiecuję. Zasłużyliście na uznanie. Za to przyślemy wam przedszkolankę. Zajmie się dziećmi, ale musicie jej pomagać. Jak znajdziecie dla niej mieszkanie, wyślemy wam dziewczynę – powiedział Świderski, wstając, żeby się pożegnać. Dominik wraz z sołtysem odprowadzili go do bryczki, przy której nagle znalazła się jedna z kobiet obsługujących stoły. Trzymając w ręku karton owinięty białym pergaminem, powiedziała, uśmiechając się miło: „To dla żony, sernik od kobiet z naszej spółdzielni”.

Po dożynkach ludzie trochę zajęli się swoimi gospodarstwami. Każdy coś tam hodował – kilka kur, gęsi, kaczek; parę świnek, niekiedy krowę, jak u Zawadzkich. W przydomowych ogródkach uprawiał warzywa, ogórki, pomidory, kapustę, marchewkę, pietruszkę, a co zaradniejsze gospodynie miały truskawki i maliny. Drzewa owocowe uginały się od urodzaju. Były jabłonie, grusze, brzoskwinie; wszędzie w sadach kosarzyńskich rosły śliwki różnych gatunków – węgierki i takie czerwone, słodkie. Z tych śliwek Marysia wytwarzała konfitury, nie dodając ani grama cukru. Po umyciu owoców, pozbawiając śliwki pestek, wrzucała je do dużego, żeliwnego kociołka. Śliwki najpierw się gotowały, a potem smażyły. Drewnianą, dużą łyżką mieszała, nie odchodząc od nich ani na chwilę, żeby się nie przypaliły. Kilkakrotnie smażone przez trzy dni, były tak słodkie i gęste, że Maria ponapełniała nimi gliniane garnki, górę dzbanka przewiązując lnianą ściereczką. Powidła były wspaniałe; służyły rodzinie przez długi czas zimy. Nadziewało się nimi pączki lub zwyczajnie smarowało chleb – domowy, upieczony przez Marię w dużym piecu chlebowym; pachnący i chrupiący, posmarowany najpierw domowym masłem, a potem na to powidłami śliwkowymi, był najsmaczniejszym daniem na świecie. Chłopcy, będąc w domu na wakacjach, zajadali się tym na okrągło, popijając mlekiem, i nigdy nie mieli dosyć.

We wrześniu pojawiły się jak zwykle grzyby w lasach. Maria nie mogła iść codziennie na pole, aby zbierać ziemniaki za kopaczką; musiała zbierać

grzyby – bodaj najważniejsze źródło utrzymania rodziny. Natomiast Kozińscy i Romaniewiczowie oraz Zawadzcy wraz z całą rodziną i chłopcami – Michasiem, Bernasiem oraz małym Antosiem – razem pracowali na polu. Zbierali ziemniaki za kopaczką, a potem je zwozili – do kopców spółdzielczych i do swoich piwnic, na zimę dla swoich rodzin.

W którymś z dni września, podczas wykoppek, na pole do pracującej Marysi przyszedł listonosz i podał jej list. Marysia zadrżała; było to znane jej od dawna pismo Władka. Widząc kopertę, Antosia zapytała: „List masz, od Alfredy?”.

– Nieee... od Władka – odpowiedziała Maria. Odeszła na bok, usiadła na miedzy i czytała:

*Kochana moja Marysiu!*

*Dostałem wiadomość od ludzi z Kosarzyna, że wychodzisz za mąż. Co robisz, moja najukochańsza dziewczyno? Zapomniałaś, jak przyrzekaliśmy sobie miłość? Zapomniałaś? Jeśli to zrobisz, będziesz całe życie nieszczęśliwa. Zniszczysz siebie, mnie i człowieka, za którego wychodzisz za mąż. Kocham Cię na zawsze. Wtedy oddałaś mi pierścionek, ale prosiłem, żebyś czekała na mnie. Prosiłem. Zapomniałaś? Tak lekko zapomniałaś? Ja nie mogę z Tobą mieszkać w Kosarzynie i żyć z wami. Moim przeznaczeniem jest służyć w wojsku. Jestem oficerem. Jeśli mnie kochasz, nie niszczonego i mojego życia. Czekam na Ciebie jutro w naszym umówionym miejscu, gdzie zawsze się spotykaliśmy. Kocham Cię.*

*Twój W.*

– Antosiu... – zawołała po chwili Marysia i rozpłakała się.

Antosia przybiegła do niej, myśląc, że coś jej się stało. Maria podała jej list. Antosia usiadła obok Marysi i zaczęła czytać. Minęła dłuższa chwila, zanim powiedziała do niej cichym głosem: „Marysiu kochana, zrób, jak ci serce mówi. Ja nic tutaj nie mogę ci pomóc”.

Chodząc za koniem, który ciągnął kopaczkę, Zdziś zauważył, że coś na polu u zbierających kobiet się stało. Obie, tak Marysia, jak i Antosia, zamiast zbierać ziemniaki, siedziały na polu i coś czytały. Po chwili zastanowienia Antosia zaproponowała: „Idź do domu, Marysiu. Dzisiaj i tak już nic tu po tobie”. Wstały z miedzy, otrzepując się z piasku. Marysia złożyła list

i schowała go do kieszonki koszuli flanelowej, w której pracowała w polu. Nie poszła do domu, tylko z całych sił zabrała się do zbierania wykopanych ziemniaków.

Dwa tygodnie później korowód pięknie przystrojonych bryczek, wozów i furmanek jechał wraz z orkiestrą do kościoła w Chlebowie. W pierwszej bryczce wraz z młodymi jechali świadkowie – Alfreda Bogrec i Dominik Koziński. Piętnastego października 1948 roku Maria Zawadzka i Zdzisław Koziński zostali małżeństwem w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Józefa Oblubieńca Najświętszej Marii Panny w Chlebowie. Na weselu Zdzisława i Marii tańczyła cała wieś. Grała orkiestra WOP.

---

8 (ros.) Biorą, biorą i jeszcze więcej będą brać [ przyp. red.].

9 (ros.) Macie spirytus? [przyp. red.].

10 (ros.) To mleko! My chcemy spirytusu! [ przyp. red.].

11 (ros.) Nie ma spirytusu – to nie restauracja, ale spółdzielnia rolnicza, ot co! [przyp. red.].

12 (ros.) To nie kołchoz, u nas w kołchozie obowiązkowo musi być spirytus [ przyp. red.].

## XXII

# Niezapomniane święta

**P**o ślubie i weselu Zdziś przeprowadził się do Zawadzkich. Młodzi zamieszkali w jednym z pokoiów w lewym skrzydle domu. Tak jak przed ślubem, oprócz pracy w gospodarstwie, Zdzisław pracował w Urzędzie Gminy w Gubinie i jeszcze jeździł co miesiąc na kursy doszkalające do Poznania.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia i pierwsza wspólna wigilia trzech zaprzyjaźnionych rodzin odbyła się w domu Wincentego Kozińskiego, w którym zamieszkiwali Antosia i Dominik. W rogu środkowego pokoju stała duża choinka, niezwykle barwnie ubrana przez Antosię w kolorowe bombki, jabłuszka, cukierki, papierowe gwiazdki i aniołki. W metalowych lichtarzykach przyczepionych do gałązek świerku paliły się kolorowe, malutkie świeczki. Białe anielskie włosy, przykrywające całość, spływały delikatnie po drzewku, otulając je niczym płatki śniegu. Na szczycie choinki umocowana była gwiazdka z błyszczącego, świecącego papieru, specjalnie zrobiona przez Antosię. Pod oknem stał stół tak ustawiony, żeby wszyscy goście zmieścili się swobodnie przy nim. Wszystkich razem było dwanaście osób.

Wigilijne potrawy Antosi były popisami kulinarnymi najwyższej klasy. Zastawa stołowa nie była jednakowa, ale to nie przeszkadzało w odświeżnym nakryciu stołu. W głębokich talerzach widać było malutkie, misternie zrobione uszka z kapustą i grzybami. Obok leżały ryby różnego gatunku – karpie, szczupaki i węgorze. Pełne półmiski smażonych ryb, ustawione na

białym obrusie, nadawały wyraz obfitości i zasobności domu. Gołąbki z samego ryżu z grzybami, zawinięte wschodnim zwyczajem w liście kapusty w kopertę, umieszczone na kilku półmiskach, pachniały wspaniałym aromatem. Śledzie w cebulce, ułożone w szklanej miseczce, tak żeby było je wyraźnie widać, zachęcały nie mniej od innych wykwintnych dań. Były też sałatki i jajka nadziewane. No a ciasta – makowce, serniki, pierniki, przekładane kremem biszkopty – to już był szczególny popis gospodyni. Pośrodku stołu, na białym talerzyku, przykrytym haftowaną serwetką, leżał opłatek.

Po godzinie osiemnastej zaczęli schodzić się goście. Antosia, ubrana w nową sukienkę z białym kołnierzykiem, uczesana w nową fryzurę, zapraszała serdecznie za stół. Na początku stołu, na honorowym miejscu, zasiadł Wincenty Koziński. I kiedy już wszyscy zasiedli na swoich miejscach, gospodyni podała opłatek dziadkowi Wincentemu. Ten przełamał go na pół i podzielił się najpierw z Dominikiem, potem ze Zdzisławem, Adamem, Heleną, Antosią, Marysią i po kolei z wszystkimi. Wszyscy życzyli sobie wesołych świąt.

W takim dniu jak Wigilia można było odczuć najbardziej spójność rodziny. Wincenty wzruszył się tak bardzo, że oczy miał pełne łez. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i powycierał sobie oczy. Widząc to, Antosia pogłaskała teścia po ramieniu. On odwzajemnił się, uśmiechając się do niej.

– Dobrze z ciebie dziecko – powiedział ciepło, patrząc na nią z miłością.

Po chwili gospodyni przyniosła z kuchni wazę gorącego i pachnącego barszczu i postawiła ją na stole, tuż przy dziadku Wincentym. Jemu pierwszemu też naląła.

W pewnej chwili Wincenty Koziński spojrział na swoje dzieci zebrane przy stole i powiedział: „Wybaczcie staremu, ale tak mi brak mojej Michasi. Cieszyłaby się z was, gdyby dożyła tej chwili”.

Po słowach ojca Dominikowi stanęły łzy w oczach. Ukradkiem zaczęła wycierać łzy także Helena. Zdziś spojrział na Marysię i pokręcił głową. Oparł się o poręcz krzesła, wzruszony i przejęty.

Jedli w milczeniu czerwony barszczyk podany przez Antosię, jakby chcąc tą ciszą ukoić ból po stracie matki, uspokoić ojca i siebie. Żeby już rozładować napięcie żalu i wspomnień, gospodyni naląła nalewki do kieliszków przy każdym z gości, pomijając tylko Antosia. Adam natychmiast wznosił toast: „Da Bóg za rok doczekać!”.

– Za wasze zdrowie, wszystkie moje dzieci tutaj. I za Franka, gdzieś w świecie. Ciekaw tylko jestem, czy nadal gdzieś gra, w jakiejś orkiestrze? – mówił z rozrzewnieniem Wincenty.

– To wam nie mówiłem? – odezwał się jak dotąd milczący Rysiek Romaniewicz. – Pisała mi Halina, że wujek gra w orkiestrze przy domu kultury w Nidzicy.

– Naprawdę? – ucieszył się dziadek

Wszyscy spojrzeli na Rysia, który nagle ożywił się, ale ponieważ stał się nagle kimś w centrum uwagi, zrobił się czerwony jak burak.

– Halinka... – zadumał się Wincenty. – Ciekaw jestem, jaka ona teraz jest? Pewnie już duża panienka i śliczna jak jej mama.

– Mam zdjęcie, pokażę dziadkowi – kontynuował dalej swoją rozmowę z dziadkiem Rysio, na chwilę zapominając o swojej tremie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel, a z niego zdjęcie młodziutkiej dziewczyny w fartuszkach szkolnych. Wincenty założył na nos leżące na stole okulary, wziął do ręki zdjęcie i oglądając je, uśmiechał się z zachwytem.

– Noo, patrzcie tylko, jak ta koza urosła... Noo, noo! – Przypatrywał się zdjęciu z nieukrywanym zadowoleniem. – Ładna ta moja wnusia, podobna do ojca. – Po chwili oddał zdjęcie siedzącemu najbliżej Zdzisiowi, który też je obejrzał i podał Marysi, a ta z kolei Malwinie – i tak wędrowało zdjęcie Halinki Kozińskiej z rąk do rąk, aż wróciło do Rysia.

Żeby już odwrócić od siebie uwagę, Rysio nagle poczuł się głodny i zaczął jeść jajka nadziewane, które stały najbliżej niego. Wincenty jednak nie dał się zbić z tropu, pytając wnuka: „Rysiek, powiedz no mi, kim ty będziesz, jak skończysz swoje szkoły?”. Rysio zaś, napełniając usta jajkiem, odpowiedział bez zastanowienia: „Nauczycielem albo adwokatem”.

– Zuch chłopak – pochwalił go Wincenty Koziński i dodał: „Babcia by się cieszyła; oj, jak ona ciebie pilnowała! Zawsze nam przykazywała: „Tego mojego chłopca pilnuj mi, Wicuś, z niego kiedyś będą ludzie. Taak, tak mówiła, widzisz” – znów dziadek się wzruszył.

Rozmowy przy stole przerwała Helena śpiewając kolędę: *Cicha noc, ciemna noc, pastuszkowie od swych trzód...* Wszyscy się przyłączyli i nagle zrobiło się uroczyście, pięknie, świątecznie i niezwykle przy stole wigilijnym u Kozińskich w Kosarzynie w 1948 roku. Na choince paliły się świeczki, na zastawionym stole stały dwie lampy naftowe, dające jasne światło i nastrój świąt. Antosia z uśmiechem patrzyła, jak chłopcy zajadają gołąbki i rybę, jak

znikają śledzie z salaterki. Babcia Malwina z apetytem zajadała karpia z chrzanem.

Wznosząc kolejny toast, Dominik Koziński powiedział: „Za to, że żyjemy, za życie! Było z nami już tak źle, że gorzej być nie mogło! Jak my to wszystko przetrwaliśmy – sam Pan Bóg to tylko wie. Jak patrzę na ten nasz świąteczny stół, wszystko mi się przypomina! Nasz dom na Wołyniu! Nasze święta! Nie myślałem, że przeżyję, że wszyscy przeżyjemy!”.

– Jak my wszyscy, Donik, jak my wszyscy – odezwał się cicho Zdziś. – Pamiętasz Mewszę? – zapytał nieoczekiwanie.

– Tego małego Żydka? Pamiętam – odpowiedział Dominik.

– Ten mały Żydek wyjechał do Ameryki. Jeszcze jak byłem u Franka, zanim tu przyjechałem, przyszedł list od Jewki do Franków. Wszystko opisała. Wyjechali wszyscy Żydzi, którzy wtedy z nami uciekli do lasu, jak banderowcy palili Budki Borowskie, Dołhań i Okopy.

– Niesamowite wprost – zdziwił się Dominik.

– Przeżył. Jak go wtedy zobaczyłem na tym śniegu, na mrozie, takiego zmarzniętego, głodnego, nie dawałem mu szans.

– A jednak żyje...! – Dominik z podziwem spojrział na gości.

– Wyszedł z takiego piekła! Taki malec! Trząśł się z zimna, ale nie wypuścił chleba z rąk! Zawsze myślałem i wiem to też, że człowiek ma w sobie ukrytą moc i siłę, dzięki której pokonuje to, co w logicznym myśleniu pokonać by nie mógł! To tak jak z miłością – prawda, kobiety? – Zdziś uśmiechnął się do żony.

Jeszcze długo w nocy biesiadowano, kolędowano i opowiadano, wspomniano i płakano. Kozińscy cieszyli się życiem, świętami, wolnością – chociaż ich Wołyn, miejsce, gdzie się urodzili, pozostanie na zawsze w ich pamięci.

Godzinę przed północą Kosarzyn szykował się na pasterkę do Chlebowa. Na podwórkach pozapalono latarnie i powyprowadzano ze stajni konie. Pół godziny później z każdej bramy wyjeżdżały sanie, dzwoniąc dzwoneczkami. Przy saniach umocowana była mała latarka. Na pasterkę do kościoła jechali Romaniewiczze, Kozińscy, Roszaki, Króle i jeszcze parę rodzin kosarzyńskich świeżo przybyłych nowych osadników. Do kościoła drogą leśną było dziewięć kilometrów. Korowód kuligu z dzwoniącymi dzwoneczkami i z latarniami przy saniach wyglądał niezwykle uroczyście. Przed kościołem wszystkie sanie z Kosarzyna zatrzymały się blisko siebie. Mężczyźni



poprzywiązywali lejce do płotu ogrodzenia plebanii i całe rodziny poszły na nabożeństwo.

Ksiądz Zaręba odprawiał pasterkę niezwykle uroczyście, a w świątecznym kazaniu nawiązał do tradycji świąt Bożonarodzeniowych na Kresach, skąd przybyli osadnicy, dzisiejsi mieszkańcy parafii Chlebowo. Nakazywał pomagać jeden drugiemu w pracy na wsi. Grzmiał za alkohol i produkowany przez niektórych bimber, przypominał o poszanowaniu rodziny jako najważniejszej instytucji w państwie. Wraz z chórem zebrani w kościele zaśpiewali głośno i mocno kolędę *Bóg się rodzi*. Na koniec liturgii ksiądz proboszcz życzył wszystkim spokojnych świąt i szczęśliwego powrotu do domów.

Nie był to jednak szczęśliwy powrót, ponieważ z saniami Dominików zrównał się zaprzęg, którym powoził Król z żoną i kumami, i zaczęły się wyścigi sań. Obydwa zaprzęgi zaczęły się ścigać bardzo mocno – tak mocno, że po powrocie do domów młoda klacz Dominików upadła przy stajni i już się nie podniosła; z przemęczenia nie wytrzymało jej serce. Zamiast cieszyć się świątami, u Dominików nastał smutek. Dziadek Wincenty przeżywał stratę młodej klaczki najbardziej chyba ze wszystkich.

– Ot, widzisz – mówił do Heleny, mało nie płacząc. – Durnota, durnota i durnotą pogania. Ścigać się z Królem! Gdzie on miał rozum? – mówił cicho. Ale ani Dominik, ani Antosia, ani tym bardziej nikt z Romaniewiczów czy Zdzisław i Maria nie odzywali się słowem. Wszyscy współczuli i rozumieli stratę.

Mimo tej tragedii, jakim była strata konia, nazajutrz rodzina zebrała się przy świątecznym stole u Romaniewiczów, a w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia świętowano u Zawadzkich.

Nowy Rok 1949 witano na zabawie sylwestrowej w wystrojonej odświętnie kolorowymi wstążkami i kotylicjami świetlicy kosarzyńskiej, gdzie bawiła się cała wieś. Grała orkiestra WOP. W jednej z sal świetlicy ustawiono stoły biesiadne, a druga, największa sala przeznaczona była tylko do tańca. W rogu na podeście grała orkiestra wojskowa. Walce, tanga i poleczki tańczyły młode pary małżeńskie: Maria i Zdzisław, Antosia i Dominik Kozińscy, Romaniewiczowie, Józek Koziura z narzeczoną Polcią, Kasia Koziura z narzeczonym Marianem Sasalem, małżeństwo Mieckowscy, Helena i Marian Królowie, Jadwiga i Czesław Szydlikowie, Krystyna i Jan Roszakowie, Regina i Wojciech Mataczowie oraz zupełnie młodzi bracia

Myszkowie, Bernaś i Helenka Słobodzian, Michaś i Stefka Koziura – i wielu jeszcze innych ludzi, przybyłych na zabawę sylwestrową z Łomów i Chlebowa. Kobiety ubrane były na tę okazję w najładniejsze suknie, z dekolcami. Miały korale, kolczyki i wyszminkowane usta. Mężczyźni byli w odświętnych ubraniach.

O północy przed kosarzyńską świetlicą wojsko wystrzeliło parę kolorowych rac. Za Nysą Łużycką, po stronie niemieckiej, widać było ogromny deszcz spadających i rozświetlonych gwiazd. W niemieckim kościele odezwały się dzwony. Ludzie po dwóch brzegach Nysy Łużyckiej witali nowy rok – czwarty po zakończeniu wojny. Mężczyźni tulili swoje żony, narzeczone, partnerki. Wszyscy Kosarzyńcy składali sobie nawzajem życzenia. Zdziś Koziński nie wypuszczał z ramion Marysi.

Podeszli do nich Romaniewiczowie i zapytali: „Co wam życzyć, młodzi?”.

– Ano, syna, jak najprędzej – wołał Adam.

– Dobrze, Adam, jak tak mówisz, to i tak będzie – śmiał się Zdziś.

– Co? Już coś wiadomo? – dopytywała się Helena.

– Tak – odpowiedział za żonę dumny Zdziś i spojrzał na nią.

– Bierzecie mnie na chrzestnego! – wołał dalej Adam, przekrzykując bicie dzwonów w niemieckim kościele.

– Noo, Adam, to już masz załatwione! – przyrzekał Zdziś. – Prawda, Marysiu? – spojrzał na żonę.

– Jeszcze nie wiadomo, czy to będzie syn – uśmiechnęła się Maria.

Po chwili dzwony w niemieckim kościele umilkły. Kolorowe race przestały spadać z nieba. Nastął rok 1949. Ale zabawa sylwestrowa w wiejskiej świetlicy w Kosarzynie trwała nadal.

Dwie godziny po północy młodzi Kozińscy i Adam z Heleną poszli do domu. Na sali tanecznej wśród tłumu została jeszcze Antosia z Dominikiem. Wszystko skończyło się o czwartej nad ranem.

W Nowy Rok Kosarzyn spał – oprócz dojarek, które musiały wydoić krowy, oraz karmiący świnie i oporządzający stajnie.

## XXIII

# I znów wiosna

**W** połowie lutego mrozy odpuściły i zaczęła się pomału odwilż. Coraz częściej, szczególnie w południe, wychodziło zza chmur słońce i z dachów domów spływały krople wody. Z biegiem dnia słońce zachodziło i temperatura stawała się minusowa, a spływająca woda tworzyła sople zwisające z dachu. Z dnia na dzień coraz dłuższe stawały się dni, a południa coraz to cieplejsze. Tę porę dnia polubiły wróble, hałasując i bijąc się pomiędzy sobą o okruchy wysypywane przez chłopców na parapet okienny. W karmniku przed domem sikorki wyskubywały słoninkę. Antoś siedział przy stole w kuchni i rysował zimę jako zadanie domowe ze szkoły. Babcia Malwina krzątała się przy piecu, gotując zupę fasolową. Bernaś i Michaś szykowali się do wyjścia na dwór. Obaj chłopcy raz lub dwa na tydzień przyjeżdżali z internatu do domu. Wtedy też odwiedzali swoje dziewczyny, z którymi spacerowali po głównej drodze Kosarzyna. Żeby ładnie wyglądać, ich toaleta poranna trwała przeważnie kilka godzin. Najpierw w pokoju rozkładali sobie deskę do prasowania. Żelazko z kominem, przywiezione z Boga, napełniali gorącymi węgielkami i prasowali swoje spodnie. Pryskali na nie fontanną wody z ust, przykładali na nie cienką chustkę do nosa i prasowali. Na spodniach obowiązkowo musiały być kanty. Najpierw jeden wyprasował swoje spodnie, potem drugi. Po spodniach przychodziła kolej na buty, ale te już czyścili, mając je na nogach. Nogę w bucie opierali o krzesło i szczotką nakładali pastę, którą następnie rozprowadzali po skórze buta. Jeszcze potem glancowali but kawałkiem flaneli, aż buty zaczynały lśnić

i błyszczeć. Tacy wyczyszczeni, wybrylantowani, z włosami zaczesanymi do góry, nałożywszy ciepłe kurtki, wychodzili z domu. Antoś też się wpraszał, żeby z nimi iść, ale Michaś stanowczo odmawiał.

– Za mały jesteś, musisz podrosnąć! – powiedział tajemniczo do Antosia, mrugając jednocześnie do Bernasia.

Wychodząc, obaj starsi chłopcy spojrzeli z uśmiechem na najmłodszego brata, który pokazał im język. Zobaczywszy jednak przez okno, jak ciocia Marysia i wujek Zdziś obrządzają w oborach i stajni, zapytał babcię: „Babciu, mogę pójść do cioci na podwórko?”.

– Idź, tylko się ubierz.

Antoś wspiął się na palcach i z wieszaka na ścianie zdjął swoją kurtkę, czapkę i szalik. Malwina pomogła mu się ubrać, zawiązując szalik i czapkę. Po chwili spojrzała przez okno i zobaczyła, jak razem z wujkiem Zdzisiem niesie siano ze stodoły do obory dla krowy. Uśmiechnęła się zadowolona, że Antoś sam z siebie tak garnie się do pracy.

Antoś dreptał między ciocią i wujkiem, pomagając im i przeszkadzając zarazem, wobec czego wujek Zdziś zaproponował mu, że ulepią na podwórku bałwana. Z wielką radością przystąpili więc do pracy. Mokry śnieg lepił się doskonale. W niedługim czasie zostały ulepione dwie duże śniegowe kule, które po toczeniu pozostawiły za sobą dwa pasy zielonej trawy. Zdziś zapytał Antosia, gdzie ten bałwan ma stać. Antoś natychmiast wybiegł na środek podwórka i stanął, patrząc na wujka.

– Dobrze, to pomagaj, potoczmy te kule w twoją stronę.

Chwilę później na środku podwórka u Zawadzkich stanął duży bałwan. Przechodząc obok niego, Marysia zauważyła: „Nie ma czapki, nosa i miotły”. Po chwili wszystko to sama przyniosła: nos z marchewki, oczy z węgielków i patyczek na usta.

Gotowy bałwan zachwycił wszystkich. Nawet babcia Malwina zapukała w okno. Jedząc przy stole gorącą zupę, można było oglądać bałwana przez okno, ponieważ stół usytuowany był przy samym oknie. Biorąc chleb z koszyczka, Zdziś powiedział do Antosia: „Teraz dopiero, jak narysujesz zimę z tym naszym bałwanem na podwórku, od razu dostaniesz piątkę”. Antoś z wrażenia zaczął się wiercić i jeszcze bardziej spoglądać przez okno na bałwana. Po obiedzie narysował piękną zimę z bałwanem pośrodku podwórka.

Jednakże pod koniec lutego bałwan zaczął robić się coraz to cieńszy;

zrobiona z wiadra czapka spadła mu z głowy, nos z marchewki odleciał, a tylko miotła ledwie trzymała się jeszcze. Na początku marca po bałwanie pozostała już tylko mała grudka śniegu.

Przyroda budziła się do życia. Idąc na niedzielny spacer wałami nad Odrą, młodzi Kozińscy zabrali ze sobą Antosia, który zatrzymywał się przy krzewach, szukając gałązek bazi wierzbowych. Nad polami unosił się skowronek. Z wysokości wałów widać było wspaniałą panoramę pól, łąk i lasów. Trzciny nad brzegami Łomianki były jeszcze wyschnięte po zimie i bez wyrazu. Szczyty zarośli i trawy wyglądały jak martwe, kołysząc się tylko na wietrze. Miejscami tworzyły nieprzebytą gęstwinę.

– Zobacz tam, Zdziśku – pokazywała ręką Marysia. – Ja zawsze zastanawiałam się, gdzie się chowa zwierzyna leśna? A to pewnie tam w tej gęstwinie.

– Możliwe – zgodził się Zdziś. – Jesienią słyszałem jelenie, to pewnie i one tam siedzą. Zwierzyna głodna po zimie. Lada chwila wszystko to wyruszy w poszukiwaniu paszy na łąkach. Żeby tylko nie stratowały za bardzo ozimin!

Do cioci podbiegł Antoś i podał jej bukiet z wierzbowych baż.

– To dla mnie? – zachwyciła się Maria.

– Uhu – kiwnął głową chłopiec.

Marysia przytuliła go i pocałowała. – Dobre dziecko – powiedziała wzruszona. – Tamci chłopcy to już kawalerka. Za dziewczynami się oglądają – zauważyła, patrząc ze śmiechem na męża.

– Tak to już na tym świecie jest wszystko urządzone, żeby młodzi chłopcy oglądali się za dziewczynami. Tak jak ja za tobą – dodał po chwili, całując jej rozpuszczone loki, spływające po płaszczu.

– Ojej, gdzie się podział ten mój nieśmiały chłopiec, co pisał mi karteczki, wstydząc się powiedzieć, co myśli!

Zdziś jeszcze bardziej przytulił do siebie żonę.

Drogą prowadzącą z wału zeszli nad sam brzeg Odry. Rzeka była tak uregulowana, że co trzysta metrów na jej brzegach wysypane były kamienne nasypy, wchodzące w głąb. Maria upomniała Antosia, żeby zanadto nie podchodził do brzegów, stał więc przy nich albo zbierał malutkie kamyczki i wrzucał je w wodę. Zdziś nauczył go puszczać „kaczki” i chłopiec aż podskakiwał z radości, kiedy mu się to udawało. Odra płynęła wolno i leniwie – nie widać było ani śladu kry. Oboje Kozińscy stali przytuleni do

siebie, patrząc na płynącą rzekę.

– Jak to dobrze, że raz na siedem dni jest niedziela i mamy siebie dla siebie – powiedział Zdziś. Maria nic nie mówiąc pogłaskała go po rękę, którą ją obejmował.

Zza zakrętu rzeki wyłoniła się nagle płynąca w ich stronę barka. Czekali wpatrzeni w nią, aż dopłynie do nich. Kiedy ich mijała, pomachali do płynących na jej pokładzie ludzi. Ci także pozdrowili Kozińskich. Na boku jednej z łodzi przeczytali : KĘDZIERZYN KOŹLE. Barki wyładowane były węglem i drewnem.

– Zobacz, chyba ze Śląska wiozą do Szczecina – powiedział Zdziś, przysłaniając oczy ręką, żeby lepiej widzieć, ponieważ ostre słońce oślepiło oczy. Marysia nic nie powiedziała, tylko podając rękę Antosowi, wyprowadziła go z nasypu rzecznoego na równinę. Zdziś podążył za nią. Wracali do domu.

– Jak jutro rano pojedę do pracy, nie przemęczaj się moja kochana. Uważaj na siebie!

– To wiem, ale nie robię nic ponad to, co muszę. A muszę wydoić krowę, zrobić śniadanie, wyprawić Antosia do szkoły. To wszystko muszę – tłumaczyła mężowi Marysia Kozińska. – Do spółdzielni nie chodzę – chyba że Rogatą nam zabiorą – dodała.

W kwietniu wiosna zawitała już w całej pełni. Tuli-pany, narcyze, żonkile, konwalie pojawiły się w przydomowych ogródkach. Na drzewach owocowych widać było świeże pączki kwiatów. Nieoczekiwanie pewnego dnia na stodole u Koziurów rozległ się klekot bocianów, które jak co roku przywitały Kosarzyn. Pierwszy jak zwykle zauważył to Antoś, który zaraz pobiegł do domu, aby przekazać nowinę babci Malwinie. Na łąki po raz pierwszy po zimie wypędzono bydło. Wyprowadzono z obór stada krów, które przyzwyczajone do łańcuchów, zachowywały się niesfornie i pilnujący je pies nieustannie ujadał.

– Zaczyna się – powiedziała Malwina, patrząc na krowy idące całą szerokością ulicy.

– Taak – potwierdziła Marysia. – Boję się o naszą Rogatą – jakaś taka osowiała była ostatnim razem, jak ją dołam. Nie chciała żuć, tylko stała cicho i od czasu do czasu patrzyła na mnie.

– Chodź, pójdziemy zobaczyć, co z nią – odezwała się Malwina. – To już niemłoda krowa. Przebyła taką daleką podróż i ciągle daje nam mleko. Nasza

żywicielka – mówiła z rozczuleniem, idąc do obory za córką.

Kiedy otworzyły drzwi obory, krowa leżała z wyciągniętym do przodu łbem. Marysia przyklękła przy jej pysku i pogłaskała ją.

– Rogata, co ci jest? – przemówiła do niej. Krowa zamrugła powiekami, jakby rozumiała, co do niej mówi Maria.

– Mamo, to już koniec! Jeszcze jej takiej nigdy nie widziałam – powiedziała zrozpaczona Maria. – Co mam robić? Idę do spółdzielni, może Dominik co pomoże!

Narzuciła na siebie dużą, wełnianą chustkę i poszła na skróty przez las, do biura spółdzielni. Zastała Dominika siedzącego w bryczce i gotowego do wyjazdu na pola.

– Dominik! – zawołała.

– Ooo, Marysia! – Noo, co tam?

– Krowa mi zdycha! – krzyknęła zdesperowana Maria.

– Siadaj tutaj koło mnie – jedziemy zobaczyć – powiedział spokojnie Dominik.

Wjeżdżając na podwórko, zobaczyli płaczącą Malwinę.

– Dzień dobry, pani Zawadzka! Nie płaczcie! – próbował uspokajać kobietę Dominik. Ale kiedy wszedł do obory i obejrzał krowę, powiedział: „Wzdęła się. Ale czym? Nie jadła chyba mokrej koniczyny?”.

– Neee, nie pasła się na łące ani na miedzy – powiedziała Maria ze łzami w oczach.

– Trudno, trzeba dorznąć! – zdecydował Dominik. – Jak tak zrobicie, to będzie chociaż mięso. Myślałem, żeby przebić żołądek i uwolnić gazy, ale ona już nie walczy. Nie wstaje. Chociaż to zrobię, zdechnie – mówił wolno, patrząc na obie zapłakane kobiety.

Maria wyszła z obory i poszła wolno do domu.

– Niech pan Dominik robi, co potrzeba. Marysia jest w ciąży, lepiej żeby ani tego nie widziała, ani się tym nie zajmowała – powiedziała Malwina.

– Rozumiem – przytaknął Dominik. – I pani niech też idzie do domu. Przyślę tu dwóch ludzi, którzy już takie rzeczy robili i wiedzą, jak to zrobić najlepiej. Na wszelki wypadek jeszcze ją przebiję; jeśli wyjdą gazy i ona wstanie, to uratowana, jeśli nie, to już po niej.

Malwina przeżegnała się, powierzając Dominikowi całą sprawę. Sprawa z krową zakończyła się jednak niepomyślnie – bydlę zarżnięto. Maria dłuższy czas nie wychodziła ze swojego pokoju. Bardzo przeżyła niespodziewane

odejście Rogatej. Była do niej tak przywiązana, jak do członka rodziny. Nie chciała mięsa z niej – oddała krowę do zakładu utylizacji. Dłuższy czas nie wchodziła do obory; omijała ją i żeby wejść do owiec, zachodziła z drugiej strony chlewów. Świniarnik mieścił się na samym początku długich zabudowań gospodarczych, więc od razu szła tam z karmą dla świń.

Tak oto niespodziewanie, pół roku po ślubie Marii i Zdzisława, w ich życie wkradło się pierwsze niepowodzenie życiowe – tak wielkie, że przygnębiło całą rodzinę. Krowy żywicielki zabrakło, nie było więc w związku z tym mleka, masła, śmietany i sera.

Po powrocie Zdzisia z pracy zrobiono naradę. Żeby rodzina miała mleko, trzeba było kupować je ze spółdzielni.

– Bierz, Marysiu, ile ci potrzeba tego mleka, zapłacę zawsze na koniec miesiąca. A jak będą chcieli odrobku, odrobie, pracy się nie boję – powiedział Zdziś. Jakoś lżej się zrobiło Marii po tej rozmowie i wspólnej rodzinnej naradzie.

Na drugi dzień Zdziś przywiózł z Gubina dużą kankę na mleko, żeby w niej mogła Marysia przynosić je ze spółdzielni. Pomału Maria przyzwyczajała się do braku nieobecności Rogatej. Mleka w domu nie zabrakło po jej stracie.

Święta Wielkanocne tego roku, podobnie jak i poprzednie, minęły w spokojnej, rodzinnej i serdecznej atmosferze. Gościna przy wspólnym stole najpierw odbyła się w domu Wincentego, Antosi i Dominika, a w drugi dzień świąt wszyscy zebrali się u Adama i Heleny Romaniewiczów. Młodzi Kozińscy oczekiwali na potomka i z tego powodu, żeby nie przemęczać Marii, zaniechano zapraszania gości na święta, przekładając to na przyszłe chrzciny.

W domu u Romaniewiczów na białym obrusie stały półmiski z galaretą tak uformowaną w foremkach po wielkanocnych babkach, że galareta miała kształt babki. Była wspaniale ugotowana i przyrządzona, czysta i klarowna. Widoczne w niej kawałki mięsa od szynki wyglądały smakowicie i wręcz zachęcały do konsumpcji. Tak ugotować galaretę umiała tylko Helena. W późniejszym okresie Helena nauczyła tej sztuki także Antosię i Marysię. Galaretę jadło się z chrzanem albo z octem, lub też z samą cytryną. Oprócz tego na półmiskach była pokrojona w plasterki szynka, kielbasa swojska – wędzona, pachnąca jałowcem – boczek faszerowany gęsiną i wiele innych smakowitości. Nieodzowną przystawką we wszystkich daniach mięsnych



była ćwikła z chrzanem – ostra i mniej ostra, w zależności od gustów i upodobań.

Pierwszy i słynny toast Adama brzmiał co roku jednakowo: „Daj Boże za rok doczekać”. Ucztowano i świętowano do późna wieczór. Wspominano Wołyń. Z rozrzewnieniem śpiewano *Rozkwitały pąki białych róż, wróć, Jasieńku, z tej wojenki wróć...* Nie obeszło się bez łez, wspomnienia i westchnień.

Kobiety rozmawiały o wypiekach Heleny. Lukrowane, ucierane babki wielkanocne, przystrojone barwinkiem, wyglądały i smakowały wspaniale. Drożdżowe były duże i puszyste. Były serniki i mazurki. Cały stół wielkanocny wyglądał podobnie, jak dawno temu u Kozińskich na Wołyniu. Zauważył to nawet Zdziś.

– Wiesz, Helciu, u ciebie jest tak, jak u mamy w Okopach – powiedział to i naraz oczy zrobiły mu się dziwnie błyszczące. Słyszając to, rozrzewnił się również Wincenty.

– Helenka to jak nasza mama. Wszystkiego nauczyła się od niej, to i tak to wszystko wygląda, jakby to moja Michasia zrobiła.

Helena po tych słowach zamyśliła się. Po chwili wyjęła zza rękawa sukienki chusteczkę i powycierała sobie oczy. Dominik zrobił to samo i Zdziś też.

– Czemuż to my wszyscy płaczemy przy świątecznym stole? – zapytał nagle Dominik, patrząc na rodzinę.

– Jeszcze z nami nie ma Franka – powiedział wymijająco Zdziś. – Jakby on był, to już by było dobrze.

– Nie ma Franka, ale on żyje. Jest daleko, ale żyje. Natomiast naszej mamy nam brak; naszej podpory, opiekunki, naszego anioła stróża – powiedział prawie jednym tchem Dominik. Po jego słowach Wincenty opuścił głowę i zakrył oczy dłońmi.

– Tatusiu, Doniku, Zdzisiu – no, Adam, ponalewaj im w kieliszki! – zapraszała gorąco Helena, żeby przerwać nastrój żalu i wspomnień.

Późnym wieczorem, w drugi dzień świąt Wielkanocnych, zakończyło się biesiadowanie u Romaniewiczów. Skończyły się kolejne święta. Nazajutrz rano wczesnym świtem Zdziś pojechał do pracy w gminie, a Dominik z Antosią do spółdzielni, podobnie jak oboje Romaniewiczowie. Marysia poszła z kanką po mleko do spółdzielni, przedtem wyprawiając Antosia do szkoły.

W maju przyszły intensywne deszcze. Przyroda rozkwitła pełną mocą. Las zaczął na powrót żyć. Obudzone po zimie wiewiórki dokazywały na drzewach, śpiew ptaków ubarwiał zapach wiosny. Świeże, zielone liście drzew – buków i dębów, leszczyny pochylonej nad brzegami jeziora – upiększały niezwykle krajobraz wokół Kosarzyna. Jezioro Borek iskrzyło się w słońcu, łagodny wiatr marszczył delikatnie taflę jeziora, kołysząc i szumiąc w trzinach. Perkozy i dzikie kaczki miały już swoje młode i wypływały z tych zarośli, cicho i niepostrzeżenie dla ludzkiego ucha i oka. Trzeba było bardzo cicho się zachować, przytulić do drzewa i czekać, żeby zobaczyć rodziny ptactwa wodnego, jak wypływają znad jeziornych zarośli na taflę jeziora.

We wsi przy gruzach ponemieckich domów i tych zamieszkałych rozkwitły bzy. Krzewy bzów rozrosły się najbardziej intensywnie właśnie przy gruzach. Nikt ich nie wykopywał, nie przycinał, nie niszczył – więc z biegiem lat zarosły stare gruzowiska domów. Kosarzyn w maju pachniał nimi – niebieskimi, bordowymi, białymi, fioletowymi. Chłopcy z każdego spaceru ze swoimi dziewczętami przynosili do domu bukiety bzu, pachniał więc w środkowym pokoju i w pokoju chłopców. Maria źle się czuła od intensywności tej woni i zrezygnowała z bukietu w swoim pokoju.

Pod koniec czerwca znów starsi chłopcy przyjechali do domu, ale Bernaś pobył krótko, bo musiał wracać z powrotem do pracy w Poznaniu. Już ukończył szkołę i został zatrudniony w Zakładach Cegielskiego na stałe. Zarabiał pieniądze, miał własne na swoje potrzeby. Marysia z radości wyciąłowała go i z tej okazji podarowała mu własnoręcznie zrobiony z owczej wełny pulower. Była szczęśliwa i miała satysfakcję, że coś w jej życiu udało się. Cieszyła się niezmiernie i marzyła, żeby chłopak skończył jeszcze studia. Była tak podekscytowana, że aż Zdziś musiał ją upomnieć.

– Nie przejmuj się tak bardzo, miła moja. Ot, życie! Życie przed nim. Jest już dorosły, jeszcze wojsko przed nim. Ale jest się z czego cieszyć, jest – mówił tak i przytulał ją delikatnie, głaszcząc po włosach.

– Chłopcami się martwię. Wszyscy trzej mają odmienne charaktery. Bernaś jest opanowany i cichy, Michaś – najstarszy – mądry, ale nerwowy; bardzo przeżył wojnę, śmierć matki, potem ojca. Jak jest najstarszy, to chce, żeby go słuchano. Lubi rządzić. Antoś to dziecko jeszcze i babcia go rozpieszcza. I tak, widzisz, wieczne zmartwienia. Taki los... – narzekała, martwiła się i żaliła Maria, tuląc się do męża.

\* \* \*

Lipiec tego roku był bardzo upalny. Temperatury powietrza przekraczały ponad trzydzieści stopni. Marysia przebywała więcej w domu niż na dworze. Był to już dziewiąty miesiąc ciąży. Maleństwo bardzo jej dokuczało; zdarzało się, że brzuch ruszał się we wszystkie strony. Nie mogła spać; w pozycji siedzącej trwała całą noc, czekając, kiedy się rozwidni i nastanie dzień. Wczesnym rankiem wstawiała i wychodziła na powietrze. Wtedy chodząc po podwórku lepiej jej się oddychało.

W połowie lipca Zdzisław dostał urlop. Miał dwa tygodnie wolnego i nie musiał jeździć do pracy w gminie – wobec tego zapisał się na „dniówki” do spółdzielni, żeby zarobić troszkę pieniędzy. Były żniwa, koszone i młócono zboże, więc każda para rąk była przyjmowana. Piętnastego lipca, skoro świt, już był na nogach. Marysia wstała i zrobiła mu śniadanie. Widząc ją rano przy kuchni, zmartwił się.

– Nie mogę spać, męczę się. Niechby się już urodził – mówiła, patrząc się na jedzącego jajecznicę Zdzisia. – Jakby coś się działo, wyślij któregoś z chłopców, żeby pobiegł po Antosię, a może po pogotowie na pas graniczny? – zastanawiała się.

– Antosia wszystkiego przypilnuje – uspokajał Marię Zdziś, ale brzmiało to tak, jakby uspokajał sam siebie. Mnie też niech zawołają. Muszę być – może coś trzeba będzie pomóc, wody przynieść, w piecu rozpaścić.

– Kochany mój, taka nasza babska natura, żeby urodzić dziecko. Urodzę ci syna – uśmiechnęła się Maria.

Po wyjściu Zdzisia do pracy próbowała się położyć i usnąć. Oparła się na łóżku o poduszki i tak półsiedząc drzemała. Dziecko w jej brzuchu także uspokoiło się, ale po chwili poczuła, jakby z niej zaczęło coś wypływać. Usiadła na łóżku; prześcieradło coraz bardziej robiło się mokre. Wstała i założyła szlafrok. Poszła do ubikacji, która była za domem. Doszła jakoś i tam zobaczyła, że wody zaczęły odpływać. Zaraz się zacznie – pomyślała. Poszła do pokoju chłopców i zbudziła Antosia.

– Antośku kochany, idź do cioci Dominikowej i zbudź ją. Powiedz, żeby do mnie przyszła bardzo szybko.

Mały Antoś ociągał się, nie bardzo przytomny po wczorajszym późnym,

wieczornym pływaniu w jeziorze.

– Ja pójdę – odezwał się Michaś, przeczuwając, że Maria będzie rodzić.

Po wyjściu Michasia Marysia zaczęła przygotowywać się do porodu – czysta pościel, bielizna, łóżko... Malwina, dowiedziawszy się o zbliżającym się porodzie, zaczęła wszystko przygotowywać i pomagać córce. Początkowe bóle były niezauważalne, ale z biegiem czasu nasilały się – odchodziły i wracały, coraz intensywniejsze i mocniejsze. Antosia czuwała z jednej strony łóżka, z drugiej Malwina. Najbardziej mocne bóle parte przyszły w samo południe – wtedy, gdy na przerwę obiadową przyjechał do domu Zdzisław.

Wtedy to właśnie urodził się Krzysztof. Wszyscy stojący i czekający na podwórzu usłyszeli po raz pierwszy jego płacz. Zdziś natychmiast wbiegł do domu. Malwina jednak nikogo nie wpuszczała.

– Masz syna! Piękny chłopak – silny i zdrowy – mówiła, sama bardzo uszczęśliwiona. – Poczekaj już spokojniej. Teraz jest przy niej Antosia, myją się.

Młody tata nie mógł sobie poradzić ze sobą – chodził po kuchni tam i z powrotem. Po chwili Antosia otworzyła drzwi.

– Chodź i zobacz swojego syna – powiedziała, wpuszczając Zdzisia do pokoju. Obok Marysi na łóżku leżało zawiniątko, a w nim malutkie dziecko. Klęknął przed łóżkiem i pocałował żonę w rękę. Spojrzał na dziecko. – Dziękuję... – szepnął ze łzami w oczach. – Taki maleńki – dodał, patrząc na dziecko.

– Urośnie – szepnęła, już bardzo znużona.

– Niech śpią – powiedziała Antosia, zabierając z pokoju młodego tatę, któremu kazała powynosić wszystkie wiadra z wodą i wannę kąpielową.

Dwa tygodnie później odbyły się uroczyste chrzciny w kościele parafialnym w Chlebowie. Matką chrzestną została Antonina Kozińska, a ojcem chrzestnym Krzysztofa Kozińskiego – jego ukochany później wujek, Adam Romaniewicz. Dziadek Wincenty był ucieszony kolejnym wnukiem. Siedząc przy stole na uroczystości z okazji chrztu, mówił: „Franek ma już trzech swoich Kozińskich. Jakże im na imię?”

– Witek, Roman i Staś – podpowiedziała Helena. – Ale pierwsza była Halinka – dodała.

– No tak, tak, to pamiętam. Halinka, moja najukochańsza pierwsza wnusia. No to licząc wszystkich chłopaków Kozińskich, Krzyś jest moim

czwartym?

– Tak to wygląda – potwierdziła ze śmiechem Antosia.

Dziadek już nic nie powiedział, tylko wstał od stołu i wyszedł na ganek. Tam usiadł na drewnianej ławeczce, za którą mieścił się okratowany drewniany płotek, zarośnięty powojem i dający cień w upalne dni. Swoim zwyczajem zapalił fajkę i zadumał się, patrząc na grusze w sadzie przy domu.

Zajmowanie się dzieckiem całkowicie pochłonęło Marię; mało miała czasu na inne gospodarskie prace i sprawy. Przez pierwsze trzy miesiące życia nie odstępowała dziecka ani na moment. Karmiła piersią i zabierała je ze sobą, gdziekolwiek musiała wyjść – czy to do ogródka, czy po mleko do spółdzielni. Zdzisław odkupił od swego kolegi biały wózek z budką po jego synku, który już podrósł i go nie potrzebował. Na jego widok Maria ucieszyła się bardzo. Natychmiast go umyła, założyła świeżutką pościel i umieściła w nim Krzysia. W niedzielne, pogodne dni lata paradowali teraz Kozińscy z tym wózkiem na spacerze po kosarzyńskich wałach nad Odrą.

## XXIV

# Kosarzyńskie śluby i wesela

**M**inęły wakacje i żniwa. Pierwszego września Antoś poszedł już do czwartej klasy szkoły podstawowej w Łomach. Michaś miał przed sobą ostatni rok nauki w szkole średniej. Mieszkał w internacie, ale na niedzielę przyjeżdżał. Bernaś z Poznania przyjeżdżał do domu raz na miesiąc. Pensja Zdzisia w gminie była bardzo nieduża. Chłopcy potrzebowali wyposażenia do szkoły, ubrań i prowiantu na drogę. Malutki Krzyś rósł i rozwijał się bardzo dobrze, ale też trzeba było kupić pieluszki, kaftaniki, ubranka. Babcia Malwina nie czuła się dobrze, więc od czasu do czasu wołano lekarza. Potrzebne były lekarstwa.

Marysia i Zdziś pracowali bardzo ciężko. Poza spółdzielnią zasiali sobie hektar buraków cukrowych na kawałku babcinego pola, które udało jej się odebrać od spółdzielni. Wczesnie rano, jeszcze przed wyjazdem Zdzisława do pracy w gminie, oboje małżonkowie jechali w pole. Przywozili do domu pełen wóz buraków. Zdzisław jechał dalej do swojej pracy, a Maria oczyszczała buraki z liści i szykowała do sprzedaży. Tak było codziennie, aż do końca wykopek buraczanych. Wrzesień i październik to były z kolei grzyby i wykopki – jak zawsze, jak co roku. Szykowaniem drewna na zimę zajmował się już tylko Zdzisław. Zwoził je, składał, potem ciął na krajzedze na drobne kawałki.

Praca we wsi trwała od wczesnych godzin rannych aż do zmroku – nie tylko u Kozińskich. We wszystkich wiejskich zagrodach było podobnie. Jesienią też, po żniwach i wykopkach, odbywały się śluby i wesela. Kolejną

parą kosarzyńską, która brała ślub, był najbliższy przyjaciel Zdzisia – Józek Koziura. Jego wybranką była Polcia Kasperowicz, córka zamożnego gospodarza z Budoradzu – dziewczyna o przeciętnej urodzie, ale gorącym sercu, ciepła i miła, zawsze uśmiechnięta i otwarta na ludzkie sprawy i problemy.

Ślub młodych odbył się tak jak i Kozińskich – w kościele w Chlebowie. Kilkadziesiąt bryczek i furmanek wiozło weselników przez dwie wioski. Niejednokrotnie byli zatrzymywani przy tak zwanych „bramach”, ponieważ mieszkańcy nie mogli przepuścić okazji, żeby nie złożyć życzeń młodej parze. Drużbowie więc wynosili im butelkę wódki z zagrychą, to znaczy z pętem swojskiej kiełbasy. Wesele Józka Koziury z Polcią było barwne i rozśpiewane. Przez całą drogę do kościoła, która miała odległość dziewięciu kilometrów, przygrywał młodym akordeon i drużby śpiewały weselne przyspiewki z różnych regionów Polski, tak jak i uczestniczący w weselu weselnicy. Panna młoda uśmiechała się – szczęśliwa – natomiast Józek tego dnia nagle spoważniał.

W domu u Koziurów przy weselnym stole cały czas domagano się, aby młodzi się całowali. Okrzyki „gorzko” nie przestawały grzmieć do rana. Po weselu następowały poprawiny. Wódki i zakąski nie brakowało nikomu, więc ludzie pracujący w spółdzielni urywali się z pracy i szli na poprawiny. Na trzeci dzień już mama Józka, pani Anna Koziurowa, przejęła kontrolę nad niekończącym się biesiadowaniem. Przychojących gości częstowała na dworze kieliszkiem wódki, nie wpuszczając ich za próg. I tak wesele u Józka Koziury trwało trzy dni. Mogłoby trwać i tydzień, gdyby nie mama Józka.

Młodzi Koziurowie zamieszkali w ładnym, piętrowym domu na skraju wsi. Byli ludźmi lubianymi we wsi i szanowanymi. Na wiosnę 1950 roku wyszła za mąż siostra Józka, a koleżanka Marysi – Kasia. Poznała się ona przypadkiem ze swoim narzeczonym, który przyjechał do Kosarzynia w odwiedziny do rodziny.

Przed ślubem przyszła do Kasi paczka od wujka z Ameryki, pełna przeróżnych sukienek, ale tak dużych, że nie sposób było je nosić. Kasia wzięła parę sukienek i przyszła do Marysi.

– Przeszujesz mi? Żadna na mnie nie pasuje – prosiła.

– Dobrze, przesyję, tylko przynieś mi jakąś swoją jedną na miarę – powiedziała Maria.

Na strychu domu, na samej górze, urządziła sobie Maria swoją pracownię

krawiecką. Zamknięta przed światem, żeby jej nikt nie widział ani nie słyszał jak szyje, naciskając pedały starej poniemieckiej maszyny do szycia, przerabiała stare rzeczy na nowe. Na glinianym klepisku strychu postawiła Marysia cztery równo ucięte sosnowe klocki; na to wspólnie z Michasiem położyła duże poniemieckie drzwi, wyjęte ze zburzonego domu. W taki sposób urządziła sobie wygodny stół krawiecki. W malutkiej szufladce obok stołu miała pudełko z nićmi, szpilkami, kredą i nożyczkami. Najpierw delikatnie i precyzyjnie rozpruwała stare sukienki, prała i prasowała dokładnie każdy kawałek. Potem to samo robiła z nową, amerykańską sukienką. Nakładała stare, poprute kawałki sukienki na nowe, przytwierdzała je szpileczkami i kroїła. Zszywała wszystkie części i wychodziła z tego pięknie uszyta sukienka.

Kasia była zachwycona. Ponieważ amerykańska sukienka była zgodnie z ówczesną modą rozkloszowana, po jej założeniu kręcąca się z radości Kasia utworzyła wokół siebie falujący parasol. Miała tych sukienek sporo, więc jedną podarowała Marii. Marysia była jej wdzięczna za to bardzo. Uszyła sobie też nową, w której poszła razem z mężem na wesele do Kasi.

Podobnie jak wszystkie wesela, tak i to odbywało się w domu. Odbiegało ono swoim charakterem od wesel jesiennych, bo Kasia i Marian Sasal pobierali się na wiosnę, ale szpaler wozów, bryczek spółdzielczych i furmanek sunął przez kolejne wsie, podobnie jak na weselu Polci i Józka oraz Marii i Zdzisława Kozińskich. Przygrywała wiejska kapela, gdzie głównymi instrumentami były akordeon, trąbka i perkusja. Młodzi Sasalowie zamieszkali obok Marii i Zdzisława Kozińskich, byli więc ich sąsiadami zza płotu. Pracowici byli do bólu – od świtu do zmierzchu pracowali zawsze razem. Razem też jechali wozem na pole, razem gotowali obiad. Szczególnie niedzielny obiad gotował Marian. Jego słynny popis kulinarny to własnoręcznie zrobiony i ugotowany makaron. Kasia natomiast była wiecznie zabiegana – nie umiała iść spokojnie. Chciała wszystko szybko zrobić. W domu pokoje aż lśniły od czystości: okna były umyte, firanki czyste i pachnące, podłogi wypastowane, na stole stały zawsze kwiaty. Kasia miała zwyczaj w soboty wieczorem wynosić przed ganek domu, na taras, najładniejsze swoje sukienki, płaszcze i garnitury Mariana. Tam je wieszała na wieszaku zaczepionym nad drzwiami do piwnicy i czyściła szczotką do ubrania. Widać było, że lubiła patrzeć na swoje piękne, amerykańskie sukienki, żakiety, ubrania, ponieważ pielęgnowała te skarby, jak tylko mogła



najlepiej.

Kosarzyńscy ludzie mieli dziewięć kilometrów do kościoła, więc Marian Sasal jeździł co niedzielę do Chlebowa rowerem. Ubierał się w świąteczne ubranie, płaszcz, kapelusz i nowe buty. Ponieważ spodnie w nogawkach były za szerokie, więc żeby się nie wkręcały w łańcuch, spinał je zawsze agrafką.

Naprzeciw domu Marii i Zdzisława, w niedługim czasie po ślubie Sasalów, odbyło się inne huczne wesele – u Pawłowskich; Piotrek Pawłowski ożenił się z dziewczyną z Żytowania, Jasią Kupiecką. Młodzi zamieszkali naprzeciwko Kozińskich.

Mieszkańcy Kosarzyna w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych to w większości młode małżeństwa, rodziły się więc dzieci. Było ich coraz więcej. U Józka i Polci urodziła się córka Celinka, dwa lata później Aneczka, a jeszcze później – Bożenka. U Sasalów przyszły na świat także dwie córki: Marysia i Krysia. U Marii i Zdzisława Kozińskich, oprócz Krzysia, na świat przyszło jeszcze dwoje dzieci – córeczka Ania i syn Januszek. U Krystyny i Mariana Roszaków urodziła się córka Danusia, na którą Roszakowie mówili „Lala” i syn Henio. U brata Roszaka, Piotra, i jego żony Kunegundy, Rajmek był jednym z najwyższych z dzieci w kosarzyńskiej gromadzie. Mieli jeszcze córkę Władzię. U Królów urodziła się Krysia, potem Jadzia. U Kryzów Józek, tak samo wysoki chłopak jak Rajmek Roszaków. U Szydlików urodziła się córeczka Tereska; potem jeszcze przyjdzie na świat dwóch chłopców – Czesio i Rysio.

Oprócz gromady mniejszych dzieci była także dorastająca młodzież. U Skiereszów wychowywał się syn siostry Skiereszowej, nastoletni Bogdan, podobnie jak u Zawadzkich – teraz Kozińskich – trzech braci Tyszków. Dziadkowie Antczakowie wychowywali syna nieżyjącego brata. Kazik od Antczaków, podobnie jak Bogdan od Skiereszów, Michaś, Bernaś, Helena od Słobodzianów i Stefka od Koziurów – to powojenna młodzież kosarzyńska.

## XXV

# Przedszkole w Kosarzynie

Zgodnie z obietnicą delegata partii, złożoną na dożynkach, na początku lata do wsi przyjechała przywieziona wojskowym gazikiem przedszkolanka. Kobiety tę wiadomość od razu przekazały jedna drugiej. Sołtys chodził od domu do domu, zapraszając na zebranie w świetlicy.

I kiedy przyszedł z tą wiadomością do Kozińskich, chora na serce i coraz słabsza Malwina bardzo się ucieszyła.

– Marysiu, jak to dobrze się składa – dzieci ci przypilnują, bo ja już jestem coraz słabsza.

– Krzyś tak, ale Ania jest malutka, a Januszek ciągle popłakuje. Tych dwoje maluszków nie dam. Ale rano zaprowadzę tam Krzysia – on jest duży i silny, da sobie radę.

Nazajutrz rano, przed wyjściem do pracy w polu, Maria ubrała ładnie Krzysia w nowe ubranko i poprowadziła do przedszkola w świetlicy. Już z daleka zauważyła przed nią gromadę dzieci w otoczeniu swoich mam. Krzyś szedł posłusznie, trzymając się jej za rękę. Pani Ala – przedszkolanka – ubrana była w leciutką letnią sukienkę w granatowe groszki. Miała jasne, zaczesane do tyłu włosy. Była niezwykle miła i uśmiechnięta, wzbudzała ufność w dzieciach. Żeby poznać każde dziecko, rozmawiała z nim, biorąc te mniejsze na ręce. Z większymi dziećmi podawała sobie ręce, pytając o imię. Mamy poprosiła o uszycie sienników, żeby po spacerze dzieci mogły sobie poleżeć. Nie prosiła o gotowanie obiadów, ale o codzienne przygotowanie zbożowej kawy z mlekiem i kromki chleba z masłem lub ze smalcem.

Kobiety wszystko uzgodniły pomiędzy sobą. Zostawiały dzieci pod fachową opieką i szły do swoich zajęć. Krzyś zaś tak był zajęty bieganiem z rówieśnikami wokół świetlicowego dziedzińca, że nawet nie zauważył braku mamy. Maria była szczęśliwa.

Pani Ala, nauczycielka z powołania, z ogromnym zaangażowaniem przystąpiła do pracy z dziećmi. Najpierw ustawiła je parami i nauczyła chodzić. Pilnowała konsekwentnie dyscypliny. Po nauce chodzenia parami dzieci wyruszały na spacer, aby poznawać okoliczną przyrodę. Na łąkach zrywano sitowie i z jego długich łodyg wyplatano czapki. Pani Ala każdemu pomagała, kto tej pomocy potrzebował. Każde dziecko chciało wracać do domu w czapce z sitowia, więc skupiano się na pracy. Dzieci wracały z łąk ze śpiewem, a pracujący na polach ludzie uśmiechali się z zadowoleniem, widząc idący po wałach nad Odrą barwny dziecięcy korowód w zielonych czapkach na głowach.

Kiedy padał deszcz i nie można było spacerować, odbywały się zajęcia w świetlicy – konkursy rysowania i śpiewu, tańce parami. To już był prawdziwy wyczyn. Nauczycielka po naradzie z rodzicami postanowiła przygotować dzieci kosarzyńskie do występu na dożynkach spółdzielczych. Do takiego występu potrzebny był udział rodziców, polegający na przygotowaniu dziecku odpowiedniego stroju do „krakowiaka” czy innych popisowych tańców ludowych. Dziewczynki wobec tego musiały mieć odpowiednio uszyte spódniczki, bluzeczki, a chłopcy spodnie i białe koszule. Wszystkie mamy zgodziły się. Wybrano dwie mamy, które zakupią materiał do uszycia strojów. Te, które umiały, szyły stroje same; inne przekazywały materiały krawcowej. Mimo nawału pracy rodziców, szykowanie ubrań dla dzieci przebiegało pomyślnie. Na ulicach i drogach Kosarzyna, oprócz wozów jadących z pól i krów idących całą szerokością ulicy, słychać było śpiew dzieci.

*Krakowiaczek jeden  
Miał koników siedem  
A dziewczynę z wosku  
Wszystko po krakowsku...*

*Krakowianka jedna*

*Miała chłopca z drewna  
A dziewczynę z wosku  
Wszystko po krakowsku...*

## XXVI

# Januszek

**P**o powrocie ze spółdzielni do domu Marysia wzięła córeczkę na ręce i spojrzała na synka. Po chwili posadziła Anię z powrotem na łóżko i przyjrzała się jeszcze raz uważniej Januszkowi. Dotknęła jego główki i czoła. Dziecko było rozpalone, miało gorączkę.

– Boże – jęknęła i zadrżała. – Co robić? Panika i strach. Dziecko chore w same żniwa!

Weszła do kuchni i nic nie mówiąc Malwinie, wybiegła z domu i pobiegła do biura spółdzielni. Nie zastała Dominika. Za biurkiem siedziała sekretarka.

– Mam prośbę – zwróciła się do niej błagalnym głosem. – Mój synek ma wysoką gorączkę, czy mogłaby pani zadzwonić po pogotowie?

– Dobrze, dobrze, proszę tylko powiedzieć, do kogo ma przyjechać? – zapytała sekretarka.

– Koziński, Koziński Januszek – odpowiedziała pospiesznie Maria.

– Niech pani idzie do domu, ja wszystko załatwię – powiedziała dziewczyna.

Marysia z powrotem przybiegła do domu, ale Januszek już był na rękach u babci. Płakał tak mocno, że chwilami dostawał zadyszki. Maria wzięła dziecko od mamy i sama zaczęła je nosić i tulić. Położyła je na łóżku i rozebrała. Zrobiła kompres z wilgotnej pieluszki i dotykając ciała syna, kołowała jego cierpienie. Kiedy umilkł na chwilę, założyła mu świeży kaftanik, owinęła pieluszką i założyła śpioszki.

Pogotowie przyjechało po dwudziestu minutach – akurat tyle trzeba było

czasu, żeby przyjechać z Gubina do Kosarzyna. Lekarka kazała dziecko rozebrać i zaczęła je badać. Parę razy osłuchiwała serce i płuca.

– Nie podoba mi się szmer w sercu. Jest wyraźny. Oskrzela zajęte. Trzeba zastosować penicylinę, żeby nie dopuścić do zapalenia płuc. Pani jest matką?

– zapytała lekarka, patrząc na zapłakaną Marię.

– Tak – odpowiedziała cicho Marysia.

– Proszę ubrać dziecko i pojedzie pani razem z nim do szpitala.

– Dobrze – powiedziała Marysia i z szafki przy łóżku zaczęła wyjmować pieluszki i kaftaniki dla Januszka. Z dużej sypialnianej szafy wrzuciła do torby swoją czystą i nową sukienkę oraz buty.

– Spokojnie – proszę się ubrać i przyjść z dzieckiem do karetki – powiedziała lekarka, wychodząc z domu Kozińskich.

W gubińskim szpitalu na Izbie Przyjęć spisano wszystkie dane osobowe Marii i dziecka, po czym pielęgniarka zaprowadziła Marię z synkiem na oddział dziecięcy. Pokazano jej łóżeczko, gdzie ma położyć synka. Chłopczyk rozpaczliwie nie chciał opuścić rąk matki – chwycił ją rączkami za szyję i włosy. Kilkakrotnie kładła go w łóżeczku i z powrotem zabierała na ręce, żeby przytulić. Leżącego głaskała poprzez ochraniające łóżeczko drabinki. Trzymała go mocno przytulonego, kiedy pielęgniarka wstrzykiwała mu zastrzyk penicyliny. Nosiła go długo po pokoju i holu szpitala w Gubinie, aż usnął. Położyła go wtedy delikatnie do łóżeczka i usiadła obok. Oparła się o kant stolika do przewijania niemowląt i zmęczona do ostateczności, usnęła. Zbudziło ją lekkie szarpnięcie. Podniosła głowę i zobaczyła stojącego przy niej lekarza wojskowego.

– Pani Kozińska – proszę jechać do domu; w szpitalu nie mamy warunków, żeby matki były przy dzieciach.

– A synek? – spojrzała przez drabinki na Januszka.

– Jest pod dobrą opieką, proszę nam zaufać.

Maria jeszcze raz spojrzała na Januszka. Spał, ułożony na boku, ze smoczkiem w ustach. Wstała, poprawiła zmiętą sukienkę i powiedziała: „Teraz śpi, ale jak się obudzi i mnie nie będzie, będzie strasznie płakał”.

– Dostał dobry zastrzyk, gorączka ustąpiła, dziecku lżej się oddycha. Nie dopuścimy do zapalenia płuc, ale niepokoi mnie jego serduszko. Zbadaliśmy, że ma jakieś szmery. To będzie dla nas, lekarzy, zadanie priorytetowe.

– Zostanę, panie doktorze; do domu daleko, a jutro i tak z samego rana musiałabym tu przyjść albo przyjechać trzysta kilometrów. Żniwa mamy

we wsi – tłumaczyła Maria prosząco.

– Jak tak, to powiem siostrze, żeby pani przygotowała miejsce w dyżurce, na kozetce lekarskiej – powiedział lekarz i uśmiechnął się.

– Dziękuję panu z całego serca – z wdzięcznością odpowiedziała Maria.

Rozmowa z lekarzem uspokoiła ją troszkę, ale narastał niepokój o starsze dzieci i Antosia – wszystko było na głowie jej schorowanej matki. Miała jednak nadzieję, że Zdziś okaże się odpowiedzialnym ojcem i pomoże teściowej. Zapraszana była do dyżurki pielęgniarek przez siostrę dyżurną, żeby się położyć i chociaż troszkę usnąć, ale podziękowała – skorzystała tylko z kubka gorącej herbaty i kromki chleba z masłem, którymi została poczęstowana. Przez całą noc czuwała przy łóżeczku synka, niejednokrotnie drzemiąc na siedząco.

O szóstej rano Januszek się obudził. Wzięła go na ręce i położyła na stoliku do przebierania niemowląt. Przewinęła go i wacikami, które dostała od siostry dyżurnej, umyła ciepłą wodą z kranu. Była szczęśliwa, że została i mogła to zrobić. Nakarmiła go kaszką z butelki ze smoczką, ponosiła, poprzytulała i poczekała na poranną, najważniejszą wizytę lekarską, na której wszystko się rozstrzygało i o wszystkim decydowało.

Punktualnie o dziewiątej rano przez korytarz szpitalny i sale chorych przeszło kilku lekarzy, pielęgniarek i salowych. Maria wyszła z salki szpitalnej, gdzie leżał Januszek, kiedy sznur białych fartuchów kierował się w jej stronę. Umknęła do wnęki korytarza i tam usiadła na ławce, czekając. Po chwili pielęgniarka znalazła ją i powiedziała: „Proszę, niech pani idzie do gabinetu doktora. Doktor Sumicki chce z panią rozmawiać”.

– Dziękuję, siostrzo – powiedziała Maria i poszła szybkim krokiem w stronę gabinetu ordynatora oddziału dziecięcego. – Dzień dobry – powiedziała, otwierając drzwi.

– Dzień dobry, pani Kozińska – odpowiedział lekarz. – Wiadomość dla pani jest taka, że wyleczymy dziecko z zapalenia oskrzeli, ale podejrzewamy o wiele poważniejszą sprawę. Szmer w serduszkach mogą być spowodowane wadą serca, którą można wykryć tylko w specjalistycznym szpitalu. Potrzymamy dziecko u nas jeszcze kilka dni, doprowadzając do ustąpienia stanu zapalnego, po czym skierujemy je na badanie i dalsze leczenie do Poznania. Na dzisiaj proponuję iść do maluszka i pobyć z nim, aż zaśnie. Potem niech pani uda się do domu. Za dzień, dwa proszę się skontaktować ze mną – zakończył lekarz swoją rozmowę z Marią.

Słuchała go bez słowa, chcąc jak najlepiej zrozumieć, co do niej mówi. Zaczęła nieśmiało wspominać, że mąż pracuje w gminie i codziennie tutaj przyjedzie dowiedzieć się. Ale jak mąż teraz przyjedzie, to ona może jeszcze zostać do wieczora.

– No dobrze, zostanie pani, ale w jakim stanie? Jest pani wyczerpana i słaba. Niech pani uda się do domu, jak mówiłem – zdecydowanie zakończył rozmowę lekarz.

Maria posłuchała i wyszła z jego gabinetu. Na korytarzu spotkała Zdzisia. Przytulili się do siebie.

– Nic się domem nie martw, Antosia i Helenka wszystkim się zajęły. Pomagają babci, aż miło.

– Naprawdę? – Marysia uśmiechnęła się.

– Co z Januszkiem? – zapytał Zdziś niecierpliwie.

– Znaleźli wadę serca; teraz będzie jeszcze tutaj parę dni, ale trzeba będzie wieźć go do Poznania – powiedziała ze smutkiem Maria i rozpląkała się w ramionach męża.

Stali we wnętrzu korytarza i cicho rozmawiali.

– Musiałem bardzo prosić portiera, żeby mnie wpuścił. Za nic nie chciał. Oddałem mu moje papierosy. Podejdę zobaczyć Januszka. Zaryzykuję – jak wygonią, to wyjdę, ale muszę go zobaczyć chociaż przez drzwi.

– Chodź za mną, ja pójdę pierwsza – powiedziała Maria i poszła przodem, a Zdzisław za nią.

W salce, gdzie leżał Januszek, było jeszcze dwoje dzieci, a jedno łóżeczko stało puste. Januszek leżał zapatrzony w małą, stojącą za drabinką dziewczynkę. Leżał cicho ze smoczkiem w ustach, który ssał od czasu do czasu.

– Zobacz tylko, jak cicho leży, jest chyba bardzo zmęczony – powiedziała Maria, podchodząc do łóżeczka. Wzięła synka na rękę i przyniosła pokazać Zdzisiowi. Dziecko jednak nie zareagowało. Chłopiec odwrócił się od ojca i położył główkę na ramieniu matki. Zdziś pogłaskał go po ciemnych włoskach.

– Idę, bo urwałem się z pracy. Zostawiłem dla ciebie rower na dyżurce. Jedź do domu, Marysiu, i jeszcze babcia podała ci chleb ze skwarkami, taki jak lubisz. Mówiąc to, wyjął z torby kanapkę owiniętą w ściereczkę. Na jej widok Marysia uśmiechnęła się.

– Na końcu świata poznałabym, że to naszej babci robota. Tylko ona



zawija chleb w lnianą ściereczkę.

Maria całkowicie podporządkowała się lekarzowi. Po obiedzie położyła synka do łóżeczka, przedtem jeszcze go umyła i przebrała w czyste ciuszki. Posiedziała i poszła do dyżurki prosić siostrę o opiekę nad dzieckiem.

– Przywiozę siostrzyczce marynowanych prawdziwków – przyobiecała odchodząc.

– Dziękuję, nie trzeba, to moja praca – odpowiedziała pielęgniarka z uśmiechem.

– To nie jest zwyczajna praca, siostrzyczko, nie wszyscy się do niej nadają – dziękuję najserdeczniej – powiedziała raz jeszcze Marysia, wychodząc z oddziału dziecięcego. Z dyżurki wzięła rower Zdzisia i pojechała do domu. Jechała w samo upalne południe lipca, przez las, unikając słońca. Po drodze skręciła do Budoradza i u jednego z gospodarzy poprosiła o kubek wody. Wzięła jeszcze na drogę do butelki i jechała dalej. W Żytowaniu, mijając strażnicę WOP, napotkała kapitana Wrzosa, który miło się jej uklonił i zapytał, co słyhać w rodzinie.

– Synek mi zachorował, ciężko – odpowiedziała ze łzami w oczach. – Jest w szpitalu w Gubinie, ale musimy wieźć go do Poznania. Podejrzewają wadę serca – jednym tchem wyrzuciła z siebie zadyszana jazdą rowerem Maria.

– Pani Marysiu, jak trzeba by było coś pomóc, proszę mówić. Pomogę, na ile będę mógł – powiedział poważnie kapitan.

– Dziękuję bardzo, do widzenia – zawołała Maria, odjeżdżając drogą do Kosarzyna. Boże, pełnia lata, a ja znów nienawidzę lata, tak jak kiedyś wiosny, kiedy umierał Piotrek – pomyślała. Mimo wysiłków nie mogła powstrzymać łez spływających jej po twarzy. Przyjechała do Kosarzyna wtedy, kiedy krowy szły na pastwisko całą szerokością drogi. Zboczyła z niej i na skróty, ścieżkami obok sadów, przejechała przez podwórze Dominików do domu. Była zmęczona i głodna. Babcia Malwina siedziała z Anią na kocu, pod gruszą w sadzie. Na jej widok wstała i poszła za nią do domu, trzymając Anię za rękę.

– Co, Marysiu? Co z Januszkiem? – spytała.

– Źle, mamu, jest bardzo chory. Będziemy leczyć i walczyć – powiedziała drżącym głosem.

– A co w domu? – spojrzała na Anię.

– Ania jest ze mną, a Krzyś w przedszkolu. Michaś zabrał Antosia i poszli na łąki. Zupę szczawiową ugotowałam – powiedziała Malwina smutnym

głosem. – Antosia była i pomagała. Zaprowadziła Krzysia do przedszkola. A Helena przyniosła nam bułek. Wczoraj upiekła. Dobrze. Antosia mówiła, że coś z ojcem źle jest. Leży i nie może chodzić.

– Boże – westchnęła Maria.

Jadła powoli zupę i słuchała opowiadania matki. Nie było jej w domu półtora dnia, a tyle się wydarzyło. Po zjedzeniu zupy oparła się o poręcz krzesła i zamknęła oczy.

– Mamo moja, muszę się położyć, bo nie dam już rady nic zrobić.

– Idź dziecko, idź – powiedziała Malwina. Ja wszystkiego przypilnuję – dodała cicho. Wzięła za rękę Anię i z powrotem poszła na dwór.

Po tygodniu pobytu w szpitalu Januszek wrócił do domu, ale ze skierowaniem na dalsze badania i leczenie do kliniki w Poznaniu. Na miejsce w specjalistycznym szpitalu trzeba było czekać ponad miesiąc. W tym czasie Maria zdążyła uszyć Krzysiovi ubranko na występ w przedszkolu i razem z całą rodziną i małym Januszkiem na tym występie być. Przeżycie było ogromne – nie tylko dla dzieci, ale także dla ich rodziców i wszystkich mieszkańców Kosarzyna. Po raz pierwszy, odkąd tutaj przyjechali, działo się coś pięknego i symbolicznego – pierwszy występ dzieci urodzonych po wojnie na ziemiach zachodnich Polski, przy samej granicy niemieckiej, której z jednej strony pilnowało wojsko polskie, chodząc z bronią gotową do strzału poboczem pasa granicznego, natomiast po drugiej stronie Nysy Łużyckiej – niemieckiej – chodziły patrole wojskowe z psami.

Świetlica kosarzyńska w dniu występu wyglądała bajkowo i kolorowo. Z ogromnego żyrandola zwisały girlandy kolorowych łańcuszków zrobionych z bibułki, których końce podoczepiane były do bocznych ścian i okien. Dzieci poubierane w nowe ubranka i ustawione parami, na znak podany przez panią Alę, wbiegły ze śpiewem i krakowiakiem na środek świetlicy. Rodzice wprost zaniemówili ze zdziwienia i zachwytu. Publiczność siedziała na długich ławkach pod ścianą, przyklaskując tańczącym do rytmu. Robiono zdjęcia – te pierwsze, które zostaną w kosarzyńskiej świetlicy na zawsze, w jej izbie pamięci.

Po krakowiaku przyszły kolejne popisy. Dzieci recytowały wiersze Konopnickiej i Broniewskiego. Pojedynczo wychodziły na środek świetlicy i recytowały. Dostawały za to ogromne brawa. Nawet babcia Malwina nie mogła się nacieszyć, widząc wśród dzieci Krzysia, i też klaskała radośnie. Januszek na rękach u Marii krzywił się i popłakiwał, wobec czego poszła

z nim do domu, zostawiając babcię i Zdzisława przy Krzysiu.

Długo mówiło się we wsi o występie dzieci. Wspominano i chwalono nauczycielkę oraz przewodniczącego spółdzielni. Wszystko zdawało się cieszyć i zadowalać kosarzynian.

Wieś żyła pracą na polach. Po żniwach przyszły wykopki i grzyby. Kozińscy jeździli z najmłodszym synkiem do Poznania kilka razy w roku. Lekarstwa wzmacniały dziecko, ale nie leczyły za bardzo – raz było lepiej, raz gorzej. Maria bała się, żeby synek nie przeziębził się, bo wtedy męczył się strasznie. Marysia dawała z siebie wszystko. Pracowała ponad siły, żeby tylko nakarmić, ubrać, opruć rodzinę. Od jednego z gospodarzy z Łomów kupili sobie Kozińscy krowę, a po jakimś czasie także konia i wóz. Babcia przestrzegła, aby tego wszystkiego nie dawać do spółdzielni – na zmarnowanie, jak mówiła. Przestała lubić spółdzielnię, jak zobaczyła pewnego razu dwóch pijanych wozaków, ujeżdżających dobrego konia Adama. – Nie dawajcie nic! – ostrzegała Marysię i Zdzisia. – To nasze ciężko zapracowane, oddamy pijakom na zmarnowanie?! Nie! – mówiąc to, stuknęła parę razy laską w podłogę.

## XXVII

# Dziadek Wincenty i „Wieczórki”

Jesienią 1955 roku Wincenty Koziński coraz bardziej nie mógł chodzić. Bolały go nogi, odmrożone i przemarznięte w czasach wojny i długiego zamieszkiwania w leśnej ziemiance. Teraz, mimo nacierania spirytusem i denaturatem, przykładania gorącego termoforu – ból nie ustępował. Więc kiedy tylko wychodziło zza chmur słońce, Antosia wystawiała mu przed gankiem jego ulubiony stołeczek i tam sobie siadał. Nerek dawno zdechł, więc Wincenty nie miał już psa. Obserwując świat, palił swoją fajkę i czekał na domowników, Antosię i Dominika, którzy do domu wracali dopiero późno wieczorem. Czasami wstawał ze swojego stołeczka i szedł pochodzić sobie po dużym podwórzu. Zachodził do letniej kuchni i sprawdzał w piecu chlebowym, czy już ususzyły się grzyby. Zamykał kurnik na noc, żeby lisy albo kuna nie wydusiły ptactwa. Wracał później – wysoki i zgarbiony, w kapeluszu na głowie, podpierając się laską – do domu. Siadał w kuchni przy piecu i rozpałał ogień. Na dużej, żeliwnej płycie kuchennej suszyły się ziarna dyni. Przegarniał je dłonią, żeby wszystkie dobrze i równomiernie się suszyły.

Kiedy dziadek zajęty był swoimi sprawami, spod ganku domu znikał jego mały stołeczek. Mała Ania Kozińska tak sobie go upodobała, że wystarczyła chwila i już niosła go w rękach do domu babci Malwinie. Przynosiła i stawiała go przy kuchni. Następowало poszukiwanie stołeczka, gdy okazywało się, że go nie ma w tym miejscu, gdzie powinien być. Wszystkie ślady prowadziły do drugich Kozińskich, mieszkających obok Dominików.

Widząc go, Antosia zabierała bez słowa, gdy nie widziała nikogo z domowników, i wracała z nim do domu.

Zima 1955/1956 była śnieżna i długa. Do wsi dopiero zamierzano doprowadzić prąd elektryczny, ale póki co, wieczory spędzano przy lampie naftowej. Zaprzyjaźnieni sąsiedzi schodzili się do siebie na „wieczórki”. Jak co roku, tak i tego czytano książki. W kuchni u Dominików na długich ławach siadano pod ścianami i słuchano czytającego na głos książkę. Pośrodku izby, w dużej misce stojącej na taborecie, znajdowały się wysuszone ziarna dyni. Łupano je zawzięcie, a skorupki rzucano wprost na posadzkę. Wszystko odbywało się za przyzwoleniem gospodyni. Ten, który czytał, siadywał przy lampie. Kiedy przyszła kolej na Adama Romaniewicza, czytając kwestię z *Pana Wołodyjowskiego* – fragment opisu oświadczyn Michała wobec Basi, w którym ta ostatnia, jak zwykle, wiodła prym – Adam tak się rozweselił, że aż się popłakał ze śmiechu. Wszyscy słuchający również zareagowali na ten opis śmiechem. Dziadek Wincenty siedział przy piecu i był rad, że do jego nowego domu, chociaż i bez Michaliny, przychodzą ludzie i czytają książki.

Oprócz trzech spokrewnionych rodzin Kozińskich, na „wieczórki” przychodzili Koziurowie, dziadek Ant-czak, dziadek Słobodzian i kto tylko chciał. Dom Kozińskich był otwarty dla wszystkich. Dziadek Antczak opowiadał starodawne baśnie i przepowiednie. Mówił, że radio dlatego gra, bo to jest diabelska sztuczka. Telefony też mają siłę nieczystą.

– Jak tak może być, żeby słyszeć jeden drugiego mógł z ponad stu albo i więcej kilometrów! – wydziwiał.

– Taak, to musi być, że diabeł maczał w tym palce – przyznawał rację Antczakowi Adam Romaniewicz.

– Teraz mamy radio, Antczak, a kto wie, co jeszcze nam wymyślą? – mówił Wincenty. – A jak będzie tak, że nie tylko słyszeć się będzie jeden drugiego, ale i widzieć? – dodawał po chwili, kiwając głową poważnie i rozniecając w zebranych na wieczórkach ludziach wyobrażenie przyszłości.

Po słowach Wincentego Kozińskiego zaległa cisza. Każdy myślał, jak to będzie w przyszłych pokoleniach.

– Żeby tylko wojny nigdy nie było – odezwał się milcząco dotychczas Dominik. – Niech wynajdują wynalazki, maszyny, Bóg wie co jeszcze, żeby tylko czołgów i karabinów nie wynajdowali – nowszych i jeszcze mocniejszych od tych hitlerowskich.

Wincenty podniósł głowę i spojrzał na syna. – Nie trzeba było czołgów i karabinów, żeby wymordować na Wołyniu Polaków. – Dominik pokiwał głową i przyznał rację ojcu: „Taak”. Przymknął oczy i pokiwał głową.

– Wiem to, ja przecie też z Wołynia! – podchwycił temat Józek Koziura. – Miałem piętnaście lat, jak okrążyli naszą wieś. Banderowiec trzymał mnie w łapach i sięgał po nóż. Nie uwierzycie, co mnie uratowało! Moja matka, widząc co się święci, podbiegła i ręką schwyciła go za przyrodzenie! Wykręciła mu! Aż krzyknął z bólu i mnie puścił. Uciekłem wtedy co sił i schowałem się w sianie! Potem od razu przystąpiłem do partyzantki. U nas była AL.

– Wszyscyśmy tutaj spod kosy uciekli – powiedział Zdzisław. – Ja podobnie jak i ty – o mały włos; podobnie mój tata, moja mama, Dominik, Romaniewiczze. Żyjemy i to jest teraz ważne!

– Coś ludzie zaczynają szemrać, że spółdzielnie mają rozwiązywać – odezwał się siedzący dotychczas cicho Szydlik. – Chłopi z Lubelskiego i Rzeszowskiego okrutnie są źli na tę politykę kołchozową. Pisał mi brat, że buntują się, bo im odbierają konie i krowy! A te chłopy mają ziemię dziedziczną! Najlepszą w całej Polsce. Buraczaną! I tytoń uprawiają!

– Dotąd zgadzali się, bo się bali – ot co! I to wam powiem – Dominik spojrzał na zebranych – że to już długo nie potrwa.

Siedzący poruszyli się na krzesłach.

– Ty coś wiesz; jak wiesz, to mów, Dominik – prosił dziadek Antczak.

– Wiem tyle co wy, może mniej nawet, ale od Cześka się dowiedziałem, że Polska centralna buntuje się. A jak oni, to i cały kraj!

– Trzeba radia słuchać – podsumował dyskusję Adam Romaniewicz, wstając z krzesła, żeby iść do domu. Trzeba się też wyspać – dodał. Za jego przykładem wszyscy powstawali z ław i krzesel.

– Dobranoc – mówili, wychodząc gromadnie z domu Kozińskich. Jeszcze chwilę przystanęli na papierosa, rozmawiając na drodze, po czym skrzypienie śniegu pod butami umilkło.

Dziadek Wincenty nie dożył świąt Wielkanocnych – pewnej nocy pod koniec lutego 1956 roku usnął i już się nie obudził. Pochowano go z daleka od jego ukochanej Michasi, na cmentarzu parafialnym w Chlebowie, daleko od Wołynia.

## XXVIII

# Burzliwy rok

**W** tym samym roku Maria i Zdzisław Kozińscy zawiozą na ten sam cmentarz najmłodsze swoje dziecko, półtorarocznego synka Januszka. Na tablicy nagrobnej pozostanie napis:

„TU LEŻY NASZ NAJUKOCHAŃSZY SYNEK I BRACISZEK,  
JANUSZEK KOZIŃSKI”.

Śmierć synka i ojca pogrążyła wszystkich – a najbardziej małą Anię, niewiele starszą od Januszka. Zanim zabrano go z domu, leżał nieruchomo w białej trumience. Miał zupełnie białą, malutką twarzyczkę. Czarne włoski, już długie, zaczesane były na bok. Wyglądał, jakby spał. Dziewczynka co rusz podchodziła do trumienki i zaglądała; nie mogła zrozumieć, że przestał płakać. Czemu śpi? – myślała. Chciała go zbudzić, krzyczeć, płakać, ale spoglądając na zebranych w pokoju i modlących się ludzi, stanęła tylko i patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

Widząc rozterki dziecka, jedna z kobiet kazała jej klęknąć, jak wszyscy w pokoju. Zrobiła to i nagle poczuła, że to już koniec. Stało się coś bardzo złego – Januszek się nie obudzi. Wstała z kolan i wyszła cichutko na dwór. Potem co sił pobiegła za stodołę i tam schowała się za stogiem słomy. Łkała spazmatycznie z bólu i żalu. Płakała i płakało jej małe serduszko. Bezsilność dorosłych ludzi przerażała ją. Przecież są duzi i mocni, dorośli i silni;

dłaczego nie zrobią tak, żeby jej najukochańszy braciszek odżył, żeby żył? Czemu chcą go zakopać, jej kochanego braciszka? Płakała długo, aż babcia Malwina znalazła ją za stogiem. Podeszła i wzięła ją za rękę, przytuliła. Zaprowadziła do kuchni i naląła zupy do talerza.

– Jedz, Aniu – powiedziała cicho.

– Niece... – pokręciła głową Ania.

Babcia dała spokój. Sama nie chciała jeść. Nikomu tego dnia nie chciało się jeść.

W ostatniej drodze na cmentarz swojemu dziecku towarzyszyli rodzice oraz oboje Dominikowie. Po powrocie do domu Maria zastała matkę leżącą na łóżku i skręcającą się z bólu.

– Co się stało mamie? – zapytała przerażona Maria.

– Zjadła troszkę kiełbasy wędzonej, tej ze spizarki – wyjaśniła Hela Słobodzian, oficjalna już narzeczona Bernasia.

– Marysia złapała się za głowę. – Boże jedyny, mamoo...!

Malwina cierpiała od dawna na bóle wątrobowe. Nie wolno jej było jeść nic tłustego ani ciężkostrawnego. W dodatku miała bardzo słabe serce. Nieraz lekarz Kunicki, przyjeżdżając z wizytą do babci i badając ją, mówił: „Serduszko ledwie tyka, babciu”.

– Jak stary zegar – odpowiadała Malwina poważnie.

Lekarz kiwał głową i kazał się oszczędzać.

Maria zaparzyła matce dziurawca i nakazała surową dietę. Przywołany na wizytę domową doktor Kunicki orzekł: „Zapalenie pęcherzyka żółciowego, niestrawność, niezbyt żołądek. Dieta i lekarstwa. Nie musi pani leżeć, pani Zawadzka. Jak poczuje się pani lepiej, proszę chodzić i się ruszać. Dla serca jest lepiej chodzić”.

– Kiedy słaba taka jakaś jestem. Może przez to, że nie jem kiełbasy.

– Ooo, to przez tę kiełbasę pani jest słaba! – zawołał lekarz, grożąc babci palcem. Pani wątroba jest chora od tej kiełbasy i jej nie trawi, tak samo jak pani żołądek. Jeszcze przepiszę pani żelazo na wzmocnienie, bo coś błada pani jest jakaś. – Wstał z krzesła i zajrzał babci w oczy, odsuwając dolne powieki.

– No tak, te lekarstwa trzeba wykupić i na opakowaniu jest napisane, jak zażywać. Proszę się dostosować, pani Zawadzka, to jeszcze pani mnie przeżyje – uśmiechnął się, szykując się do wyjścia. Razem z lekarzem, który dojeżdżał do chorych przedwojennym, poniemieckim mercedesem, zabrał się



Michaś po lekarstwa dla babci do Gubina.

Po świętach wielkanocnych we wsi zakładano elektryczność. Zjechało się dużo ludzi. Wkopywali ogromne słupy w ziemię, potem po tych słupach robotnicy na specjalnych słupolazach – metalowych butach z hakami – wspinali się na szczyt i tam zakładali przewody. W każdym domu po kolei zakładano kable elektryczne, które zaczepiano na ścianach. Puszki i przełączniki, gniazda były koloru czarnego, umocowane także na ścianach.

Kiedy zaświeciła pierwsza żarówka, cieszą się nie do opisania. Mieszkańcy Kosarzyna kupili sobie pierwsze radia, które nazywały się „Kaprysty”. Ich obudowa była drewniana, ale z przodu miały wbudowaną osłonę z tkaniny. Kiedy pogoda na dworze była ładna i świeciło słońce, niektórzy z gospodarzy wystawiali na okna swoje radia i każdy puszczał na cały regulator to, co lubił; tak więc w jednym oknie słycać było piosenki partyzanckie, w drugim przemówienie Gomułki, a jeszcze w innym szukano zabronionej Wolnej Europy, którą uwielbiał słycać Adam Romaniewicz. Kręcił i kręcił zagłuszany program, ale coś tam zawsze wysłycał i zaraz szedł donieść o wszystkim Dominikowi. Dominik zrugął go, że tak oficjalnie słyca tego programu.

– Zamknij się w domu i słycaj, co sobie chcesz, Adam!

– Dobrze, dobrze, ale ci powiem, że miasto się buntuje, robotnicy. Oszukują ich, nie płacą, coś tam tak gadali i gadali w kółko to samo. Chyba powtarzali, bo wiedzą, że zagłuszają. Mówili o poborze do wojska. Straszą, czy jaki czort? – mówił Adam, patrząc na Dominika.

– Taak, coś wisi w powietrzu.

W połowie czerwca, w same sianokosy, dostał powołanie na ćwiczenia wojskowe Zdzisław Koziński – tylko on jeden z rodziny, z racji tego, iż był urzędnikiem i pracował w gminie. Rolników i jedynych żywicieli rodzin nie brano.

Marysia była załamana. – Idzie lato, zaraz żniwa. Mama chora, małe dzieci! Jak ja pójdę w pole odrabiać dniówki? – narzekała.

– Nie idź w pole, już tam nigdy nie idź! – postawił się Zdzisław.

– Dniówki to zawsze jakieś pieniądze – zaprotestowała cicho.

– Nie idź, mnie tam długo trzymać nie będą. Szybko wrócę. W domu jest mąka i jajka, jest też mleko. W chlewie dwa tuczniki. Coś sprzedamy, jak będzie trzeba! Nie zamęczaj się i nie zostawiaj mamy z dziećmi samej.

– Dobrze – obiecała Marysia.

Po wyjeździe Zdzisława, z Poznania niespodziewanie przyjechał na stałe Bernaś. 28 czerwca w tych zakładach, w których pracował – w Zakładach Hipolita Cegielskiego – wybuchł strajk generalny. Na wieść o nagłym przyjeździe Bernasia natychmiast zebrała się u Kozińskich cała rodzina, z Romaniewiczami włącznie.

– Ledwie udało mi się wymknąć. Co się dzieje! Czołgi, patrole na ulicach! Do dworca przemykałem bocznymi uliczkami – relacjonował wzburzony Bernaś.

– O co poszło? Co się stało? O co się robotnicy buntują? – zebrani wokół stołu zasypywali Bernasia pytaniami.

– No to tak: zabrali premię... e tam, nie tak – poprawił. – Przez trzy lata, przez ponad trzy lata, okradali przodowników pracy! Zabierali im premię za to, że ci harowali jak woły, piątek, świątek i niedzielę! Nie dość, że im mało płacili, to nie wypłacali im obiecanej premii! Krzywdzili ludzi przez trzy lata! Zrównali ich z tymi, co pracowali najmniej. No to delegacja robotników pojechała do Warszawy do rządu. Zakłady stanęły, wszyscy czekaliśmy, co powie delegacja, jak wróci. No i wrócili, zadowoleni, doszli do porozumienia! Już wszyscy odetchnęli, aż tu nagle, zaraz jak nasi wrócili, przyjechali ci z Warszawy i dawaj odwoływać porozumienie! Zwołali całą załogę na dziedziniec i odwołali to, co uzgodnili! Naszych ludzi szlag trafił! Wiara rzuciła się na nich! Wypuścili więźniów politycznych z więzień. Ach, co tam się wyprawia! Cudem wskoczyłem do pociągu! Na ulicach walki. Czołgi i transportery. Sam widziałem zabitych! Wojsko strzela do robotników. Zabijają ludzi bez pardonu!

– Boże, Zdziśka zabrali do wojska, wujka zabrali – zatrwożyła się Maria.

– Wujka nie dadzą do Poznania. Na pewno jest na manewrach. Jest nabór i przeszkolenie. Ale wojny na pewno nie będzie! Każdy tak mówi: wojny nie będzie! – zapewniał Bernaś ciocię Marysię i całą rodzinę.

Po jego opowieści zaległa cisza. Zamyślenie i zmartwienie malowało się na twarzach Kozińskich, Romaniewiczów i Tyszków. Michaś, Bernaś i Antoś, a także Krzyś, wyszli na dwór przed dom.

Po chwili ciszy Dominik powiedział: „Coś mi się zdaje, że w tym roku będziemy mieć ostatnie spółdzielcze dożynki”.

– Ja bym nie robił! – zachnął się Adam. – Już i tak rozkradają, co kto może! Kradną, piją, marnują, wiedzą, że koniec nadchodzi! – mówił zdenerwowany Adam. – Garstka nas jest, prawdziwych gospodarzy. Reszta

chła i kradnie. Upilnujesz, jak magazynier taki sam – patrzy, żeby coś sprzedać na lewo i zahandlować? Zróbmy zebranie i porozdawaj ludziom, co czyje i co kto dał z własnego dobytku!

– Tak nie mogę; muszę pojechać do powiatu i rozejrzeć się. Popytać, czy mogę tak zrobić. Jak sam się porządę, to mnie zamkną i będziecie mieć w więzieniu waszego bohatera!

– A rób, jak chcesz; ja zabieram mojego konia i wóz do domu. Jak reszta zobaczy, to zrobi to samo i wcale się ciebie nie będą pytać. I jeszcze ci radzę: nie odzywaj się, bo mogą ci wlać! – Ostatnie słowo Adam wypowiedział bardzo poważnie.

– Dobra, dobra! A dokończyć żniwa, to kto? Ziemniaki też trzeba wykopać z pola – zwrócił mu uwagę Dominik.

– Zrobimy tak: nie jedź do powiatu, ale zwołaj zebranie i powiedz ludziom, żeby wszyscy zabrali swój dobytek z powrotem do domu; i krowy, konie, świnie. Podzielimy to wszystko na zebraniu. Żniwa dokończymy i ziemniaki wykopamy. I koniec! – zakończył Adam, wstając od stołu. Jednakże wieczorem przyszedł do Dominików i wycofał to, co mówił w południe. Przyznał rację Dominikowi, że trzeba postępować powoli i ostrożnie, żeby się nie narazić i żeby nikogo nie zamknięto za samowolę.

Nazajutrz rano, po rozdzielaniu prac polowych, Dominik nic ludziom nie mówiąc, zaprzągnął konia do bryczki i pojechał do komitetu partii. Tam na korytarzu spotkał Świderskiego – tego samego „towarzysza”, którego gościł pewnego lata na dożynkach w Kosarzynie. Podali sobie ręce i Świderski od razu zapytał: „Wy, towarzyszu, do I-szego?”.

– Tak, przyjechałem do pierwszego sekretarza.

– Proszę, proszę – Świderski pokazał mu na drzwi do sekretariatu.

Dominik wszedł i w sekretariacie zastał jeszcze czterech takich jak on, przewodniczących spółdzielni czekających na przyjęcie. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszła z nich sekretarka z plikiem dokumentów, zapraszając ich do gabinetu.

Przy długim stole siedzieli już ludzie i odbywało się zebranie. Mówca, czyli pierwszy sekretarz, przestał na chwilę mówić i podszedł przywitać przybyłych. Podał im rękę i zaprosił, żeby usiedli.

– Towarzysze, nastały trudne czasy, najtrudniejsze po wojnie. U nas w Polsce siły imperialistyczne podburzyły robotników w Poznaniu. Dużo ludzi zginęło niepotrzebnie. Trwają strajki, wypuszcza się więźniów.

Zakłady, zamiast pracować, stoją. Kraj pogrąża się w chaosie. Żeby zakończyć spory i strajki, Biuro Polityczne KC ogłosiło bardzo dużo ulg i przemian w kraju. Kierownictwo partii, chociaż jeszcze nieoficjalnie, objął towarzysz Wiesław – Władysław Gomułka, który był prześladowany przez NKWD i więziony za czasów Stalina. Znalazł się właściwy człowiek na właściwym miejscu. Z jego inicjatywy zostaje przywrócona na powrót w Polsce, jako jedynym kraju bloku wschodniego w Europie, z powrotem towarzysze... gospodarka indywidualna, czyli chłopska i rodzinna. Ale obok gospodarstw chłopskich powstawać będą Państwowe Gospodarstwa Rolne skupiające ludzi, którzy nie mają ziemi, a mieszkają na wsiach. Będą to ogromne gospodarstwa rolne – fabryki mleka i mięsa, których produkcja zaopatrywać będzie miasta. Proponujemy zwołać w spółdzielniach zebrania, powiedzieć co i jak; zrobić bilans i zorganizować podział zysków. Zakończyć działalność spółdzielni rolniczych. Niech każdy pracuje dla siebie i płaci podatki.

– No tak – odezwał się jeden z przewodniczących spółdzielni. – Tylko że jak my na zebraniu powiemy, że koniec ze spółdzielniami, to rzuca się i jeden przez drugiego wszystko rozgrabia. I jeszcze się pobijają!

– Proszę, towarzysze, starać się tłumaczyć. To jest bardzo trudne, ale musimy przez to przejść. Jeszcze raz mówię – zrobić zebranie, wytłumaczyć sytuację polityczną w kraju, a potem niech każdy weźmie swój dobytek, który oddał spółdzielni: sprzęt i maszyny, krowy i konie. Potem ruszajcie do żniw, ale każdy ze swoim sprzętem. Towarzyszu Koziński – mówca nieoczekiwanie zwrócił się do Dominika – liczymy na waszą mądrość. Dajcie przykład innym spółdzielniom! Nie dopuście do niesnasek, bójek i kłótni pomiędzy ludźmi!

Słuchając tego przemówienia pierwszego sekretarza, Dominik nie odzywał się. Był zaskoczony i przerażony.

– Na koniec powiem wam jeszcze, towarzysze, że przemiany dotyczyć będą całokształtu życia społecznego i gospodarczego w naszym kraju, nie wyłączając kultury i Kościoła – zakończył mówca.

Dominik wracał do Kosarzynia przygnębiony. Tyle lat, tyle lat... Wiosna, lato, jesień, zima. Sianokosy, żniwa, wykopki, i tak na okrągło się wszystko toczyło. I wszystko na darmo. Po co to wszystko było? Po to, żeby zniszczyć to, co zdołali przywieźć z Kresów?

Kiedy wjechał na podwórze przy oborach, gdzie już dojono krowy, grupa

ludzi stała i rozmawiała. Zszedł z bryczki i przywiązał konia do drewnianego słupka. Podszedł do ludzi. Od niektórych poczuł alkohol.

– Zwołajcie zebranie w świetlicy – dzisiaj, po wieczornym udoju. I niech nikt nie waży się przychodzić pijany! – dodał podniesionym głosem i poszedł szybkim krokiem w kierunku swojego biura.

Wśród ludzi narastał niepokój. Co niektórzy odgrazali się: „Ooo! Widzicie go, jaki ważny! Już niedługo, towarzyszu, niedługo policzymy się z tobą, jak należy” – wykrzykiwał podpity Król. Reszta ludzi rozpierchła się, bojąc się awantury wywołanej przez pijanego.

Wieczorem w wiejskiej świetlicy w Kosarzynie Dominik Koziński wraz z zarządem spółdzielni oficjalnie rozwiązali Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną. Sporządzono protokół rozwiązania i zarządzono spis z natury całego majątku spółdzielni, po czym protokółarnie i komisyjnie przekazano inwentarz jej poszczególnym członkom. Oddany rok wcześniej do spółdzielni przez Zdzisława koń z wozem został mu zwrócony, ale wóz był połamany, a koń zamęczony i chory. Malwina Zawadzka odzyskała ziemię, tak jak i wszyscy pozostali, którzy zaraz po wojnie w wyniku reformy rolnej ją otrzymali, w zamian za pozostawioną za Bugiem.

W październiku tegoż roku został wypuszczony z więzienia na wolność kardynał Stefan Wyszyński. Powróciła do szkół religia i krzyże do klas szkolnych. W kraju nastąpiła polityczna odwilż. Wypuszczono z więzień ludzi prześladowanych przez terror stalinowski. Władysław Gomułka na wiecach i przemówieniach, często kilkugodzinnych, zapewniał, że teraz już wszystko się zmieni i obiecywał lepsze życie.

## XXIX

# Pożegnanie z matką

**N**a jesieni wrócił z wojska Zdzisław. W Kosarzynie już nie było spółdzielni, ale posadzone wiosną ziemniaki trzeba było wykopać. I znów jak dawniej, w latach powojennych przed powstaniem spółdzielni, Romaniewiczowie i dwie rodziny Kozińskich razem kopali ziemniaki. Po kolei u wszystkich zbierano je za konną kopaczką. Przy wykopkach pracowali wszyscy, nie wyłączając chłopców. Bernaś nie chciał wracać z powrotem do pracy w Poznaniu. Czekał na powołanie do wojska, więc przydała się bardzo jego pomoc przy wykopkach. Oficjalnie zaręczony był z Helenką Słobodzian i wcale mu się nie spieszyło gdziekolwiek wyjeżdżać. Narzeczoną Michasia została najmłodsza z córek Anny i Marcina Koziurów, siostra Kasi i Józka, Stefka. Tak więc dwaj starsi bracia Tyszkowie planowali w najbliższej przyszłości ożenić się i założyć własne rodziny.

Babcia Malwina, kiedy tylko dowiedziała się o dziewczynach, chciała je poznać i zaprzyjaźnić się. Tak więc w niedzielę i święta przychodziły do niej w odwiedziny, zwłaszcza że sama już bardzo zaniemogła i coraz rzadziej wychodziła na dwór. Mała Ania bawiła się u niej w pokoju. W dużej babcinej szafie znajdowały się same cudne skarby – prześliczne torebki z mosiężnymi klamerkami, parasolki od słońca z czasów babcinej młodości, kołnierze z lisów, imitujące prawdziwe lisy, zarękawniki z prawdziwego futra, długie spódnice zakończone ostrymi krawędziami, chroniącymi przed podarciem. Były to dla małej dziewczynki, nieznającej prawdziwych sklepowych zabawek, najcenniejsze i najładniejsze zabawki na świecie. Pachniały

naftaliną i nieznanymi perfumami. Wszystko było należycie poukładane w kolorowym kuferku – pamiątce po dziadku Janie, którego znała tylko z babcinych opowiadań.

Babcia, przewracając się na łóżku, od czasu do czasu wołała Anię, żeby ta przyszła do niej i usiadła obok. Ania brała szmacianą lalkę i siadała cichutko na krześle, tak jak babcia chciała. Babcia czasami zapominała, że Ania siedzi, i zasypiała, ale kiedy tylko dziewczynka poruszyła się, Malwina otwierała oczy. Wtedy Ania, korzystając z chwili, że babcia nie śpi, pytała: „Babciu, a skąd masz tę parasolkę białą w niebieskie kwiatki z falbankami?”. I zaczynało się. Babcia Malwina, po chwili myślenia, przypominała sobie i opowiadała.

– Dawno temu, bardzo dawno, jak jeszcze byłam bardzo młodziutka, nosiłam tę parasolkę na niedzielne spacerunki ogrodami Wilna. Chodziło się do kościoła, trzymając w jednej ręce parasolkę, a w drugiej torebkę z książeczką do nabożeństwa. Gorące słońce wtedy tak nie grzało, nie piekło i można było dłużej wytrzymać na powietrzu w lecie. Po skończonym nabożeństwie szło się na lody do letniej kawiarni pośrodku miasta. Wszystkie szanowane panie nosiły wtedy takie parasolki. Nie podobna było, żeby dama nie miała parasolki.

– A kto to jest dama? – pytała Ania, coraz bardziej zaciekawiona babciną opowieścią.

Babcia spojrzała na wnuczkę. – No tak, muszę ci wszystko opowiedzieć, bo kto ci opowie, moja kochana Anusiu, jak mnie zabraknie? Jak nastali bolszewicy, nic dzieci mądrego nie uczą – biadała zmartwiona.

– A kto to są bolszewicy? – zapytała nagle Ania.

Po chwili milczenia babcia odezwała się: „Diabły z rogami! Uciekaj od nich, jak ich zobaczysz!”.

Po tych słowach Ania skurczyła się w sobie i przerażona. Kiedy babcia znużona usnęła, Ania weszła do szafy i zakryła się babcinymi spódniami. Siedząc długo w szafie, także zasnęła. Wracając z obrządku do domu Maria szukała jej po pokojach, ale nie znajdując pomyślała, że dziecko gdzieś poszło do sąsiadów. Wieczorem, kiedy zaczynało zmierzchać, Krzys, Antoś i obydwaj starsi Tyszkowie wrócili do domu. Maria zarządziła poszukiwanie córeczki. Przynosząc babci kolację, zapytała: „Mamo, nie było u ciebie Ani? Gdzieś przepadła” – powiedziała zmartwiona.

Słyszając głos matki, Ania wygrzebała się spod sterty ubrań i spódnic

babcinych i otworzyła drzwi szafy, gramoląc się z niej.

– Matko Boska! – zakrzyknęła Maria. – Czemu ty tam wlażłaś, dziecino moja? – Wzięła ją na ręce, przytulając do siebie.

Ania nic matce nie odpowiedziała, tylko objęła ją za szyję. Tej nocy Ania spała z mamą. Przytulona do niej, zapytała: „Bolszewicy nie przyjdą, mamusiu?”.

Maria w mig poznała przyczynę strachu córeczki. Pocałowała ją we włoski i przyrzekła: „Nie przyjdą, na pewno nie przyjdą, śpij”.

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok przebiegły spokojnie i niespodziewanie dobrze, bo babcia Malwina wstała do stołu. Środkowy pokój rozświetlała choinka nowymi, kolorowymi lampkami, ponieważ w domu była już elektryczność. Samo to stanowiło ogromną atrakcję dla rodziny. Dzieci dostały pod choinkę od Mikołaja nowe, kolorowe książeczki do czytania, pachnące farbą drukarską, z przepięknymi ilustracjami. Ania była tak przejęta, że przystawiała książeczkę do nosa, żeby poczuć zapach farby drukarskiej. *Konik garbusek*, czytany wieczorami przez tatę, śnił jej się po nocach. Nosila tę książeczkę wszędzie ze sobą, gdzie tylko szła. Siedząc wieczorem przy piecu z babcią, patrzyła na świecące lampki na choince i nic nie mówiła, tylko tak trwała. Było jej ciepło, bezpiecznie i świątecznie. Z drugiej strony siedział Antoś, też ciesząc się ze swojej książeczki. Krzyś, widząc Anię zamyśloną, podbiegł i wyrwał jej książeczkę, a ta chcąc mu ją odebrać, pobiegła z płaczem za nim. Wtedy babcia wstała i stuknęła laską.

– Ty, Kaniugo, jakiś niedobry! Oddaj Ani książeczkę!

Krzyś oddał, ale rzucił ją na kanapę z daleka od siostry. Potem biegał wokół stołu i kazał się Ani złapać. Ania, trzymając już w rękach swój mikołajkowy podarek, przysunęła się do babci i nic się nie odzywała. Rozbawiony chłopczyk nie dał za wygraną. Odsunął od stołu krzesła i poustawiał jedno za drugim, tworząc pociąg. Siadł na pierwszym krześle i zawołał: „Babciu, siadaj, jedziemy za Bug!”.

Babcia Malwina chciała na niego nakrzyczeć, ale w końcu roześmiała się serdecznie.

– Synku, już babcia nie zobaczy Bugu – powiedziała cicho po chwili.

Słyszac dokazywania dzieci, do pokoju świątecznego przyszli wszyscy, którzy znajdowali się w kuchni obok. Krzesła wróciły na swoje miejsce. Usiedli na nich oboje Kozińscy i Tyszkowie ze swoimi przyszłymi żonami. Bernaś dostał powołanie do wojska, do czynnej służby, ale planował



pozostać po służbie w Szkole Kadetów i zostać w przyszłości oficerem zawodowym. Babcia wobec tego zapytała Helę, czy po ślubie wyjadą do miasta.

– Nie wiem jeszcze – powiedziała Helena i spojrzała na Bernasia.

– Oj, synku, przemyśl to jeszcze, musicie się naradzić – pokiwała głową babcia.

– Ja już pracuję w gminie, tam gdzie i wujek Zdzisław, i już tam zostanę. Moja żona będzie w domu i zajmie się gospodarstwem, na ile będzie mogła – odpowiedział i spojrzał na Stefkę, która nagle poczerwieniła na twarzy.

– A kiedyż ślub? – zapytała nagle babcia Malwina, patrząc na obie pary.

– Na Wielkanoc – odezwał się Bernas.

– A my po żniwach – powiedział Michaś.

– Niech wam Bóg błogosławi, jak i ja to robię – powiedziała Malwina. – Nie wiem, czy doczekam, ale gdyby nie, macie swoją drugą mamę – spojrzała na Marię.

Naraz jakoś smutno się zrobiło i cicho. Maria wytarła łzy, sączące się jej po twarzy. Siedząca przy babci Ania zsunęła się z kanapy i podeszła do mamy. Maria wzięła ją na rękę. Ania objęła ją za szyję.

– Nie płacz, mamusiu – powiedziała i przytuliła się do niej.

To był ostatni taki wieczór i święta Bożego Narodzenia z babcią Malwiną. Odeszła na wiosnę, w marcu, gdy na powierzchnię ziemi zaczynały wydobywać się pierwsze kwiaty wiosny – śnieżyczki. Umierała w otoczeniu najbliższej rodziny i sąsiadów. Leżała na łóżku i ciężko oddychała. Siedział przy niej bardzo długo ksiądz. Wszyscy klęczeli i modlili się w ciszy. Mała Ania nie mogła tego pojąć, czemu dorośli patrzą, jak jest babci ciężko, i jej nie pomogą, tylko się modlą. Czemu i jej kazali klęczeć, zamiast ratować babcię? Czemu tak łatwo pozwalają jej umierać?

Po śmierci Malwiny Maria załamała się. Wszystkie pelargonie za życia jej matki tak pięknie kwitły na oknach, a teraz poschły, niepodlewane i zapomniane. Umarło czworo najdroższych jej osób: ojciec, Piotrek, Januszek i teraz mama.

Widząc, co się dzieje z żoną, Zdzisław przestał jeździć do pracy w gminie. Wszystkie prace w gospodarstwie i w domu spadły na niego. Antosia i Helena przychodziły i pomagały, rozmawiały z Marią, chcąc na powrót przywrócić ją do życia. Wymyślały różne prace, prosiły o wzory do robienia na drutach, żeby ją czymś ożywić, żeby zaczęła żyć. Prosiły ją, żeby

upiekła chleb, bo one nie umieją tak upiec jak ona. Pomalutku wyjęły ze spiżarki dzieżę do mieszania ciasta i zrobiły rozczyn, zadając Marysi dużo pytań, żeby zmusić ją do myślenia, a nawet sprowokować do złości. Ale kiedy do kuchni weszła Ania, cała brudna i wymazana sadzą od pieca, Marysia z początku patrzyła na nią, a potem wzięła ją na rękę. Wyjęła z łazienki wannę i zaczęła przygotowywać kąpiel dla dziecka. Wyniosła z powrotem dzieżę do spiżarki, żeby ta jej nie przeszkadzała, i zaczęła rozpalać w piecu, żeby nagrzać wodę. Spojrzała na Helenę, potem na Antosię i zapytała, czy one czegoś chcą. Może coś pożyczyć?

– Nie, nie – odpowiedziały prawie jednocześnie. – Idziemy już – powiedziała Antosia, mrugając do Heleny. Maria spojrzała za nimi i wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc, po co przyszły. Wykąpała Anię, a potem Krzysia; Antoś nie chciał się kąpać. Przebrała pościel na łózkach. Ugotowała dla dzieci zacierki na mleku. Kiedy już najedzone spały, umyła wszystkie podłogi i na końcu sama się wykąpała. Życie w domu Kozińskich zaczęło powracać do normy.

## XXX

# Bernasiowe wesele

Mimo żałoby w domu Kozińskich po śmierci Malwiny, z dawna planowany ślub i wesele Helenki Słobodzian i Bernarda Tyszki miały się odbyć zgodnie z wcześniej planowaną datą i zapowiedziami w kościele, chociaż oboje młodzi pytali ciocię Marysię i wujka Zdzisia, czy mimo żałoby mogą wziąć ślub.

– Babcia by nie chciała, żebyście odkładali. Pamiętajcie, co do was mówiła? – powiedziała ciepło Maria. I nie kazała nic odwoływać. Zbliżały się święta Wielkanocne 1957 roku.

Szykowano więc wesele. Na tę uroczystość przeznaczono dwa tuczniki i drób. Jajka i masło pochodziły z domowych zapasów, tak samo mąka do wypieku ciasta. Złożyły się na to dwie rodziny. Z domu u Słobodzianów wyniesiono meble. We wszystkich pokojach ustawiono stoły i przykryto je białymi obrusami. Na obrusach poustawiano flakoniki z konwaliami i zastawę stołową. Wszędzie były kwiaty – dużo kwiatów i kotyliionów. W dniu wesela, na podwórku przed wejściem do domu, orkiestra grała marsza dla każdego witanego gościa, a druhny przypinały do ubrań białe, malutkie kokardki weselne z zieloną gałązką asparagus. Atmosfera była wspaniała, goście uśmiechnięci i zadowoleni.

Maria i Zdzisław Kozińscy wraz z dziećmi Anią i Krzysiem, odświętnie ubrani, weszli na podwórko Słobodzianów przez bramę ustrojoną jedliną i kolorowymi wstążeczkami. Orkiestra zagrała marsza. Gospodarze, czyli rodzice panny młodej, wraz z młodą parą przywitani Kozińskich bardzo

serdecznie i zaprosili ich do pozostania wraz z nimi przy młodych, jako rodzice pana młodego. Helena wygłądała cudnie w welonie i z kwiatami we włosach. Jasne, kręcone loki w upiętym welonie nadawały jej powabu i delikatności. Bernaś – wysoki, w ciemnym garniturze – prezentował się wspaniale. Z wszystkich braci Tyszków to on był najprzystojniejszy i najbardziej ciepły, taki ludzki i wrażliwy.

Chwilę po przyjeździe Kozińskich nastąpiło błogosławieństwo młodej pary, wyjeżdżającej do ślubu. Młodzi klękali przed rodzicami i zostali przez nich pobłogosławieni znakiem krzyża. Następnie udali się do przystrojonej jedliną i kwiatami bryczki – pozostałości po spółdzielni rolniczej – która po rozwiązaniu spółdzielni służyła jeszcze przez długie lata mieszkańcom Kosarzyna. Przy parze młodych usiadła Maria z Anią i matka Heli. Weselny korowód, złożony z furmanek i jednej bryczki pośrodku, jechał przez trzy wsie. Na jego czele, na wozie, usadowiła się orkiestra, która wjeżdżając do każdej wsi, grała marsze. Z orkiestrą jechali drużbowie i przy każdym wymuszonym postoju, czyli weselnej bramie, zatrzymywali się i częstowali wódką ludzi, którzy tę bramę zrobili, lub dawali im butelkę wódki. Często zdarzało się i tak, że młodzi musieli wyjść do zatrzymujących ich, żeby przyjąć życzenia. W kościele w Chlebowie podczas uroczystej mszy Helena i Bernaś złożyli sobie przysięgę małżeńską. Podczas wychodzenia z kościoła przywitał młodych ukwiecony szpaler wraz z orkiestrą. Chwilę potem nastąpiły życzenia i owacje.

Wracano ze śpiewem. Ludowe przyśpiewki dochodziły z każdego wozu, tak jak i goście weselni pochodzili z różnych stron Polski. W drodze powrotnej, podobnie jak przy jeździe do kościoła, weselne bramy zatrzymywały młodych, którzy już teraz musieli wychodzić do składających im życzenia.

Na progu domu Słobodzianów rodzice obojga młodych przywitali ich chlebem i solą. Stoły były bogato zastawione. Wszystko, co na nich było, wytworzono we własnych gospodarstwach – szynki i kielbasy, pieczone gęsi i indyki; sałatki z warzyw i śledziowe; galarety wieprzowe i rybne, ciasta i torty. Pito, jedzono i tańczono – oberki, polki i kujawiaki. Co rusz to ktoś zakrzyknął „gorzko” pod adresem młodych. Wesele u Słobodzianów trwało trzy dni, a tak naprawdę jeszcze długo po nim dojadano ciasta i inne weselne smakołyki.

Do rodziny Marii i Zdzisława Kozińskich doszła nowa osoba – młodziutka

i śliczna żona Bernasia. Młodzi zamieszkali z rodzicami Heleny, ale w niespełna miesiąc po ślubie Bernas opuścił dom i udał się do koszar. Został żołnierzem w czynnej służbie, mając zamiar wstąpić do szkoły kadetów.

Będąc na jednej z przepustek Bernasia w domu, oboje młodzi Tyszkowie przyszli do Kozińskich po radę.

– Ciociu, wynikła taka sprawa, że chyba nie pójde do szkoły oficerskiej – powiedział Bernas, patrząc na Marię. Nie zwracał się z tym do wujka, ale do cioci – dla niego to ona była zawsze tą najważniejszą osobą – mamą, jak mówiła babcia Malwina.

Maria spojrzała na niego i spochmurniała.

– Skończyłeś szkołę średnią i masz otwarte okno na świat! Nie wymyślaj, że zostaniesz na gospodarce i będziesz pracował u teścia za parobka! – Maria nie przebierała w słowach, nazywając sprawę po imieniu. Spojrzała na Helenkę, której twarz była cała w pąsach. – Helu, jeśli on będzie w mieście, to wam będzie źlej. Nie będziecie wywalać gnoju z obór!

– Ja nie zostawię rodziców samych – powiedziała cicho Helenka i dodała: „Mirek opuszcza dom, idzie pracować do fabryki, a mnie rodzice przepiszą gospodarstwo”.

– To kiedy to będzie? A z czego będziecie żyli? W gospodarstwie jest różnie, na ogół nie ma pieniędzy bardziej, niż są – starała się tłumaczyć Maria, patrząc na Bernasia. – I co by babcia na to powiedziała, Bernas? – dodała.

– Jeszcze jest czas, jeszcze jestem w wojsku, dopiero jak wyjdę, to zadecydujemy – powiedział Bernas, starając się załagodzić sprawę.

– Jak to czas, wy już zadecydowaliście! Nie miałeś opuszczać wojska! Co mi tu bajdurzysz, chłopaku! – zawołała podniesionym głosem Maria. – Boże, Boże. Tyle lat nauki w Poznaniu! Odmawialiśmy sobie wszystkiego, żeby tylko tobie posłać, żebyś się uczył, a ty chcesz wrócić do gnoju i pracy na gospodarce? – to ostatnie słowo uwięzło jej w gardle. Wyszła bez słowa z kuchni i w ogóle z domu.

Maria decyzję Bernasia mocno przeżyła. Nigdy nie spodziewała się czegoś podobnego. Miała nadzieję, że chłopak zostanie kimś, tak jak chciała babcia Malwina. Zdała sobie jednak sprawę, że walczy z wiatrakami. Na nic się zda jej żal i złość – przecież i tak robi, jak mu każą żona i teściowie! On już jest u nich, nie u niej, i ich będzie słuchał, nie jej!

Ostatecznie stało się jednak tak, że Bernas po skończonej służbie

wojskowej zatrudnił się w Zakładach Metalowych w Gubinie, zgodnie ze swoim wykształceniem nabytym w Poznaniu. Codziennie dojeżdżał do pracy, a po pracy pomagał teściom w gospodarstwie.

## XXXI

# Kosarzyńskie lato

Lato 1957 roku w Kosarzynie nie różniło się niczym od tych poprzednich – może tylko tym, że zbiorów z pól nie zwożono do stodół i spichrzy spółdzielni rolniczej, tylko do swoich stodół. Podczas ładnej i słonecznej pogody wszyscy ludzie z Kosarzyna pracowali na polach. Kobiety jak dawniej jechały na wozach, siedząc wysoko na snopkach, które zwoziły wraz z mężami do swoich gospodarskich stodół. W sobotę po południu sprzątano obejścia gospodarcze i zamiatano lub grabiono ulice przed domem. Przed każdym z nich stała drewniana ławka, żeby można było usiąść sobie i porozmawiać z sąsiadem. Z otwartych okien słychać było muzykę z radia. Śpiewało „Mazowsze” lub przemawiał Gomułka. Gdzieniedzie ktoś szukał Wolnej Europy, starając się wyeliminować głośne dźwięki zagłuszarek. Ktoś kogoś wołał, dzieci biegały po sadzie lub pędzono krowy z pastwiska. Pod wieczór zza lasu, znad jeziora Borek, dochodziły dźwięki orkiestry wojskowej, która grała na zabawie dla letników. Jezioro Borek w Kosarzynie było dla nich główną atrakcją turystyczną okolicy, podobnie zresztą jak i dla samych kosarzynian. Całe rodziny szły na zabawę taneczną, gdzie w bufecie kupowało się dla dzieci kogutki, czerwone lizaki na patyku, paczkę herbatników, żonie oranżadę zamykaną na hermetyczny zatrzask, a sobie głowa rodziny, czyli mąż i ojciec, kupował piwo lub wino „Patykiem pisane”. Zazwyczaj skupiało się przy biesiadzie parę zaprzyjaźnionych rodzin, a potem wszyscy całą gromadą wracali drogą przez las do domu. Po drodze panowie, ledwie powłócząc nogami, śpiewali, a raczej bełkotali:

*Wszystkie rybki śpią w jeziorze,  
Ciurala, ciurala, la.  
Tylko jedna spać nie może,  
Ciurala, ciurala, la.*

Kozińskim jakoś nie chciało się chodzić na plażowe zabawy; woleli w niedzielne popołudnia rozłożyć koc w sadzie i urządzić sobie piknik. Przy stole siedzieli mężczyźni, czyli dwaj bracia Kozińscy – Dominik i Zdzisław – oraz dwaj Romaniewiczze – Adam z synem Ryszardem i jego młodziutką żoną Aliną. Na kocu siedziały kobiety i dzieci: Krzyś, Ania i córeczka młodych Romaniewiczów, Halinka. Na stole w dzbanku znajdował się kompot z wiśni, a na półmisku było upieczone ciasto. Mężczyźni – Adam, Dominik i Zdzisław – raczyli się winem z winogron własnej produkcji, a Antosia Dominikowa przynosiła kobietom wiśniową nalewkę na spirytusie. Odbywały się długie dyskusje o sprawach gospodarskich. Podczas jednej z nich Dominik oświadczył rodzinie, że oddaje swoją ziemię państwu i nie chce dłużej pracować na roli.

– Nie damy rady fizycznie ani ja, ani Antosia; mamy dość harówki! Sprzedaję konia i wóz, jak chcesz, to bierz – zwrócił się do Zdzisława. Zdziś spojrział na żonę. Maria pokiwała głową, zgadzając się.

– Teraz nie mamy pieniędzy, ale na jesieni byśmy wam zapłacili – powiedziała, patrząc na Antosię i Dominika.

– Niech tak będzie – zgodził się Dominik, a Antosia uśmiechnęła się. – Oczywiście – dodała.

– No a co zamyślasz robić? – spytał Adam.

– Na razie kupię motor, żebym mógł wozić Antosię po zakupy do miasta – roześmiał się Dominik, obejmując żonę. Wszyscy uśmiechnęli się.

Nagle z ulicy dobiegł do nich gwar idących ludzi. Po chwili zobaczyli, jak całą szerokością drogi maszeruje pijany Król, po bokach podtrzymywany przez kobiety – z jednej strony przez jego żonę Helcię, niedużą i szczupłą blondynkę, a z drugiej przez Kryzową, wysoką brunetkę w ondulacji, którą nazywał kumą.

Król zauważył z ulicy siedzących w sadzie Kozińskich. Uwolnił się od kobiet, podbiegł do płotu i wyrwał z niego sztachetę, wyzywając jednocześnie Dominika od burżujów i Ukraińców. Dominik poderwał się



z koca, na którym leżał, ale teraz on został zatrzymany przez kobiety. Król ryczał z za płotu: „No chodź, chodź, k...wa! Zas...ny zabugowcu!”.

Dominik nie wytrzymał: podbiegł do płotu i z rozmachem uderzył Króla w nos. Król zaryczał ze złości. Z nosa połała mu się krew. Koszulę miał w strzępach, bo cały czas wyrywał się kobietom. Wreszcie jakoś udało im się go zabrać. Klnącego i pomstującego, zataczającego się po całej szerokości drogi, kobiety poprowadziły do domu.

Całe to zdarzenie widzieli wracający z jeziora letnicy, a jadące w kolumnie samochody wojskowe zmuszone były zatrzymać się.

Dominik nie mógł się otrząsnąć po tym zajściu. Adam nic się nie odzywał, podobnie jak i kobiety. Tylko Helena ciężko westchnęła: „Dzisiaj w nocy będzie szalał; nie odpuści, bo dostał od Dominika”.

– Pozamykajcie się, a jak będzie się awanturował, to trzeba zawiadomić milicję. Na wałówce jest telefon – powiedział Zdzisław. – Sam pójdę, jak będzie trzeba – dodał po chwili.

Po awanturze z Królem już nikomu się nie chciało przebywać nadal w sadzie. Najpierw poszli do domu wszyscy Romaniewiczze z dzieckiem, potem Ania z Krzysiem. Kozińscy poszli za nimi, podobnie Antosia z Dominikiem.

Pod wieczór zaczęły pojawiać się na niebie błyskawice, a w nocy przyszła burza i ulewa. W Kosarzynie na pewno nikt nie spał tej nocy. Błyskało i z nad Odry słychać było grzmoty.

– Dobrze, że zboże już w stodole – powiedziała w nocy Maria do męża.

– Śpij, śpij, bo rano będziesz zmęczona – prosił Zdzisław.

– No jak tu spać? Jak ty możesz spać przy takiej burzy? – dziwiła się.

Po dłuższej chwili, kiedy wydawało się, że wszystko ucichło i burza odeszła, nagle z ulicy doszedł do nich pijacki bełkot.

– Zabugowcy, ku... wa! No, wyłażcie z chałup! Ja, Król, wam to mówię! Chcecie się bić z Królem?! Psia wasza mać!

– Słyszysz, Zdziszku? Król się awanturuje!

– Cicho, cicho, pobełkocze i sobie pójdzie – powiedział Zdzisław i przewrócił się na drugi bok. Po chwili usłyszeli brzęk szyby w drzwiach wejściowych; potem łomot, jakby kamieniem albo ostrym narzędziem.

– Matko Święta, jest przy drzwiach – nie wychodź, broń Boże! – szepnęła Maria, wyskakując z pościeli.

– Nie poszedł do Dominików, bo się boi, a ode mnie jeszcze nie dostał, to

bohater! – powiedział już całkiem obudzony Zdzisław.

– Żeby tylko Antoś i Michaś nie wychodzili z pokoju – drżała Maria. Zaczynało świtać, kiedy Król przestał atakować i znikł.

Rano przy śniadaniu Maria zapytała: „Powiedz, czego on od nas chce? Musi mieć jakąś zadrę o coś. Ale o co?”.

– Oj tam, jak to chłop – odpowiedział po chwili Zdzisław i uśmiechnął się.  
– A o co może chodzić, jak nie o kobietę?

Maria przestała jeść. – O jaką?

– O Antosię – odpowiedział ze śmiechem Zdzisław. – Pokłócili się z Dominikiem na polu, jeszcze jak była spółdzielnia.

– A Królka? Przecież ma swoją Królkę – zdziwiła się Maria.

Dominik zdenerwował się na polu, bo Król przy ludziach powiedział, że wszystkie kobiety w Kosarzynie to jego kumy i Antosia też jest jego kumą. Wtedy, żeby ich chłopcy nie rozdzielili, to gorzej by się pobili niż wczoraj przy płocie.

– O taką głupotę?! Lata po wsi i wyzywa przy dzieciach!

– No niby to głupota, ale zadra została – trzeba się mieć na baczności. Dzisiaj zrobię zamek przy furtce, żeby nie wchodził na podwórko. Trochę szkód narobił, powybił kolorowe szybki przy drzwiach. Szkoda, bo ładne były, jeszcze poniemieckie – powiedział Zdzisław, wstając od stołu.

## XXXII

# Tajemnica jeziora Borek

Jezioro Borek w Kosarzynie to kilkunastohektarowa tafla wody o głębokości piętnastu metrów w jej środkowym miejscu. Wokół jeziora rosną gęste lasy sosnowe ciągnące się nieprzerwanie na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, dochodząc aż do odległej o pięćdziesiąt kilometrów stolicy województwa lubuskiego – Zielonej Góry.

Pewnego razu na głównej tablicy we wsi sołtys przykleił ogłoszenie o treści: „Zabrania się na okres dwóch tygodni korzystania z kąpieliska głównego nad jeziorem Borek”.

– Sołtysie, co to się stało? To w czasie żniw nie możemy się wykąpać? Co tam będą robić? – pytał Adam Romaniewicz sołtysa.

– Wielka akcja, będą wyciągać zatopionego messerschmitta. – Rosjanie pod koniec wojny zestrzelili go nad jeziorem i leży – odpowiedział sołtys.

Na drugi dzień przez wieś jechały dwie wojskowe amfibie, kilka samochodów ciężarowych i wojskowy gazik z dowództwem. Na długiej platformie stała duża koparka i dźwig. Cała akcja rozpoczęła się od wyładowywania sprzętu i szykowania do pracy nurków. Na molach i pomostach głównego wojskowego ośrodka wczasowego leżały skafandry nurków i przeróżne potrzebne do akcji rzeczy. Dowodzący akcją kapitan WOP chodził po pomoście i sprawdzał. Był wysoki i barczysty, w rozpiętej koszuli; wydawał nakazy i rozkazy. Przy pomoście ustawiono kilkanaście pontonów, do których weszli nurkowie. Po dwóch żołnierzy zasiadło do wiosł i pontony z ludźmi i sprzętem popłynęły na środek jeziora. Wszyscy

zebrani gapowicze, wczasowicze i mieszkańcy Kosarzyna stali na molo i obserwowali akcję.

W pewnym momencie pontony rozstawiły się, tworząc ogromne koło, i pomału, pojedynczo, zaczęli z nich wpadać tyłem do wody nurkowie w skafandrach. Na powierzchni wody pozostali przy wiosłach pilnujący żołnierze w kamizelkach ratunkowych. Po chwili dowódca rozkazał żołnierzom kierującym amfibią, żeby popłynęła na środek jeziora. Na jej przyczepie leżały ogromne zwoje grubych łańcuchów, przygotowanych do zaczepienia ewentualnych części samolotu.

Akcja nurków trwała od rana do wieczora, kiedy było najintensywniejsze słońce, żeby głębiny wód jeziora były widoczne. Wraku samolotu nie znaleziono, za to wydobywano przeróżne sprzęty i rzeczy. Za każdym „pluśnięciem” nurków w głębinę na powierzchni amfibii pokazywał się a to zardzewiały rosyjski pistolet maszynowy, a to poniemieckie hełmy wermachtu. Nazbierano cały stos odłamków z bomb lotniczych i akcja zakończyła się.

W trzecim dniu szukania wraku wreszcie zauważył go jeden z nurków i od razu wypłynął na powierzchnię. Wyciągnięto go z wody i kiedy usiadł na ławce w amfibii, powiedział: „Jest, dotknąłem skrzydła, cały zamulony. Jednym skrzydłem jest wbity w piach. Będzie bardzo ciężko go wydobyć. Mułu, aż strach! Jedno wielkie bagno! Ale sylwetka i kabina samolotu jest w porządku”.

Obserwujący wszystko z mola przez lornetkę kapitan zawołał do żołnierza siedzącego w pontonie, żeby ten przypłynął po niego. Będąc już w amfibii, kapitan zapytał nurka, jak jest pod wodą.

– Dobrze widać, tylko wszystko zamulone. Będzie ciężko zaczepić haki .

– No, szeregowy, jestem z was zadowolony – dowódca pochwalił nurka i powiedział już do wszystkich zebranych nurków w amfibii: „Teraz macie się trzymać wszyscy razem; wpadacie do wody razem i pilnujecie się Bogdana” – wskazał na nurka, który jako pierwszy znalazł wrak. Żołnierze kiwnęli głowami, że polecenie zrozumieli. Na znak dany przez kapitana wszyscy przechylili się za burtę i znaleźli się w wodzie. Z amfibii zostały wrzucone do wody łańcuchy i kotwice i powoli je zatapiano. Nurkowie nie wytrzymywali długo, więc ekipa zmieniała się co chwilę. Odsłaniając szybki z hełmów w skafandrach, żołnierze narzekali: „Nie można odkopać warstwy mułu na kadłubie; trzeba brać szpadle i siekiery, bo inaczej nie zaczepimy ani

kotwicy, ani łańcuchów”.

I tak sytuacja się powtarzała. Jedni nurkowie wchodzili w głębinę, żeby popracować, inni wychodzili. Pod koniec tygodnia udało się wreszcie zaczepić parę kotwic i haków z łańcuchami. Nad jeziorem od rana krążyły śmigłowce, tworząc zawirowania fal na wodzie.

Pierwsze podejście do wyciągnięcia wraku było bardzo ekscytujące i pełne napięcia. Zaczepione o wrak kotwice i haki na łańcuchach zostały przymocowane do wojskowego śmigłowca, który próbował poderwać zakopaną w piasku niemiecką maszynę; jednak każda próba wzniesienia się śmigłowca kończyła się niepowodzeniem. Po dwóch godzinach uporczywej walki pilot śmigłowca odrzucił łańcuchy i odleciał po paliwo. Na to miejsce przyleciał drugi śmigłowiec i akcja się powtórzyła. Czynności te, którym przypatrywali się mieszkańcy Kosarzyna, Łomów i Żytowania, gubiniacy i ludzie z Chlebowa, wczasowicze, wędkarze i wojsko, powtórzyły się wielokrotnie.

Podczas akcji wydobywania samolotu wyciągnięto z wody i ułożono na brzegu jeziora w drewnianych skrzyniach ładunek, jaki miał messerschmitt – kilkanaście pocisków lotniczych i dużą skrzynkę zardzewiałych taśm do karabinu maszynowego, kilkanaście hełmów niemieckich, zardzewiałe bagnety i karabiny.

– Nie ruszać – krzyczał pilnujący tego żołnierz, kiedy zaciekawione dzieci zbliżały się za blisko. Dzieci odbiegały, ale nie za daleko, dalej przypatrując się.

Kilka dni trwała akcja nurków podkopujących wrak z mułu i piasku i krążących nad jeziorem helikopterów. Aż któregoś dnia łańcuchy i liny zaczęły trzeszczeć. Helikopter z wysiłku prawie siadł na wodzie. Wrak wyraźnie podnosił się – bardzo ciężko, ale się podnosił. Ludzie zaczęli bić brawo, dzieci krzyczały. Dowódcy wojskowi biegali po pomoście, wykrzykując i wołając na żołnierzy. Po godzinie ciężkiej mordegi helikopter dźwigający wrak odleciał, a na to miejsce przyleciał drugi.

Niesamowite widowisko podnoszenia myśliwca nastąpiło ponownie nazajutrz rano, przy wschodzącym letnim słońcu. Widoczność była wspaniała i pogoda słoneczna. Po chwili ciężkiej pracy helikoptera nad powierzchnią wody ukazał się fragment ogona myśliwca. Śmigłowiec tańczył nad wodą i oczom obserwatorów ukazywały się coraz to większe fragmenty samolotu. Ludzie na pomostach bili brawo z zachwytem, robiono zdjęcia na

pamiętkę. Trzymany stalowymi linami i łańcuchami samolot już był nad taflą wody i pilot zaczął manewrować, żeby odlecieć z wrakiem, kiedy naraż jedna z lin trzymających z trzaskiem pękła i samolot przewrócił się na drugą stronę. Przymocowane do niego stalowe liny wyrywały się po kolei wraz ze skorodowaną blachą, tworząc w kadłubie dziury, aż odłączony samolot z powrotem zanurzył się w głębinach jeziora. Helikopter odleciał. Ludzie zamilkli. Zrobiła się zupełna cisza.

Po chwili milczenia dowodzący akcją kapitan przez radiowy telefon meldował do sztabu: „Towarzyszu pułkowniku, wyciągnięty nad powierzchnię jeziora wrak niemieckiego myśliwca oderwał się od lin i z powrotem zanurzył się w jeziorze!”. Po chwili kapitan powiedział głośno i wyraźnie: „Tak, tak jest, towarzyszu pułkowniku! Tak jest! – powtórzył i dodał – zrozumiano!”. Odwrócił się do swoich żołnierzy wołając: „Rozkaz ze sztabu! Kończymy akcję! Samolot zostaje w jeziorze!”.

Obserwujący akcję i ciężką pracę żołnierzy ludzie podchodzili i podawali rękę kapitanowi w dowód uznania ich trudu. Wzruszony kapitan mówił: „Takie widocznie miał przeznaczenie ten messerschmitt, że wrócił tam, gdzie jest jego pilot – na wieczny spoczynek w głębinie jeziora”.

Samolot nadal leży na dnie jeziora Borek i nikt już nie myśli o jego podnoszeniu. Wszystkie akcesoria wojenne wydobyte z jego wraku znajdują się w muzeum wojskowym w Zielonej Górze, w województwie lubuskim.

## XXXIII

### Antoś

Antoś skończył szkołę podstawową, a Krzyś rozpoczynał swoją długą edukację. Ponieważ rok szkolny już się zaczął, a Antoś nie wybrał sobie jeszcze szkoły średniej, żeby kontynuować naukę, Maria wpadła w panikę.

– Jedziemy jutro do Gubina, żeby zapisać cię do szkoły! Gdzie byś się chciał uczyć, Antosiek?

Ale Antosiek sam nie wiedział, gdzie ma się uczyć, więc mruknął: „Gdzie mnie zapiszą, tam będę się uczył”.

– Dobrze, najpierw pojedziemy do liceum i zobaczymy – powiedziała Maria.

Nazajutrz wczesnym rankiem Zdzisław zaprzągnął konia do wozu i wszyscy troje pojechali do Gubina. W liceum okazało się, że jest już za późno – zabrakło miejsc. Dyrektor szkoły poradził, aby pojechać do kuratorium w Zielonej Górze. Z Gubina wrócili więc do domu i znów na drugi dzień rano Zdzisław zawiózł ich na stację kolejową do Gubina. Pojechali do Zielonej Góry. Z dworca wzięli taksówkę, żeby ich zawiozła do kuratorium.

W kuratorium na korytarzu ustawili się w długiej kolejce, złożonej głównie z nauczycieli. Jednakże Maria czekała cierpliwie, zdecydowana załatwić sprawę. Nareszcie weszli.

– Dzień dobry – powiedziała Maria i nie czekając na odpowiedź inspektora, od razu wyłuszczyła sprawę. Inspektor ją wysłuchał, po czym wstał od biurka i podszedł do stojącego pod drzwiami Antosia.

– No, a gdzie chcesz się uczyć? Może do liceum pedagogicznego

pójdiesz, są jeszcze miejsca – zapytał, patrząc mu w oczy.

– Nauczycielem mam być? Mało zarabiają – odparł rezolutnie Antoś. Inspektor spojrział na niego bystro, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów.

– Poczekaj no, mam chyba coś dla ciebie, tylko zadzwonię do kolegi, czy jeszcze mają miejsca – powiedział, uśmiechając się. Usiadł z powrotem przy biurku i zaczął wykręcać numer telefonu. Po chwili mówił: „Cześć, tu Piotr z Zielonej Góry, mam sprawę do ciebie. Jest u mnie matka z chłopcem, który szuka dla siebie dobrej szkoły, żeby później dobrze zarabiać, rozumiesz? – Po chwili ciszy kontynuował. – Tak, tak. Taak... dobrze. No cześć, do widzenia” – zakończył rozmowę.

– No, więc sprawa przedstawia się tak – relacjonował inspektor. – Jest to szkoła średnia dla kadetów. – Jak ją skończysz, możesz iść na studia. Obiecuję ci przy mamie, że będziesz dużo zarabiał i jeszcze na dodatek otrzymasz służbowe mieszkanie w mieście.

Po tych słowach inspektora Antoś uśmiechnął się, a Marii spadł ciężar z serca.

– Tylko jeden warunek: do tej szkoły nie jedzie się z mamą. Niech sam jedzie i zgłosi się do dyrektora. Ja zaraz napiszę mu skierowanie. Szkoła znajduje się w Słupsku, więc jak już będziecie na dworcu, zapytajcie o rozkład jazdy pociągów. I niech jedzie!

Po chwili inspektor napisał pismo na maszynie i wręczył Marii.

– Proszę mu dać to pismo, aby przedstawił je w szkole. I pilnij tego pisma! – powiedział, zwracając się do Antosia. – Proszę się nie martwić, będzie w dobrej szkole i w dobrych rękach – zapewnił Marię.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję – Maria była szczęśliwa.

W drodze powrotnej kupiła na dworcu Antosiovi i sobie drożdżówkę. W kiosku RUCH-u zaopatrzyła się w długopis i kartkę papieru, po czym z informacji wiszącej na ścianie spisała wszystkie możliwe połączenia z Zielonej Góry do Słupska. Do domu wracali w dobrych humorach. Maria, siedząc w przedziale wagonu, nawet przysypiała, oparta o podgłówek. Na stacji w Gubinie czekał na nich Zdzisław, siedząc na wozie konnym, którym po nich przyjechał. Było jeszcze troszkę czasu do zamknięcia sklepów w Gubinie, więc Maria poprosiła Zdzisława, żeby nie jechał do domu, tylko w kierunku miasta. Przypomniała sobie, że przydałoby się Antosiovi dokupić jeszcze parę drobiazgów na drogę. Siedząc obok Zdzisława na wozie, opowiadała mu przebieg spotkania w kuratorium i skierowaniu Antosia do



szkoły. Koziński mało mówił, tylko kiwał z zadowoleniem głową, przytakując żonie i chwalał ją za dobre załatwienie sprawy.

Będąc już w mieście, wjechali na targowisko konne i tam Koziński postanowił czekać na Marię i Antosia. Przywiązał konia do drewnianego słupka, a sam poszedł oglądać transakcje handlowe pomiędzy miejscowymi rolnikami. Maria dokupiła trochę bielizny dla chłopca, sweter i dres. Wracając, zaszli do sklepu sportowego, w którym kupiła mu jeszcze duży plecak, żeby mógł zabrać ze sobą wszystkie potrzebne mu rzeczy. Jeszcze tylko sklep spożywczy – troszkę przypraw, parę bułek, kilka dropsów i lizaków dla dzieci, trzy kawałki kiełbasy śląskiej i trzy butelki oranżady – i już mogli wracać. Jechali z powrotem, jedząc bułki z kiełbasą, i rozmawiali, jak to Antosiu tam będzie w tej nowej szkole. Oboje Kozińscy doszli do porozumienia, że jednak nie puszczą chłopca samego w tak daleki świat.

– Jeszcze jeden dzień przygotowań i pojutrze jedzicie razem – powiedziała Maria. – Zawieziesz go i zobaczysz gdzie, co i jak – zwróciła się do męża. – Zajdź do dyrektora, zapytaj, gdzie będzie chłopak mieszkał. Wszystko, no sam przecież wiesz – powiedziała cichym głosem, już bardzo zmęczona.

Jak uzgodnili, tak i zrobili. Wczesnym świtem, w pewną środę września 1957 roku, Antoś opuszczał dom rodzinny i wyjeżdżał w daleką podróż do szkoły. Tym razem na stację PKP odwoził ich Michaś. Zdzisław postępował ściśle według wskazań żony, pilnując, żeby wszystko odbyło się w należyтым porządku. Upewniając się, że Antosiu nie stanie się żadna krzywda od nikogo, wrócił z powrotem do domu. Kozińscy cieszyli się bardzo, że chłopak wyrośnie na mądrego człowieka.

– A jak z mieszkaniem? – pytała Maria.

– Z jakim mieszkaniem? Oni tam wszyscy mieszkają w bursie, takim internacie. Czytałem regulamin. Pobudka o szóstej, gimnastyka, śniadanie, zajęcia itd. Oj, dostanie Antosiek w tyłek, oj dostanie. To nie wczasy, takie jak u babci i cioci.

Maria, słuchając co opowiada Zdzisław, zamyśliła się. Nagle żal się jej zrobiło chłopca.

– Bożeż ty mój, czy on sobie poradzi? – On nienauczony jest pobudki i gimnastyki – spojrzała z przerażeniem na Zdzisława.

– No coś ty, Marysiu kochana moja, przecież nikt nie jest tego nauczony. Wstaje rano i razem ze wszystkimi idzie biegać, hartować się, rozwijać się na

silnego i zdrowego mężczyznę.

Jakoś nie docierało do Marii wyobrażenie o tym hartowaniu Antosia. Widziała go oczami babci i swoimi – potulnego, cichego, mało biegającego. No, ale jak Zdzisław mówi, że tak będzie dla niego najlepiej, to widocznie mężczyzna wie, co dla drugiego mężczyzny jest najlepsze!

Powoli sprawa Antosia odsuwała się na dalszy plan, ponieważ szykowało się kolejne wesele u Koziurów. Michaś ze Stefką dali na zapowiedzi w kościele parafialnym w Chlebowie. Ślub i wesele planowano na październik. W Kosarzynie tymczasem trwały wykopki. Jak co roku zbierano ziemniaki za kopaczką i zwożono do piwnic oraz składowano w kopcach. Całe rodziny, wraz z dziećmi, od rana do wieczora przebywały na polach.

Wrześniowy dzień w Kosarzynie nie różnił się od lat. Wieczorami całą szerokością drogi wracały do domów krowy z pastwisk i wozy z pól, załadowane ponad miarę ziemniakami. Krowy muczały, pies ujadał. Gdzieniedzie słyhać było głos kobiety, nawołującej dzieci do domu. Wszystko cichło wraz z nastaniem zmierzchu. W domach świeciły się żarówki elektryczne i słyhać było odgłos muzyki z aparatów radiowych „Kaprys”. Maria smażyła racuszki na kolację dla całej rodziny. Z parapetu okna, gdzie stało radio, szła piosenka:

*Wio koniku, a jak się postarasz,  
Na kolację zajedziemy akurat,  
Tobie owsa nasypiemy zaraz,  
A ja w domu smaczną zupkę będę jadł.*

Pod koniec września listonosz przyniósł list od Antosia – parę słów: żeby kupić mu trampki i wysłać na adres szkoły. Jak ja mu kupię sama trampki? A jak będą niedobre? Wyrzucę pieniądze w błoto na darmo. Zamiast trampek wyślę mu pieniądze, niech sobie sam kupi, jakie będzie chciał – postanowiła Maria. Więc kiedy listonosz przyniósł do domu cotygodniowe, zaprenumerowane czasopisma – „Przyjaciółkę” oraz „Świerszczyk” i „Płomyk” dla dzieci – poprosiła go o przesłanie pieniędzy na podany przez nią adres.

Po dwóch tygodniach od przesłania pieniędzy Antosiowi, na początku października, tydzień przed weselem Stefki i Michasia, Kozińscy zobaczyli

przez okno idącego w kierunku ich domu młodego chłopca z ogoloną głową. Wszedł do domu i przywitał się.

– Wróciłem, ciociu i wujku! Nie będę chodził do tej durnej szkoły!

Obydwoje Kozińscy zaniemówili ze zdziwienia. Przed nimi stał – ni mniej, ni więcej... – Antosiek.

– Nie mogłem już tam wytrzymać! Ganiali nas jak psów! Jak tylko listonosz dał mi pieniądze, to zamiast trampek wolałem kupić bilet do domu! – wyrzucił z siebie jednym tchem Antoś i usiadł na krześle, patrząc niepewnie to na ciocię, to na wujka.

Marii nagle łzy zaczęły cieknąć po twarzy. Patrzyła na chłopca szeroko otwartymi oczami.

– Niech ciocia nie płacze. Pójdę do szkoły w Gubinie. Michaś chodził w Gubinie, ja też mogę – tłumaczył się.

Maria spojrzała na Zdzisława.

– Jak chcesz, to jedź z nim jutro, Zdziśku. Może gdzie jeszcze jakie wolne miejsce w szkole znajdziesz. Ja już nie mam siły – powiedziała i wyszła z kuchni.

Z powrotu Antosia, i to nawet z ogoloną głową, bardzo ucieszyły się dzieci. Ania wprost z radości skakała na łóżku, a Krzyś po powrocie ze szkoły zaraz poszedł z Antosiem grać w piłkę na boisko, na plac.

Wieczorem przy kolacji u Kozińskich odbyła się narada.

– No, chłopcze – mówił Zdzisław. – Wszystkie możliwości zostały w stosunku do ciebie wykorzystane. Miejsca w dobrej szkole na pewno już nie ma – chyba że cię przyjmą do zawodówki. Zamiast, jak ciocia chciała, żebyś był kimś, ty będziesz zwykłym robotnikiem – ślusarzem, tokarzem czy spawaczem. Nie będziesz ganiany na pobudki i ćwiczenia, ale za to będziesz pracował przy maszynie, fizycznie, rękami! Przez osiem godzin z przerwą na śniadanie. Ale nie wszystko stracone – jak się postarasz, po zawodówce możesz iść do technikum. Jak cię jutro przyjmą! – zakończył Zdzisław.

Nazajutrz rano znów Zdzisław pojechał z Antosiem – już nie pociągami w daleką Polskę, ale do szkoły odległej od domu tylko o trzynaście kilometrów. Stanęli przed dużym, czerwonym budynkiem, na którego murze, przy drzwiach, widoczny był napis: SZKOŁA ZAWODOWA ZAKŁADÓW METALOWYCH w Gubinie.

– Widzisz, jak skończysz tę szkołę, będziesz pracował tam, gdzie Bernaś. Na razie idziemy zobaczyć, czy cię przyjmą.

W sekretariacie szkoły Zdzisław przedstawił sprawę Antosia i poprosił o przyjęcie go. Kierowniczka sekretariatu poprosiła ich o zaczekanie na rozmowę z dyrektorem, po czym weszła do jego gabinetu, aby przedstawić sprawę, a następnie zaprosiła przybyłych, żeby weszli.

Okazało się, że jest jeden warunek, żeby Antoś mógł być przyjęty: mianowicie zaświadczenie z poprzedniej szkoły o podjęciu w niej nauki, ponieważ zbliżała się połowa października, drugi miesiąc nauki w roku szkolnym.

– Proszę napisać list do poprzedniej szkoły i poprosić o przesłanie zaświadczenia, że syn chodził do szkoły od września – powiedział dyrektor. – A od jutra przychodzisz na lekcje. Najpierw przyjdiesz do mnie, a ja zaprowadzę cię do wychowawcy. Internat jest przy szkole. Z Kosarzyna nie macie dojazdu, tylko furmanką? – zapytał dyrektor Zdzisława. I zanim ten odpowiedział, dyrektor już zdecydował.

– Dobrze, i jeszcze pani Stenia, nasza sekretarka, zaprowadzi cię do kierownika internatu. On już wskaże ci pokój, gdzie będziesz mieszkał; oczywiście nie sam – w każdym pokoju jest czterech chłopców.

Zdzisław bardzo dziękował dyrektorowi szkoły. Zapytał jeszcze, czy chłopak będzie mógł przyjeżdżać co tydzień do domu.

– Oczywiście będzie mógł przyjeżdżać, ale powiem panu, że tak jest zawsze na początku. Później chłopcy sami chcą zostawać w internacie – mają tutaj kółko sportowe, grają w piłkę, w tenisa, a w domu muszą pracować w polu albo przy inwentarzu. Nasza szkoła jest bardzo dobra, niczym nie ustępuje szkołom w dużych miastach. Zakłady metalowe ją utrzymują, bo nasi absolwenci to w przyszłości pracownicy zakładów.

Wracając do domu Zdzisław zapytał Antosia: „No i co? Podobało się? Nie uciekniesz?”.

– Nie ucieknę, wujku, bo to jest blisko do domu. W Słupsku bardzo tęskniłem za wami wszystkimi, za dzieciakami, cicią. A jak pomyślałem, że nie będę na weselu u Michasia, to płakałem, jak nikt nie widział.

Po raz pierwszy Zdzisławowi żal się zrobiło chłopaka. Spojrzał na niego i powiedział: „Masz mi i cici zawsze wszystko mówić, nie taić i chować. To na nic się zda”.

– Dobrze – odpowiedział posłusznie Antoś.

Zdzisław podgonił konia. Do domu przyjechali w południe. Maria wyszła na ganek.

– No i co? Mówcież – prosiła niecierpliwie.

– W porządku – uspokoił ją Koziński. – Jutro zawożę go ostatni raz z manelami w torbie. Przyrzekł mi, że już nigdy nie ucieknie.

– Noo, wreszcie – Maria pokiwała głową.

Antoś podszedł do niej.

– Wiem, ciociu, że masz przeze mnie same zmartwienia. Ale teraz to już na pewno nie ucieknę, bo mam bliżej do domu, niż ze Słupska.

Maria przytuliła go i pogłaskała po jego ogolonej głowie.

– Wiem, chłopaku mój, że w życiu przychodzi taka chwila na opamiętanie. U każdego człowieka jest taka kreska, bariera, kiedy mówi: dość. Wierzę, że i u ciebie tak właśnie teraz się stało.

Tydzień przed Michasiowym weselem Antoś został uczniem szkoły zawodowej w Gubinie. Ukończy ją z wyróżnieniem.

## XXXIV

# Michasiowe wesele

**W** drugiej połowie października po raz trzeci Kozińscy i Koziurowie spotkali się na weselu. Tym razem obie rodziny połączyły się poprzez małżeństwo Stefki Koziurówny, najmłodszej córki Anny i Marcina, i Michała Tyszki, siostrzeńca Marii Kozińskiej, która zastępowała mu prawdziwą matkę. I znów, podobnie jak poprzednim razem, kiedy żenił się Bernaś, oboje Kozińscy – Maria i Zdzisław – wraz z rodzicami panny młodej pobłogosławili młodych przed wyjazdem do kościoła.

Barwny, rozśpiewany korowód ze śpiewem i orkiestrą przemierzył drogę przez trzy sąsiednie wsie do kościoła w Chlebowie. Ksiądz Zaręba w swoim kazaniu dla nowożeńców wspomniał, że nie tak dawno ślub w tym kościele brał Bernard Tyszko, a teraz czyni to jego starszy brat, Michał. Życzył młodym, żeby ich miłość była mocna i przetrwała całe życie. Organy zagrały *Ave Maryja*, a organista zaintonował pieśń, którą wszyscy zaśpiewali. Pełny kościół ludzi, wypełniony do ostatniego stojącego miejsca, zaśpiewał później *Rotę*. Było to niezwykle ujmujące, podniosłe i patriotyczne. Kolejny polski ślub odbywał się na Ziemiach Odzyskanych, jeszcze tak niedawno zamieszkałych przez Niemców, *Rota* była więc drogowskazem dla młodej pary – nową drogą życia, na której urodzą się ich dzieci i zostaną wychowane w duchu miłości i patriotyzmu. Ogromny, kryształowy żyrandol, a w nim palące się setki świec, oświetlały ceremonię zaślubin, niezwykle podniosłą i uroczystą.

Wracano ze śpiewem i śmiechem. Ponieważ był to październik, ale jeszcze

trwała polska złota jesień i słońeczko grzało cudnie, orkiestra nieustannie grała. Zatrzymywano się przy „bramach” i młodzi wychodzili z wódką do składających życzenia ludzi. Panna młoda wyglądała niezwykle pięknie. Stefka miała ciemne, długie i kręcone włosy, co w zetknięciu z bielą welonu i delikatnymi płatkami róż podkreślało jej urodę. W bucikach na obcasach i w welonie była troszkę wyższa od Michasia, ale on też prezentował się znakomicie w swoim ciemnym garniturze. Wesele u Koziurów było tradycyjne, takie jak poprzednie dwa, kiedy żenił się Józek i wychodziła za mąż Kasia.

Młodzi tylko parę dni pomieszkali w domu rodzinnym panny młodej. Maria zwróciła im uwagę na wolny dom, opuszczony przez byłych osadników, stojący nieopodal domu Kozińskich. Natychmiast się tam przenieśli i zamieszkali na stałe. Michaś pracował w gminie, a potem awansował i został wójtem; jego żona prowadziła małe gospodarstwo przydomowe. Małżonek po skończonej codziennej pracy w Urzędzie Gminy pomagał jej przy gospodarstwie.

Kiedy się do nich zachodziło w odwiedziny, od razu przy wejściu zauważyć można było nieskazitelną czystość podłóg i ogólny porządek. Drewniana podłoga w kuchni szorowana była prawie codziennie, podłogi w pokojach – wypastowane i lśniące. Na korytarzu przy wejściu do domu stało zawsze kilka par kapci dla gości. Ktoś, kto wchodził do nich po raz pierwszy i nie miał zwyczaju, żeby przed wejściem do domu zakładać miękkie obuwie, trochę tę czystość zakłócał, ale ze strony gospodarzy był zawsze mile witany. Młoda żona Michasia była niezwykle pracowita i zaradna, przy tym uprzejma i miła.

Mała Ania Kozińskich często do nich zaglądała; lubiła tam przebywać. Do jednego z pokoi, gdzie Tyszkowie mieli sypialnię, przez okno wchodziły pędy winogron. Okno było całe zasłonięte liśćmi gęstego winogronu, a duże kiście dotykały szyby. Podczas letnich upałów dziewczynka chowała się w tym jej ulubionym pokoju, nie w swoim przecież domu, ale skoro był tam Michaś, no to tak jakby ten Michasiowy dom był kawałkiem i jej domu. Czuła się u nich bezpiecznie i dobrze. Do młodych Tyszków przychodziła także Celina, córka Józka i Polci Koziurów, ponieważ Stefka była jej ciocią. I tak dwie dziewczynki bawiły się u młodych Tyszków – albo na podwórku, albo w domu. Z kuchni letniej, która mieściła się przy schodach wejściowych do domu, dochodził zapach smażonych powideł czy kotletów

przygotowywanych na obiad, pieczonego ciasta czy gotowanej zupy. Kiedy się tam wchodziło, czuło się serce domu. Tam też się jadało obiady i piło herbatę. W kredensie u Stefki zawsze były kruche ciasteczka.

W rok po ślubie przyszedł na świat Zenek – śliczny, mały chłopczyk, blondynek z kręconymi loczkami. Odtąd Ania Kozińska przez większość dnia przesiadywała przy jego łóżeczku. Z ogromną ciekawością obserwowała, jak chłopczyk rośnie i rozwija się. Kiedy Stefka kąpała go w wanience, Ania podawała jej a to mydełko, a to gąbkę lub pieluszkę. Potem obserwowała, jak je i zasypia. Ale kiedy już stawał na nóżki i był coraz większy, bawiła się z nim i śpiewała mu piosenki. Bardzo przeżywała, jak zachorował i płakał. Wtedy po raz pierwszy przyjechało do maluszka pogotowie, bo dziecko miało gorączkę. Lecz z dnia na dzień Zenuś zdrowiał i było mu lepiej. Mniej płakał i oglądał kolorowe obrazki ze „Świerszczyków”, które mu Ania objaśniała.

Na chrzcinach u Tyszków było około pięćdziesięciu ludzi – dużo rodziny i paru sąsiadów. Chrzestnym ojcem został Zdzisław Koziński, a chrzestną matką – Katarzyna Sasal, z domu Koziura.



## XXXV

# Goście z Warszawy

**P**od koniec lat pięćdziesiątych Kosarzyn zaczął się zmieniać. Migracja ludności następowała bardzo szybko po rówaniu granicy wschodniej. Część pierwszych powojennych osadników wyjechała, a na ich miejsce przyjechali nowi. Zmieniała się sytuacja polityczna w krajach obozu socjalistycznego. Co rusz gdzieś wybuchały strajki i niezadowolenia robotników. Pewnego razu przybiegł do Kozińskich Adam i mówił przyciszonym głosem.

– Słuchałem Wolnej Europy; ależ krytykują Gomułkę! Za to jego ostatnie przemówienie. Gadał chyba ze trzy godziny na Wyszyńskiego. Najpierw go uwolnił, a teraz atakuje. Nie ma siły, przegra towarzysz Wiesław! Pozwolił mu na wszystkie ceremonie religijne i obiecał, że PZPR nie będzie się wtrącać do spraw Kościoła, a teraz nie zostawia na prymasie suchej nitki, bo prymas zarządził obnoszenie obrazu Matki Bożej po kraju. Dostali szau! – mówił przejęty i rozgorączkowany Adam.

Ale Zdzisława mało to interesowało.

– Adam, co mnie to obchodzi! Popatrz sam, zaraz żniwa, narobimy się jak zawsze. A niech tam sobie gadają, byle by nas, rolników, nie ruszali – mówił. – Idę do Dominików; wam sprzedał konia i wóz, a sobie kupili iza. Rozumiesz to – iza, motor, taki wielki i ciężki! Ma dwa osobne siedzenia i wozi Antosię do Gubina. Świat zwariował! Dobrze, że dziadek Wincenty tego nie doczekał!

– Mają motor? Nie wiedziałem. Idę z tobą zobaczyć – powiedział

Zdzisław, nakładając płócienny kapelusz na głowę.

Przed gankiem u Dominików stał potężny, czarny motor, wokół którego zebrała się już garstka ludzi z Kosarzyna. Oglądali go z wszystkich stron, podziwiali i dotykali.

– Ale maszyna! Na pewno ma mocny silnik! – mówił jeden z oglądających.

– Ma silnik! I jeździ szybko – zawołał wychodzący z domu Dominik. – Zaraz wam odpalę! Może chcesz usiąść ze mną, Zdzisiu? Przewiozę cię – zaproponował bratu.

– No dobrze, przewieź mnie, ale nie zrzuć! – prosił Zdzisław.

– Zrzucić to może ciebie koń, a z motoru możesz spaść, ale nie spadniesz, jak się będziesz mocno trzymał – śmiał się Dominik, naciskając sprzęgło i pedał gazu. Motor odpalił bardzo głośno, a jeszcze głośniej zawarczał, kiedy Dominik podkręcał korbkę gazu.

Ponieważ iż miał dwa czarne siedzenia w kształcie serca – jedno niżej (kierowcy) i jedno wyżej (pasażera), Zdziś, usiadłszy za Dominikiem, wyglądał jak na jakimś podium; sam śmiał się z siebie. Przy wtórze krzyków i śmiechu obydwaj Kozińscy jeździli motorem wokół dużego podwórka. Warkot motoru i krzyki pomieszane ze śmiechem ludzi spowodowały, że coraz więcej ciekawskich osób przychodziło popatrzeć na to niecodzienne widowisko.

Widowiskowa jazda zakończyła się po przyjeździe Antosi. Dominik zatrzymał motor, z którego zszedł rozbawiony Zdziś, a na jego miejsce usiadła z godnością, wystrojona w buciki na obcasach i z torebką w rękach, z chusteczką na głowie – Antosia. Cała zebrana na ich podwórku ludność wsi obserwowała wyjazd motocykla z podwórka. Adam podparł się rękami o ganek i patrzył za nimi. Kiedy wszystko zamilkło, powiedział: „Co Dominik myśli robić? Co on zamierza? Ziemi już nie ma, powoli pozbywa się inwentarza. Jeździ z Antosią izem. Co to się porobiło?” – pokręcił głową ze zdziwienia.

– Nie chce jeszcze mówić, ale jak pozbywa się gospodarstwa, to znaczy, że nie będzie gospodarzył – powiedział Zdzisław.

– No jakże tak? Na wsi bez gospodarstwa? – zadumał się Adam.

– A może i nie na wsi – powiedział Zdzisław, patrząc poważnie na Adama Romaniewicza.

Dwa tygodnie później zamiast potężnego iża przed gankiem domu

Dominików stał... samochód – czarny, garbaty moskwicz z kołem na tylnych drzwiach. Dominik zebrał wszystkie dzieci z rodziny – Krzysia, Anię i Halinkę, wnusię Romaniewiczów, a córeczkę Ryszarda i Aliny, oraz dzieci sąsiadów – i powiózł ich do sklepu w Łomach. Kupił dzieciom dużą paczkę cukierków i przywiózł je z powrotem do domu. Zanim wysiedli z auta, zapytał: „No i co? Podobało się?”.

– Taak! – krzyknęły dzieci. A Dominik sam cieszył się z tego powodu jak dziecko.

Podczas niedzielnego pikniku z rodziną w sadzie Dominikowie oznajmili, że wyjeżdżają z Kosarzyna i na stałe będą mieszkać w Gubinie.

– Ja już coś przeczuwałem, że ty coś kombinujesz, pozbywając się ziemi – powiedział Adam, patrząc na Dominika. – Jak mi Zdziś podpowiedział, że ty może i nie na wsi będziesz, to mnie olśniło – Adam nie mógł wyjść ze zdziwienia. – Ale ty, taki przywiązany do ziemi, teraz już jej nie chcesz? – pytał zaskoczony.

– Nie to, że nie chcę – nie mam na to siły, żeby harować jak wół sam jeden z Antosią, która coraz to bardziej narzeka na zdrowie. Nie chcemy tak się zamęczać do końca życia, skoro możemy żyć lepiej i godniej.

– Taaak – zadumał się Adam. – Ale w mieście niewesoło. – Wolna Europa mówi, że ludzie z głodu się buntują.

– E tam, ja nie będę strajkować, wymyśliłem sobie sposób na życie. Będę taksówkarzem, ot co! Będę pracował sam na siebie i na żonę. Starczy nam.

Wszyscy zebrani spojrzeli na siebie.

– No tak, to całkiem sensownie brzmi – odezwał się po chwili Zdzisław.

W drugiej połowie sierpnia Dominik i Antosia na zawsze wyjechali z Kosarzyna. Zostawili dom, ogród i budynki gospodarcze.

Zaraz po ich wyjeździe do opuszczonego przez nich domu na wakacje przyjechali z Warszawy Felicja i Franek Kozińscy z Ziutkiem, ich młodszym synem. Można by rzec, że z chwilą przyjazdu warszawiaków życie u Kozińskich zmieniło się diametralnie. Mała Ania podpatrywała zza dużej gruszy rosnącej przy sadzie, co też robią ich goście. Przy byłym domu Dominików, w ogródku, rosły śliwki węgierki. Jedno drzewko rosło niedaleko od drugiego, a pomiędzy nimi warszawiacy pozawieszali hamaki i leżeli na nich całe dni. Felicja, żona Franka, była wysoką i tęgą kobietą, nosiła włosy ułożone w wieniec dookoła głowy, chodziła w butach na obcasach. Ubrana była bardzo ładnie, przeważnie nosiła białe bluzeczki

i wąskie spódnice. Była pogodna i zawsze uśmiechnięta. Paliła papierosy i gotowała obiady. Franciszek Koziński, oficer LWP w stopniu pułkownika (na wakacje przyjechał bez munduru), to przeciwieństwo swojej żony – żartowniś i kawalarz, niższy od Felicji, rubaszny i swojski. Ziutek, ich synek, był bardzo dobrze wychowany. W zachowaniu dżentelmeński, nosił aparat i robił zdjęcia.

Pikniki w ogrodzie z udziałem gości z Warszawy były pełne śmiechu i radości. Były tam opowieści z dawnych, kresowych czasów, wspomnienia wybryków z czasów młodości i dokazywania. Przypominano sobie historie z czasów pobytu w lesie, kiedy to cała rodzina ukrywała się przed banderowcami. Były to czasy bardzo ciężkie, ale w grupie ludzi znajdowano sposób na przetrwanie. I kiedy znów wszyscy zebrali się w sadzie i dojechała z Gubina rodzina Dominika, on sam z radości przewrócił się na kocu, jak za czasów młodości, i stanął na głowie. Po jego wyczynie wybuchły oklaski.

– Pamiętasz tego Piotrka z naszego oddziału, jak w lesie znalazł miód? – zapytał Dominik Franka.

– No pewnie, myśleliśmy, że już po nim. Jak się najadł miodu, to ten miód wychodził mu przez brzuch – śmiał się Franek. – Ale przeżył, przeżył. – A nasze piosenki partyzanckie? – Boże, jak płakaliśmy, i nasze dziewczyny – biedne, i kobiety... – wspominał z rozrzewnieniem.

*Dziś do ciebie przyjść nie mogę,  
Zaraz przyjdzie nocy mrok.  
Nie wyglądaj za mną oknem,  
W mgłę utonie próżno wzrok.  
Po cóż ci, kochanie, wiedzieć,  
Że do lasu idę spać?  
Dłużej tu nie mogę siedzieć,  
Na mnie czeka leśna brać.  
Księżyc zaszedł hen za lasem,  
We wsi już szczekają psy,  
A nie pomyśl sobie czasem,  
Że do innej tęskno mi.  
Kiedy wrócę znów do ciebie,  
Może w dzień, a może w noc,*

*Dobrze będzie nam jak w niebie,  
Pocałunków dasz mi moc.*

Wspominając te dawne czasy, płakali Kozińscy – wszyscy – i młodzi Romaniewiczowie, a nawet udzieliło się to dzieciom, bo dziewczynki Ania i Halinka przytuliły się do swoich mam.

– Nasza biedna mama, ojciec! Tyle przeżyli i już ich nie ma – mówił cicho Dominik.

Była pełnia lata, niedziela sierpniowa, a w Kozińskich obudziły się wspomnienia.

– Mamy wszyscy zbolełe dusze, przecięnięte przez największe nieszczęścia, ból, śmierć i łzy. I choć byśmy nie wiem co robili – cieszyli się życiem, tańczyli, śpiewali z radości – gdzieś tam w sercu jest ukryty straszny ból i cierpienie – mówił Franek. – Tak jest z naszym pokoleniem – nie damy rady tego wydrzeć z siebie, tylko tak, przytłumić na chwilę. Ale dopóki będziemy żyć, koszmar Wołynia będzie szedł za nami.

Maria spojrzała na męża. Zdziś wycierał łzy chusteczką. Przypomniała sobie jego noce, podczas których krzyczał we śnie. Zawsze gadatliwa Antosia przycichła i zamyśliła się.

– Pamiętacie, czym myliśmy się, jak nie było mydła? – zapytała, patrząc na siostrę Fełę.

– Jak moglibyśmy zapomnieć! Każdy sobie zbierał biały popiół z ognisk.

– Mróz, wilki, śnieg i banderowcy – mówił Dominik. – Ogień, krzyk i krew – dodał po chwili.

Wspomnienia przerwał zbliżający się od drogi warkot silników samochodowych; to przez wieś przetaczała się kolumna aut z rozśpiewanym wojskiem. Żołnierze, widząc idące poboczem drogi dziewczyny, zaczęli do nich wołać jeden przez drugiego: „Ej Ala, kocham cię...”. Zapanował śmiech i ogólna wesołość. Dziewczyny chichotały i machały żołnierzom.

– Widzicie ich, oni nic nie wiedzą już o wojnie. Nic ich to nie obchodzi – mówił Adam Romaniewicz. – Grunt to życie, tamto już nie wróci!

– Powiem wam coś – nagle ożywiła się Antosia.

– Cooo?... – zainteresował się Dominik.

– Jedźmy na orzechy nad Borek!

– Brawo, to mi się podoba! Wsadzajcie dzieci do samochodu i jedziemy! –

podchwycił pomysł Franek.

– Jakże tak? Wszyscy jedziemy? – zapytała z niedowierzaniem Felicja.

– Zabierzemy tyle osób, ile wejdzie do samochodu – zdecydował Franek.

Chwilę później w warszawie Kozińskich siedział już komplet ludzi. Kobiety trzymały na kolanach dzieci i jechano ze śpiewem na drugą stronę jeziora, gdzie rosły gęsto leszczyzny. Tym razem śpiewano:

*Bella, bella donna, wieczór taki piękny,  
pójdziemy nad morze, do maleńkiej kawiarenki...*

– Ziutek, rób zdjęcia, synu, niech te nasze spotkania przetrwają – nakazywał synowi Franek.

Pobyty warszawiaków w Kosarzynie wywrócił wszystko do góry nogami. Codzienne sprawy gospodarskie nie były już aż takie ważne, chociaż wykonywano je sumiennie, jak zawsze.

Na trzeci dzień pobytu gości urządzono przyjęcie w środkowym pokoju dawnego domu Dominików. Stoły ustawiono w podkówkę i zasiadła cała rodzina. Gościna trwała długo i nie obyło się bez niespodzianek. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i weszła do pokoju gruba kobieta z chustką na głowie, w obszernej spódnicy i w butach gumowych. Stała pośrodku pokoju i zaczęła tańczyć, kręcąc się w kółko i wywijając miotłą – to w prawo, to w lewo. Siedzący przy stołach goście zaniemówili z wrażenia i ze strachu. Baba miała czerwony, ogromny nochal i takie same usta pomalowane na czerwono. Za to brwi miała czarne, krzaczaste i przez to budziła przestraszanie. Po odtańczeniu przez nią walca z miotłą nagle zatrzymała się i zaczęła rozbierać. Spadła jej spódnica, potem chustka, potem odleciał nos i pośrodku pokoju stał w samych gaciach... goły i wesoły Franciszek Koziński, poważny oficer, pułkownik LWP. Kozińscy i Romaniewiczze najpierw zaniemówili, a potem zaczęli klaskać. Śmiechy i rubaszne żarty związane z tym „występem” Franka jeszcze długo towarzyszyły zebranym.

W przededniu wyjazdu warszawiaków mężczyźni w tajemnicy przed kobietami urządzili sobie nad jeziorem wspólny „połów ryb”. Odbывał się on przy ostro zakrapianej biesiadzie na przystani wodnej. W ten sposób Franciszek zegnał się ze swoimi przyjaciółmi. Wrócili do domu późno i bez ryb, natomiast nasza ich ochota jechać do mieszkania Dominików w Gubinie. Bez chwili zastanowienia podchmielony Franciszek wsiadł za kierownicę auta. Z drugiej strony usiadł Dominik. Kobiety podniosły krzyk, żeby oddali kluczyki od auta.

– Wsiadacie, czy nie? – zapytał Franek, patrząc mało przytomnie na żonę i Antosię.

– Wsiadamy! – krzyknęła Antosia i otworzyła boczne drzwi auta, wprowadzając szybko dzieci – Anię i Ziotka.

– Nie możesz jechać, dzieci będziesz wiózł. Oddaj kluczyki – poprosiła grzecznie męża Felicja. Zamiast tego usłyszała warkot silnika i w ostatniej chwili obie z Antosią wsunęły się do środka samochodu.

Droga z Kosarzyna do Gubina była piaszczysta i rozjeżdżona przez wojskowe ciężarówki. Franek odstawiał niesamowite popisy jazdy pod wpływem alkoholu. Specjalnie manewrował kierownicą raz w prawo, raz w lewo. Raz zjeżdżał na skraj prawej strony drogi, nad sam rów, potem z drugiej strony drogi, o mało nie wjeżdżając w las. Przy pisku i krzykach kobiet popisy szły mu coraz odważniej. Jednak wjeżdżając do Gubina, nagle jakby wytrzeźwiał. Zupełnie poprawnie prowadził auto. Wysiadając pod drzwiami kamienicy, w której mieszkali Dominikowie, przypomniał sobie, że przecież musi uściskać Rysia Romaniewicza, z którym razem wiele czasu przesiedzieli w lasach. Nie chcąc puścić Franka i Dominika samych na wędrowkę po mieście, przyłączyły się do nich kobiety i dzieci.

Był późny, letni wieczór, na ulicach świeciły się latarnie, a oni wędrowali na ul. Piastowską, żeby uściskać Rysia. Długo trwało, zanim zeszli z góry po ogromnych schodach na tę ulicę. Dawno już minęła godzina 22.00, kiedy dotarli pod drzwi małego domku nad Nysą. Wszystkie okna były zasłonięte, dom spał, nigdzie nie widać było światła w żadnym oknie. Zadzwonili do drzwi i w jednym z okien zapaliło się światło. Po chwili otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Rysio w szlafroku. Na widok wujków zaniemówił, szeroko otwierając oczy.

– Nooo, co tak patrzysz, Rysiulku – wujka nie poznajesz? – zapytał Franek.

– Poznaje, oczywiście, tylko dzieci śpią – tłumaczył się Rysio. – Alina chora – mówił dalej.

– Dobra, nie wchodzimy, dzieci, Alina – rozumiemy. – Pożegnać się chciałem, Rysiulku, wyjeżdżamy jutro i kto wie, kiedy się znowu spotkamy.

Rysio wyszedł przed dom, zamykając za sobą drzwi. Franek podał mu rękę i przytulili się do siebie. Felicja nie podchodziła, stała z Antosią po drugiej stronie ulicy. Pomachała mu tylko ręką.

– Dobranoc, Rysiu, i pożegnaj od nas Alinkę i dzieci – zawołała

odchodząc.

– Dobranoc – odpowiedział Rysio. Po chwili w domu zgasły wszystkie światła.

Po odjeździe warszawiaków jakoś smutno się znów zrobiło w Kosarzynie. Pozostał po nich jeden hamak w ogródku, na którym polegiwała sobie czasami Ania i wszystkie jej koleżanki ze wsi.



## XXXVI

# Pierwszy dzwonek w szkole

**1** września Maria poprowadziła do szkoły Anię wraz z Polcią Koziurową, która też zapisywała do szkoły swoją córkę Celinę. Obie dziewczynki urodziły się w Kosarzynie i obie też zostaną przyjaciółkami w całym swoim dzieciństwie. Różnica pomiędzy nimi była taka, że Ania była drobna i nieduża, miała jasne włosy, Celina zaś o wiele od niej wyższa i nosiła ciemne, długie warkocze. Ania była cicha i nieśmiała, Celina odważna i pewna siebie. Obie kobiety, wraz ze swoimi dziećmi oraz z rozpoczynającą rok szkolny grupką innych dzieci z Kosarzyna, szły do Łomów na skrótą polną drogą przez łąki. Maria ubrała Anię w galowe, marynarskie ubranie – granatową, układaną spódniczkę i bluzę z marynarskim kołnierzem – w białe podkolanówki i nowe sandałki; we włosach miała Ania wpiętą śliczną kokardę. Wszyscy rodzice z pierwszakami zostali zaproszeni do klasy w celu dokonania zapisu uczniów. Klasa była nieduża, więc natychmiast zapełniła się rodzicami i uczniami. Pod oknem stało biurko i siedział za nim kierownik szkoły, pan Wojciech Buła – ogromny, wysoki mężczyzna o bujnych, jasnych włosach i takiej samej brodzie. Obok niego siedziała młodziutka nauczycielka – śliczna dziewczyna o długich i jasnych lokach, spiętych na boku spinką i spadających jej na ramiona. Ubrana była w letnią, przepiękną sukienkę w kwiaty. Oboje nauczyciele uśmiechali się ciepło do wywoływanych z listy dzieci, które podchodziły do ich biurka i pan kierownik zadawał im parę pytań.

Pierwszą z wywołanych dziewczynek była Celina, która śmiało podeszła

do biurka i zapytana przez pana kierownika, jak się nazywa, szybko i wyraźnie odpowiedziała. Drugą miała być Ania, która zamiast podejść do biurka, skręciła ze swojej drogi, którą miała do przebycia, żeby znaleźć się tam, gdzie przed chwilą była Celina i... weszła za szafę. Ukryła się za gablotę z motylami. Wywoływana kilka razy, nie wyszła stamtąd. Maria podeszła do niej i poprosiła: „Wyjdź, Aniu, tylko powiesz, jak się nazywasz”.

– Niece – pokręciła głową, zapierając się mocno za szafę. Maria dała spokój.

Gdy wracały razem do domu, Maria zapytała: „Co ci się stało? Czemu się schowałaś?”.

Ania nic nie odpowiedziała. Wieczorem jeszcze raz przed snem Maria zapytała córkę.

– Powiedz, dziecko, czy ty się czegoś boisz? Bałaś się? Kogo i czego?

– Nie bałam się, że mnie ktoś zbije, tylko się wstydziłam tego ogromnego pana z brodą – powiedziała cicho Ania.

– Ten ogromny pan z brodą jest dobrym człowiekiem. To przyjaciel naszej rodziny, a kolega twojego taty. Jakby ktoś chciał cię w szkole zbić albo zrobić ci jakąś krzywdę, to właśnie idź do pana kierownika, on cię obroni i we wszystkim pomoże. Obiecujesz mi, że nie będziesz się więcej chowała za szafę?

– Uhm – pokiwała głową Ania.

Pierwsze dni w szkole upłynęły na zabawach na boisku szkolnym i wycieczkach po terenie. Wycieczki związane były z poznawaniem fauny i flory przepięknych terenów w dolinie Odry. Dzieci przyswajały sobie nazwy traw, kwiatów, krzewów, drzew, poznawały napotkane w zaroślach gady i płazy, a w rzekach kamienie otoczków.

Lekcje odbywały się na zmiany w klasach łączonych. W dużej klasie ławki ustawione były dwurzędowo: dwa rzędy ławek, ustawione po prawej stronie sali, stanowiły jedną klasę, natomiast dwa inne rzędy, znajdujące się po lewej stronie – drugą. Jak jedna klasa miała za zadanie pisać, to druga czytała i odpowiadała. Kary za nieodrobione zadania domowe polegały na biciu linijką po ręce. Delikwent musiał wystawić dłoń przed siebie i dostawał odpowiednią porcję; dodatkowo musiał zostać po lekcjach i odrobić zaległe zadanie.

Ania uczyła się pisać piórem, składającym się z drewnianej obsadki i zamocowanej w niej stalówki, maczanej w kałamarzu z atramentem.

W zeszyty szkolne była włożona bibułka, która „wypijała” kleksy – krople atramentu, gdy te spadły niefortunnie na kartkę w zeszytcie. W pierwszej klasie kaligrafowano litery, rysowano szlaczki, znaczki i kółka, które zapełniały całe kartki w zeszytcie. Była też nauka rysunku, która Ani bardzo się podobała. W domu rysowała konie, w czym pomagał jej tata. Tata był mistrzem w rysowaniu koni i wszelkiego rodzaju zwierząt. Konie szkicował z wielką pasją i cieniował zwykłym, mocno zaostrzonym ołówkiem. Ania z zapartym tchem śledziła, jak ze szkicu powstawał obraz konia w galopie. Była szczęśliwa, śledząc pracę rysunkową ojca.

Pewnego razu na zadanie domowe miała przerysować kozę z kapustą i wozem z elementarza na kartkę z bloku rysunkowego. Zadanie było niezwykle trudne, ponieważ wymagało dużej pracy i precyzji, tak że oboje z tatą pracowali nad nim ze dwie godziny. Rysunek był bardzo udany i zachwycił panią nauczycielkę.

– No, no, Aniu, bardzo ładne wykonanie. Ale komu mam postawić piątkę?  
– zapytała pani Marysia.

Ania nic nie odpowiedziała, patrząc na nauczycielkę, która nadal pytała.

– Powiedz mi, czy ty sama to narysowałaś? Jak nie sama, to co narysowałaś ty, a co osoba, która ci pomagała?

– Ja narysowałam zieloną trawkę i słoneczko, a pomagał mi tata.

– Aha, no dobrze, to ja ci za trawkę i słoneczko też postawię piątkę, bo są bardzo ładne.

Ania była szczęśliwa, że dostała piątkę, o czym zaraz po przyjściu do domu powiadomiła tatę, opowiadając mu, że wszystko było ładne – i koza, i kapusta, i wóz – ale najładniejsze było słoneczko i trawka.

– Powiedziałaś pani, kto narysował kozę?

– Tak.

– To dobrze – uśmiechnął się Zdzisław.

Lekcje śpiewu też należały do Ani ulubionych. Poznawała nowe piosenki, a nawet tańce, które uczyła ją ulubiona pani, przygotowując klasę na występ w zabawie mikołajkowej. Na przykład śpiewano:

*Zasiali górale żyto, żyto.*

*Od końca do końca*

*Wszystko, wszystko...*

albo

*Tam na polu trzy mendele,  
W domu dwa, w domu dwa.  
Żadna mi się nie podoba,  
Tylko ta, tylko ta...*

Pierwsza szkolna zabawa mikołajkowa z rodzicami była niezwykle przeżyciem tak dla maluchów, jak i ich rodziców. Po raz pierwszy dzieci zobaczyły ogromnego Mikołaja z wielkim workiem, który oprócz paczek przyniósł też i różgi. Ogromna choinka stojąca w rogu klasy świeciła się kolorowymi lampkami i ozdobami zrobionymi przez same dzieci. Wszystko na niej było, co można było zawiesić na sznureczku. Wisiały na niej przeróżne bombki – te przywiezione zza Buga i te polskie, znalezione na strychach. Były czerwone jabłuszka, orzechy zawinięte w złoty papier, pierniczki z własnych domowych wypieków, cukierki i kolorowe łańcuszki, posklejane na „pracach ręcznych” z wycinanek. Były aniołki i gwiazdki.

Samo spojrzenie na oświetloną lampkami choinkę dawało obraz piękna i niezwykłości świąt Bożego Narodzenia. Dzieci po raz pierwszy w życiu poznały smak pomarańczy i czekolady. Zadbana o to pani Marysia, nauczycielka z Łomów, która ze składek rodziców wszystkim dzieciom sama porobiła jednakowe paczki. Dwójka nauczycieli wkrótce została parą małżeńską i zamieszkała razem w budynku szkoły. Byli niezwykle dobrymi nauczycielami i ludźmi, ponieważ we wsi Łomy nauczyli dzieci nie tylko pisać i czytać, ale kochać książki i kształtować wyobraźnię. Dzięki ich kształceniu od podstaw dzieci poszły w świat po dalszą naukę i zostały nauczycielami, prawnikami i lekarzami, inżynierami rolnikami i oficerami. Z wielkim sentymentem będą kiedyś przyjeżdżać i odwiedzać stare kąty, zapamiętane z dzieciństwa.

Nie ma już tej szkoły w Łomach, nie żyje już jej założyciel i kierownik, pan Wojciech Buła – nieodżałowany nauczyciel z powołania.

## XXXVII

# Dzieci z Kosarzyna

Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte w Kosarzynie to kolejne lata migracji – odpływ poprzednich i przybycie nowych rodzin. Do wsi sprowadziły się dwie rodziny: Kuźowników i Żybulów – dwie siostry z mężami i dziećmi. Dzieci Kuźowników to pięciu braci: Roman, Wacek, Antek, Janek i Władek. Dwaj najstarsi to już dorosła młodzież. Dzieci Żybulów to Józek i Ania. Józek był też już bardzo dorosły, a Ania była jeszcze małą dziewczynką. Do szkoły w Łomach codziennie rano szła spora gromadka dzieci z Kosarzyna. Do niej należał Józek Kryza, najwyższy z dzieci; Rajmek i Władzia Roszak; Danka Roszak, zwana Lalką, i jej brat Heniek; Krysia Król i jej siostra Jadzia; Marysia i Krysia Sasanki; Celina, Aneczka, Bożena Koziura; Mietek i Teresa Szydlik (później urodzi się jeszcze jeden syn Szydlików, Rysio), Ania i Krzyś Kozińscy. Później przyjedzie jeszcze do Kosarzyna duża rodzina Świderskich z dziećmi, i Kądzielewskich. U Heleny i Bernasia Tyszków przyjdzie na świat czworo dzieci: Ewa, Marylka, Waldek i Ania. U Stefanii i Michała Tyszków urodzi się trójka: Zenek, Milka, zwana Lunią, i najmłodszy syn Irek. Do Kosarzyna sprowadzą się także Pliszkowie z dziećmi Basią i Jurkiem. Osiedli się jeszcze bezdzietna rodzina Wistów – oboje, tj. Jan i Danuta, z zawodu fryzjerzy. Jana Wista szybko nazwano Jasiulkiem, ponieważ usłyszano, jak mówi do niego jego żona. Jeden z mieszkańców wsi, teść Bernasia Tyszki, nie mógł wymówić imienia Jasiulek, więc mówił „Jasiulek”. Wistowie szybko się zaaklimatyzowali we wsi, mimo że nie posiadali większego gospodarstwa rolnego. Pani Danusia

prowadziła sklep, a pan Jasio troszkę gospodarzył i wykonywał usługi fryzjerskie.

Kosarzyńskie dzieci chodziły do szkoły w Łomach zwartą grupą. Szefową grupy była Lalka Roszak – wysoka, ładna dziewczyna. Zawsze wszystko miała najlepsze i najładniejsze, była bogato ubrana w najładniejsze buty i sukienki. Imponowała grupie i dokonywała niezwykłych wyczynów, wspinając się na drzewa lub przechodząc po jednym drążku sosnowym przez mostek na łąkach. Lalka, czyli w rzeczywistości Danusia Roszak, broiła i dowodziła grupą dzieci z Kosarzyna. Wszystkie psoty uchodziły jej płazem z jednego powodu: otóż co miesiąc Roszakowie wozili ją do Poznania, ponieważ była chora na serce i groziła jej ciężka operacja. Lalka zniknęła z grupy na trzy miesiące, kiedy przeprowadzono u niej w Poznaniu operację. Stała się przez to bardzo delikatna i już tak nie dokazywała. Za to pozwalano jej na wszystko – co tylko chciała, to miała. Pewnego razu weszła na bardzo wysokie drzewo wiśni, gałąź się ułamała i Lala upadając przebiła sobie udo. Znów płacz i lament; Roszakowie zadzwonili na pogotowie. Lala leżała w gipsie parę miesięcy, aż do końca roku szkolnego. Ona też prowadziła grupę po tajnych poniemieckich bunkrach i gruzach poniemieckich domów. Pewnego razu zaprowadziła dzieci do gęstego zagajnika i w pewnym momencie odsunęła betonową zasuwę. Kiedy się spojrzęło w jej głębie, widać było na betonowej posadzce odchody końskie. Był to niewątpliwie zagadkowy bunkier, do którego wejście i wyjście było tajemnicą. Być może było to tajne przejście pod rzeką na drugą stronę Niemiec, a może skrytka dla ukrywających się rozbitków wojsk niemieckich. Dzieci były bardzo zaciekawione, co to za bunkier.

Po przyjeździe do domu Ania Zawadzka opowiedziała rodzicom, co widziała.

– Ani kroku z domu! – prawie krzyknęła Maria. – Boże, gdzie ta Lalka prowadzi te dzieci? A gdyby tak, nie daj Boże, któreś tam wpadło do tego bunkra? Aż nie mogę o tym mówić, a dopiero co myśleć! Tam mogą być ukryci jacyś esesmani czy czort wie, kto jeszcze! To przecież z wojny zostało! – mówiła bardzo przejęta. – Nie wolno, rozumiecie?! – nakazywała ostro, patrząc raz na Anię, raz na Krzysia.

– Nie krzycz na nich, Marysiu – łagodził Zdzisław. Oni już wiedzą, że nie wolno, już nie pójda, prawda? – popatrzył po kolei na dzieci.

Oboje – Ania i Krzys – pokręcili głowami, deklarując w ten sposób, że już

nigdy tam nie pójdą. Nie wracano więcej do tego tematu i już by o nim nawet pomału zapomniano, gdyby nie fakt przeżycia przez Anię śmiertelnego strachu – tak mocnego, że dziewczynka wpadła w szok.

Otóż pewnej nocy zerwała się wichura i powywracała drzewa z korzeniami. Huragan był tak silny, że rosnąca nieopodal domu ogromna topola przewróciła się, wyrrywając się z ziemi razem z korzeniami. Na jej miejscu po wyrwaniu powstała piaszczysta wyrwa pełna żółtego piasku. W tym piasku wspaniale bawiły się trzy dziewczynki: Ania Kozińska, Marysia i Krysia Sasanki. Lepiły sobie babki i budowały tunele piaskowe. Zbliżał się wieczór i coraz szarzej i ciemniej było na dworze. Nagle obie Sasanki pobiegły do domu, zawołane przez swoją mamę, a Ania została sama. Była malutka i ukryta za ogromnym korzeniem, nagle obok siebie usłyszała szelest. Odwróciła się i zobaczyła, jak ścieżką niedaleko niej, może z dziesięć metrów dalej, idzie wysoki mężczyzna ubrany cały na biało, z bagnetem przy boku. Zamarła z przerażenia; prawie nie oddychała. Poczekała, aż zniknął w leśnym gąszczu, i uciekła. Była tak przerażona, że nic nie powiedziała rodzicom. Nigdy o tym w domu nie wspomniała. Przez wiele lat bała się wyjść na podwórze po zmroku. Nawet o tym nie wspomniała mamie, kiedy ta kazała jej przynieść patyków łopianu potrzebnych do suszenia grzybów. Maria gniewała się na Anię za nieposłuszeństwo, jednak dziewczynka postanowiła nie wspomnieć mamie o zdarzeniu, aby jej nie martwić.

Dzieci kosarzyńskie bawiły się przeważnie na dużym wiejskim placu przed ogromnymi topolami, gdzie w ciągu lata rosła zielona trawa, wyskubana przez stada gęsi, tworząc równo przycięty trawnik. Pod topolami stały ławeczki, na których siadały sobie kobiety z dziećmi w letnie niedzielne popołudnia. Pewnego razu Zdzisław pojechał z delegacją zwiedzać niemieckie gospodarstwa rolne za Nysą Łużycką, a Maria zawołała Krzysia, żeby ten pomógł jej przegonić prosiaki z jednego podwórka na drugie, gdzie były boksy dla świń. W pewnym momencie Krzyś wziął żelazny pręt i starał się go wrzucić do szopy. Pręt odbił się o deski szopy tak niefortunnie, że wrócił z powrotem, wbijając się w jego głowę. Ania widziała przez okno w kuchni, jak Krzyś osuwa się w ramionach matki na ziemię. Maria wyciągnęła mu pręt i ustami oczyściła ranę, z której buchnęła fontanna krwi. Widząc, co się dzieje, nadbiegli sąsiedzi i zanieśli Krzysia do środkowego pokoju. Tam położyli go na kanapie i starsza kobieta – pani Słobodzianowa,

frontowa pielęgniarka – zrobiła mu masaż serca. Poza tym przykładła mu mokre kompresy na głowę, tamując upływ krwi. Zanim przyjechało pogotowie, Krzyś był uratowany. Wszystko zostało przy nim zrobione tak fachowo, jakby to robili lekarze. Wraz z Marią został zabrany do szpitala w Gubinie i natychmiast przewieziony do Poznania na operację. Wszystko się udało.

Po tygodniu Krzyś został przywieziony do szpitala w Gubinie, w którym przebywał przez miesiąc. Kiedy wrócił do domu, przyszły do niego w odwiedziny wszystkie dzieci ze wsi. Chłopak miał niesprawną prawą rękę. Koledzy podawali mu do niej małe kamyczki, które uczył się rzucać. Pomału sprawność ręki poprawiała się coraz bardziej, a po kilku miesiącach nie było śladu po wypadku, tylko na głowie pod włosami została nieduża blizna.

Obok placu w sadzie Kozińskich rosła kilkuletnia lipa, tak gęsto zarośnięta liśćmi od bujnych gałęzi, że wspinając się na pokaźny konar pośrodku drzewa, tworzący liczne rozgałęzienia, można było się ukryć przed całym światem i widzieć jednocześnie wszystko, co się we wsi dzieje. Tę kryjówkę odkrył najpierw Krzyś, a potem wysłedziła go Ania i też z niej korzystała, jak brata nie było w pobliżu.

Pewnego razu Ania weszła tam i aż usiadła ze zdziwienia. Na rozłożystym konarze Krzyś położył baranie skóry, a na nich leżały jego ulubione książki przygodowe: *Winnetou*, *Tajemnicza wyspa*, *Robinson Crusoe* i *Potop*. Obok książek leżała puszka, w której brzęczały pieniądze. Znajdował się tam też zeszyt, w którym Krzyś pisał swoje pierwsze wiersze.

– O matko! – szepnęła Ania i zaczęła je czytać.

Od tamtej pory ta ogrodowa lipa była ich wspólną bazą, ucieczką i skrytką. Nigdy nie przebywali tam razem, bo mogłoby się to skończyć awanturą za wtrącanie nosa w nieswoje tajemnice, ale osobno było też bardzo dobrze.

Zabawy jesienią na placu polegały na wywoływaniu „ducha”. Ponieważ opadające z topoli liście bardzo gęsto ścieliły plac, wybrany w wyliczance delikwent kładł się na trawie i przysypywano go liśćmi, a potem liczono do dziesięciu i po słowach: „Duchu, duchu, goń nas” duch wstawał i gonił, aż złapał następnego kandydata na ducha. Dopiero kateryczne i ostre nawoływanie matek, żeby wracano do domu, kończyło te zabawy późnym wieczorem.

Wspaniałą przygodową zabawę miały dzieci na gruzach poniemieckich



domów. Przy przeszukiwaniu gruzów znajdowano całe żeliwne garnki z jeszcze zastygłą wewnątrz nich, zaskorupiałą potrawą, kawałki porcelany z filiżanek, talerzy, sztucce, przeróżne miski i miseczki, kafelki z łazienek i kuchni. A już najwięcej tych skarbów znajdowano na miejscu starej ponemieckiej restauracji – niegdysiejszej przystani dla rybaków, przyplływających do Kosarzyna barkami po Odrze. Po restauracji pozostały do tej pory długie, szerokie schody i jeszcze do niedawna stały po obu stronach tych schodów dwie olbrzymie, rzeźbione kolumny, zapewne podpierające dach.

Gdy szło się drogami i dróżkami koło Kosarzyna i obserwowało się okolicę, dochodziło się do wniosku, że tam, gdzie dzisiaj są wzniesienia i górki, znajdują się ruiny zburzonych ponemieckich domów. Te gruzowiska świadczą, jak ogromne zniszczenia uczyniły działania wojenne – zaciekle walki o każdy skrawek ziemi, zwłaszcza przy samej Nysie Łużyckiej. Zniszczony został ogromny kościół katolicki, stojący pośrodku wsi.

Dzieci z Kosarzyna oglądały ruiny tego kościoła. Z ogromną powagą tam wchodziły, nauczone przez matki zachowania w świątyni. W miejscu, gdzie był dawniej ołtarz, była zachowana w bardzo dobrym stanie kopuła nad nim, pomalowana na niebiesko, ze złotymi gwiazdkami. Boczne ściany świątyni były nienaruszone, tylko sufitu już nie było – prawdopodobnie zburzył go pocisk zrzucony z samolotu. Nieopodal kościoła były dwa groby i dwa pomniki, a na nich napisy w języku niemieckim. Przypuszczano, że pochowani tam byli księża z tego kościoła. Obok ich grobów postawiono ogromny kamień. Obecnie nie ma tam już grobów ani pomników, lecz kamień pozostał.

Nieopodal kościoła i świetlicy, mieszczącej się obok niego, po drugiej stronie ulicy, stały rzędem przepiękne piętrowe domy z wieżyczkami i balkonami. Tam dzieci kosarzyńskie bawiły się w chowanego. Wspaniale zachowane zostały drewniane podłogi i pokoje, w których ściany były pięknie wytapetowane. Gdzieniegdzie wisiała zerwana tapeta; była to pozostałość po szabrownikach, szukających skarbów. Kafelki na ścianach w kuchni zachowały się w nienaruszonym stanie. Także schody prowadzące na piętro były dobrze zachowane.

Lalka prowadziła i dowodziła. Rządziła i uczyła dzieci wszystkiego, co sama umiała. Pewnego razu nastraszyła Anię mocno, że dziewczynka, która jeszcze nie zapomniała doznanego uczucia paraliżującego strachu po ujrzeniu

wieczorową porą groźnego mężczyzny, poddana została następnemu stresowi. Otóż Lalka w zabawie „w doktora” kazała się Ani położyć na ziemi, a sama weszła na nią z butami i stanęła na jej klatce piersiowej, mówiąc: „A ty umrzesz na serce!”.

Boże, co się z Anią wtedy działo! Przestała się uczyć, bawić, ciągle płakała i pewnego razu, płacząc w nocy, zbudziła mamę, mówiąc: „Mamusiu, ja umieram na serce”. Maria zerwała się z łóżka na równe nogi, zapaliła światło i pobiegła po Stefkę Michasiową. Przybiegły obie i zaczęły Anię badać, oglądać, słuchać serca, mierzyć gorączkę. Okazało się, że dziewczynka nie ma gorączki, tylko serduszko rzeczywiście mocno bije ze strachu. Nazajutrz Maria poszła do Roszaków z pretensją: dlaczego Lala tak mocno nastraszyła Anię? Jak można było to zrobić dziecku? Roszakowa wzruszyła tylko ramionami, że nic nie wie. Maria jednak nie dała za wygraną i w tzw. „białą niedzielę”, gdy do wsi przyjechali lekarze wojskowi, aby badać dzieci, opowiedziała, co się Ani przydarzyło. Stojąca opodal nich Roszakowa zrobiła się czerwona jak burak, Lala też. Lekarz zbadał Anię dokładnie i powiedział: „Nie umrzesz na serce. Nic z tego, masz przed sobą życie, i to długie” – i uśmiechnął się miło do dziewczynki.

Od tej pory Ania przestała się bać, że umrze na serce, ale bała się nadal Lali i unikała jej towarzystwa jak ognia. Przestała jej się bać dopiero po tym, jak Lala całowała się z niemieckim chłopcem pośrodku rzeki Nysy, kiedy ta prawie wyszła w bezdeszczowe lato.

Dzieci niemieckie i polskie przerzucały sobie adresy i lusterka. Pasąc krowy na pastwisku przy rzece, polskie dzieci usadowiły się przy siedzącym na wale żołnierzu, pełniącym służbę na granicy. Żołnierz częstował je sucharami i rozmawiał z nimi o wakacjach, ale gdy zobaczył z drugiej strony Nysy niemiecką starszą kobietę, palikującą kozę, kazał dzieciom kosarzyńskim zawołać do niej: *Meine liebe Schweine, guten Tag!* Dzieci oczywiście to zrobiły, a kobieta nachyliła się, obróciła tyłem, podniosła spódnicę i pokazała tylną część ciała. Śmiech i rechot był niesamowity. Dzieciaki turlały się po trawie na sam dół wału przeciwpowodziowego.

Innym razem, idąc do szkoły, dzieci tworzyły dwa przeciwne sobie obozy. Na czele jednego stała Lala, drugiego zaś – Krzyś Koziński. Lala napuszczała na siebie dzieci, żeby się kłóciły, a czasami nawet pobiły, Krzyś natomiast formował sobie wojsko z młodszych chłopców i je ćwiczył, zgodnie z tym, co wyczytał w książkach. Tak więc za pomocą łuków i strzał, szyszek, jego

wojsko atakowało dziewczęta, idące sobie drogą i nic nie podejrzewające. Nagle były one atakowane przez spadające z drzew szyszki i strzały zrobione z cienkiej wierzby. Dziewczyny uciekały z piskiem i wrzaskiem, wyzywając chłopców i ich wodza. Wódz indiański natomiast miał zaczepiony wokół głowy pióropusz z gęstych gęsich piór, podczas gdy jego poszczególni żołnierze mogli pochwalić się tylko jednym piórem. Na więcej piór w pióropuszu musiał Indianin zasłużyć w walkach.

Cała piwnica pod domem stanowiła wigwam Krzysia. Na jej ścianach wisiały łuki i strzały, pióropusze i inne indiańskie akcesoria. Pośrodku piwnicy stała stara, ponemiecka lampa od wozu, w której paliła się nafta tworząc ognisko, które paliło się w czasie narad wojennych i palenia fajki pokoju. Wszystko odbywało się w największej tajemnicy przed rodzicami i rodzeństwem.

Ania też miała swoje zaufane koleżanki, a wśród nich najbardziej lubiła się bawić z Celiną Koziurą. Kiedy padał deszcz, one chowały się w stodole, zakopywały się w sianie, brały ze sobą koc i książki. Do torby wkładały świeży szczypiorek, rzodkiewki, sałatę, jabłka i gruszki, a także chleb i sól. Tak wyposażone, chowały się na najwyższej kondygnacji w stodole. Jedząc rzodkiewki maczane w soli i zagryzając razowym chlebem, czytały po kolei na głos *Pinokia*, *Pyzę na polskich drogach*, *Rogasia z doliny Roztoki*. Schowane przed światem, zaczytane, schodziły z „wierzchów” w stodole dopiero pod wieczór.

Tak było, kiedy padał deszcz; natomiast kiedy świeciło słońce i rodzice byli na polach, kosarzyńskie dzieci pod przewodnictwem swoich „wodzów” broiły i dokazywały. Pewnego razu, namówione przez swoich przywódców, całą grupą w kilkanaścioro dzieci podeszły pod dom Józka Kryzy i zaczęły go wywoływać. Kiedy ten się pokazał, na dany znak dzieci zaczęły go przezywać. Zdenerwowany Józek schwycił za siekierę i gonił za piszczącymi i uciekającymi dziećmi – nie tyle, żeby im zrobić krzywdę, ale by nastraszyć. Uciekając, dzieci wpadły do domu Koziurów. Ania złapała za futrynę drzwi, a Krystia Król trzasnęła tymi drzwiami tak, że przycięła Ani dwa środkowe palce prawej ręki. Kości palców były tak przecięte – zmiażdżone – że nie pokazała się nawet krew, tylko widać było zgruchotane kości.

Wszystkie dzieci zamilkły i odechciało się im zabawy. Na szafce w kuchni u Koziurów stały dwa pełne wiadra wody. Lalka kazała trzymać Ani palce w tej zimnej wodzie, a sama pobiegła po jodynę do domu, przedtem

uważając, czy nie natknie się na czatującego Józka. Po powrocie Lalki zaczęło się leczenie palców Ani. Została położona na stole w pokoju u Koziurów. Cała zebrana wokół stołu publiczność obserwowała i pocieszała biedną Anię, która i tak nie płakała. Mówiła, że nic ją nie boli. Przysięgała, że nic a nic ją nie boli, a palce wisały na skórze. Lalka polała rany jodyną, następnie mocno owinęła białą szmatką i nakazała nikomu nic nie mówić, bo oberwą za wyzywanie Józka. – Pobędziesz tak parę dni i zagoi się jak na psie – pocieszała Anię. Pokrzywdzona skrzętnie ukrywała zawinięte palce przed rodzicami. Zrosły się trochę krzywe, a wszystkie dzieci przyrzekły dochować tajemnicy.

Drugą swoją tragedię u Kryzów przeżyła Ania podczas swojej Pierwszej Komunii Świętej. Wystrojone w białe, długie sukienki komunijne paradowały obie z Celiną po Kosarzynie, ciesząc się z tych sukienek i tego uroczystego dnia. Chodziły sobie po głównym placu we wsi, szczęśliwe, że każdy może je zobaczyć i podziwiać. Weszły na drogę przed domem Kryzy i nagle usłyszały tętent kopyt końskich. To Kryza wypuścił z łąki swoje narowiste i złe konie, które gryzły i kopały, i w tym właśnie momencie galopem wracały do domu. Dziewczynki rozpięchły się. Celina schowała się za ogromną topolę, a Ania wbiegła przez otwartą na oścież bramę do Kryzy na podwórko. Konie wpadły za nią. Ona, niewiele myśląc, otworzyła wychodek stojący na wprost bramy i tam się schowała. Drzwi wychodka nie chciały się zamknąć. Trzymała mocno za haczyk i patrzyła przez szpary w drzwiach, prosto w oko stojącego za drzwiami konia. Koń rżał i kopał w drzwi wychodka; wyraźnie widział białą sukienkę dziewczynki. Po chwili wjechał rowerem na podwórko Kryza i zabrał konie do stajni. Tajemnica Ani wyjechała z nią z Kosarzyna – nikomu nie powiedziała o tej niebezpiecznej przygodzie.

Losy dzieci z Kosarzyna potoczyły się różnie. Niektórzy wyjechali na Śląsk, niektórzy zaś, tak jak Józek Żybul, wyjechali do Stanów Zjednoczonych lub jak Mirek Świdorski – do Kanady. Inni pokończyli studia we Wrocławiu i tam mieszkają do dzisiaj. Niektórzy urodzili się już w Kosarzynie i mieszkają w nim całe życie. Jeszcze inni powracali do swojej rodzinnej wsi po latach. Dużo z tych dzieci mieszka w województwie lubuskim, wielkopolskim, w Poznaniu i w całej Polsce. Są ludźmi wykształconymi i wychowanymi w poczuciu patriotyzmu. Ich dzieci i wnuki też są ludźmi godnymi i uczciwymi. Na pewno dzieciństwo spędzone

w Kosarzynie wspominają z sentymentem, podobnie jak autorka tej prawdziwej opowieści.

## XXXVIII

# Brunon Mertyn

**W** jednym z pomieszczeń wiejskiej świetlicy urządzono sklep dla wsi. Sprzedawała w nim pani Wistowa. Kolejka w sklepie była zawsze długa i zaczynała się przy ladzie, a kończyła na schodach do sklepu. Ludzie kupowali wszystko, co było niezbędne do życia i w gospodarstwie. Już coraz rzadziej wypiekało się chleb w domowym piecu, bo też i piekarnia gubińska starała się jak mogła najlepiej wypiekać pieczywo i je rozwozić.

Pewnego razu przyszła do sklepu Maria, cała roztrzęsiona i zdenerwowana. Opowiadała, że na dawnym miejscu już nieistniejącej wsi Jeziorna, obok jednego z opuszczonych domów, widziała nagiego mężczyznę, jak biegał naokoło domu.

– Cały goły. Wysoki, chudy i goły! Jak ja to zobaczyłam, schowałam się za drzewo i nie wiedziałam, gdzie uciekać, bo golas biegał i biegał.

Ludzie najpierw słuchali, potem zaczęli się śmiać. Sąsiedzi żartowali, że jak tak biega, to i do wsi kiedyś przybiegnie, a wtedy go poznają.

– Na Jeziorną nie ma co iść, bo nie wiadomo, kto to jest. Może jakiś wariat? Co on je? Musi gdzieś chodzić, a w ogóle trzeba by było zgłosić do wojska, żeby sprawdzili, co to za ptaszek zamieszkał w naszym lesie. Jak lata goły, to musi być wariat.

Rozmowę ludzi przerwało wejście leśniczego Żukowskiego, który przyjechał motorem i mieszkał już od jakiegoś czasu w lesie, właśnie obok opuszczonej wsi Jeziorna. Żukowski wszedł, powiedział „dzień dobry” i zapytał: „A co wy tak zamilkliście? A taki szum był przed chwilą?”.

– Golasa znaleźliśmy w lesie – powiedział jeden z mieszkańców Kosarzyna, ale zaraz się poprawił: „Kozińska znalazła”.

– Co? Aha, chyba mówicie o Mertynie. Noo, wiedziałem, że kiedyś ktoś go zobaczy. – Popijając oranżadę mówił: „Nie bójcie się. To niegroźny golas. Nazywa się Brunon Mertyn. Jest z zawodu mechanikiem samolotów, ale wszystko potrafi naprawić. Złota rączka, majster jak się patrzy! Jeszcze i wam kiedyś pomoże”.

– Skąd się wziął w lasach nad Jeziornem? – pytali ludzie.

– Powiem wam w skrócie, bo nie mam za dużo czasu. Pochodzi z Gdańska i był mechanikiem na niemieckich samolotach. Długo był ranny i leżał w szpitalu. Po wojnie nie chciał wyjeżdżać do Niemiec, ale w Gdańsku nie miał już swojego domu, więc mu poradzono: jedź na zachód Polski, tam na pewno coś znajdziesz. Domy stoją puste i czekają na zamieszkanie. No i mamy swojego Mertyna. Jest dziwakiem, bo mówi, że biega dla zdrowia i kondycji. Nikomu nie szkodzi, to wam daję słowo! I tylko czekałem, kiedy we wsi wybuchnie sensacja, jak go ktoś zobaczy – uśmiechnął się, mówiąc ostatnie słowa. Ludzie uspokoili się i powoli opuścili sklep.

Po upływie miesiąca od tej rozmowy Mertyn przeprowadził się z Jeziorny i zamieszkał bliżej wsi, w opuszczonym domu. Coraz częściej był widywany i podglądany przez dzieci ze wsi. Jak coś się komuś popsuło, jakaś maszyna rolnicza, czy w domu maszyna do szycia, od razu szło się z problemem do Mertyna.

Tak też było i u Kozińskich. Zdzisław kupił córce i synowi po rowerze, żeby dojeżdżali do szkoły i do kościoła. Był to prezent za dobrą naukę. Pewnego razu rowerek Ani popsuł się, ponieważ jeździła nim dosyć daleko – 9 kilometrów w jedną stronę do kościoła na naukę religii, przygotowując się do Komunii Świętej. Łańcuch od roweru wkręcił się w koło i pękł.

Przy obiedzie Ania skrzywiła się, prawie płacząc i narzekając: „Co ja teraz zrobię? Celina jakoś jeździ pod ramą i nawet szybciej ode mnie”.

– Idź do pana Mertyna i powiedz mu, że tatuś kazał ci przyprowadzić rower do naprawy, a sam już po niego wieczorem pójdzie.

– Jaa? Sama? – przestraszyła się Ania.

– Idź z Krzysiem. Idźcie razem – poprawił się Zdzisław, patrząc na syna.

Krzysztof nic nie powiedział – ani się nie sprzeciwił, ani też nie wyraził wielkiej ochoty. Kiedy rodzice pojechali w pole do pracy, Ania pobiegła do Celiny. Prowadziły rowerek pod górkę leśną drogą, po bokach której rosły

brzozy. Celina radziła: „Podprowadzimy pod dom i uciekniemy”.

– Ale on wtedy mi nie naprawi, bo kiedy go znajdzie? – martwiła się Ania.

– No to podprowadzimy, zapukamy i w nogi.

– No dobra – zgodziła się Ania.

Podeszły pod same drzwi domu Mertyna i Celina zbombardowała pięścią drzwi, a następnie odwróciła się i w nogi. A że miała na nogach buty gumowe, to stukała nimi po ubitej piaszczystej drodze, że aż echo dudniło. Ania została sama naprzeciwko drzwi i z przestachem oczekiwała, kiedy się otworzą. Nagle otworzyły się i stanął w nich wysoki, nagi mężczyzna, który miał tylko na biodrach zawiązany jakiś sznurek i okryte szmatą części intymne. Ania ze łzami w oczach powiedziała tylko, że jest rower do naprawy i przyjdzie po niego tatuś. Zobaczyła, jak pan Mertyn uśmiechnął się i nic więcej nie chciała ani widzieć, ani słyszeć. Wyrwała stamtąd szybciej niż Celina, po chwili doganiając ją. Kiedy już znalazły się blisko domu, usiadły pod płotem na trawie i zwijały się ze śmiechu. W tym momencie przechodził obok nich Krzysztof z dość sporą księgą w rękach.

– Co tam masz? – zainteresowała się Ania.

– To nie babska sprawa – odpowiedział bardzo dumny Krzyś i poszedł tą samą drogą, którą one przybiegły ledwie żywe.

– Zobacz, Celina, gdzie on idzie?

– Do Mertyna! – szepnęła Celina Ani na ucho.

– Idziemy za nim – zdecydowała desperacko Ania.

Krzyś odwrócił się za siebie, żeby się przekonać, czy dziewczyny go nie szpiegują. One tylko na to czekały, żeby tak zrobił i żeby się przekonał, że nic nie planują. Potem cichutko się skradając, poszły za nim. Zobaczyły, jak Krzyś wchodzi do domu Mertyna.

– Matkoo – szepnęła Celina. – On mu jeszcze co zrobi – powiedziała przerażonym głosem.

Minuty mijały, a Krzyś nie wychodził. Dziewczynki usiadły za krzakami bzu, naprzeciwko domu Mertyna, i pilnowały. Był już późno wieczór, kiedy Krzysztof razem z gospodarzem wyszli z domu i bardzo intensywnie o czymś rozmawiali. Krzyś znów niósł jakąś dużą książkę do domu. Dziewczynki poszły za nim. Przy kolacji Ania opowiedziała rodzicom o tym, że zaprowadziła swój rower i że Krzyś był bardzo długo u Mertyna, a Mertyn był goły.

– Nie mówi się „u Mertyna”, tylko „u pana Mertyna” – poprawił Zdzisław.



– A ty, Krzysiu, co tam robiłeś? – zapytał ojciec.

– Rozmawialiśmy o tym, jak zbudować samolot – odpowiedział Krzyś bardzo poważnie.

– Co? – zapytał po chwili jeszcze raz Zdzisław, dławiąc się herbatą, którą rozlał na stole. Wszyscy przy stole przestali jeść i kiedy Krzyś powtórzył jeszcze raz to samo, nagle zaczęli się śmiać.

– On ma coś nie po kolei w głowie – powiedziała Maria.

– Nieprawda, to bardzo mądry człowiek, objaśniał mi, jakie są silniki w samolotach i w ogóle chciałby skonstruować nowoczesny samochód.

– To nie tylko samolot, ale i samochód? – pytał nadal Zdzisław.

– Niech tatuś sam do niego idzie, to się przekona.

– Jutro pójdę po rowerek Ani, to się przypatrzę, jak on tam buduje ten samolot – powiedział Zdzisław.

– A Krzysiek przyniósł jakieś książki od Mertyna – skarżyła Ania, patrząc na brata, który od razu wyjaśnił: „Przyniosłem budowę samolotu. Ale ciekawa książka! Wszystko w niej jest: silniki samolotów niemieckich, bombowców i messerschmittów.

Maria spojrzała na Zdzisława.

– Chyba będziemy mieli problem z tym wynalazcą – powiedział Zdzisław i uśmiechnął się do dzieci. – Swoją drogą, ten Mertyn to jakiś ciekawy człowiek.

Nazajutrz rano Ania i Krzyś poszli do szkoły na piechotę, bez rowerów. Dołączyli do grupki dzieci kosarzyńskich, które też nie miały rowerów. Ale kiedy wrócili ze szkoły, Ania już niecierpliwie czekała na tatę, żeby jej ten rowerek przyprowadził. W przerwie obiadowej Zdzisław razem z Krzysiem poszedł do Mertyna. Ania za nic w świecie nie chciała tam iść.

Wchodząc na obszerne podwórze, zobaczyli już ubranego Mertyna przy naprawie rowerka Ani. Lutował porwany łańcuch, który odwinął ze szprych w kołach.

– Dzień dobry – przywitał się Koziński, podając mu rękę.

– Dzień dobry – odpowiedział Mertyn.

– Widzę, że pan naprawia rowerek Ani, mojej córki – powiedział Zdzisław.

– Jeszcze tylko połączę ogniwo i już zaraz będzie gotów.

– Syn coś w domu wspominał, że pan jest wynalazcą?

– Wynalazcą to może nie, ale jakieś tam marzenia mam i chciałbym nad

nimi popracować.

Mertyn założył łańcuch na tryby koła i zaprosił Kozińskiego do swojego domu, do pracowni. Wszystkie pokoje były zagracone różnorakim sprzętem – silnikami, oponami, skrzyniami przeróżnych śrubek, śrub, nakrętek, niezliczoną ilością kluczy. Na ścianie wisały gumowe uszczelki, paski i linki, łańcuchy i łańcuszki, druty, lampy. Kuchnia zagracona była też dosłownie wszystkim, a pośrodku tego bałaganu stał na piecyku garnek z zupą. Koziński z uwagą przyglądał się temu wszystkiemu, a po chwili powiedział: „Podziwiam pana, panie Mertyn – mogę tak na pana mówić? We wsi tak pana nazywają” – dodał.

– Brunon Mertyn – przedstawił się gospodarz, podając rękę Zdzisławowi.

Zdzisław w zdumieniu podniósł brwi do góry. Nie spodziewał się w tych lasach lubuskich, na końcu świata, takiej uprzejmości i intelektu. Mertyn to w mig zauważył i podał Kozińskiemu taboret, żeby ten usiadł. Krzys stał obok i słuchał.

– Synek mój bardzo pana chwali i podziwia. A czym pan się zajmuje, skoro to nie tajemnica?

– Proszę, coś panu pokażę, nie samolot, ale samochód. Mówiąc to, rozłożył przed Kozińskim papierowe plany konstrukcyjne silnika. Pracuję nad nowoczesnym silnikiem do samochodu, tanim autem. Już wysłałem te plany do Warszawy, ale odpisano mi, że państwo polskie nie stać na produkcję takiego samochodu. Rozumie pan? Nie stać na budowę swojego samochodu, żeby nie zapłacić konstruktorowi. Ale stać na kupienie drogich samochodów z zagranicy! Na przykład WOŁGI! I tu jest pies pogrzebany, panie Koziński! Jestem biedny, chociaż wykształcony. Studiowałem przed wojną na uczelni technicznej, niemiec-kiej. Byłem ranny, ciężko. Nie wyjechałem z Polski, chociaż mogłem. Jestem już za stary, żeby przebijać się przez beton młodych wynalazców. Dlatego tutaj siedzę, w tych lasach. Pracuję nad tym, co kocham. Ooo, pana Krzysztof, to mądre dziecko. Wierzę, że też kiedyś skończy studia. Pojmuje bardzo szybko, co do niego mówię. Podejrzewam, że dzieciak dużo czyta. – Spojrzeli obaj na Krzysia, który udawał, że nie słyszy, co się o nim mówi, oglądając obrazki samochodów w dużym, kolorowym albumie.

– Panie Mertyn, to bardzo dobrze, że on do pana przychodzi, ale martwimy się z żoną, żeby nie było kłopotu z tymi wynalazkami; żebyście na przykład nie próbowali razem wsiadać i jechać nowo skonstruowanym

samolotem czy samochodem.

Na te słowa Mertyn uśmiechnął się.

– Wiem to, pańska żona martwi się jak każda matka. Ale nie ma obawy – jeszcze nie jestem takim wariatem, żeby pakować dzieci do moich wynalazków. Proszę mi zaufać – powiedział poważnie Mertyn.

– Dobrze, proszę powiedzieć, ile kosztuje naprawa rowerka córki? – zapytał Zdzisław, wstając z taboretu.

– Jeśli można, to prosiłbym o parę jajek i trochę ziemniaków – odpowiedział Mertyn, patrząc na Kozińskiego.

– Aha – mruknął Koziński. – No to bardzo zapraszam do nas. Żona panu wszystko przyszykuje, co panu potrzeba. Pójdzie pan z nami?

– Tak, tak – mruknął Mertyn i dodał w pośpiechu: „Tylko założę koszulę i jakieś gacie, bo i tak słyszałem od leśniczego, że nazywają mnie golasem” – uśmiechnął się.

Koziński też roześmiał się i powiedział: „Chyba z tysiąc razy wybierałem się do pana – mam do naprawienia bardzo dużo różnych rzeczy, jak to w gospodarstwie”.

– Bardzo chętnie służę – odpowiedział Mertyn, zapinając flanelową koszulę na guziki.

Wracali leśną drogą, idąc z górki i ciągle rozmawiając. Krzyś, zjeżdżając z górki na rowerku Ani, wjechał prosto na podwórze Kozińskich, na co Ania zaraz zareagowała, podbiegając do niego, ale widząc idącego za nim tatę z Mertynem, wycofała się zawstydzona i schowała do letniej kuchni.

W domu Kozińskich przyjęto Brunona Mertyna bardzo sympatycznie. Najpierw wraz z wszystkimi domownikami zjadł obiad. Potem Maria napakowała mu cały karton prowiantu, wraz z owocami i warzywami.

Od tamtej chwili człowiek ten, któremu losy też poplątała wojna i na skutek tego nie mógł w pełni wykorzystać swej wiedzy i przebywać w otoczeniu ludzi intelektualnie równych sobie, stanie się dla rodziny Kozińskich przyjacielem i towarzyszem długich rozmów. Życie będzie długo samotnie w domku pod lasem. Przyjdzie taki moment, iż razem z Kozińskim i Bogdanem Płóciennikiem założą zespół muzyczny „TROJAK”. Mertyn grać będzie na perkusji, skonstruowanej przez siebie samego, Bogdan na akordeonie, a Zdzisław Koziński na trąbce. Przez następne piętnaście lat, w przerwach między pracą w gospodarstwie, grać będą na zabawach i weselach w okolicznych wioskach.

## XXXIX

# Śmierć nad Odrą

Sierpień 1957 roku był upalny – w ciągu dnia temperatura dochodziła do + 30 stopni. Wieczorami komary nie dawały spokoju i „cięły” niemiłosiernie. Mimo to jednak Kosarzyn żył muzyką znad jeziora, zabawami tanecznymi, wycieczkami idącymi przez wieś i radością lata, słońca, dźwiękami gitar i wakacjami. Dzień wstawał już o czwartej nad ranem. Krowy dojono o szóstej i zaraz po tym wypędzano na pastwiska.

15 sierpnia, jak zawsze, z każdej bramy wypędzano bydło wraz z owcami na drogę lub plac, żeby dołączyć do wspólnego stada. Tego dnia zgromadzone na placu w Kosarzynie bydło nagle zostało zatrzymane przez sołtysa, który nic nie wyjaśniając, kazał ludziom przegonić stado na inne pastwisko, nie to nad Odrą.

– O co chodzi, sołtysie? – pytał pasący w tym dniu krowy Józek Kryza.

– O nic nie pytaj, Józek, tylko przeganiaj krowy. Zobacz, już zaczynają się denerwować – zwracał mu uwagę sołtys.

Widząc zamieszanie na placu, kilku gospodarzy wyszło przed swoje domy, a potem dołączyło do innych na placu.

– Co się dzieje? – pytali.

– Wojsko nie pozwala dzisiaj paść nad Odrą. Mają jakieś ćwiczenia. Przed chwilą był u mnie dowódca strażnicy w Żytowaniu. Nad Odrą jest pełno wojska. Mają ćwiczenia razem z Niemcami czy coś tam... sam dokładnie nie wiem. Mam nie puszczać nikogo za wał, to nie puszczam!

Ludzie machnęli rękami z rezygnacją i pomogli przegonić Józekowi krowy

w innym kierunku. Nikt nic nie mówił ani nie pytał, bo jak wojsko zarządziło, to święta rzecz. Widocznie tak ma być. Jednak w dwie godziny później drogą znad Odry wracało kilka samochodów wojskowych przez Kosarzyn. W środku kolumny jechał zielony karawan z ciemnymi zasłonami w szybach wojskowego auta.

– Co się stało? Przecież to karawan pogrzebowy! – zauważył Zdzisław. Nie mogąc dłużej wytrzymać w nieświadomości, poszedł do sołtysa.

– Żołnierza zabili! – wypalił od razu sołtys. A co mam nie mówić, jak i tak sami zaraz ogłoszą, bo nie da się ukryć?

– Jak? – zapytał Koziński.

– Dzisiaj w nocy stał na warcie nad Odrą. Zastrzelił go niemiecki szpieg i uciekł.

Koziński już nic nie pytał. W domu podzielił się tą wiadomością z Marią. Oboje Kozińscy przejęli się tym bardzo – do tego stopnia, że zabronili dzieciom po zmroku wychodzić na dwór. Wieś jakby wstrzymała na chwilę oddech; tylko nieświadomi niczego wczasowicze zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło. Minęło już ponad dziesięć lat od zakończenia wojny i nic nie wskazywało na to, żeby na terenie nadgranicznym, strzeżonym przez wojsko, mogło się coś takiego wydarzyć.

Wieczorem, kiedy Kozińscy obrządzali inwentarz, na ich podwórzu zajechał wojskowy „gazik”. Wysiadł z niego kapitan Gałązka, przywitał się i powiedział: „Pytamy ludzi z Kosarzyna, czy nie kręcili się tutaj jacyś obcy? Może jeden, dwóch?”. Maria, nie chcąc rozmawiać na podwórku, zaprosiła kapitana do domu. Kapitan podziękował za poczęstunek, który zaoferowała mu gospodyni. Wyjął notatnik i pióro, zadawał pytania i pisał. Wyjaśniał: „Pytam dlatego, że zginął młody żołnierz, zastrzelony przez bandytę z pistoletu. I w tej sprawie każdy szczegół od ludzi jest ważny. Każdy najmniejszy ślad może naprowadzić na trop”.

– Jak to możliwe, żeby tyle lat po wojnie przez Nysę przepływali szpiegowie? – zastanawiała się Maria. – Przecież każde dziecko wie, że na warcie stoją żołnierze.

– Tak, i to jest właśnie zastanawiające. To nie szpieg, drodzy państwo. Podejrzewamy zwyczajny bandytyzm. Dobry szpieg nie potrzebowałby zabijać żołnierza, a tym samym zwracać na siebie uwagę. Myślę, że to zdesperowany kryminalista, który chciał zwać przez rzekę na drugą stronę granicy.

– Oj, to Niemcy go złapią – pokiwała głową Maria. – Jak przeszedł przez Nyse, to go złapią! – upewniała kapitana i siebie samą. – Ale teraz strach powstał we wsi. Ludzie zaczęli się bać – spojrzała na kapitana.

– Nie ma powodu do bania się dla zwyczajnych ludzi. Nikomu we wsi nic nie grozi. Ale miejcie państwo oczy i uszy otwarte.

– Jak zginął? – zapytał Koziński, nie przypuszczając, że kapitan mu odpowie. Ale Gałązka oparł się wygodnie o poręcz krzesła i opowiedział.

– Znalazł go żołnierz przychodzący na zmianę warty. Zenek leżał w krzakach z odbezpieczonym karabinem i z oświetloną latarką. Miał postrzał w głowę. Widocznie kilkakrotnie wołał i ostrzegał sprawcę, żeby ten zatrzymał się i odezwał do niego. Zenek był dla niego namierzonym celem, jak na tarczy, oświetlony i pewny. Wołał pozbyć się kłopotu i strzelił celnie.

Po wyjściu kapitana Maria zawołała dzieci i oboje Kozińscy bardzo mocno i dobitnie pouczyli je o tym, żeby przestały chodzić nad jezioro samodzielnie.

– Nigdy i nigdzie nie idźcie sami. Wieczorami macie być w domu! – ostrzegał Zdzisław.

Ani Ania, ani też Krzyś przy takim kategorycznym postawieniu sprawy nie śmieli się rodzicom sprzeciwić ani też o nic prosić.

Dwa tygodnie po tej tragedii nad Odrą, w miejscu, gdzie zginął żołnierz, postawiono pomnik. Stoi tam do dzisiaj i stać będzie zawsze na pamiątkę tragicznego zdarzenia. Przechodzą tam, obok tego pomnika, każdego lata niezliczone rzesze turystów z całej Polski, ale też i z Niemiec. Przystaną, przeczytają. Na tablicy jest napis: TU ZGINAŁ TRAGICZNIE ŻOŁNIERZ POLSKI, ZENON CHŁĄD. Pomnik jest zadbany i odnowiony; leżą tam zawsze świeże kwiaty.

## XL

# Miłość i łzy

Lata sześćdziesiąte, to nowe życie – nowy sprzęt w kuchni, pierwsza lodówka, pralka „Frانيا” i pierwszy telewizor na wsi. Jeszcze długo przed zobaczeniem i poznaniem telewizora kierownik szkoły w Łomach zapoznawał dzieci z tym nowym wynalazkiem. Najpierw narysował go na tablicy szkolnej. Potem objaśniał: „W tej drewnianej skrzynce zobaczycie, jak tańczy i śpiewa »Mazowsze«; zobaczycie te filmy, co teraz je oglądacie na ekranie kina objazdowego”. W niedługim czasie po jego objaśnieniach w Kosarzynie rozniosła się wieść, że Bernas i Helenka Tyszkowie kupili sobie telewizor – taką skrzynkę, w której można będzie oglądać film jak w kinie. Ciekawość ludzi nie miała granic. Każdy chciał zobaczyć, jak to działa, co to jest takiego. I zaczęło się: kiedy tylko przychodził wieczór, ludzie zabierali z domu krzesła i szli „oglądać telewizor” do Bernasia. Helenka przyzwyczaiła się już do codziennych gości i kiedy przychodzili ze swoimi krzesłami, tak ustawiała telewizor, żeby obraz był widoczny dla każdego. Dziadek Antczak nie wierzył w rozwój techniki, i tak jak poprzednio mówił na radio „Kaprys”, że to diabelska sprawka, tak i teraz to samo powtarzał. Śmiano się z dziadka i żartowano. Bajki na dobranoc dla dzieci – „Jacek i Agatka”, przygody Ptysia i Balbiny – oglądane były przez wszystkie dzieci z Kosarzyna. Na mecze schodziła się cała wieś. Doping był tak mocny, że słychać go było na głównym placu we wsi. Tak więc do codziennego życia wsi, polegającego na pracy w gospodarstwach według pór roku, doszły wieczory spędzane przy jednym telewizorze. Niedziela to z kolei

głośne bicie dzwonów w kościele za Nysą Łużycką lub przejeżdżający z hukiem pociąg osobowy lub towarowy u sąsiadów za rzeką. Niekiedy zaszczekał pies w Kosarzynie, a po chwili odezwał się drugi za granicą niemiecką. Bliskość życia obydwu narodów była zauważalna i obserwowana przez obie strony.

Tak Polacy, jak i Niemcy drżeli przed wielką wodą po zimie lub po deszczach majowych. Tego roku nikt się nie spodziewał powodzi w lipcu. Deszcze majowe padały mocno, ale po jakimś czasie przestały, a nasiliły się w połowie czerwca, i to bardzo intensywne. Woda powoli wzbierała we wszystkich trzech rzekach, natomiast w Nysie Łużyckiej, która miała swój początek w górach, pędziła jak szalona, tworząc po drodze kłębowiska i bałwany wodne. Nysa była najstraszniejsza, ponieważ silne prądy wyrwały brzegi i niszczyły wszystko po drodze. Wody przybywało z godziny na godzinę. Chroniący Kosarzyn wał przeciwpowodziowy, jeszcze poniemiecki, ciągle był umacniany i podwyższany przez worki, które warstwami układało wojsko. Nocą chodziły patrole i czujki po wałach i po drogach Kosarzyna. Czuwający mężczyźni ze wsi nosili ze sobą kołatki – takie drewniane klocki, które kiedy uderzały jedne o drugie, wydawały przy tym głośne stuki. W ten sposób nawoływano się w ciemnym mroku nocy.

Mimo zapory wodnej i pozamykanych śluz, woda przedzierała się ponad bramą śluzową i wlewała się na pola i łąki Kosarzyna, dochodząc aż do drogi prowadzącej do wsi. Wszyscy mieszkańcy, łącznie ze starcami i małymi dziećmi, układali worki na wałach i pomagali wojsku. Przy wojsku czuli się bezpieczniej niż we własnych domach, bo gdyby, nie daj Boże, woda przerwała wał, oni natychmiast znaleźliby się na wojskowych pontonach.

Po niemieckiej stronie nie widać było wojska. Ludzie tracili dobytek. Pędząca Nysa porywała inwentarz. Świnie kwiczały, ratowane i wyciągane za łańcuchy z obór krowy ryczały i nie chciały wychodzić. Konie płynęły razem z prądem rzeki. Wraz z prądem fale znosiły altany ogródkowe, koszyki, wanny, kłody drzew i wszystko, co mogło unieść się na wodzie, płynęło gdzieś na stracenie w kierunku Odry, a potem morza. Krzyki ludzi były niemożliwie przeraźliwe. Ludność Kosarzyna wraz z wojskiem stała i bezradnie patrzyła na ogrom niemieckiego nieszczęścia. Nie mogli nic zrobić, nic pomóc. Dzieliła ich szalejąca woda i granica państwa. Dziwiono się tylko, dlaczego? Dlaczego tym ludziom nie przyszło z pomocą ich wojsko, gdzie było niemieckie wojsko?



Zmaganie z powodzią wykończyło zupełnie ludzi. Kiedy woda powoli zaczęła schodzić, na polach ukazał się bezmiar nieszczęścia. Całe połacie pól i łąk wypełniała czarna, cuchnąca maź. Wszystkie zasiewy i uprawy zostały zniszczone. Na głównym placu wsi sołtys zrobił zebranie. Przyjechał wójt i sekretarz gminy. Obiecano pomoc i przywiezienie z sąsiednich wsi paszy dla krów i owiec. Szacowanie szkód miało się odbyć zaraz po tym, jak tylko woda zejdzie całkiem z pól i będzie mogła wejść komisja szacująca szkody.

Po przyjsciu do domu z zebrania Zdzisław usiadł na podwórku pod gruszą i wycierając spocone czoło, powiedział: „Ot, i dopadła nas bieda!”.

– Tylko nas? Wszystkich – poprawiła Maria.

Koziński machnął z rezygnacją czapkę.

– Jak my teraz z tego wybrniemy?

– Dopiero lipiec, do jesieni jeszcze trawa urośnie. Najgorsze jest to, że zboża i kartofli nie ma i nie będzie – powiedziała Maria.

– Wójt obiecał pomoc. Powiedział, że jak oszacują straty, to każdy, kto miał ubezpieczone, dostanie odszkodowanie – mówił Koziński do żony.

– Szczęście, że my mieliśmy – westchnęła cicho.

Rozmowę ich przerwało wejście na podwórze Antosia.

– Ciociu, wujku, dostałem wezwanie do wojska. Pokazał im wezwanie. Maria spojrzała.

– Antosiek, nie musisz iść, jak będziesz się dalej uczył. Jeszcze przed tobą technikum. Na co ci wojsko?

Oboje Kozińscy czekali, co powie Antoś.

– Ja wszystko przemyślałem. Mam już zawód, to po co mam się jeszcze uczyć? Po wojsku pójdę sobie do pracy do metalówki, jak Bernaś.

– Boże jedyny, znów się zaczyna – jęknęła Maria. – Czemuż tak się uparłeś z tą pracą, możesz się uczyć. Bernaś się uczył więcej od ciebie. Jest majstrem i szefem, a ty będziesz zwykłym robotnikiem! – prawie krzyknęła Maria.

– Marysiu, zostaw go. Nie męcz się, niech idzie do wojska. Wojsko mu dobrze robi! Dobrze, dobrze, idź do wojska, ja byłem, nawet w rezerwie – powiedział Zdzisław i dodał: „Każdy chłop ma być w wojsku! Na kiedy masz wezwanie?”.

– W październiku – odpowiedział Antoś.

– No i dobrze, pochwalam. Co masz się męczyć jeszcze trzy lata w technikum, jak możesz odsłużyć wojsko? A nuż ci się tam spodoba

i zostaniesz na zawodowego żołnierza? – Zdzisław mówił do Antosia, a spojrział na Marię. Ta od razu poweselała i nabrała dobrego humoru.

– Może to i dobrze – złagodniała i pogłaskała Antosia po ramieniu. Antoś, ucieszony z akceptacji wujostwa, pobiegł na górę do kuchni. Po chwili usłyszeli, jak buszuje po garnkach.

– Głodny chłopak, ale jest zupa i racuchy na półmisku, to się naje – powiedziała z troską Maria.

Lato po powodzi okazało się upalne i szybko wszystko dochodziło do normalnego stanu. Spod czarnej i zgnitej trawy, która po wyschnięciu zrobiła się szara, wychodziły świeże, młode, zielone listki. Na wysokich krzewach i wierzbach – tam, gdzie sięgała woda – pozostał zastygły, zmurszały muł rzeczny i naniesione przez wodę przeróżne przedmioty, które woda zabrała ze sobą. Na łąkach i pastwiskach miejscami widać było jeszcze stojące oczka wodne i grząskie, ciemne, bagienne miejsca. Oznaczało to, że na razie jeszcze nie można tam wchodzić. Dopiero jak te ciemne bagna popękały, wysuszone od słońca, wiedziano, że już jest dość sucho i można wypasać bydło.

W połowie sierpnia, po sprawdzeniu gruntu przez komisję, zdecydowano się na pierwszy popowodziowy wypas krów. I znów gonione drogą przez Kosarzyn stado porykiwało, a pies ujadał. Wieczorami wszystko milkło, tylko znad jeziora dochodził do wsi dźwięk gitar i śpiew harcerzy. Słychać było także rytmy wystukiwane przez perkusję z orkiestry wojskowej, grającej na zabawie dla turystów.

W ciepłe dni lata bardzo często przebywali nad Odrą, łowiąc ryby, Dominikowie. Przyjeżdżali na cały dzień i wieczorem wracali. Mieli już kolejny nowy samochód i przyjazd na ryby do Kosarzyna nie stanowił dla nich większego problemu. Pewnego zaś razu postanowili pobyć troszkę dłużej, a to z racji tego, iż wojsko organizowało na plaży pokaz filmów wojennych, a wśród nich także i *Orła*, którego cała rodzina chciała zobaczyć. Dominik Koziński wprowadził auto na podwórko brata i cała rodzinka, wraz z Romaniewiczami, wyruszyła na projekcję filmu. Każdy w kurtce z kapturem i w spodniach z powodu komarów, ale w wyśmienitym humorze, szedł z radością – nie tyle z powodu filmu, co z tego, iż znów razem wszyscy się pozbierali i w czymś ważnym uczestniczą. Oglądający film siedzieli, gdzie popadnie – na kocach, materacach, a nawet krzesłach przyniesionych przez harcerzy. Ogromny ekran wiszący na drzewie dawał wyraźny obraz,

który można było widzieć z bardzo dalekiej odległości – nawet z pobliskiego lasu lub z mola. Projekcja trwała ponad trzy godziny i Ania przysnęła na rękach u taty. Wracali za to całą grupą.

Podczas powrotu do domu drogą przez las wyszło na jaw, że i Romaniewiczze chcą opuścić Kosarzyn i wyjechać do Gubina, do Rysia, który już tam mieszkał od dawna z żoną i dziećmi. Wiadomość ta dla Zdzisława była przykrą niespodzianką, bowiem z Adamem łączyły go więzy mocnej przyjaźni – razem gospodarzyli, pomagali sobie wzajemnie przy żniwach, sianokosach, kopaniu ziemniaków. Zmartwił się tym bardzo, ale nie narzekał. Nigdy nie narzekał na swój los. Chodził tylko smutny i przygnębiony.

– Jak oni tam się wszyscy pogodzą – rozmyślał pewnego razu przy obiedzie. – Adam pozostawia dom na pastwę losu, a jak im nie wyjdzie z tym wyjazdem, nie będą mieli gdzie wrócić. Synowa Romaniewiczów to wielka pani, a Helena już nie ma tyle siły, żeby bawić im dzieci. Póki jest potrzebna, to może będzie dobrze, ale jak jej zabraknie sił...

– To jeszcze tak szybko nie nastąpi, Adam zostaje jeszcze przez jesień, dopóki wszystkiego nie zbiorą z pól. Potem zobaczą. To przecież jest rodzina, najbliższy syn i jedyny – uspokajała męża Maria. – Ty powiedz szczerze, że sam będziesz tęsknił za siostrą i tu cię boli – powiedziała, głaszcząc męża po głowie.

Przytrzymał jej rękę i pocałował. – Skąd wiesz? – zapytał ze łzami w oczach.

– Bo wiem. Helena to dla ciebie jak matka; pamiętasz, jak mi opowiadałeś o tych butach, co je dla ciebie dostała od żołnierzy? Jak zatrzymała całą kolumnę?

– Noo... zatrzymała, ale buty dostaliśmy i ja, i Rysio. Dzielną mam siostrę. Bardzo jest mi bliska; jak ona wyjedzie, to będę tęsknił.

Maria spojrzała na niego z niepokojem.

– A my? Ja?

– Ty jesteś najważniejsza – powiedział. – Ale Helena to dom rodzinny – moje korzenie, Kresy, Okopy. Las i bieda. To wszystko razem przeszliśmy z moją siostrą.

Maria objęła jego głowę i pocałowała we włosy.

– Zobacz sam, przyjechali wszyscy tutaj do Kosarzyna, a teraz wyjeżdżają do miasta! Do miasta, ziemianie z dziada, pradziada! – Już nie wspomnę

Franków z Warszawy; ci od razu wysiedli w stolicy. A Franek, twój brat, gra w miejskiej orkiestrze! Ty jeden z całej czwórki zostałeś na wsi. Najmłodszy z braci. Teraz wiem, czemu dostawałeś pod choinkę konika. Takie było twoje przeznaczenie – powiedziała cicho Maria. – Jesteś dobrym człowiekiem; dziękuję ci za te wszystkie lata, w których jesteś ze mną. Nie byłam z tobą w lesie na mrozie, ale ty byłeś przy mnie, w dobrych i złych czasach. Ciężko pracowałeś, harowałeś, żeby pomagać mi przy wychowaniu przecież nie swoich dzieci! Nigdy nie powiedziałeś mi złego słowa! Nigdy nie przekląłeś! Wiesz, kim dla mnie jesteś?! To ty jesteś najważniejszy! Zrobiłeś to dla mnie i za to cię kocham najbardziej na świecie. Nie tamtego, mojego dawnego narzeczonego, który nie mógł ze mną być z tego właśnie powodu, z którego ty zostałeś ze mną na zawsze.

Zdzisław nie pozwolił jej już więcej mówić. Przytulił ją do siebie i długo trzymał łkającą w jego ramionach. Powoli odgarnął jej włosy z czoła i pocałował. Na to wszystko wbiegła do kuchni Ania i stanęła, patrząc na nich speszona.

– Co jest mamusi? – zapytała.

– Nic, nic, troszkę boli mnie głowa – powiedziała Maria, odsuwając się od męża.

## XLI

# Kułak

Tak się w życiu Kozińskich ułożyło, że po latach wyrzeczeń i ciężkiej pracy, trudu i łez, nagle rozjaśniło im się życie na tyle, że mogli sobie kupić także i oni telewizor i pralkę. Hodowla ponad dwustu sztuk owiec i kilka dojnych krów oraz bukatów przyniosła im pokaźne zyski. Nareszcie zyski – a przecież tylko ich dwoje na to wszystko pracowało! W sporadycznych wypadkach najmowali ludzi z Łomów do zwózki siana czy przy żniwach. Dominikowie i Romaniewiczowie wyjechali do miasta, wobec czego Zdzisław z Marią zmuszeni byli znaleźć sobie kogoś z sąsiadów do pomocy przy cięższych pracach w gospodarstwie. Zaprzyjaźnili się więc z Antczakami i Skierszami. Pożyczali sobie nawzajem konie i maszyny rolnicze, a także zwozili razem siano i snopki z pól. Potem już wszyscy mieszkańcy Kosarzyna odrabiali młóckę zboża po kolei u każdego.

Tak się działo do czasu, aż nie powstały w gminie tzw. MBM-y – firmy spółdzielcze, wykonujące usługi rolnicze na wsi. Po ich powstaniu wieś powoli zapomniała o młocce. Zamiast niej kosiły i od razu młóciły na polach kombajny. Kierownikiem MBM-u gminnego był Michaś Tyszko. Starał się jak mógł najlepiej pomagać Kosarzynowi, więc w pierwszej kolejności kombajny pracowały na polach w tej wsi, a dopiero potem wjeżdżały na pola łomowskie i dalej na inne wsie. Jeśli przyszła pora żniw, kombajny nie przestawały pracować nawet w niedziele.

W kosarzyńskich domach było już coraz więcej telewizorów. Jesienią za sprzedane bukaty Kozińscy kupili sobie motor wufemkę i motorower dla

Krzysia. Rok później na podwórku stał nowoczesny, choć nieduży traktor. W oborze krowy doła dojarka elektryczna. Już rzadko kto słuchał radia; teraz zawsze czekano na wieczorne wiadomości Dziennika telewizyjnego. Dla Kozińskiego oglądanie Dziennika w telewizji było równoznaczne z zakończeniem dnia pracy. Starał się bardzo wszystko poobrzędzić na czas.

W Dzienniku pokazywano przemawiającego Gomułkę, który pomału wycofywał się z obietnic danych ludziom na początku swojej kadencji. W ciągnących się godzinami przemówieniach często słyszano wymawiane przez niego nazwisko kardynała Wyszyńskiego, do którego uwolnienia z więzienia on sam się przyczynił. Teraz jakby tego żałował i oskarżał kardynała o wrogie zachowanie wobec PRL. Z powrotem lekcje religii powróciły z klas szkolnych do sal katechetycznych w kościołach. Wędrujący po Polsce obraz Matki Bożej pokazywano w telewizji i szydzono. Widząc to, Maria aż zawołała: „Ojej, Stefka mi mówiła, że i u nas będzie obraz, w Kosarzynie! Tylko nie wiem, czy w każdym domu, czy tylko w jednym? Muszę się dowiedzieć – powiedziała cicho. – Co ty na to, Zdziśku?

– Trzeba robić tak jak wszyscy. Jak ma być we wszystkich domach, to i w naszym – odpowiedział spokojnie Koziński.

W niespełna tydzień po tej rozmowie do wsi został przyniesiony z wielką procesją z sąsiedniej wsi obraz Matki Bożej. Został przyjęty przez rodzinę zamieszkałą naprzeciwko Kozińskich i tam schodzili się ludzie modlić. Obraz w Kosarzynie był trzy dni. Przez trzy dni przy obrazie czuwano i śpiewano pieśni nabożne. Potem z wielkimi honorami i procesją obraz został odprowadzony do kościoła w Chlebowie. W procesji uczestniczyła cała wieś – matki z dziećmi, ludzie starsi i młodzież; kto tylko czuł się na siłach, wędrował wraz ze wszystkimi, śpiewając i modląc się.

Pamiętna gościna obrazu zjednoczyła wszystkich. Wieś jakby stała się lepsza, zespolona w jedną wielką rodzinę. Jeszcze długo po wizycie obrazu nie słychać było na wsi przekleństw, sąsiedzkich kłótni czy odgłosów pijaństwa.

Którejś jesieni w latach sześćdziesiątych przyjechał do wsi na zebranie wójt gminy i ogłosił zbiórkę darmowego oddania zboża dla miasta.

– Ile kto może dać, niech da. Mamy teraz taki rok biedy i suszy, że trzeba pomóc miastom.

Po jego wystąpieniu w świetlicy zaległa kompletna cisza. Po chwili jeden z rolników zapytał: „No to jakże tak? Za darmo? To niech nam górnicy ze

Śląska dadzą węgiel za darmo!” – krzyknął i spojrzał na swoich towarzyszy siedzących za nim. Na sali wybuchła salwa śmiechu. Ten sam rolnik, podjudzony i zachęcony przez tłum, zawołał: „Za darmo to i baba nie wpuści do łóżka!”. Znow gruchnęła salwa śmiechu.

Wójt próbował tłumaczyć, że nie musowo oddawać na jeden raz dużo.

– Wystarczy worek zboża, a potem, po jakimś czasie, znow drugi worek.

– No tak, chłop zawsze musi być bity po kieszeni! Chłopu to gruszki na wierzbie rosną, a on tylko leży i patrzy! – zawołał drugi z rolników.

– Panowie, gmina nie może wam zapłacić, bo sama nie ma, ale ci, co dadzą zboże dla miasta, będą szczególnie honorowani na dożynkach. Mamy dla nich odznaczenia i dyplomy. Sołtys spisze każdego, kto ten worek zboża przekaże. A my w gminie już mu podziękujemy – zapewniał wójt.

Po powrocie do domu Kozińscy naradzali się, ile zboża mają przekazać. Od czasu wyjazdu Dominików cały ich dom przeznaczono na magazyn zbożowy. We wszystkich pokojach leżało na podłogach wysypane z kombajnu zboże.

– Wiesz, Marysiu, damy dwa worki na raz i będziemy mieli spokój – zaproponował Zdzisław.

– Dobrze, jak tak mówisz. Ty jesteś gospodarz – zgodziła się Maria.

Kiedy przyjechano ciężarówką po zboże, od razu Koziński oddał przygotowane i nasypane dwa worki zboża – jeden worek żyta i drugi pszenicy.

– Ooo, aż dwa worki! – zawołał jeden z pracowników zabierających zboże. – Gospodarz hojny; inni dają po jednym i też dobrze – dodał z uśmiechem.

– No, to ja drugi raz już nie dam, bo wszystko oddałem – tłumaczył Koziński.

Robotnicy, pożegnawszy się, odjechali.

Za pół roku sytuacja się powtórzyła. Ale tym razem Koziński zboża nie dał, bo trochę zawiózł do młyna i zmielił na mąkę, a resztę przeznaczył na zasiewy i śrutę dla zwierząt. Samochód odjechał spod domu Kozińskich bez zboża. Natychmiast rozniosło się to po wsi i aż dotarło do gminy. Ania przyszła ze szkoły z płaczem, skarżąc się na dzieci, które nazwały jej ojca „kułakiem”. – Jakim ty jesteś kułakiem, tatusiu? – pytała, jedząc obiad i spoglądając na ojca. Po raz pierwszy w życiu Zdzisław nie wiedział, co ma odpowiedzieć własnemu dziecku.

– Nie jestem żadnym kułakiem! Kto tak powiedział? Które z dzieci?

Noo, Lalka i inni. Uciekali ode mnie i zostawiali mnie z tyłu, i ja się bałam.

Koziński nałożył czapkę i wyszedł z domu. Po chwili znalazł się na podwórzu u rybaka.

– Dzień dobry, panie Roszak – powiedział Koziński, ale nie podał ręki Roszakowi, tylko od razu zapytał: „Jest Lala, pana córka, w domu?”.

– Chyba jest – trzymając w rękach sieć rybacką, którą naprawiał, Roszak podszedł pod schody prowadzące do domu i zawołał: „Lala!”.

Po chwili zbiegła po schodach z góry ładna, wysoka dziewczyna. Widząc Kozińskiego, powiedziała „dzień dobry”, ale zrobiła się czerwona na twarzy.

– Czemu wyzywasz mnie od kułaków i prześladujesz w szkole Anię? – zapytał od razu Koziński ostrym tonem.

– Ja nie wyzywam. Tu w Kosarzynie wszyscy już tak na pana mówią – odpaliła bezczelnie dziewczyna, patrząc mu odważnie w oczy. Koziński nie spodziewał się takiej bezczelności z przyzwoleniem ojca dziewczyny. Stał jak zamurowany.

Po chwili odezwał się Roszak.

– Panie Koziński, ot dzieci, jak to dzieci, nie przejmuj się pan tak mocno. Pogadają i przestaną – powiedział z ironią.

– Mnie nie chodzi o mnie, tylko o moją córkę, którą już raz pana Lala skrzywdziła! – krzyknął nie panując na sobą Koziński. – Jeśli pan jej nie uspokoi, pójdę do kierownika szkoły! – zagroził i wyszedł szybko z podwórka rybaka.

Nazajutrz rano Zdzisław kazał Krzysiovi mieć oko na siostrę i pilnować ją, a bardziej jeszcze pilnować Lalę. Rozmowy Kozińskich w domu zainteresowały także ich dzieci, które zaczęły zadawać im pytania. – Dlaczego nas tak nazywają? Co to znaczy? – pytały. Tak Maria, jak i Zdzisław tłumaczyli, że kupili parę rzeczy do domu i do gospodarstwa i to „kłuje” ludzi w oczy.

– Nasza ciężka harówka od świtu do nocy nikogo nie obchodzi, tylko że mamy motor, którym jedziemy czasami z tatą po zakupy albo do dentysty do Gubina – tłumaczyła Maria. – Oddaliśmy tyle samo zboża co inni, ale za jednym razem, a potem już nie mieliśmy – to też źle. Boże – Maria zakryła oczy pełne łez. – Aż nie chce się wierzyć w podłość ludzką!

Ania podeszła do mamy i objęła ją za szyję. Maria przytuliła córkę



i wstała z krzesła.

– Nie trzeba się przejmować, nie chodźcie nigdzie na plac. Niech się wszystko uspokoi – prosiła dzieci. Nie musiała nawet prosić – ani Ania, ani też Krzyś nigdzie się nie wybierali. Książki wystarczały im za najlepsze towarzystwo, a jeszcze w telewizji pokazywali nowy serial *Czterej pancerni i pies*, na który zawsze oczekiwali.

Może i wszystko już by się ułożyło, gdyby nie kolejny cios. Któregoś dnia Zdzisław jak zawsze poszedł do stodoły wyprowadzić ciągnik, żeby nim pojechać w pole. To, co zobaczył, ścięło go zupełnie z nóg. Wszystkie cztery koła miały pocięte opony – poprzecinane, porąbane siekierą czy jakimś równie ostrym i twardym narzędziem. Usiadł na drewnianej belce w niemym przerażeniu i tak siedział, oniemiały i zszokowany. Maria, nie widząc go wychodzącego lub wyjeżdżającego ze stodoły, przyszła zobaczyć, co się dzieje. Spojrzała na traktor i też usiadła obok męża. Oboje milczeli. Maria nawet nie płakała. Szok był większy od łez i żalu. Po dłuższej chwili milczenia Zdzisław wstał i cicho powiedział: „To ja idę, idę do Antczaka”.

Maria nawet go nie pytała, po co ma iść do Antczaka. Też wyszła ze stodoły i poszła do domu. Na kuchni nastawiła garnek z wodą na zupeł i zaczęła obierać ziemniaki. Na tę chwilę przyszedł Mertyn. Przywitał się i usiadł na krześle podanym mu przez Marię. O coś pytał, coś mówił, o czymś opowiadał. Maria nic mu nie odpowiadała. Po chwili wstał i wyszedł z kuchni. Na podwórku spotkał Zdzisława.

– Niech pan idzie, panie Mertyn, coś panu pokażę – powiedział Zdzisław.

Będąc już w stodole, Koziński pokazał ręką na opony. – Widzi pan, co zrobili kułakowi?

Mertyn złapał się rękami za głowę. Po chwili powiedział: „Psa musi pan mieć, i to dobrego, to znaczy złego! Takiego, żeby nikogo nie wpuszczał na podwórko, panie Koziński. Ludzie to nie ludzie – gorsi są od zwierząt, bo zwierzęta nie czują zawiści.

– Jedną oponę mam, zapasową, ale trzy? – martwił się Zdzisław.

– Ja też coś mam u siebie, ale muszę zobaczyć, jakie to opony, ludzie mi przywożą wszystkie odpady, to i opony też jakieś są – powiedział Mertyn i dodał: „Panie Zdzisławie, coś zawsze wymyślimy. Co dwie głowy, to nie jedna. Biorę od pana taczkę i zaraz przyjeżdżam z oponami – uśmiechnął się.

Mertyn poszedł z taczką, a Zdzisław do domu, do Marii.

– Widzisz, Marysiu, dobrze, że mamy we wsi naszego Mertyna. Dobry

jest na nieszczęścia – powiedział ze smutkiem.

Ściąganie i zakładanie, przymierzanie opon zapasowych trwało przez tydzień, aż w końcu się udało i traktor wyjechał ze stodoły. Oboje Kozińscy nie mieli słów wdzięczności dla Mertyna za pomoc. Ofiarowali mu swoją przyjaźń już na zawsze. Przychodził po warzywa, ziemniaki, mleko, jajka, kiedy tylko miał taką potrzebę. A jak w gospodarstwie było świniobicie, któreś z dzieci biegło do Mertyna z zapakowaną porcją mięsa. Wychowywane w poczuciu sprawiedliwości społecznej dzieci Kozińskich po raz pierwszy w życiu zaczęły dostrzegać i poznawać w drugim człowieku zawiść, zazdrość, a także otępiałość i zawziętość, graniczącą z bezmyślnością. Nie czekali zbyt długo, a już wkrótce następne zdarzenie miało ich boleśnie doświadczyć.

Kozińscy mieli małego pieska. Ania nazwała go Finkiem; imię zostało wzięte z czytanki w elementarzu. Był to taki długi, rudy, jamnikowaty kundelek, podobny troszkę do lisa. Dziewczynka czasami go kąpała i zawijała w wełnianą chustkę, po czym kładła go na pierzynę, a on tak leżał nieruchomo, co wprawiało Anię i resztę domowników w serdeczny śmiech. Widocznie psu było tak dobrze leżeć, wykapanemu i jeszcze zawiniętemu. Pewnego razu powracające z pastwiska krowy przyganiało jedno małżeństwo, mieszkające po sąsiedzku, które odrabiało w tym dniu swoją kolejkę. Mieli oni bardzo złego psa – owczarka niemieckiego – tak agresywnego, że sam jego widok budził postrach. Jakimś trafem na ulicę, którą przepędzano krowy, wybiegł Finek. Reks go zobaczył i dopadł. Schwycił go zębami za szyję i wywijał nim w prawo i w lewo. Cała rodzina Kozińskich wybiegła ratować Finka. Sąsiedzi, zamiast rozłączyć psy, szczuli jeszcze bardziej Reksa na Finka. Co się działo z Anią? Rozpacz i płacz, krzyk nic nie dawał. Ludzie szczuli psa bezwzględnie i okrutnie – najbardziej okrutnie, jak można sobie wyobrazić. Wtedy właśnie po raz pierwszy w życiu Ania poznała okrucieństwo ludzi. Po raz pierwszy w życiu zaczęła się ich bać. Wiedziała już, że to nie są ludzie, jakich przedstawiali jej rodzice, którzy nakazywali mówić sąsiadom „dzień dobry”, uczyli, że trzeba być miłym i grzecznym. Wtedy, właśnie na tej ulicy, Ania poznała zło.

Po tym wydarzeniu dom Kozińskich całkowicie wypełnił smutek. Dzieci przeżyły traumę nie do opisania. Finek cudem przeżył. Leżał potem długo w wymoszczonym koszyku, lecząc rany. Dziewczynka nie odstępowała go na krok. To wydarzenie będzie pamiętać przez całe swoje życie. Niekiedy los

zetknie ją w przyszłości z tymi ludźmi. Czasami spotka ich gdzieś przypadkiem na ulicy, w sklepie; zawsze w jej pamięci będzie powracać obraz tej przeżytej tragedii z dzieciństwa.

Wieczorem, po tym traumatycznym wydarzeniu, Maria po raz pierwszy płakała na głos, żaląc się do męża. Nie ukrywała swoich łez też przy dzieciach.

– Niech się uczą, niech wiedzą, jacy są ludzie! – mówiła przez łzy. – Książki, filmy, szkoła, koleżanki i koledzy, sielskie życie bez zmartwień i trosk – nie ma takiego życia nigdzie na świecie! Trzeba się o nie bardzo starać. Trzeba się uczyć i pracować. Zapamiętajcie to! Widzieliście dzisiaj na własne oczy, jak można krzywdzić. Nie wolno się poddawać. Finek żyje, bo go obroniliśmy. Zapamiętajcie na całe życie. Nigdy nie wolno krzywdzić nikogo, ale też nie wolno wam się dawać krzywdzić przez nikogo, nigdy!

## XLII

# Wiosna przychodzi co roku

**W**iosna tego roku do Kosarzyna przyszła bardzo wcześnie, ponieważ zima przyszła szybko i szybko też odeszła. Już w lutym w przydomowych ogródkach spod śniegu zaczęły wydobywać się pierwsze śnieżyczki. W marcu były nieduże przymrozki w nocy, za to w dzień słońeczko mocno grzało. Wróble dokazywały na dachu przybudówki przy kuchni, gdzie Ania wysypywała im okruchy pieczywa. Bardzo blisko domu obudzony po zimie las rozbrzmiewał śpiewem ptaków i wiewiórki hasały po konarach drzew. Nigdzie nie było widać już śladu śniegu i ziemia podeszła po roztopach. Lecz mimo ładnej pogody nie wypuszczano jeszcze na pastwiska ani bydła, ani owiec. Karmienie inwentarza odbywało się w chlewach, stajniach i oborze. Tylko owce wyganiał Zdzisław z chlewa na podwórze, gdzie miały już przygotowaną, paszę w drewnianych korytkach. Przeważnie były to pokrojone kartofle, zasypane śrutą. Nie było odpoczynku ani mowy o tym. Praca w gospodarstwie trwała od świtu do nocy. Ale wiosną praca trwała nawet i w nocy, ponieważ na świat przychodziły jagnięta i trzeba było oddzielać matki z małymi od reszty stada. Nieraz tak było, że oboje Kozińscy do świtu przesiadywali przy rodzących owieczkach, pomagając przyjść na świat małości. A potem, jak matka nie chciała przyjąć maluszka do karmienia, co również zdarzało się często, trzeba było jagnięta karmić smoczkiem z butelką. Tylko w niedzielę robiono przy inwentarzu tyle, żeby nakarmić zwierzęta i wydoić krowy, które również cieliły się wiosną. I owce, i krowy przeważnie wydawały na świat swoje małe

nocą. Tak to natura jakoś wymyśliła, że właśnie w nocy przychodziło na świat najwięcej maleństw.

Rano przy śniadaniu Kozińscy rozmawiali o kolejnych nowo przybyłych do gospodarstwa cielaczkach czy barankach. Ania, podsłuchując rozmowę rodziców, natychmiast biegła zobaczyć nowego baranka czy cielaczka. Pewnego razu w niedzielę poszła w odwiedziny do Michasia i Stefki Tyszko, aby pochwalić się nowymi zwierzątkami, które urodziły się w gospodarstwie. Zenek był już dużym chłopcem i miał siostrzyczkę, którą sam nazwał Lunią, chociaż naprawdę na imię miała Emilka. W telewizji szedł Dziennik telewizyjny, a w nim informacje i komunikaty mówiące o wydarzeniach na Kubie. Chodziło o to, że trwała tam wojna domowa. Słyszając, jak prezenter mówi w dzienniku „Kuba w ogniu”, Lunia wstała od klocek, które sobie układała, i pobiegła przez drogę do wujka Zdzisia krzycząc co siłą: „Wujek, Kuba w ogród! Chodź, zobacz, Kuba w ogród!”. Koziński rzucił widły, którymi podrzucał siano dla krów, i poszedł za dziewczynką. Wszedł do mieszkania Tyszków, a Lunia zaprowadziła go do pokoju, gdzie stał telewizor, i pokazując na ekran, dalej to powtarzała. Ania ze śmiechu przewróciła się na kanapę, Zenek też.

– Tatusiu, pokazywali wojnę na Kubie – wyjaśniła Ania. – Mówiono „Kuba w ogniu”. Lunia źle zrozumiała. Myślała, że jest mowa o twoim źrebaku Kubie.

Koziński wracał i sam śmiał się do siebie. Istotnie, kupiony niedawno przez niego młody źrebaczek, nazwany Kubą, biegał po ogrodzie i po sadzie.

Wieczorem po obrządku, jedząc w kuchni kolację, Zdzisław opowiedział wszystko Marii. Ta najpierw się uśmiechnęła, ale po chwili powiedziała: „Tak, na Kubie wojna, ale i u nas w kraju nie lepiej się dzieje. Mówiły kobiety w mleczarni, jak rano zносиłam mleko, że w Warszawie i Krakowie studenci demonstrują i jest wielkie zamieszanie. Podobno władze nie dopuściły do wystawienia *Dziadów* Mickiewicza, bo tam coś jest przeciwko Roskom. Wstyd powiedzieć, ale ja nie czytałam *Dziadów* – powiedziała ze smutkiem Maria.

– Wiem o tym, ale wolałam ci nie mówić, żeby cię nie martwić. Polityka to brudna sprawa – ale jak już wiesz...

– No to mi wyjaśnij – prosiła Maria.

– To jest taka sprawa: nie wolno nic mówić na Związek Radziecki – *panimajesz?* – żartował Zdzisław. I ciągnął dalej: – Rosja związała się

z Arabami przeciwko Żydom i przez to Żydzi też są w Polsce. Nazywają ich syjonistami i też jest na nich nagonka. Już uciekają z Polski i będą uciekać. Towarzysz Wiesław nadaje z trybuny w kółko jedno i to samo. Ja już przestałem słuchać. Ot co! – zakończył wyjaśnienia żonie Koziński.

– No dobrze, dobrze, tylko czy wojny z tego nie będzie? – martwiła się Maria.

– Nie będzie, nie będzie – zapewnił Zdzisław i poszedł do pokoju włączyć telewizor.

W sobotę na przepustkę z wojska przyjechał Antoś. Od razu zrzucił mundur i przebrał się w cywilne ubranie. Poszperał po garnkach, jak to zawsze miał w zwyczaju, zjadł coś i poszedł do Bogdana Płóciennika, swojego najlepszego kolegi. Ania z ciekawości podpatrywała jego przechadzki z dziewczętami po drogach Kosarzyna i zaraz meldowała mamie. Kozińscy rozumieli poczynania najmłodszego z braci Tyszków. Nawet sprawiało im to radość, że Antoś wkracza w dorosły świat i pewnie wkrótce przyprowadzi do domu przedstawić wujostwu swoją dziewczynę. Zamiast tego, jak przypuszczał wcześniej Zdzisław, Antoś oświadczył, że zostaje w wojsku na zawodowego podoficera, że będzie się uczył i dostanie mieszkanie służbowe w Gubinie. Listy jednak od dziewcząt przychodziły coraz częstsze – i to nie od jednej, co wprawiało Kozińskich w zdumienie.

– Co on tak bałamuci te dziewczyny, ten nasz Antoś? Zobacz, znów koperta wyperfumowana, różowa – Maria pokazywała mężowi kopertę, którą dopiero co dał jej listonosz.

Po powrocie Antosia do domu oddała mu list, który on przeczytał, a potem rzucił na stół i więcej do niego nie zaglądał. Wtedy Ania zakradła się do środkowego pokoju i przeczytała już otwarty list. Po przeczytaniu cichutko wymknęła się z pokoju. Poznawała w ten sposób tajemnice Antosia i Krzysia, któremu również podczytywała wiersze na lipie w sadzie.

Mimo różnych doświadczeń, życie u Kozińskich biegło swoim codziennym, utartym trybem. Każdy dzień podobny był do drugiego, poprzedzielany porami roku na wsi, do których trzeba było się przystosować. Gospodarstwo rolne rozwijało się i potężniało. Przybywało krów, a ogromne stado owiec zmuszało gospodarzy do osobnego wypasu. Nie można było dołączać tak olbrzymiego stada do zwierząt pozostałych gospodarzy i razem wypasać, wobec czego Zdzisław podzielił kilka hektarów swojej łąki na mniejsze kawałki, które ogroził, i tam wypasał owce, przeganiając je

z jednej kwatery do drugiej.

Cała rodzina pracowała w gospodarstwie przy sianokosach i żniwach – włączając w to Anię, Krzysia i Antosia, jeśli tylko był w domu. Niespodziewanie latem tego roku Antoś przyjechał w mundurze do domu.

– Kochani moi, wywożą nas do Czechosłowacji! Przyjechałem się pożegnać, pierwszy raz wywożą polskie wojsko! Nie wiadomo, co tam nas czeka! Jadą prawie wszystkie wojska z Układu Warszawskiego, ale tylko kilku Niemców! – Mówiąc o tym, chodził po kuchni, zdenerwowany i przejęty. Maria patrzyła na niego zapłakana.

– To co to będzie? – Znów wojna?

– Nie światowa, ciociu, tylko domowa! – mówił podniesionym tonem.

– Jak to domowa, kiedy mi mówisz, że dużo wojska jedzie, nawet z innych państw.

– Jadą ci, co są w Układzie Warszawskim, i Sowieci.

Maria westchnęła ciężko: „Już ja wiem: jak bolszewicy jadą, to nic z tego dobrego nie będzie. Pilnuj się, dzieciaku! Nie leż tam, gdzie niebezpiecznie – prosiła Maria, spoglądając na Antosia z czułością.

– Jak dostanę rozkaz, to go muszę wykonać – powiedział Antoś już ciszej. Puścili nas z koszar przed wyjazdem, żeby się pożegnać, to i jestem.

Maria wstała pośpiesznie z krzesła: „Może ci coś dać ze sobą, jakiego jedzenia?”

– Nie jedzenia, bo tego nam nie brakuje, tylko dobrego słowa.

Przytuliła go mocno, pocałowała we włosy i zrobiła na czole znak krzyża.

– Będę się modlić za ciebie. Idź jeszcze do braci, do Michasia i Bernasia.

Po wyjściu Antosia Maria spojrzała na Zdzisława.

– Co ty o tym wszystkim myślisz, bo ja już nic nie rozumiem. Niby nie ma wojny, a jest.

– No to tak teraz jest w Czechosłowacji, jak u nas w 1956 w Poznaniu. Ale w Czechach jest o wiele groźniej, bo do nas Układ Warszawski nie wysyłał swoich wojsk. Myślę, że tam będzie gorzej, o wiele gorzej – mówiąc to zamyślił się i dodał: „Przecież Antoś jest czołgista, to i czołgi tam jadą, a to już jest gorsza sprawa”.

Po wyjeździe Antosia cała rodzina z uwagą śledziła sytuację w Czechosłowacji. Dziennik telewizyjny pokazywał zdjęcia z opustoszałych praskich ulic oraz jadące całą szerokością drogi polskie czołgi. Z okien domów powiewały flagi narodowe.

– Patrzcie tylko – zawołał Krzyś, widząc jadącą kolumnę czołgów. Może w którymś z tych czołgów jedzie nasz Antoś?

Kozińscy nic się nie odezwali, ale po chwili Zdzisław powiedział: „Znów Czesi będą nas nienawidzić. Jeszcze nam nie darowali Zaolzia, a już znów im mieszkamy. Moim zdaniem, w ogóle tam nie powinno być ani jednego żołnierza z Układu Warszawskiego. To są ich sprawy i powinni sami sobie rozwiązywać własne problemy. Nie podoba mi się ta polityka.

Po dwóch tygodniach obserwacji wreszcie nastąpiła ulga. W Czechosłowacji został odsunięty od władzy dotychczasowy rząd i komitet partii wybrał nowe władze. Pierwszym sekretarzem partii został Gustav Husak. Powoli sytuacja w Czechosłowacji się normowała i chociaż społeczeństwo nie ufało nowej władzy nadal, to jednak wojska Układu Warszawskiego wycofały się. Polski kontyngent powrócił do kraju i do swoich jednostek, Kozińscy oczekiwali więc na Antosia. W niedługim czasie od powrotu do Polski Antoś przyjechał do Kosarzyna.

Siedząc przy piecu i pijąc herbatę, Maria słuchała jego opowiadania.

– Co tam narodu zginęło! – opowiadał z przejęciem. – A jak jechaliśmy przez Pragę, z okien rzucali w nas jajkami, zgniłymi owocami, wylewali na czołgi pomyje i natychmiast się chowali. Nienawidzili nas.

– No to przecież nie wasza wina, tylko rządzących. Ale żal i nienawiść pozostanie do wszystkich Polaków, tak samo jak i do innych państw biorących udział w tej eskapadzie – tłumaczył Koziński i dodał: „Takie zrywy są i będą zawsze. To się rodzi z biedy i poczucia niesprawiedliwości”.



# Posłowie

Antoś pozostał w wojsku do końca swojej służby, służąc do emerytury jako zawodowy podoficer. Zamieszkał w Gubinie, ożenił się i wychował wraz z żoną Janeczką dwie córeczki – Iwonę i Ewelinę. Imię „Ewelina” otrzymała młodsza córka na pamiątkę jego mamy, która osierociła go, kiedy był jeszcze bardzo małym dzieckiem. Żona Antosia, Janeczka, to bardzo ciepła i serdeczna kobieta. Antoś, najmłodszy z braci, odszedł rok temu po ciężkiej chorobie, osierocając rodzinę. Nad jego mogiłą orkiestra wojskowa zagrała ułańską piosenkę *Jak to na wojence ładnie*.

Wszyscy trzej chłopcy, wychowani przez Marię, będą traktować ją z wielkim szacunkiem. W każde jej urodziny, we wrześniu, tradycyjnie zawsze spotykają się u niej – teraz już tylko Michaś i Bernaś, i żona Antosia. Maria też ich odwiedza. Nieraz zajdzie do nich porozmawiać, poradzić się i powspominać. Jest ich matką do końca życia, babcią dla ich dzieci i prababcią dla ich wnuków. Chodzi zawsze z laseczką. Odwiedza swoje zapamiętane z dawna miejsca „grzybowe”. Wraca z lasu do domu z koszyczkiem pełnym grzybów.

Krzyś Koziński po ukończeniu Technikum Rolniczego ukończy studia na AR we Wrocławiu i zamieszka na stałe w Kosarzynie. Kilka lat później Ania po ukończeniu Technikum Rolniczego wyjedzie z Kosarzyna na Dolny Śląsk i tam podejmie studia na UW na wydziale Prawa i Administracji. Po latach wróci w ukochane, rodzinne strony do Kosarzyna. Oboje rodzeństwo z czasów pobytu w szkole średniej i internacie zasłyną jako działacze

w Radzie Młodzieżowej szkoły w dziedzinie historii i literatury. Krzysztof Koziński zajmie się uprawą sadów brzoskwiniowych i rzadko spotykanych gatunków borówki amerykańskiej.

Ania i Krzysztof to pasjonaci literatury i historii Polski. Maria i Zdzisław Kozińscy nadal prowadzić będą gospodarstwo rolne, coraz to większe i nowocześniejsze. Antosia i Dominik Kozińscy zamieszkają na stałe w Gubinie. Dominik do końca swojego życia będzie pracował na prywatnej taksówce i jako najstarszy taksówkarz Gubina zostanie uhonorowany wielokrotnie orderami zasługi dla miasta. Helena i Adam Romaniewiczowie będą mieszkać w powiatowym miasteczku Szprotawie, a po śmierci Adama Helena przeprowadzi się do Gubina i zamieszka z Antosią i Dominikiem.

W chwili obecnej wszystkie dzieci Michaliny i Wincentego Kozińskich już nie żyją. Ostatni z rodzeństwa, najmłodszy syn Michaliny i Wincentego Kozińskich, Zdzisław, mąż Marii Kozińskiej, tytułowej bohaterki tej książki, odszedł 2 lutego w 2008 roku. Zmarł nagle we śnie, nie doczekawszy wydania książki *Czerwone niebo nad Wołyniem* – pierwszej części sagi rodzinnej, o której napisanie zawsze prosił swoją córkę. Do końca jego dni dręczyły go koszmary senne z okrutnych przeżyć roku 1943 na Wołyniu. Był ukochanym mężem Marii, najwierniejszym jej przyjacielem.

Maria Kozińska, żona Zdzisława Kozińskiego, tytułowa bohaterka tej powieści – moja mama – żyje i opowiedziała mi historię swojego życia.

*Barbara Iskra Kozińska*

## Uchodźcy i wysiedleńcy z Kresów na Ziemiach Odzyskanych Prawdziwy świat Kargulów i Pawlaków

Jest rok 1945 – wiosna. Rodziny Kozińskich i Romaniewiczów, ocalałych z pożogi i rzezi na spacyfikowanym przez UPA Wołyniu, znajdują nowy dom na ziemiach zachodnich. Są zafascynowane wyposażeniem domu, ale niepokoją się o swą przyszłość – co będzie, jeśli Niemcy wrócą? Czy tu zawsze będzie Polska? Czy tu ich dzieci znajdą swoje szczęście?

Świat, znany nam z filmowych komedii, ożywa w powieści cieplej, pełnej scen komicznych i sentymentalnych, ale też dramatycznych i porażających życiowym realizmem – bo właśnie taki, trudny, ale też pełen radości, był świat polskich osadników w pierwszych powojennych latach na Ziemiach Odzyskanych.

patronat medialny

Radio PiN

HISTORIA  
.ORG.PL

Spoleczności.pl

female.pl

